

# LISA JACKSON

## Podarowana śmierci

### Prolog

#### **góry Bitterroot, Montana, listopad**

Zabije cię. Tu, pośrodku tej zasypanej śniegiem doliny, zapomnianej przez Boga i ludzi.

Zabije cię. Walcz, Wendy, do cholery!

I Wendy Ito walczyła, szamotała się, aż sznury głęboko wrzynały się w ciało. Czuła lodowate ukąszenia arktycznego wiatru, który hulał wśród otaczających ich górskich szczytów.

Była sama. Nie licząc oczywiście psychopaty, który ją porwał.

Boże, dlaczego mu zaufała?

Jak mogła go uznać za wybawiciela? Jak mogła pomyśleć, że jego jedynym celem jest opatrzyć jej rany i później, gdy minie śnieżycy, wezwać pomoc? Albo zawieźć ją do szpitala? Czy zmyliła ją jego szczerą troska, gdy znalazł ją w rozbitym samochodzie? A może sprawiły to jego cudownie niebieskie oczy? Uśmiech? Łagodne słowa otuchy? A może po prostu nie miała wyboru, bo bez jego pomocy umarłaby samotnie w głębokim wąwozie?

Nieważne, co się do tego przyczyniło; zaufała mu.

Idiotka! Kretynka!

Okazał się potworem z najmroczniej szych koszmarów, wilkiem w owczej skórze, a teraz, o Boże, teraz przyszło jej zapłacić ostateczną cenę.

Naga, drżąca, stała przywiązana do drzewa grubymi sznurami, które wpijały się w jej ramiona i brzuch. Jej usta zatykał knebel tak ciasny, że z trudem oddychała.

Był blisko, tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na pniu wiekowej sosny, słyszała, jak stęka z wysiłku, zacieśniając więzy, kątem oka widziała skraj białych spodni narciarskich i kurtki.

Kolejne szarpnięcie.

Jęknęła, całe jej ciało przywarło jeszcze mocniej do szorstkiej kory. Przeszył ją ból. Zaciśnęła zęby. Musi poczekać, aż podejdzie na tyle blisko, żeby dosięgła go kopniakiem. W piszczel.

Albo w jądra.

Nie dopuści, by uszło mu to na sucho! Nigdy w życiu.

Jej serce biło jak oszalałe, gdy gorączkowo szukała sposobu, by się wyswobodzić z więzów i wdrapać z powrotem wąską ścieżką, którą zwlókł ją na dno doliny. Walczyła, a jakże. Wiła się i walczyła. Rzuciła się na niego. Starła się uwolnić. Robiła wszystko, żeby nie znaleźć się tu, gdzie teraz czeka na spotkanie niewiadomego, które jej przeznaczył. Nadal widziała ich ślady na świeżym śniegu. Jego długie równe kroki i jej rozbiegane histeryczne bose ślady. Usiłowała uciec cały czas, do końca, nawet kiedy dźgnął ją nożem. Na bieli śniegu czerwieniły się krople krwi, dowód, że ją skaleczył, że nie żartował.

Boże, dopomóż, modliła się w myślach, zerkając na ołowiane niebo. Jeszcze mocniej zaciśnęła sznur.

- Nie! Nie! Nie! - Próbowała krzyczeć, ale knebel skutecznie tłumił jej głos. Wpadała w panikę, aż jej serce waliło jak grzmot. Dlaczego ja? Boże, dlaczego akurat ja?

Starła się nie płakać, ale i tak czuła słone krople zamarzające na policzkach.

Nie płacz. Nieważne, co robisz, nie pokazuj mu, że się go boisz. Nie dawaj skurczybykowi tej satysfakcji. I nie walcz. Udawaj, że się poddajesz. Udawaj, że pogodziłaś się z losem.

Może straci czujność i jakimś cudem uda ci się odebrać mu nóż.

Jej żołądek skurczył się boleśnie, gdy usiłowała skoncentrować wzrok na nożu, używanym zazwyczaj do patroszenia dziczyzny. Ostry jak brzytwa, bez trudu przeciąłby grube sznury. I ciało...

O Boże...

Ugięły się pod nią kolana i z najwyższym trudem opanowała się, by nie płakać i nie błagać, by nie przysięgać na wszystko, co tylko zechce, byle tylko jej nie skrzywdził.

Ależ dobrze, niech pomyśli, że mu uległaś... Nie spuszcza jednak wzroku z noża, z tego straszego ostrza.

Drżała coraz bardziej, tak że kawałki kory wbijały się w jej skórę. Czy

O te dreszcze przyprowadzą lodowaty wicher Montany, wędrujący aż z Kanady i dalej, z Arktyki? A może drży ze strachu, który doprowadza ją do obłądzenia?

Szczękała zębami, wzdrygała się przy każdym podmuchu wiatru, a on pracował. Co chwila widziała jego nogi w grubych myśliwskich skarpetach

I białych narciarskich spodniach. Gruba kurtka z kapturem obszytym futrem chroniła go przed wiatrem, który ją mroził.

Ten kłamliwy sukinsyn nie miał najmniejszego zamiaru cię uratować, wcale nie chciał cię wyleczyć po tamtym wypadku. Przez cały czas ten skurczybyk utrzymywał cię przy życiu, wmawiając ci, że zamieć uniemożliwia mu sprowadzenie pomocy, żeby w końcu cię zabić.

On rozkoszował się czekaniem, a ty powoli traciłaś dla niego głowę.

Żółć podeszła jej do gardła i mało brakowało, a zwymiotowałaaby. Wiedział. Poznała po jego spojrzeniu, że widzi jej oddanie, jej idiotyczną chęć, by sprawić mu przyjemność.

Gdyby to było możliwe, zabiłaby go.

Tu i teraz.

Słyszała, jak znowu sapie z zadowoleniem, gdy zacisnął wężły jeszcze bardziej, aż przywarła pośladkami do szorstkiej kory. Aż pień wbił się między jej łopatki. Nadal mogła kopać, ale on przezornie trzymał się poza zasięgiem jej nóg. Uważała, że nawet jedną nogą - druga nadal nie była sprawna po wypadku - może go zranić i to poważnie, bo nie na darmo trenowała sztuki walki.

On jednak przezornie trzymał się z drugiej strony pnia, z dala od jej ewentualnych ciosów. Lodowaty wiatr także nie był bez winy. Coraz trudniej było jej się skupić, myślała tylko o jednym - o lodowatym zimnie w całym ciele, o lodzie w kościach.

Przed oczami latały jej czarne plamy.

Każdy oddech, płytki i słaby, kosztował ją wiele wysiłku, a płuca i tak płonęły z braku tlenu.

Może lepiej stracić przytomność? Ciemność jest kojąca, pozbawia wiatr lodowatej siły.

I wtedy go zobaczyła; stanął przed nią wpatrzony w nią okrutnym, twardym wzrokiem.

Jak mogła uważać, że jest przystojny? Jak mogła o nim marzyć? Jak mogła w ogóle brać pod uwagę pójście z nim do łóżka?

Powoli wyjął zza pasa nóż. Metalowe ostrze zalśniło w mdłym zimowym słońcu.

Była skazana.

Wiedziała to.

Jeszcze zanim powoli, nieubłaganie, uniósł nóż.

## Rozdział 1

Cholerny skurczybyk.

Ivor Hicks zazwyczaj nie miał nic przeciwko niskim temperaturom, ale nie podobało mu się, że każą mu wędrować akurat w tę część gór tuż po śnieżycy. Na miłość boską wystarczy głośniejsze kaszlnięcie, by wywołać lawinę, a w jego wypadku o kaszel nietrudno, bo coś dusi go w płucach i pewnie wkrótce się rozchoruje.

To zasługa cholernych kosmitów, pomyślał, ale zaraz odsunął od siebie tę myśl. Do cholery, nikt mu nie wierzył, że pod koniec lat siedemdziesiątych kosmici porwali go, dokonywali eksperymentów medycznych na jego płucach, krwi i jądrach. Pieprzone ufoludy porzuciły jego wycieńczone ciało w zaspie, trzy kilometry od domu. Kiedy się ocknął, leżał półnagi, wychłodzony, z pustą flaszką po whisky u boku, obok spróchniałego pnia, w którym mieszkał jeżozwierz i żuki. Ale żaden z chłopaków z policji nie chciał go słuchać. Policjant, któremu wtedy wszystko opowiedział, młody przemądrzalec koło trzydziestki, był na tyle bezczelny, że nawet nie starał się ukryć uśmiechu niedowierzania. Szybko spisał jego zeznania i zawiózł Wora do lokalnej kliniki, żeby opatrzone mu odmrożenia. Doktorek Norwood nie okazywał niedowierzania, ale kiedy wysyłał Ivora do szpitala w Missouli, zasugerował badania psychiatryczne.

Idioci.

Robili wszystko tak, jak chcieli kosmici. Crytor, przywódca tej cholernej bandy, który przeteleportował Wora na swój macierzysty statek, pewnie do dzisiaj skręca się ze śmiechu na wspomnienie prostackich tłumaczeń Ziemiaków: alkohol, odwodnienie i halucynacje. Zdaniem lekarzy one właśnie leżały u źródeł jego wizji.

Cóż, durniów nie sieją sami się rodzą.

Wsparty na kosturze, wspinał się w stronę Cross Creek. Pod górskimi butami chrząścił świeży śnieg, nad głową rozciągało się niebo, bezkresne i błękitne jak ocean. Nie żeby kiedykolwiek widział ocean, ale był nad jeziorem Flathead, a to kawał jeziora, nie ma co. Ocean jest pewnie taki sam, tylko dużo, dużo większy, jeśli wierzyć programom wędkarskim w telewizji.

Dysząc ciężko, maszerował wąską ścieżką wijącą się wśród gładów i wiekowych drzew, których gałęzie zdawały się dotykać nieba. Zatrzymał się, by wyrównać oddech, patrzył na obłoczki unoszące się z jego ust i przeklinał cholernych kosmitów, którzy pognali go w góry, choć artretyzm nie dawał mu spokoju. Ból potęgował, o czym był święcie przekonany, niewidoczny czip, który mu wszczepili.

- Już idę, idę - mruknął, czując delikatne ukłucie w skroni, znak, że ma się pospieszyć. W ten sam sposób go obudzili, jeszcze zanim słońce wspięło się na szczyty gór. Do licha, nie napił się nawet kawy, nie wspominając o starej dobrej whisky. Crytor, niech szlag trafi jego pomarańczową gadzią skórę, jest bardziej stanowczy niż Lila, Panie świeć nad jej duszą. Przeżegnał się na wspomnienie zmarłej żony, choć nigdy nie był katolikiem i nie zamierzał nim zostać, ale ten gest wydawał się bardzo na miejscu.

Nawet Crytor nie miał nic przeciwko.

Dostrzegł między drzewami ślady łośi i pożałował, że nie zabrał strzelby, choć to nie sezon na łośie. Ale kto by się dowiedział? Poza Crytorem, ma się rozumieć. Minał zakręt i zobaczył dolinę poniżej. Zatrzymał się w pół kroku.

Jego siedemdziesięciosześcioletnie serce prawie wyskoczyło z piersi, gdy wpatrywał się, wzrokiem bystrym jak u młodzika, w samotną sosnę i nagą kobietę przywiązaną do pnia.

- Matko Boska - szepnął i przyśpieszył kroku, zbiegając ze wzgórza. Kostur wbijał się głęboko w śnieg.

Nic dziwnego, że kosmici chcieli mu to pokazać. Choć pewnie to oni ją porwali, zrobili, co chcieli, i zostawili tu, w tej pustej lodowatej dolinie.

To w ich stylu, rozumiecie.

Żałował, że nie ma komórki, choć słyszał, że wysoko w górach nie działają. Za daleko. Nie ma zasięgu. Poślizgnął się, ale zaraz odzyskał równowagę. Może żyje, może tylko straciła przytomność? Owinie ją kurtką i pójdzie po pomoc.

Schodził jak najszybciej. Powitało go tylko zawodzenie śnieżnej sowy.

- Halo! - Niemal biegł. Brakowało mu tchu. - Halo!

Zanim jednak dobiegł do kobiety przy drzewie, zatrzymał się w pół kroku. To nie ciało powracające z kosmosu.

O nie.

To dzieło samego szatana.

Włosy stanęły mu dęba na pomarszczonym karku.

Kobieta, Azjatka, była tak martwa, że już bardziej nie można. Miała siną skórę, śnieg w ciemnych włosach, pusty wzrok. Na jej skórze ciemniała zakrzepła krew. Usta nikły pod kneblem. Sznur, którym przywiązano ją do drzewa, wcinął się głęboko w skórę, znaczył ciało pręgami i sińcami na ramionach, piersiach i w talii.

Gdzieś w oddali konar ustąpił pod ciężarem śniegu i pękł z trzaskiem. Ivor miał wrażenie, że obserwują go niewidzialne oczy. Nigdy w życiu tak się nie bał.

Nawet na statku Crytora.

Znowu pożałował, że nie ma przy sobie broni. Wycofał się powoli, aż doszedł do ścieżki, a tam odwrócił się i popędził co sił w starych nogach. Ten, kto to zrobił, jest wcielonym złem. Które tam było. Boże drogi, było tam przez cały czas.

Detektyw Selena Alvarez opadła na krzesło za biurkiem. Nie było jeszcze siódmej, a przed nią piętrzył się stos dokumentów. Jej uwagę zaprzętała nierozwiązana sprawa - w ciągu dwóch miesięcy znaleziono zwłoki dwóch kobiet. Obie pozostawiono na mrozie na pewną śmierć.

Widok tych ciał nie dawał jej spokoju - nagie, przywiązane do drzew, zakneblowane, pozostawione na pastwę losu. Od wielu lat w okęgu Pinewood odkrycie ludzkich zwłok należało do rzadkości i zazwyczaj były to skutki nieszczęśliwych wypraw łowieckich, rybackich, narciarskich albo wycieczek w góry. No i jeszcze kiedyś biegacza zaatakowała puma. Nie można też zapomnieć o normalnych rodzinnych kłótniach, które kończą się tragedią za sprawą alkoholu albo narkotyków, zwłaszcza jeśli broń palna jest na wyciągnięcie ręki. Ale morderstwa? W tej części kraju zawsze były rzadkością. A tym bardziej morderstwa seryjne. Seryjniak tu, w leśnej głuszy? Nie do wiary.

A jednak.

Wystarczy jedno spojrzenie na ekran monitora, a zobaczy zwłoki Theresy Charleton i Niny Salvadore, dwóch kobiet, których nic nie łączyło, by się przekonać, że po okolicy grasuje psychopata. Chyba że był tu przejazdem.

Kliknęła i na monitorze pojawiło się ciało pierwszej ofiary, Theresy Charleton. Jeszcze chwila i ekran wypełniły kolejne fotografie: zdjęcie z prawa jazdy Theresy, wydane przez Wydział Komunikacji stanu Idaho, jej roztrzaskany zielony ford eclipse, podpisane „Miejsce zbrodni 1”. I inne, przedstawiające piękną sosnę z przywiązanym do niej ciałem, podpisane „Miejsce zbrodni 2”. Ostatnia fotografia przedstawiała kartkę, którą morderca zostawił nad głową ofiary: jej inicjały, „TC”, wypisane drukowanymi literami, i gwiazda, przy czym ten symbol widniał także na pniu, wryty około dziesięciu centymetrów nad głową ofiary.

Technicy kryminalni znaleźli na nim ślady krwi kobiety.

Alvarez zacisnęła usta, wpatrzona w zwłoki nauczycielki z Boise. Wszystko wskazywało na to, że nie miała żadnych wrogów. Mężatka od dwóch lat, bezdzietna, mąż w rozpacz.

Twierdził, że żona pojechała odwiedzić rodziców w Whitefish i policjanci sprawdzili wiarygodność jego wersji. Rodzice i brat ofiary odchodzili od zmysłów z rozpacz. Brat domagał się głośno, by policja zatrzymała potwora, który to zrobił.

- Pracujemy nad tym - mruknęła Alvarez pod nosem. Otworzyła akta i zobaczyła kserokopię listu na pierwszej stronie.

Gwiazda, taka sama jak nad głową ofiary, widniała wysoko nad literami:

T

C

Dlaczego? Co ten symbol oznacza? Ludzie szeryfa sprawdzali wszystkich, którzy w ciągu ostatniego miesiąca widzieli Theresę, ale na razie ich działania nie przyniosły żadnych rezultatów. Uważano, że jej śmierć to przypadkowa zbrodnia - póki nie znaleziono kolejnej kobiety zamordowanej w taki sam sposób.

Kolejne kliknięcie i oto Alvarez patrzyła na zdjęcie tak podobne do poprzedniego, że z wrażenia krew zastygła jej w żyłach. Naga kobieta o długich ciemnych włosach. Przywiązana do drzewa. Świerku tym razem. Inne miejsce, ale makabrycznie podobne do poprzedniego. Druga ofiara nazywała się Nina Salvadore. Była programistką komputerową, samotnie wychowywała dziecko w Redding w Kalifornii. Ją także przywiązano do drzewa na dnie malutkiej doliny gdzieś w górach Bitterroot. Jej ciało znajdowało się o trzy kilometry od samochodu, forda focusa, z którego została trudna do zidentyfikowania kupa złomu.

Znaleziono go kilka tygodni wcześniej.

Gwiazda wyryta nad jej głową znajdowała się w nieco innym miejscu niż w przypadku Charleton, także treść notatki była odmienna. Tym razem pojawiły się nowe litery.

Wyglądało na to, że morderca tworzy z inicjałów ofiar przeplatankę:

T

SC

N

Czy morderca z nimi igrza? Chce coś przekazać? Skoro zamierza w ten sposób dać do zrozumienia, że obu zabójstw dokonała ta sama osoba, dlaczego nie napisze po prostu: „TC NS”, w normalnej kolejności, jak w inicjałach? Dlaczego bawi się literami?

Alvarez zmrużyła oczy. Znała się na komputerach i sprawdzała na różne sposoby, co mogą oznaczać te cztery litery. Na razie bezskutecznie.

- Skurczybyk - mruknęła. Zastanawiała się, co za zwyrodnialec posunąłby się do czegoś tak okrutnego, jak pozostawienie kobiety w górskiej gęszy w środku zimy.

Przesłuchania bliskich Niny Salvadore niczego nie przyniosły. Wracła do siebie, do Kalifornii, po drodze chciała odwiedzić przyjaciółkę w Oregonie, a wyruszyła od siostry w Helenie w Montanie. Jej zaginięcie zgłoszono najpierw w Oregonie, gdy nie dotarła na czas do miasteczka Seaside i od dwudziestu czterech godzin nie dawała znaku życia. Tego samego dnia jej zaginięcie zgłosiła siostra w Helenie.

Choć technicy przeszukali miejsca zbrodni, zbadali ciała i wraki samochodów, choć współpracowali z posterunkami w rodzinnych miastach ofiar, nie mieli na razie żadnych podejrzanych.

Przypadkowe morderstwa?

Czy starannie wybrane ofiary?

Alvarez zacisnęła usta. Nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Jeszcze przez kilka minut wpatrywała się w monitor, po czym wstała, wyszła z biurka i ruszyła długim korytarzem. Skręciła w lewo i znalazła się w pokoju rekreacyjnym - klitce bez okien, z mikroskopijną kuchenką i kilkoma stolikami.

Na podgrzewaczu stał dzbanek z zaschniętymi resztkami kawy - prezent od kolegów z nocnej zmiany. Selena wylała smętne resztki do zlewu, wyrzuciła filtr, umyła dzbanek, nalała czystej wody, nasypała świeżej kawy i włączyła ekspres.

Wysłuchana w bulgoty i parskanie ekspresu, rozmyślała o zabójstwach. We włosach obu kobiet technicy znaleźli ślady kory. Za każdym razem kora odpowiadała gatunkowi drzewa, do którego je przywiązano. Sińce i obrażenia na ciele sugerowały, że ciągnięto je siłą na miejsce kaźni. Obie miały też rany od noża - nic poważnego, ot, lekkie draśnięcia i skaleczenia, jakby ten, kto je prowadził, zmuszał w ten sposób kobiety, by szły szybciej.

Ale inne rany się zagoiły. Jeśli wierzyć raportom patologa, zagoiły się obrażenia, które mogły powstać wskutek wypadków samochodowych: pęknięte żebra zaczynały się zrastać,

zwichnięty palec wrócił na miejsce - tak było w przypadku Theresy Charleton. Nina Salvadore miała wybite kolano i złamany obojczyk. Obu kobietom nastawiono złamania, opatrzone rany. Salvadore założono nawet szwy na prawym policzku i na głowie, tam, gdzie zgolono jej włosy.

Gdzie je przetrzymywał?

I dlaczego?

Po co je ratował i leczył? Tylko po to, by zostawić nagie w lesie? Po co je kurował? Po to, żeby je zabić?

Według raportów koronera żadnej nie zgwałcono. Dziwna sprawa. Irytująca. Alvarez spędziła wiele godzin, próbując wyobrazić sobie sposób rozumowania mordercy.

Bezskutecznie.

Konsultowano się z FBI. Agenci z Salt Lake City przyjechali i wyjechali.

Ekspres wypływał właśnie ostatnie krople kawy, gdy do kuchni wpadła Joelle Fisher, sekretarka i recepcjonistka w jednej osobie.

- O, już zaparzyłaś kawę, choć to należy do moich obowiązków! - zawołała jak zwykle uśmiechnięta. Joelle zbliżała się do sześćdziesiątki, ale wyglądała by o dziesięć lat młodziej, gdyby nie platynowy hełm na głowie, który Alvarez kojarzył się z bohaterkami filmów z lat pięćdziesiątych, oglądanych razem z matką.

- Wiem.

Joelle skrzywiła się, zbierając ze stolika brudne serwetki.

- Przez ciebie będę miała kłopoty u szefa.

Selena nalała sobie kawy i pomyślała, że Dana Graysona nie obchodzi, kto parzy kawę, ale zachowała tę myśl dla siebie. Nie przeszkadza jej, że Joelle przywiązuje tak wielką wagę do tego typu obowiązków. Uważa kuchnię za swoje królestwo? Ależ proszę bardzo!

- Ej! - Do kuchni wszedł Cort Brewster, zastępca szeryfa, z gazetą pod pachą.

- Jak leci? - Alvarez uśmiechnęła się pod nosem. Brewster to porządny facet, dobry mąż i szczęśliwy ojciec czwórki dzieciaków, jednak coś w nim budziło jej niepokój. Może błysk w oku, a może fakt, że jego uśmiech nigdy nie docierał do oczu. A może po prostu się czepiała. Brewster nie zrobił niczego złego ani jej, ani, o ile wiedziała, nikomu innemu z wydziału.

- Jeśli kawa ci nie smakuje, to nie moja wina. - Joelle dramatycznie rozłożyła ręce. - To ona ją zaparzyła, zanim przyszłam. - Idealnie wykrojone różowe usteczka cmoknęły z dezaprobatą jakby była nauczycielką oburzoną że mały Timmy znowu trzyma rączki pod ławką.

- To moja wina, jeśli smakuje jak ścierka - przyznała Alvarez. Brewster się roześmiał, wyjął z kredensu kubek i nalał sobie po brzegi. Joelle, oburzona, wyszła z kuchni, głośno stukając obcasami.

- Zdaje się, że dzisiaj od samego rana nadeptujesz ludziom na odciski - zauważył Brewster.

- Jak co dzień - poprawiła go Selena. Dołała sobie kawy. - Przebywanie w biurze okazuje się pracą w trudnych warunkach.

- Miau. - Brewster ukrył się za kubkiem.

- To walka o terytorium. - Wzruszyła ramionami i podeszła do swojego biurka. Jej zmiana zaczyna się dopiero za czterdzieści pięć minut, ale chłopcy z nocnej jeszcze siedzieli w pracy. Rozdzwonił się telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę i mruknęła coś niezrozumiale.

- Alvarez? Tu Peggy Florence z dyspozytorki. Mam coś, czego powinnaś wysłuchać.

Selena wiedziała, co ją czeka; odgadła to po głosie dyspozytorki. Była gotowa.

- Zadzwoił dwie minuty temu. Ivor Hicks. Mamy kolejną ofiarę, jeśli można mu wierzyć.

- A w naszym zakątku Montany wstaje nowy mroźny dzień. Po południu zanosi się na kolejną burzę śnieżną ostrzegamy przed trudnymi warunkami atmosferycznymi na drogach...

- Prezenter radiowy był zdecydowanie zbyt radosny, biorąc pod uwagę wiadomości, jakie

przekazywał. - Już za moment szczegółowe informacje o stanie dróg i zamkniętych szkołach, więc zostańcie z nami, na KKAR, dziewięćdziesiąt siedem i sześć FM.

Po chwili rozbrzmiały pierwsze takty piosenki *Winter Wonderland*.

Regan Pescoli ukryła twarz w poduszce i stłumiła jęk na myśl o wstawaniu. Akurat tego ranka nie miała ochoty słuchać, jak Bing Crosby rozplywa się w zachwytach nad urokami zimy. W jej głowie szaleje młot pneumatyczny, w ustach ma śmietnik, a ostatnie, czego chce, to zwlec się z ciepłego łóżka i jechać do biura szeryfa, gdzie wraz z burzą rozpętało się piekło.

A to dopiero listopad. Do Bożego Narodzenia jeszcze mnóstwo czasu. Po omacku wyciągnęła rękę w stronę radia, nie znalazła go i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nie leży w swoim łóżku. O cholera! Uniosła jedną powiekę i od razu rozpoznała poobijane, zniszczone meble w pokoju numer 7 w motelu Północny Brzeg, w którym czasem nocowała z kochankiem. Nieważne, że posępny betonowy gmach stoi na południowym krańcu miasteczka, blisko granicy okręgu, i w odległości wielu kilometrów nie ma nawet najmniejszej rzeczki, jeziora, a już tym bardziej oceanu.

Zamrugnęła, wpatrzona w migający złośliwie zegar na radiodbiorniku: 7.08. Jeśli się nie pośpieszy, spóźni się do pracy.

Znowu.

- Cholera - mruknęła. Odrzuciła spraną kołdrę.

Leżał spokojnie i pochrapywał cicho, odwrócony do niej pięknymi, muskularnymi plecami. Czarne włosy zdawały się lśnić na poduszce.

- Słodkich snów, przystojniaku - mruknęła z zazdrością. Po ciemku szukała ubrania. Majtki i stanik z czarnej koronki, spodnie i sweter.

- Miłego dnia, słońce - szepnął, nie odrywając głowy od poduszki.

- Niektórzy z nas muszą pracować.

- Doprawdy? - Przewrócił się na bok i nagle, zupełnie przytomny, pociągnął ją z powrotem na łóżko.

- Ej, nie mam na to czasu...

- Ależ owszem, masz.

- Nie, ja naprawdę...

Ale on już zdjął jej stanik, który przed chwilą włożyła, ściągnął majtki jednym, szybkim, pewnym ruchem. Pociągnął ją na siebie, by poczuła jego erekcję.

- Ty draniu - syknęła, gdy w nią wchodził.

- We własnej osobie.

Boże, jest boski. Zwilgotniała w ciągu sekundy, jęczała z rozkoszy, gdy pieścił jej piersi ustami i dłońmi.

Poruszał się szybko, pewnie, mocno.

Dyszała, oddychała płytko, w rozpalonych żyłach pulsowała krew, przed oczami przelatywały rozkoszne wizje.

Kiedy poczuła, że nadchodzi orgazm, wbiła paznokcie w jego barki. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu. Rozkosz wstrząsała nią do głębi.

Tulił ją do siebie, obejmował w talii, nie pozwalając jej się odsunąć i nadal się poruszał, coraz szybciej i mocniej, sprawiał, że traciła oddech i rozum.

- Boże - szepnął, gdy pchnął po raz ostatni i skończył.

Czuła, jak nieruchomieje, jak drgają mięśnie na jego plecach. Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok, jak zawsze, gdy się kochali.

- Niech cię szlag - mruknęła. Pot spływał jej po plecach, przyklejał krótkie kosmyki włosów do karku. - Niech cię piekło pochłonie.

- Za późno. - Roześmiał się, pociągnął ją za sobą na skotłowane posłanie. - Już tam jestem.

- Wiem. - Westchnęła głośno i powtórzyła sobie, że już naprawdę, ale to naprawdę musi iść. -  
Ja też.

- Spóźnisz się, wiesz o tym?

- Podoba ci się to, co?

- Co?

- Bycie dupkiem.

Jego uśmiech przeciął półmrok zawadiackim błyskiem białych zębów.

- Nie, skarbie. Tobie się to podoba.

Zachnęła się, wstała, zabrała ubrania i zanim znowu ją złapał, uciekła do łazienki. Było tam

tak zimno, że widziała własny oddech. Co on ma w sobie takiego, co aż tak ją pociąga?

Dlaczego nigdy nie potrafi mu odmówić? Co ją tak strasznie kręci? Ile już razy zaklinała się,  
że z nim koniec, że nie wpadnie kolejny raz w jego sidła?

No i na niewiele jej się to zdało.

Byłoby łatwiej, gdyby nie był tak nieprzyzwoicie przystojny.

Akurat. Znała wielu przystojnych facetów. Większość miała też fantastyczne ciała. Ale ten...  
ten jest inny.

Czyżby? A czy to przypadkiem nie kolejny zły chłopiec w twoim życiu? Zaczęło się od  
Chada Wheatona w ósmej klasie... Regan, spójrz prawdzie w oczy: masz fatalny gust, jeśli  
chodzi o facetów. Papiery rozwodowe to chyba najlepszy dowód.

Skrzywiła się, ledwie zerknęła w lustro. Przekrwione oczy potargane włosy, rozmazany  
makijaż, malinka wielkości Alaski na karku. Nie ma wątpliwości, od razu widać, że przed  
chwilą wyszła z łóżka. I wcale w nim nie spała. Na dodatek nie ma czasu, żeby jechać do  
domu i doprowadzić się do porządku.

Energicznie umyła się ciepłą wodą starła z twarzy resztki makijażu. Po pięciu minutach była  
gotowa. Ubrała się, podmalowała, spięła włosy na karku. Weszła do ciemnego pokoju i  
usłyszała chrapanie.

- Dupek - mruknęła, starając się, by w tym słowie było więcej złości, niż naprawdę czuła.

- Słyszałem to - odezwał się stłumiony głos z poduszki.

- I dobrze. - Włożyła buty, które stały przy drzwiach, wzięła żakiet z oparcia krzesła, zapięła  
kaburę pod pachą, sprawdziła, czy w kieszeni jest odznaka.

Detektyw Regan Pescoli bez słowa otworzyła drzwi i wyszła na dwór, na lodowato zimny  
ranek w Montanie.

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się, wsiadając do dżipa. Zadzwoiła jej komórka.

Wyjeżdżając z wyboistego parkingu, zerknęła na wyświetlacz. Na szczęście to nie jej eks ani  
jego laleczka Barbie w sprawie dzieciaków.

Ale też nie ucieszyła się, widząc, kto dzwoni: jej partnerka, Selena Alvarez.

- Pescoli - rzuciła, wpatrzona w boczne lusterko.

- Mamy następną.

Regan spuściła głowę. Wiedziała, że tak to się skończy. A zatem gdzieś w górach Bitterroot  
znaleziono kolejne zwłoki, kolejny prezent od ich własnego, lokalnego, seryjnego zabójcy.

- Cholera. Gdzie?

- Kanion Wildfire. - Alvarez rzeczowo wytłumaczyła, jak tam dojechać.

- Dotrę za pół godziny. - Pescoli się rozłączyła. Między siedzeniami stał kubek z resztkami  
wczorajszej coli. Pewnie zamarzyła, ale Regan bez zastanowienia wzięła kubek i upiła spory  
łyk. Jadąc wąską szosą, szukała w schowku paczki marlboro light. Ograniczyła się do paczki  
tygodniowo. Nieźle, zwłaszcza że kiedyś paliła trzy paczki dziennie. Ale ten drań, który  
zostawia kobiety, by umarły na mrozie, źle wpływa na jej dobre postanowienia.

Po Nowym Roku, czyli za niecałe dwa miesiące, chciała całkowicie rzucić palenie, ale  
obawiała się, że stresy, o jakie przyprawiał ją były mąż, praca i świr, nie pozwolą tak łatwo  
rozstać się z nałogiem.



Włączyła koguta na dachu i wcisnęła pedał gazu. Przez moment jej myśli wróciły do mężczyzny w motelu, ale zaraz zepchnęła to wspomnienie w zakątek mózgu, do którego rzadko zaglądała. Trzymała tam świadomość tego, że jest zmysłową kobietą o określonych potrzebach.

A w tej chwili, tak jak przez większość czasu, jest policjantką. Niech szlag trafi złych chłopców. Musi złapać mordercę.

## ROZDZIAŁ 2

Alvarez nie zwracała uwagi na lodowaty wiatr, przyglądając się miejscu zbrodni. Naga kobieta przywiązana do drzewa. Z gałęzi osypywał się śnieg.

Selena Alvarez w życiu nie czuła takiego chłodu.

W przydziałowej policyjnej kurtce i spodniach patrzyła na zamrożone zwłoki i miała wrażenie, że krew zamarza jej w żyłach.

Sądząc po typie urody, kobieta była Azjatką. Proste ciemne włosy przysypane śniegiem, niegdyś gładkie ciało, naznaczone siniakami i otarciami, krew barwiąca śnieg u jej stóp. Śnieg, deptany bosymi stopami, zamrożony i przysypany świeżą warstwą białego puchu. Technicy liczyli, że uda im się zebrać częściowe odciski palców i znajdą drobiny ziemi, włókien, włosów, czegośkolwiek, co spadło z ubrania mordercy albo z podeszew jego butów. Alvarez nie łudziła się - do tej pory morderca okazał się albo niesamowicie drobiazgowy, albo po prostu miał cholerne szczęście.

Jak w poprzednich zbrodniach, przy ciele znaleziono kartkę przybitą do drzewa nad zwłokami, a nad głową ofiary wyryto gwiazdę. I po raz kolejny symbol znajdował się w nieco innym miejscu, podobnie jak litery na kartce.

Tym razem wyglądała tak:

W                    T                    S C                    I                    N

- Co to ma znaczyć, do cholery? - zastanawiał się Brewster, który towarzyszył dzisiaj Alvarez.

- Nie mam pojęcia.

- Ostrzeżenie? Informacja? Alvarez pokręciła głową.

- Robi sobie z nas jaja. Najwyraźniej inicjały ofiary to WI, nie wiadomo tylko, która litera to pierwsza litera imienia, a która nazwiska.

- A więc nie wiemy, czy to na przykład Wilhelmina Ingles czy Ida Wellington?

- No właśnie - skrzywiła się, powoli obchodząc drzewo. - Wilhelmina mi się podoba. -

Technicy już badali ciało, starając się określić przybliżony czas zgonu i prawdopodobną przyczynę śmierci, przeczesywali teren w poszukiwaniu najmniejszych śladów.

Jeśli chodzi o przyczynę śmierci, Alvarez była gotowa założyć się o sporą sumkę, że jest taka sama jak w pozostałych przypadkach - wyiębienie organizmu. Mimo większej niż poprzednio liczby siniaków i zadrapań, była pewna, że orzeczenie koronera będzie takie samo. Może morderca staje się coraz bardziej brutalny, może podnieca go torturowanie ofiar. A może ta walczyła bardziej zaciekle niż pozostałe, może odniosła mniej niż one obrażeń w wypadku, gdy jej wóz wpadł w poślizg na oblodzonej szosie.

- Nie znaleźli samochodu - mruknął Brewster, jakby czytał w jej myślach.

- Jeszcze nie. - Podniosła na niego wzrok. Teraz nie ma mowy o flirtowaniu. - To tylko kwestia czasu. - Kątem oka dostrzegła ruch na ścieżce, którą dotarli do kanionu, i po chwili na miejscu zbrodni pojawiła się jej partnerka, Regan Pescoli, w całej swojej okazałości metra siedemdziesięciu, i podpisała się na liście policjanta, który pierwszy przybył na miejsce.

Pescoli miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, choć na niebie kłębiły się chmury, i mało efektowną kurtę, taką samą jak wszyscy funkcjonariusze.

- Więc mamy następną - stwierdziła, podchodząc do Alvarez i Brewstera. Była zarumieniona, włosy niesforne wymykały się spod czapki, zapach papierosów otaczał ją jak obłok perfum. Alvarez nie miała najmniejszych wątpliwości - Pescoli balowała całą noc, romansowała z kolejnym nieudacznikiem - ale milczała. Dopóki partnerka robi to w czasie wolnym i jej styl życia nie wpływa na wyniki w pracy, Selena nie ma prawa się wtrącać.

- Na to wygląda - mruknęła. Błyskawicznie wprowadziła Pescoli w sprawę - nie znaleziono jeszcze samochodu, na liście od mordercy pojawiły się nowe litery, gwiazda jest w nieco innym miejscu, zwłoki znalazł Ivor Hicks.

- Staruszek Hicks zaszedł aż tu? - zdziwiła się Pescoli. Przeczesała wzrokiem opustoszały kanion.

- Na piechotę.

- Kto, do cholery, wędruje taki kawał przed świtem?

- Kosmici mu kazali - wyjaśnił Brewster. Pescoli uśmiechnęła się pod nosem.

- Crytor, genialny gad?

- Generał, gadzi generał, a nie geniusz - poprawił ją Brewster. Wszyscy w wydziale wiedzieli o podróży Wora na statek/kosmitów i słyszeli o eksperymentach. Jego opowieść pojawiła się w lokalnej prasie w latach siedemdziesiątych i niedawno ponownie, z okazji trzydziestej rocznicy porwania.

- Ivor pił? - domyśliła się Pescoli. Alvarez pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się.

- Ale dużo pije.

- Wiem.

Brewster się zachnął.

- Ciekawe, czy ci kosmici, którzy go badali, mieli alkomat?

Alvarez się uśmiechnęła.

Pescoli patrzyła na zwłoki. Technicy wsuwali dłonie i stopy ofiary w plastikowe woreczki, następnie przecięli sznury i zapakowali ją do worka na zwłoki.

- Nie sądzę, żeby Worowi starczyło siły, sprytu i odwagi, by zrobić to, co tu widzimy.

Przecież sam waży... boja wiem... sześćdziesiąt kilo? - Pokręciła głową. - Rozmawiałas z nim? - Spojrzała na Alvarez.

- Bardzo długo. Siedzi w wozie Hansona, jeśli chcesz z nim pogadać.

- Owszem.

- Wiesz, że kiedy tylko wróci do miasta, pójdzie do prasy? Pescoli się skrzywiła.

- Udało nam się zachować pewne szczegóły w tajemnicy, ale jeśli Ivor zacznie paplać...

- Zgłoszą się do nas wszystkie świry spragnione sławy - dokończyła Alvarez, przerażona na myśl o zmarnowanych godzinach, podczas których będą się starali odsiać plewy od ziaren. Czas zmarnowany na bzdury odsuwa moment złapania prawdziwego sprawcy.

- Zabierz się do niego. - Alvarez wskazała głową ścieżkę, którą schodziło się do kanionu, i Pescoli odeszła w nadziei, że uda jej się wyciągnąć z Wora Hicksa coś jeszcze.

- Powodzenia - rzuciła Alvarez.

- Dzięki. - W uśmiechu Pescoli nie było radości. - Zgłoszę to do wydziału zaginionych, popytam, czy nie mieli zgłoszenia dotyczącego Azjatki. I sprawdzę zaginione o inicjałach WI albo IW.

- I nie ograniczaj się do naszego stanu. Niech sprawdzą też w Idaho, Waszyngtonie, Oregonie, Wyoming i Kalifornii.

- Jasne. - Pescoli już szła w stronę ciężarówki. Ivor Hicks czekał na każdego, kto zechce wysłuchać jego opowieści o kosmitach.

Niezbyt wiarygodny świadek.

Alvarez odprowadzała wzrokiem worek ze zwłokami.

- No, to chyba nic tu po nas.

- No. - Brewster pokręcił głową. - Co tu się, kurwa, dzieje?

- Sama nie wiem. - Oni także opuścili zaśnieżoną dolinę. - Zanim się rozszałeje następna śnieżycyca, niech helikoptery sprawdzą wszystkie drogi w promieniu trzech kilometrów stąd. Pozostałe ofiary znaleziono mniej więcej dwa i pół kilometra od miejsca, w którym miały wypadek. Niech szczególnie uważają na drogi, które ostro skręcają w pobliżu wąwozów. Brewster się zachnął.

- Mówisz o każdej szosie w całym okręgu.

- Wiem. - Podniosła wzrok na niebo pełne ciemnych chmur. Mają mało czasu, ale im dłużej zwlekają tym większe prawdopodobieństwo, że samochód Azjatki zniknie pod śniegiem i zobaczą go dopiero, gdy nadejdzie wiosenna odwilż, a do tego czasu wszelkie możliwe ślady ulegną zatarciu. Teraz wróci do biura i rozrysuje wszystkie miejsca zbrodni i sprawdzi, czy są jakieś punkty styczne.

Może dzięki temu znajdzie się o krok bliżej od aresztowania sukinsyna.

Zdaniem szeryfa Dana Graysona dzień z każdą chwilą stawał się gorszy. A przecież już kiepsko się zaczął.

I nic nie wskazywało na to, by w najbliższej przyszłości sytuacja miała się zmienić. Męczyła go zgaga, gdy stał przy oknie na posterunku i patrzył na nadciągającą burzę. Dopiero piąta po południu, a już pała się wszystkie światła w mieście i spowijają ośnieżone ulice niebieskim blaskiem. Ponieważ posterunek i areszt znajdowały się na wierzchołku Boxer's Bluff, miał wspaniały widok na całe miasto, nie wyłączając ponad stuletniego budynku sądu.

Prasa w postaci dziennikarzy z mikrofonami w garści i kamerami zaatakowała spokojne, nikomu wcześniej nieznane miasteczko Grizzly Falls.

Po raz ostatni trafili do wiadomości w 1988, gdy powódź zmyła nabrzeże i zalała rezerwat przyrody nad rzeką Grizzly.

A teraz jakiś pieprzony świr upatrzył sobie te okolice, by przywiązywać do drzew nagie kobiety - W ślad za nim przybyli operatorzy, wozy transmisyjne, spadli na zaspane miasteczko jak kosmici na Wora. W lokalnych motelach brakowało miejsc, tytuł zjawilo się dziennikarzy - z mediów stanowych i ogólnokrajowych. Uzbrojeni w dyktafony, aroganckie pytania i poczucie własnej wartości, nie dawali tubylcom spokoju.

Jeden kretyn, właściciel baru, był na tyle bezczelny, że mrugnął do szeryfa i oznajmił:

- Jedno ci powiem, Grayson, ta cała sprawa to świetna reklama. Grayson najchętniej wepchnąłby mu do gardła placek z malinami, aż Rod Lairmer by się nim udławił. Zamiast tego jednym haustem dokończył kawę i odparł:

- Słuchaj, Rod, to, co się tu teraz dzieje, nie jest dobre dla nikogo ani dla niczego. Dla interesów też nie.

Sięgnął po plastikowe opakowanie tabletek, połknął jedną bez popijania i wrócił na stary trzeszczący fotel. W południe zwołał konferencję prasową i ostrzegął mieszkańców, tłumaczył powagę sytuacji. I co, może to zadowoliło dziennikarzy? Ledwo skończył, rzucili się na niego jak sępy, żądając dalszych informacji. Powiedział, co mógł, ale sporo zachował dla siebie. A Ivor Hicks siedział pod kluczem, przymknięty pod pierwszym lepszym pozorem.

Syn Wora, Bill, dowiedział się o kłopotach ojca i domagał się, by go wypuszczono.

- Nie może go pan przetrzymywać - tłumaczył przez telefon. - Na rany Boga, przecież on wam pomógł, może nie?

Grayson nie wiedział, co na to odpowiedzieć, i obiecał, że wypuści staruszka, kiedy tylko policja przesłucha go jeszcze raz.

- Trzymam pana za słowo - warknął Bill Hicks i się rozłączył. Nie po raz pierwszy syn próbował wybawić ojca z oparów. I nie ostatni. Prawda jest taka, że Bill przyłapał go na gorącym uczynku. Przetrzył Wora na podstawie zmyślnego zarzutu. I wszyscy zdążyli go już przesłuchać. Grayson był przekonany, że wyciągnęli ze staruszka wszystko, co wie, ale drętwiał ze strachu na myśl, co będzie, jeśli dziennikarz zaprosi Ivora na drinka. Hicks bez oporów zdradzi wszystkie szczegóły, dotychczas znane tylko policji, chociaż jeśli reporter będzie za bardzo naciskał, doda opowieść o kosmitach, którzy zaprowadzili go na miejsce zbrodni. I wtedy dziennikarz skreśli go jako wiarygodne źródło.

Albo i nie.

- Cholera jasna - mruknął Grayson.

Kiedy tylko wymyśli, w jaki sposób powstrzymać Wora przed gadaniem z każdym, kto mu postawi szklaneczkę, wypuści go.

Ale nie tylko Ivor nie dawał mu spokoju. W sprawę włączyli się federalni, choć to nie musi być nic złego. W tej chwili był gotów przyjąć każdą pomoc, także od federalnych i policji stanowej.

W zadumie skubał wąsy, wpatrzony w śnieżycę nadciągającą z północy. Kolejne kłopoty. I bez tego mają pełne ręce roboty. Zamykano drogi, pracownicy techniczni uwijali się jak w ukropie, by zachować ciągłość dostaw gazu i elektryczności, niektórzy mieszkańcy nie mieli ogrzewania, a i tak zdarzali się idioci, którzy w taką pogodę wyruszali w drogę, miewali wypadki, a jakby tego było mało, gdzieś tam, na zimnie, cholerny świr planuje kolejny ruch. Grayson zacisnął zęby.

- Nie w moim okręgu - powiedział głośno, ale nawet on wiedział, że to tylko puste słowa.

Popołniono już trzy morderstwa i wszystkie w okręgu Pinewood.

Oby na tym się skończyło.

Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi.

- Szeryfie? Pewnie chciałby pan wiedzieć, czego się dowiedzieliśmy o trzeciej ofierze. - W progu stała Selena Alvarez.

- Wolałbym, żebyś mi powiedziała, że wiesz, kto to robi. Ciemne oczy Alvarez pociemniały.

- Jeszcze nie - przyznała. Wyglądała poważniej niż zwykle, zaciskała usta w wąską linię, ciemne włosy związała w węzeł na karku, między czarnymi brwami pojawiły się pionowe zmarszczki. Selena Alvarez była cholernie inteligentna i zaangażowana w pracę, ale nie wiedział niczego o jej życiu prywatnym, jakby miała jakiś sekret.

Ale to bez znaczenia.

Poszedł za nią do pomieszczenia, które stało się pokojem zebrania grupy operacyjnej. Na odrapanych zielonych ścianach wisiały zdjęcia ofiar, wszelkie możliwe informacje, szczegóły autopsji, fotografie zwłok i wraków samochodów, i praw jazdy. Obok Theresy Charleton i Niny Salvadore wisiała kartka z nazwiskiem Wendy Ito i znakiem zapytania.

- Poznaliśmy tożsamość? - domyślił się.

- Jeszcze nie wiemy tego na pewno, ale zakładamy, że jej inicjały to WI albo IW - zaczęła Alvarez. - Sprawdziliśmy w całym stanie i znaleźliśmy zgłoszenie zaginięcia Wendy Ito.

Fryzjerka ze Spokane w stanie Waszyngton, zaginęła w drugim tygodniu listopada, była u znajomych w Whitefish. Kontaktujemy się z nimi i z jej rodzicami. - Pokręciła głową. -

Nadal czekamy na zdjęcie z Waszyngtonu.

Wskazała mapę okręgu Pinewood wiszącą na ścianie. Pinezki oznaczały miejsca, w których znaleziono zwłoki i samochody. Czerwone, symbolizujące zwłoki, tkwiły w małych dolinach wśród wzgórz. Żółte wskazywały miejsce odnalezienia wraków aut. Zakreślone ołówkiem koło obejmowało cały obszar. Inaczej oznaczono odległości między poszczególnymi miejscami zbrodni.

Grayson przez dłuższą chwilę przyglądał się mapie.

- Rozmawiałaś z mieszkańcami tego rejonu? - zapytał, wskazując środek okręgu.  
- Pracujemy nad tym. To prawie niezamieszany teren. Kilka domków letniskowych, jeszcze mniej stałych mieszkańców - zanim zapytał, dodała: - Nikt nic nie wie.  
Ból w żołądku się nasilał.  
- Pytajcie dalej. Znaleźliśmy już wóz ostatniej ofiary?  
- Nie.  
Spojrzał na mapę.  
- Szukajcie dalej.  
- Szukamy - zapewniła. Zaciśnięła usta, przekonany, że Selena zajrzy pod każdy kamień. Najgorsze, że nie był pewien, czy to wystarczy.

O wpół do siódmej rano w Seattle słońce jeszcze nie wzeszło. Jillian Rivers nalała sobie drugą filiżankę kawy i mało brakowało, a rozlałaby wszystko na szlafrok, gdy zadzwoniła jej komórka. Zerknęła na zegarek. Kto dzwoni o tej porze?

Ten sam drań, co trzy dni temu, o piątej, i nawet się nie nagrał. Świetny kawał. Zdenerwowała się, zanim zdążyła sobie wytłumaczyć, że niepotrzebnie tak się tym przejmuje. Może to ktoś ze Wschodniego Wybrzeża i nie pamięta o różnicy czasu? Przecież jej współlokatorka z college'u zrobiła coś takiego już dwa razy.

Po chwili szperania w torebce znalazła komórkę, akurat gdy przestała dzwonić.

- Halo?! - zawołała, ale odpowiedziała jej cisza. - Bomba. - Sprawdziła ostatnie połączenia. Numer nieznan. - Super - mruknęła. W kuchni skrzyknęły drzwi.

W kłapce dla zwierząt pojawiła się jej kotka, Marylin. Jillian zainstalowała otwór, gdy tylko zamieszkała nad brzegami jeziora Waszyngton.

- Jak to? Nie masz dla mnie myszy? Ani szczura? Ani nawet zaskrońca? - zapytała, gdy Marylin ocierała się o jej nogi, mruczając głośno. - Dobrze, dobrze, wielka łowczyni. Każdy ma gorszy dzień. - Wzięła kotkę na ręce i zbliżyła usta do miękkiego ucha: - Ale i tak jesteś wspaniała.

Kotka, biała jak śnieg, jeśli nie liczyć kilku czarnych plamek, otrzymała imię na cześć Marylin Monroe, a ochrzciła ją matka Jillian.

- Jest taka piękna. Ma hollywoodzką klasę, nie uważasz? - Zachwycała się Linnie White, gdy obdarowała najmłodszą córkę ośmiotygodniowym kociakiem. - Mówię ci, zobaczyłam ją i nie mogłam się oprzeć. Nazwijmy ją Marylin.

- Może lepiej Norma Jean... To bardziej... bo ja wiem? Subtelne? Eleganckie? Taki nasz żarcik? - podsunęła Jillian.

- Na rany boskie, Jillian, to tylko kot. Co tu ma do rzeczy subtelność i elegancja?

- Sama nie wiem, czy w ogóle chcę mieć kota.

- Oczywiście, że chcesz. - Linnie wepchnęła jej w ręce kłębek białego futerka, a kociątko spojrzało na Jillian wielkimi zielonymi oczami i zamruczało głośno. Już po chwili ugniało jej kark małutkimi łapkami i Jillian przepadła z kretelem. Zakochała się po uszy.

- O Boże, już mnie urabia - powiedziała, wiedząc, że już za późno. Mogła sobie protestować do końca świata, ale od razu poczuła więź z kotką. I to mimo że nigdy nie przepadała za kotami, a po śmierci starego ślepego psa, którego wzięła ze schroniska, obiecała sobie, że nie weźmie nowego zwierzęcia. Ale to wszystko nie miało znaczenia, gdy Marylin mruczała jej do ucha.

- Takie są koty. Urabiają cię od początku - przyznała Linnie, bardzo zadowolona, że Jillian zakochała się w kociaku i nie musi zawozić go z powrotem do schroniska. - I dlatego tak bardzo przypominają mężów.

- Super. Marylin może zostać, ale proszę bardzo, nie przynoś mi nowego męża ze schroniska, dobrze?

Linnie się uśmiechnęła.

- Ha, ha, ha. Przecież ostrzegałam, żebyś nie wychodziła za Masona, może nie? Pamiętam dokładnie, jak powtarzałam, że jeszcze się nie uporałaś ze śmiercią Aarona.

- Mamo, kiedy wychodziłam za Masona, od śmierci Aarona minęły cztery lata.

- Nieprawda, odkąd uznano go za zaginionego. I zawsze coś podejrzewałaś, jeszcze zanim zaginął.

- Policja także. Ale to już prehistoria - westchnęła Jillian, nie chcąc nawet myśleć o tym, co zrobił jej pierwszy mąż, jak ją wykorzystał.

Linnie najwyraźniej chciała drążyć ten temat, ale wyjątkowo dała spokój.

- Więc na razie niech ci wystarczy kot.

- Bardzo chętnie - mruknęła Jillian.

- Nie masz żadnego faceta?

- Nie, mamo, nie mam i jeszcze długo, długo nie będę miała.

I kotka została. A Jillian, na razie, dotrzymała słowa. Co jednak w żaden sposób nie przybliżyła jej do odpowiedzi na pytanie: kto do niej wydzwania o tak wczesnej porze? O świcie? A ściśle mówiąc, nawet przed świtem?

Odebrała przed drugim dzwonkiem.

- Halo?

- On żyje - oznajmił sztuczny, cienki, metaliczny głos.

- Słucham?

- On żyje.

- Kto? Kto żyje? Kto mówi?

- Twój mąż. On żyje.

- Wiem, że żyje. A przy okazji, to mój były mąż. - Wiedziała doskonale, że Mason Rivers żyje, nadal jeździ bmw, prowadzi kancelarię prawną i prawdopodobnie zdradza obecną żonę. Mnóstwo kobiet życzyło mu śmierci, ale z Masona jest zbyt wielki egoista, by miał umrzeć. - Kto mówi?

- Nie mówię o twoim byłym.

- Rozłączam się - oznajmiła Jillian po chwili. Przeszył ją lodowaty dreszcz. Siedziała wpatrzona w szare wody jeziora. Przerazało ją jej odbicie w szybie. - Kto mówi? Trzask.

Telefon milczał. Poczowała, że drżą jej ręce. W gardle jej zaschło. Aaron. Ktoś po drugiej stronie kabla mówił... ostrzegał... Że Aaron żyje. Co to ma znaczyć? Zresztą to nieprawda. Ale przecież nigdy nie znaleźli ciała.

Nigdy do końca nie straciłaś nadziei, że pewnego dnia stanie w drzwiach i wytłumaczy, dlaczego zostawił cię po tym, jak zdefraudował cały majątek. Po tym, jak policja podejrzewała, że i ty uczestniczyłaś w jego przekręcie, w wyniku którego ludzie, którzy mu zaufali, stracili pół miliona dolarów.

- O Boże. - Upuściła telefon. Z brzękiem upadł na podłogę. Miała łzy w oczach, jej serce waliło głośno, gdy ciężko oparła się o zlew. Aaron nie żyje. Umarł. Zginął podczas cholernej wspinaczki w Surinamie.

To, że nigdy nie zaleziono jego ciała w południowoamerykańskiej dżungli, nie znaczy, że żyje.

Nagle ogarnął ją gniew. Była wściekła na tego, kto dzwonił. Nienawidzi takich dowcipów. Nienawidzi. Aron nie żyje od wielu lat.

Z trudem wzięła się w garść. Marylin przyglądała się jej tak uważnie, że Jillian przeszedł dreszcz.

- On nie żyje - zapewniła kotkę stanowczo. W odpowiedzi Marylin poruszyła ogonem i wyszła. Jillian odprowadzała ją wzrokiem... i rozmyślała.

### ROZDZIAŁ 3

Pobudka! - Regan Pescoli stanęła w progu pokoju syna. Na ścianach wisiały plakaty zespołów grunge'owych i metalowych, walcząc o miejsce z fotosami koszykarzy. Na podłodze poniewierały się ubrania, płyty DVD i talerze z zaschniętymi resztkami spaghetti i pizzy. Były także na biurku i szafce. Mówiąc krótko, pokój w piwnicy przypominał chlew. Na materacu na podłodze nikt się nie poruszył.

- Ej, Jeremy, słyszysz mnie? Czas do szkoły. Tym razem odpowiedział jej głuchy pomruk.

- Wiesz, że jeszcze nie masz czystego konta. Jedno spóźnienie i pan Quasdorff...

- G... Nic mnie nie obchodzi, co zrobi Quasdorff- oznajmił jej syn i odrzucił kołdrę. Gapił się w sufit i tak bardzo przypominał jej pierwszego męża, że Regan czuła, jak jej żołądek fika salto. - To pieprzony pedał!

- Nie rozpowszechniałabym tej wiadomości. Zwłaszcza przy jego żonie i dzieciach.

Jeremy niechętnie zwał się z łóżka. Cisco, skundlony terier, zeskoczył na podłogę. Mimo siwizny i dziesięciu lat, Cisco nadal zachowywał się jak szczeniak.

- Chciałbym zostać sam - warknął Jeremy, wysoki niemal do sufitu. Regan upiła łyk kawy i ani drgnęła. - Dotarło do mnie, mam, jasne?

- Masz podwieźć siostrę do gimnazjum.

- Wiem. - Spojrzał na nią sennym wzrokiem i przez chwilę widziała w nim pogodnego dzieciaka, którym był tak niedawno. Teraz usiłował zapaść bródkę, hodował marne baczki i mimo jej protestów przymierzał się do tatuażu i piercingu, najpóźniej po osiemnastych urodzinach.

Gdyby jego ojciec żył. Gdyby Joe nie był bohaterem i nie zginął na służbie. Gdybym była lepszą żoną...

Mało brakowało, a Jeremy wpadłby na nią, gdy biegł do łazienki na parterze. Zamknął za sobą drzwi, ale słyszała szum prysznica.

Gdyby Joe żył, byłoby lepiej, pomyślała. Nie, stop. Chwileczkę. Byłoby inaczej, to na pewno. Ale czy lepiej? Tego nie wiadomo.

Przeszła do kuchni. Jej córka przysiadła na wysokim barowym stolku, i nie zwracając uwagi na kanapkę z masłem orzechowym, pisała SMS szczupłymi palcami. Gęste kasztanowe loki, smagła śródziemnomorska karnacja i ciemne oczy sprawiały, że Bianca była miniaturą ojca, Luke'a Pescolego.

Regan często się zastanawiała, jak to możliwe: nosiła dzieci pod sercem przez dziewięć miesięcy, a żadne nie raczyło się do niej upodobnić. Jeremy to skóra zdarta z ojca, Joego Stranda, a Bianca to kobieca wersja Luke'a. Czasami Regan czuła się jak inkubator, za którego sprawą przetrwało DNA jej mężów.

- Jedz - mruknęła. Jej wzrok powędrował dalej, do małego saloniku, gdzie obok kanapy obitej sztuczną skórą dumnie pyszniła się choinka, ozdobiona milionem lampek i błyskotek. Poobijana porcelanowa szopka, rodzinny skarb od pokoleń, dumnie stała na gzymsie kominka, na anielskim włosiu, kiedyś lśniącym i miękkim, teraz porwanym i matowym. W przyszłym roku kupi nowe.

Bianca pisała dalej i wytrwale ją ignorowała. Nie tknęła grzanki.

- Bianco, Jeremy zaraz będzie gotowy, a wiesz, że nie lubi czekać. Jedz.

Klik, klik, klik.

- Mamo, to obrzydlistwo! Nie wiesz, że masło orzechowe to sam tłuszcz?

- O ile wiem, zawiera też proteiny.

- Nieważne. - Bianca niechętnie podniosła głowę. Pisała dalej. Regan nie miała siły się kłócić. Dołała sobie kawy z dzbanka na blacie.

Kuchnia była mała i ciasna jak cały domek, za który co miesiąc spłacała raty kredytu. Piec huczał groźnie, ale dzielnie ogrzewał wnętrze. Cisco piszczał żałośnie przy drzwiach na taras.

- Chcesz wyjść? - Regan uchyliła drzwi. - Ale zaraz wracaj! - zawołała, gdy terier pognął co sił w łapach za wiewiórką którą wypatrzył, gdy próbowała włamać się do karmnika dla ptaków. - Ugotuję ci jajko - zaproponowała córce i zamknęła drzwi.

- Chyba żartujesz. Mam zwymiotować? Jezu, mam, Michelle nie zmusza mnie do jedzenia. Cholerna macocha. Choć Regan i ojciec Bianki, Luke „Lucky” Pescoli, rozwiedli się trzy miesiące przed tym, jak zaczął się spotykać z Michelle, Regan nigdy jej nie polubiła. Ma dwadzieścia kilka lat, na rany boskie, dlaczego bawi się w macochę? Nie ma prawa tego robić! Zbudowana jak Barbie, choć od niej mądrzejsza, Michelle do perfekcji opanowała rolę słodkiej blondynki. Zdaniem Regan zasługiwała na Oscara. Za blond włosami i wielkimi niebieskimi oczami krył się bystry umysł. Michelle wiedziała doskonale, czego chce i jak to zdobyć. Do osiągnięcia celu wystarczał jej błyszczący i szpilki.

Jedyne, czego Regan nie pojmowała, to dlaczego pragnie Luke'a. Chociaż to i tak bez znaczenia.

Nie chcąc więcej o niej myśleć, napełniła wodą szklankę i podlała więdnącą smętnie gwiazdę betlejemską. I na wszelki wypadek spryskała też kaktusa, który oszalał i zakwitł na różowo. Bianca jednak nigdy nie wiedziała, kiedy przestać, i zauważyła:

- Michelle twierdzi, że człowiek powinien jeść tylko wtedy, kiedy jest głodny.

- Czyżby? - Regan w ogóle to nie obchodziło.

- No. I dlatego nie ma problemów z figurą.

No i bardzo dobrze, przemknęło Regan przez głowę. Porwała grzanek Bianki i wbiła w nią zęby. Nie ma sensu, żeby trafiała do kosza. Do kosza czy w biodra?

- Ugotuję ci owsiankę.

Bianca podniosła na nią wzrok. Na jej ślicznej buzi malowało się niedowierzanie.

- Ty naprawdę chcesz, żeby mi było niedobrze! - Zadzwęczała jej komórka. Dostała kolejny SMS, który całkowicie ją pochłoniął. Z łazienki dobiegł wściekły ryk. Stare rury stęknęły boleśnie. Woda przestała szumieć.

- Cholera! - wrzasnął Jeremy. Regan sączyła kawę i jadła grzanek.

- Zdaje się, że twój brat w końcu się obudził.

Drzwi do łazienki otworzyły się tak gwałtownie, że uderzyły o ścianę. Jeremy, owinięty w talii ręcznikiem, by ukryć, a może raczej wyeksponować dolne partie swego ciała, wpadł do kuchni.

- Kto, do cholery, zużył całą ciepłą wodę? - zapytał, przesywając siostrę wzrokiem pełnym nienawiści.

- Terma jest mała. - Regan otrzepała ręce z okruszków. - Jesteś głodny? Mamy grzanki z masłem orzechowym.

Jeremy nie dał zbić się z tropu.

- Czy to oznacza, że ona może wszystko zużyć? Jezu, mam, przecież ciągle mówisz, jak to trzeba myśleć o innych! - Podeszedł do lodówki, wyjął karton soku pomarańczowego i podniósł do ust.

- Nalej sobie do szklanki.

- Wypiję do końca.

- Wspomniałeś coś o innych.

Dopił sok i postawił puste pudełko na blacie, obok wczorajszego opakowania po pizzy.

- Jeremy?

- Co? - Już zbiegał ze schodów.

- Musimy porozmawiać o twoich obowiązkach.

- O ile mi wiadomo, moim obowiązkiem jest zawieźć małą do szkoły. Bianca się zachnęła.

- Małą która ma najwyższą średnią w klasie. Co za dupek. Sam ledwo zdaje z klasy do klasy i nawet nie wie, o czym mówię. - Znacząco uniosła brew, ale w rzeczywistości ostatnio i ona opuściła się w nauce. Coś się święci.



- Skoro o stopniach mowa... - zaczęła Regan. - Ostatnio....

- Tak, tak, wiem. - Bianca skończyła pisać SMS i podniosła wzrok. -Poprawię się. Mówiłam ci, że pani Lefever się na mnie uwzięła.

- Może dlatego, że ciągle włączysz się z Chrisem.

Ledwie padło imię jej chłopaka, Bianca się rozpromieniła i po złym humorze nie został nawet ślad. Uśmiechnęła się pod nosem. Regan denerwowała się coraz bardziej.

- Chris nie ma nic wspólnego z moimi ocenami.

- Odkąd zaczęłaś z nim chodzić, nie poświęcasz dość czasu nauce - zauważyła Regan.

- I co z tego?

- Bianco...

- No, co? Mam chłopaka? - warknęła. - Tak, mam. Ale on nie ma wpływu na moje oceny, jasne? Może po prostu mi zazdrościsz.

Regan przyglądała jej się w milczeniu.

- No wiesz, nic by się nie stało, gdybyś raz na jakiś czas wybrała się na randkę. Zaczęła normalne życie. Może wtedy dasz mi spokój. - Dziewczyna porwała plecak ze stołka i wstała. Jeremy poszedł na górę. - Idziemy. - Bianca wsunęła komórkę do kieszeni.

- Jeszcze nie skończyliśmy - ostrzegła Regan. Jeremy stanął w progu. Miał na sobie obszerną bluzę i czapkę z daszkiem. Kiedy do tego dodał okulary przeciwsłoneczne, Regan doszła do wniosku, że jej syn to wypisz, wymaluj wykapany Unabomber i jeszcze kilku innych, których wizerunki zna z listów gończych.

Bianca włożyła już kurtkę i wyszła na dwór. Jeremy szedł za nią z kluczykami w garści.

- A plecak? - Regan przyglądała mu się uważnie.

- W samochodzie.

- Więc nie odrobiłeś pracy domowej?

- Och, mam. - Jeremy przewrócił oczami i w drzwiach minął się z Cisco.

Z trudem stłumiła odruch, by zrobić synowi wykład o znaczeniu edukacji. Nie czas na to.

- Jedź ostrożnie. Zamknięto część dróg, bo nadciąga kolejna śnieżycy... - Trzasnęły drzwi.

Regan podeszła do okna w saloniku i obserwowała, jak jej syn włączył silnik i starannie zdrapuje szron z szyb. Nawet w domu słyszała głośną muzykę płynącą z samochodu. - Dobrze, że to nie rap, dobrze, że to nie rap - powtarzała sobie i to już od pięciu lat. Po chwili szyby były czyste i Jeremy wsiał do dwudziestoletniego chevroleta.

Kiedy do tego doszło? Odkąd dzieci wychodzą z domu, nie całując jej na pożegnanie? Nie słuchając jej?

Patrzyła, jak odjeżdżają, i machała im, choć oczywiście żadne nie raczyło się odwrócić. Poczowała się jak idiotka. Musi coś z nimi zrobić. Zdawała sobie sprawę, że oboje mogą wpakować się w kłopoty. Jeremy nadal nie uporał się ze śmiercią ojca. Bianca usiłowała odnaleźć się w nowej rodzinie Luke'a.

Sytuacji nie poprawiał także fakt, że Regan pracuje w departamencie policji, pochłonięta pierwszą w historii okręgu sprawą seryjnego mordercy. Niemal bez przerwy myślała tylko o tym, kim jest ten drań i kiedy znowu zaatakuje.

Odkąd znaleziono ostatnie zwłoki, minęły dwa tygodnie. Ciało Wendy Ito zidentyfikowali załamani rodzice. Jej ojciec rozpaczał w ciszy. Matka płakała głośno i krzyczała.

Koszmar.

I nic, żadne z wielu przesłuchań nie przybliżyło ani lokalnej policji, ani cholernego FBI, nawet o krok do rozwiązania zagadki. Nie znaleziono także nowiutkiego priusa Wendy Ito, a jej przyjaciele nie wnieśli do śledztwa niczego nowego. Chyba nikt na całym świecie nie ma pojęcia, kto jest mordercą. Tak samo jak z Theresą Charleton i Niną Salvatore. Ale to nie koniec.

- Dopadniemy cię, draniu - mruknęła Regan. Wróciła do kuchni i wylała resztkę kawy do zlewu. Wyplukowała kubek i umieściła na coraz większej stercie naczyń na suszarce. - Dopadniemy cię.

Najgorsze jest to, że zakładając, iż zabójca kieruje się określonym wzorcem postępowania, zbliża się czas kolejnego ataku - wkrótce znowu zaaranżuje wypadek, przestrelili oponę kolejnej ofiary, a potem pospieszy jej na ratunek. W ten sposób działa. Strzela w opony. Drań. Regan zacisnęła usta.

Koroner jest przekonany, że wszystkie kobiety spędziły tydzień albo dłużej w bezpiecznym miejscu, gdzie opatrzone im rany odniesione w wypadku. Zakłada, że każdej udzielono pierwszej pomocy, a dopiero kilka dni później zapędzono na śmierć na pustkowiu.

Regan zaintrygowało, czy były inne - te, które nie przeżyły wypadku, szczęściary, bo nie musiały cierpieć na zimnie - ale zaraz odepchnęła od siebie tę myśl. Nie znaleziono innych samochodów.

Nakarმიła Cisco, sprawdziła, czy ma dość wody na cały dzień, i poszła do swojej ciasnej sypialni. Włożyła spodnie, czerwony golf - w końcu są święta, nie? - zapięła kaburę, narzuciła kurtkę. Sprawdziła, czy wyłączyła lampki na choince, zamknęła drzwi i wsiadła do dżipa.

Może dzisiaj złapią drania.

Może los się do nich uśmiechnie.

Choć miała hazard we krwi, nie postawiłaby na to ani centa.

Jeszcze nie.

Jillian zaparkowała w wyznaczonym miejscu i biegiem rzuciła się do schodów, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Większość szeregowych domków ozdobiono na święta, kolorowe lampki rozjaśniały szarą mżawkę, czyli zimę w Seattle. Jillian mocowała się z małą parasolką i jednocześnie sprawdzała zawartość skrzynki na listy. Znalazła w niej wielką kopertę, zaadresowaną do niej. Zacinający deszcz sprawił, że litery spływały czarnymi plamami. - Bomba - mruknęła, gdy wiatr zaatakował parasolkę i grube krople spadały na jej głowę. Skuliła się i przeskakując kałuże, biegła chodnikiem wzdłuż trawnika sąsiadów, aż dopadła do swojej werandy. Wiatr nie dawał jej spokoju, gdy otwierała drzwi. - Skarbie, już jestem! - zawołała, wchodząc do środka. Wyglądała się, ale czasami Marylin wybiegała jej na spotkanie, miaucząc radośnie. Nie dzisiaj, niestety. Jillian rzuciła klucze i torebkę na stół i zaczęła przeglądać pocztę. Zaczęła od grubej koperty ze stemplem pocztowym z Missouli w Montanie.

Tam mieszka Mason, jej były.

O co chodzi? Jakies dodatkowe dokumenty rozwodowe?

Boże, Mason potrafi być okropny.

Ale czemu nie ma adresu zwrotnego? Nawet naklejki z logo jego firmy?

Woda z jej płaszczu spływała na panele podłogi. Rozerwała kopertę, nie zwracając sobie głowy szukaniem noża do papieru. Na stół wypadły trzy zdjęcia, ziarniste. Wyglądały, jakby zrobiono je aparatem w komórce i wydrukowano na zwykłej drukarce.

Trzy.

Na wszystkich ten sam człowiek.

Wszystkie trochę niewyraźne i źle wykadrowane, jakby fotografowany się oddalał. Odwracał głowę.

Serce Jillian na moment przestało bić.

Boże, to niemożliwe!

Zapaliła lampę. Żółte światło zalało trzy zdjęcia, które ułożyła obok siebie jak klatki filmu.

Na dwóch mężczyzna był widoczny z profilu, ale na trzecim oglądał się Przez ramię i patrzył w obiektyw tak, że mogła dostrzec jego rysy, mimo brody i ciemnych okularów.

- Aaron? - powiedziała głośno i imię jej pierwszego męża poniosło się echem po domu. - Dobry Boże, Aaron?

Poczuła łzy w oczach. Kochała go. Boże, jak go kochała. Mieszkała z nim. Wyszła za niego. Straciła go. Opłakiwała. I to jak go opłakiwała.

A on żyje?

Wypuściła powietrze z płuc, choć nawet nie wiedziała, że przestała oddychać. Ścisnęła w dłoni kopertę, z której wypadły zdjęcia.

Żyje?

Aaron Caruso, ukochany ze studiów, mężczyzna, za którego wyszła za męża z naiwnej miłości, nie zginął w dżungli Surinamu? Okłamał ją? Chciał, by uznała go za zmarłego? Okrutnie zostawił ją i czmychnął z pieniędzmi inwestorów? Nie obchodziło go, że i na nią padną podejrzenia? Że wszyscy uznają, że wie, co się z nim dzieje? Jak mógł być tak okrutny?

Ugięły się pod nią nogi. Oparła się o stół. Nie. Na tych zdjęciach to nie Aaron, tylko ktoś do niego podobny. Broda zasłania podbródek. Aarona był kwadratowy, silny. A okulary uniemożliwiają zobaczenie koloru i kształtu oczu. Aaron miał piwne, szeroko osadzone, i nos, złamany podczas meczu koszykówki... Przyjrzała się fotografii i wydało jej się, że dostrzega zgrubienie na nosie.

Oczywiście nie widziała go od dziesięciu lat. Jeśli żyje, zmienił się. Jak mężczyzna na zdjęciu, co najmniej o pięć kilo cięższy, z brodą. Ale włosy, jasnobrązowe, z charakterystycznym jasnym pasmem nad czołem, są takie same, gęste i lekko kręcone.

A więc to Aaron.

A jeśli to zdjęcie jest prawdziwe... Jeśli Aaron naprawdę żyje? Pewnie ma nowe życie. Żonę i dzieci. Dom.

Nie pakuj się w to, Jillian, ostrzegał wewnętrzny głos, ale już było za późno. Już niemal uwierzyła, że trzy fotografie przedstawiają jej pierwszego męża, którego wszyscy, w tym firma ubezpieczeniowa i policja, uznały za zmarłego, gdy wpadł do rwącej rzeki, w której, jak zakładano, utonął.

Zakładano.

Gdy zadzwonił telefon stacjonarny, o mało nie umarła ze strachu. Ze zdjęciami w dłoni weszła do małego saloniku i podniosła słuchawkę przed drugim dzwonkiem.

- Halo? - rzuciła. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła, że znowu nie widać numeru dzwoniącego.

- On żyje - syknął ten sam metaliczny głos.

- Kto mówi? Nie interesują mnie takie dowcipy.

- Sprawdź pocztę, elektroniczną i normalną.

- Czego chcesz?

Koniec.

- Cholera! - Jillian odłożyła słuchawkę, niezdolna myśleć ze złości. Kto to robi? Nie Aaron, nawet jeśli żyje. Więc kto? I po co?

Miała wrażenie, że przemknął koło niej duch. Dzwoniący albo się z nią drażni, albo to prawda i Aaron zmartwychwstał.

Zamknęła oczy. Dziesięć lat. Cała dekada. Nie, on nie może żyć. To nie ma sensu, tylko że... tylko że...

Zgłoś się na policję, mówił wewnętrzny głos, gdy zdejmowała płaszcz. Wróciła do drzwi i powiesiła go na wieszaku z kutego żelaza przy drzwiach. Podniosła zniszczoną parasolkę, wygięła ją we właściwą stronę i zostawiła, by wyschła. Przeskakując po dwa stopnie, pobiegła na górę do swojego gabinetu, który w razie potrzeby służył także jako pokój gościnny. Komputer czekał, wabił wygaszaczem ekranu, z którego machały do niej palmy gdzieś na dalekiej egzotycznej wyspie.

Jillian usiadła i otworzyła skrzynkę mej Iową. Znalazła jedną wiadomość z załącznikiem. Otworzyła ją i, a jakże, zobaczyła te same trzy zdjęcia mężczyzny, który mógł być jej pierwszym, martwym mężem.

Sprawdziła adres nadawcy i chciała odpowiedzieć, ale oczywiście jej się to nie udało. Cholera.

Wróciła na swoją stronę i wtedy jej uwagę przykuł nagłówek: „Seryjny zabójca w Montanie”. W tekście była mowa o dwóch kobietach, które znaleziono na odludziu w górach Bitterroot, ale nie mogła się skupić, wciąż miała przed oczami zdjęcia Aarona.

Wyostrzyła je, powiększyła. Ponieważ komputerowa obróbka zdjęć stanowiła podstawę jej pracy, nie miała z tym najmniejszych problemów. Od pięciu lat wyczarowywała broszury, wirtualne i rzeczywiste, dla różnych klientów, od biur podróży po uniwersytety. Ściany jej gabinetu pokrywały zdjęcia, zrobione przez nią w ciekawych miejscach: zachód słońca na wybrzeżu Oregonu, Góry Kaskadowe spowite śniegiem, rybacy na rzece Kenai na Alasce, ponad stuletni hotel w Kolumbii.

Bawiła się zdjęciami, barwiła je, wyostrzała, przekształcała, usunęła brodę i okulary, wydłużyła włosy, usunęła zbędne kilogramy. Przy każdej transformacji jej serce biło szybciej, a oczekiwanie przyśpieszało oddech.

Kiedy skończyła, z ekranu patrzył na nią sobowtór zaginionego męża.

Każdy może coś zmienić. Sama widziałas setki filmów, na których ludzie Przeobrażają się w kogoś innego. Widziałas zdjęcia modelek przed i po obróbce. Wiesz, jak to działa.

To może być głupi kawał.

Ale po co?

I kto się za tym kryje? Mason z Missouli?

Pokręciła głową na tę myśl. Gdyby Mason chciał jej przekazać jakąś informację, zadzwoniłby i podał fakty. A gdyby chciał zachować anonimowość, wysłałby list z innej miejscowości. Wie, że nie jest głupia.

A jego nowa żona? Sherice? Nigdy cię nie lubiła. A jego matka, Belle? Zawsze miała coś do ciebie.

To za bardzo naciągane. Rzadko kontaktowała się z Masonem i choć Sherice, jego recepcjonistka, gdy jeszcze był z Jillian, otwarcie okazywała jej niechęć, teraz, gdy została nową o wiele młodszą panią Rivers, zmieniła stosunek do Jillian. Wygrała główną nagrodę, więc czemu miałyby teraz narobić sobie kłopotów?

Jillian usiadła wygodnie i w zadumie stuknęła ołówkiem w oparcie fotela. Cały czas wpatrywała się w twarz na ekranie. Rozległo się ciche miauknięcie. Marylin weszła do gabinetu i zwinnie wskoczyła jej na kolana.

- Cześć, skarbie. - Jillian pogłaskała machinalnie kotkę. - I co ty na to? Kotka w odpowiedzi skuliła się w kłębek, a Jillian zastanawiała się, czy mąż naprawdę zmartwychwstał i kto ją o tym poinformował.

- Mam problem - powiedziała do kotki i od razu wiedziała, że nie zostawi tej sprawy.

Musi poznać prawdę. Choćby po to, by oczyścić swoje dobre imię. Nieważne, jak bardzo to zaboli.

## **ROZDZIAŁ 4**

Stoję nago w oknie.

Samotnie.

Czekam.

A ziarenka piasku tak powoli przesypują się w klepsydrze. Nadchodzi noc, cienie się wydłużają. Wiatr, wściekły, dziki, hula w kanionach, niesie obietnicę rychłej śmierci. Słyszę go nawet tu, w chacie.

Pragnie mnie, myślę. Pragnie jej.

Jest równie głodny jak ja.

I dobrze!

Czuję ból, natarczywe, regularne pulsowanie, gdy wyteżam wzrok i patrzę w chłód, na padający śnieg.

Nagie gałęzie drzew tańczą i grzechoczą jak ramiona szkieletów wyciągnięte błagalnie ku niebu.

Jakby Boga to obchodziło.

Mam ochotę wyjść na dwór. Chłód kusi, wabi pieśczołą lodowatych podmuchów na nagiej skórze.

Ale za wcześnie.

Nie ulegnę łatwo pokusie. To niedobry czas. Jeszcze nie.

Muszę czekać.

Cierpliwość jest cnotą.

Bo ona nadchodzi.

Nieuchronnie, nieświadoma swego losu, zbliża się. Czuję to.

Wszystko musi być jak trzeba.

- No, chodź - szepczę cicho i czuję zmysłowy skurcz na samą myśl o niej: lekko opalona skóra, kilka piegów, wielkie piwne oczy i rozpuszczone włosy, lśniące czekoladowo w świetle kominka. - No, chodź.

Na myśl o tym, że wkrótce się zjawi, moje serce bije szybciej, a przed oczami stają obrazy tego, co się wydarzy. Niemal czuję jej smak, czuję jej skórę pod palcami, gdy drży pod moim dotykiem. Oczami wyobraźni widzę, jak jej źrenice się rozszerzają, aż oczy stają się niemal czarne, ze strachu i dziwnego, mrocznego pożądanego.

Och, jakże mnie zapragnie.

Będzie błagała o więcej.

A ja jej dam to, czego pragnie... i czego się boi.

Poświęci mi ostatnią świadomą myśl. Tylko mnie.

Ale jeszcze nie teraz... Muszę się powstrzymać.

Tłumię rozszalałe fantazje, później mogę się nimi rozkoszować. W odpowiedniej chwili.

Jeszcze jedno spojrzenie w okno i podchodzę do stolika przy kominku, siadam na drewnianym krześle, czuję lakier na nagiej skórze. Myślę jaśniej, intensywniej, gdy mojego ciała nie krępuje ubranie.

Uważnie przeglądam mapy. Sięgam po lupe, wyznaczam marszrutę. Sfatygowane arkusze lśnią miękko w blasku lampy naftowej. Na wiekowym stole leżą wykresy astrologiczne, wypisy z aktów urodzenia i informacje o zgonach, których nikt nigdy ze mną nie połączy.

Piszą w nich o brutalnych morderstwach, dziele psychopaty.

Dziennikarze, podobnie jak policja, to banda idiotów.

Nic na to nie poradzę, muszę się uśmiechnąć na myśl o ich nieporadnych wysiłkach.

Durnie.

Kretyni.

Baławany, których tak łatwo oszukać.

Na palenisku trzaskają drwa, niecierpliwe płomienie chciwie pożerają omszałe gałęzie dębów i sosen. Upajam się zapachem dymu, po raz kolejny czytając o ofiarach. Policjanci pilnują by do prasy nie dotarły żadne szczegóły, dzięki którym każdy świr w okolicy ochoczo przyznałby się do moich dzieł.

Bo jeśli do tego dojdzie, ludzie szeryfa będą musieli sprawdzić każdego i zmarnują bezcenne godziny na wysłuchiwanie wariata. Stracą czas, przesłuchując uzurpatora, który nie ma pojęcia o złożoności, genialności i boskości moich ofiar.

Przykro mi, żalosne durnie.

Poszukajcie sobie innego mordercy do naśladowania.

Morderca - to słowo ma gorzki smak. Podobnie jak zbrodniarz, psychopata. Bo moje dzieło to nie zbrodnia, nie zabójstwo, nie kaprys chorego umysłu, tylko konieczność... powołanie.

Ale ci, którzy nie dostąpili łaski, nigdy tego nie zrozumieją. Nikt nie rozumie tego, co robię, teraz i dawniej.

Niech i tak będzie.

Nagły podmuch wiatru uderza w okno i czuję dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Przenoszę wzrok na oblodzoną szybę i widzę płatki śniegu tańczące w szarym świetle. Czuję, jak burza przenika przez szpary, zimne powietrze drażni moją skórę. I znowu ją widzę.

Piękna suka.

Już wkrótce będziesz moja. Bóg i los są po mojej stronie.

Zwilżam usta, a w żyłach pulsuje napięcie. Wracam do stołu i patrzę na jej fotografię. Biało-czarna. Tło jest rozmazane, ale jej rysy bardzo wyraźne.

Wydaje się szczęśliwa, choć oczywiście jej uśmiech to tylko fasada. Wydaje się niemal zalotna.

Kłamie.

Patrzę w jej oczy i dostrzegam cień, smugę cienia, która zdradza strach.

W tamtym ułamku sekundy, gdy opadała migawka, wyczuła, że jej życie nie jest takie, jakim się wydaje.

A jednak nie miała pojęcia, jaka jest prawda, ani wtedy, ani teraz. Nie wie, co ją czeka, nie pojmuje, że jej los już się dokonał, że wkrótce dołączy do pozostałych....

Uważnie czytam wykresy. Gwiazdy są we właściwej pozycji, wszystko jest gotowe. Wkrótce nadejdzie grudzień i powita mnie lodowatym pocałunkiem.

Ona także.

Zjawi się, zanim przełożę kartkę kalendarza.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie nasze spotkanie. Jej lodowate ciało przy moim. Słony smak strachu na jej skórze, łyzy na policzkach.

Przeszywa mnie dreszcz oczekiwania.

Znowu patrzę na fotografię.

Taka jasna.

Taka czysta.

Taka gotowa.

- Już wkrótce - szepczę. Nie wypowiadam jej imienia, nie chcę, by echo rozniosło je po domu. - Już wkrótce.

Nabrzmiwam oczekiwaniem.

Zima i śmierć się spotkają.

Jillian wcisnęła pedał gazu.

Jej samochód w odpowiedzi zawył przeraźliwie. Zimowe opony wbiły się głębiej w oblodzone podłoże. Upiła łyk z szybko stygnącej kawy, kupionej w ostatnim miasteczku, które mijiała, osiem kilometrów temu. Spruce Creek właściwie nie zasługiwało na miano miasteczka - była to osada na skrzyżowaniu. Składały się na nią stacja benzynowa, poczta, kawiarnia, dwa kościoły i dla kontrastu, dwie knajpy. W oddali dostrzegła kilka farm.

- Witamy na montańskiej wsi - powiedziała na głos i po raz kolejny przemknęło jej przez głowę, że ta wyprawa to idiotyzm. W radiu Willie Nelson zawodził, ni mniej, ni więcej, tylko White Christmas.

- No to masz, czego chcesz, bracie - skomentowała, wpatrzona w białą przestrzeń za oknem. - I to białe jak cholera.

Po obu stronach widziała ostre szczyty gór tonące w chmurach. Miała wrażenie, że nastąpiła nowa epoka lodowcowa.

Kręta droga prowadziła w górę. Jej mały samochodzik wspinał się dzielnie. Wycieraczki walczyły ze śniegiem. Na zakręcie jedna opona zjechała na pobocze. Jillian rozlała kawę. Napęd na cztery koła jej nie zawiódł, ale i tak denerwowała się coraz bardziej i zastanawiała, kiedy dojedzie do następnej osady.

Górzysty zakątek Montany okazał się bardziej odludny, niż sądziła, i choć nie była tchórzem, dziś, o zmierzchu, była spięta i zdenerwowana.

- Za dużo kofeiny - mruknęła, gdy Willie skończył zawodzić, a głos prezentera niął w trzaskach. Zirytowana, wyłączyła radio. Myślała o tajemniczych telefonach i zdjęciach.

To naprawdę Aaron? A może tylko głupi żart?

- Spójrz prawdzie w oczy, zwariowałaś - powiedziała sobie setny raz. Ale zacisnęła ręce na kierownicy na wspomnienie metalicznego szeptu: „On żyje”. - Sukinsyn - wycedziła, gdy silnik nagle zawył. Tak naprawdę do tej pory nie uwierzyła w te słowa, a sama przecież wie, co można zrobić z fotografią, ale nie pozwoli sobie na więcej wątpliwości. To żart? Dobrze, przynajmniej raz na zawsze pochowa pamięć o Aaronie.

Prawda?

Wyjechała z Seattle, nic nikomu nie mówiąc, poprosiła tylko swoją dziewiętnastoletnią sąsiadkę, Emily Hardy, żeby przez kilka dni opiekowała się Marylin. A teraz jest w góralskiej gęszy, gdzie lada moment rozpęta się śnieżycy.

- Zawracaj - powtarzała sobie, świadoma, że ugania się za duchem. Przecież właśnie to zarzucał jej Mason, jej drugi mąż.

- Niech to szlag. - Koła ślizgały się niebezpiecznie i zwolniła. - No, dalej, dalej. - Nieduży samochód wyrwał do przodu, aż silnik jęknął na znak sprzeciwu.

Do Spruce Creek nie jest tak daleko. Na pierwszym szerszym odcinku szosy zawróci i tam przenocuje.

Westchnęła na myśl o łóżku w ciepłym pokoju. Może powinna zerknąć na mapę i sprawdzić, jak najszybciej dojedzie do Missouri i zrobi niespodziankę Masonowi.

Ale jeśli zawróci, równie dobrze mogłaby się poddać, a nigdy tego nie robi. Ostatnio w trzeciej klasie, gdy koń zrzucił ją z grzbietu i dała sobie spokój z jazdą konną. A wtedy dziadek wbił w nią jasnoniebieskie spojrzenie i powiedział:

- Ejże, Jillie, nie wiesz, że tylko mięczaki rezygnują? Nie myślałem, że akurat ty uciekniesz z ogonem podkulonym pod siebie. - Pomógł jej wsiąść na kucyka i godzinami prowadził go na lonży, aż Jillian odzyskała wiarę we własne siły. Więc teraz też się nie podda. Dziadek Jim nie żyje od piętnastu lat, ale nadal ma wrażenie, że na nią patrzy, ilekroć chce zawiesić białą flagę.

Zacisnęła usta i dostrzegła kolejny zakręt na ośnieżonej szosie. Może wreszcie zbliży się do szczytu. Może wreszcie droga poprowadzi w dół, do kolejnego miasteczka, w którym znajdzie nocleg i gorący prysznic i...

Buch!

Jillian podskoczyła.

Huk wystrzału niósł się echem po kanionie.

Bum!

Przednia opona pękła z hukiem.

- Jezu! - Miała serce w gardle. - Nie!

Samochód kręcił się jak szalony, bezwładnie ślizgał się po oblodzonym asfalcie.

- O Boże, Boże...

Nie panikuj!

Opanuj poślizg.

W uszach zabrzmiał głos dziadka Jima i nagle przypomniała sobie wszystkie jego rady na temat jazdy po oblodzonej nawierzchni.

Subaru odbiło się od skalnej ściany, zdzierając przy tym lód i śnieg, niebezpiecznie zbliżyło do poszarpanej krawędzi nad wąwozem. Jillian starała się odzyskać kontrolę nad wozem.

- Błagam cię, błagam... - Naciskała hamulce, zaciskała dłonie na kierownicy.

Coraz bliżej przepaści, widziała czubki drzew rosnących na dnie kanionu. Wóz zawahał się, zadrżał.

- Nie, nie, nie! - krzyknęła. Pieprzyć rady. Nie wpadnie w ślizg kontrolowany, nie zbliży się do otchłani. W panice szarpnęła kierownicą jak najdalej od przepaści.

Stanęła na hamulcach.

Opony szarpnęły, mechanizm hamulców szukał oparcia w oblodzonym podłożu.

- Nie - wycodziła przez zęby. Serce biło jej szaleńczym rytmem. Niech ten cholerny samochód wreszcie zwolni!

Napała całym ciałem na kierownicę, kopąca pedał hamulca.

Zatrzymaj się! Już!

Przednie koło minęło krawędź.

Samochód zachwiał się niebezpiecznie.

Z całej siły szarpnęła kierownicą.

Za późno.

Siłą rozpędu subaru runęło w przepaść. W mrok.

Przez szyby widziała czubki ośnieżonych drzew, słyszała, jak gałęzie drapią w podwozie.

Odgłos tłuczonego szkła. Jęk rozdieranego metalu.

Krzyczała, zakryła twarz dłońmi, ciągle naciskając hamulce, gdy samochód mknął na dno kanionu.

Bosko!

Srebrzysty samochód z rejestracją stanu Waszyngton runął w przepaść.

Wydawało się, że koziołkuje w zwolnionym tempie.

Cudo.

Wypadek zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach.

Subaru znikło.

Pękały gałęzie drzew.

Śnieg spadał ciężkimi płatami.

Ciszę kanionu przeciął krzyk, wyraz czystego przerażenia.

Lepiej być nie mogło.

Oplącało się czekać.

Ta suka Jillian Rivers wreszcie umrze.

Jillian uniosła powieki.

Ale niczego nie widziała... otaczała ją ciemność.

Jęknęła, gdy przeszył ją ostry ból. Boże, dlaczego nic nie widzi? Jej nogi płonęły żywym ogniem, w głowie huczało, coś zakrywało usta i nos, tamowało dopływ powietrza.

Boże drogi, co się stało?

Gdzie ja jestem?

I błagam cię, Boże, niech ten ból wreszcie ustąpi!

Usiłowała zaczerpnąć tchu, walczyła z tym, co zakrywało jej twarz.

Wpadła w panikę, ale próbowała wziąć się w garść. Jest ciemno, ale coś widzi, a tajemniczy przedmiot nie całkiem tamuje dopływ tlenu. Rozjaśniło jej się w głowie. Starła się to



odsunąć. Co to jest, do cholery? Poduszka? Nie. Balon? Nie. O Boże, to poduszka powietrzna.

Szczękała zębami, nie wiedziała czy wskutek zimna czy szoku. Odpychała poduszkę i w końcu jej się to udało. Usiłowała się skupić, mimo dudnienia w głowie. Po chwili zdała sobie sprawę, że jest uwięziona we wraku subaru.

Wraku?

Miałam wypadek. O kurczę, moja kostka!

Wstrzymała oddech i zaczęła wszystko sobie przypominać. Jest uwięziona w dziesięcioletnim subaru. Jest bardzo zimno, wiatr wpada do środka przez wybite szyby.

Głowa pęka jej z bólu. Czuje krew we włosach.

Czuje się jak pijana. Ciemność kusi, ale ból nie pozwala stracić przytomności.

Idiotko, masz wstrząs mózgu. Tylko wstrząśnienie mózgu. Dlatego kręci ci się w głowie.

Obudź się, Jillian, i myśl! Bo inaczej tu zamarzniesz. Poruszyła się lekko. Ból skutecznie ją unieruchomił.

Miała wrażenie, że złamała sobie wszystkie kości w całym ciele, nabiła mnóstwo siniaków.

Zacisnęła zęby i po raz kolejny próbowała się poruszyć, ale lewa stopa, zakleszczona pod tablicą rozdzielczą, ani drgnęła. Przeszył ją ból, mało brakowało, a zwymiotowałaby. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy i wiedziała, że jest na granicy omdlenia.

Nie rób tego. Nie odpuszczaj. Trzymaj się bez względu na to, co się dzieje. Jeśli stracisz przytomność, umrzesz.

Oddychała głęboko, mimo bólu w klatce piersiowej, jakby od połamanych żeber, i starała się zachować przytomność.

Boże, ale zimno. Cholernie zimno. Przekręciła kluczyk w stacyjce, ale nic się nie stało, jakby wypadek zniszczył nawet stacyjkę. Próbowala raz za razem, ale nie słyszała charakterystycznego kliknięcia.

- Niech to wszystko szlag trafi - mruknęła.

Wpatrywała się przez rozbitą szybę w nadciągający mrok i miliony płatków na niebie.

Może ktoś ją zobaczy, znajdzie, widząc makabryczne światła reflektorów.

A co, jeśli nie? Zamarzniesz tu, w tym wraku. Musisz się stąd wydostać, Jillian. I to zaraz!

- Pomocy! - krzyknęła. - Pomocy!

Wiatr tłumił jej ochrypły głos.

Dokąd właściwie jechała w taką pogodę? Skąd się wzięła w tych górach?

I dlaczego jechała sama?

Na tę myśl zeszywniała.

Może wcale nie jest sama? Może ktoś jej towarzyszy? Zerknęła w bok, ale fotel pasażera był pusty. Nie zwracając uwagi na ból, odwróciła się do tyłu. Wśród podartych resztek siedzenia tkwiła jej walizka, w kłębowisku plastiku i metalu nie widziała nikogo. Spomiędzy poduszek nie sterczała zakrwawiona ręka, martwe oczy nie patrzyły na nią z wyrzutem.

Z drzeniem sięgnęła po kołdrę, którą zawsze wozila ze sobą, i szarpnęła z całej siły, bo utkwiła między szczątkami samochodu. Ból w klatce piersiowej był nie do zniesienia, ale nie dawała za wygraną.

- No, chodź - mruknęła i ciągnęła kołdrę, którą jej babka sama uszyła prawie pół wieku temu. Słyszała trzask pękających nici, ale udało jej się wyrwać spory kawał i przykryła się nim cała, razem z obolałą głową i płonąca twarzą.

Krzyczała, naciskała klakson, raz po raz, w nadziei że jednak ktoś ją usłyszy.

Skąd się wzięła w wysokich górach, pełnych głębokich wąwozów? Gdzie w ogóle jest? W Górach Kaskadowych w zachodnim Waszyngton? W Górach Skalistych? A może gdzie indziej?

W Montanie, przemknęło jej przez głowę. Jechałam do Montany.

Na pewno ci, do których w Montanie jechała, zaniepokoją się wkrótce, że nie dotarła na czas. A wtedy zaczną się poszukiwania.

Pod warunkiem że nie wyruszyłaś w tajemnicy przed wszystkimi.

Miała niejasne wrażenie, że nikt nie wie, gdzie się podziewa, choć sama na razie nie ma pojęcia, dokąd jechała. Coś w Montanie i to ma związek z jej byłym mężem, z jakąś tajemnicą... ale o co chodzi? Dlaczego tego nie pamięta?

- Na miłość boską - syknęła i pokręciła głową, co spowodowało nową falę bólu. Niewiele o sobie wiedziała, ale była pewna, że nie jest żadnym szpiegiem i nigdy nie miała żadnych tajemnic.

A jednak...

Ogarnęło ją straszne przeczucie, że zostanie tu całkiem sama.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała sobie stanowczo. Ktoś zauważy jej zniknięcie, ktoś będzie jej szukał. To tylko kwestia czasu, zanim do niej dotrą. Teraz chodzi tylko o to, żeby do tego czasu pozostać przy życiu.

Nie zważając na ból głowy, uniosła się, szukając wzrokiem szosy, która musi znajdować się wyżej. Dostrzegła tylko ścianę lodu i śniegu. Kilka drzew i nic więcej. Najwyraźniej jej samochód wylądował na dnie zamrożonego Potoku. Dlaczego? Skręciła, chcąc uniknąć zderzenia z innym pojazdem?

Z jeleniem? Z innym zwierzęciem? Z pieszym? A może po prostu za ostro wzięła zakręt i wpadła w poślizg?

Nie była w stanie sobie tego przypomnieć. Jak przez mgłę pamiętała, że się pakowała, planowała wyjazd. W daleką drogę, z Seattle, gdzie mieszkała. Przypomniała sobie, jak studiowała mapę i jechała na wschód, chcąc uniknąć korków w pobliżu uniwersytetu. Jechała przez Evergreen Point, nad wąskim skrawkiem jeziora Waszyngton, autostradą koło Bellevue, na wschód, a potem... nic. Chyba była bardzo zdeterminowana. Może zła. Nic dziwnego, jeśli chodzi o jej byłego.

- Bosko - westchnęła. Nie była w stanie przypomnieć sobie nic więcej. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nieważne, czemu wyruszyła w tę podróż ani dokąd zmierzała.

Najważniejsze to wydostać się z tego kanionu.

- Niech to szlag - mruknęła, zdenerwowana i przerażona. Zalała ją nowa fala rozpacz.

Przerażała ją stroma ściana urwiska. Jakim cudem ma się tam wdrapać? Nawet zdrowa i odpowiednio ubrana nie dałaby rady. Pomyśl, Jillian. Myśl. Musi być inne wyjście!

Otuliła się szczelniej kołdrą i rozejrzała. Może jakaś ścieżka prowadzi stąd do cywilizacji? Może pójdzie z biegiem strumienia?

Jasne, Einsteinie. Ze złamaną nogą? Ledwie nią poruszysz, chce ci się wyć z bólu. Spójrz prawdzie w oczy: nie wydostaniesz się stąd o własnych siłach.

- Cholera. - Ze złością walnęła w klakson. Nerwowo. Histerycznie. Rozpaczliwie. Dźwięk poniósł się echem po kanionie.

To bez sensu. Nawet w jej uszach zabrzmiało to jak żalosne beczenie owcy.

Żalosne.

Ale nic więcej nie może zrobić.

Trąbiła i krzyczała, aż ochrypła, łudząc się, że coraz słabsze reflektory zwrócą czyjąś uwagę.

Ale nie odpowiadał żaden silnik, nie słyszała krzyków ratowników, ciszy nie przerywał łomot wirników helikoptera.

Nic... jest sama.

W tej zapomnianej przez Boga głuszy, wobec lodowatej nocy, jest sama i śmiertelnie przerażona.

## Rozdział 5

Jesteś do bani - burknęła Bianca do brata, który, rozwalony na kanapie, oglądał MTV.

- Ty też! - warknął i wyspał sobie do ust porcję mieszanki studenckiej.

- Moim zdaniem oboje jesteście do bani - odezwała się Regan z kuchni. I żeby było jasne: nie podoba mi się to określenie. Nie możecie wymyślić innej obelgi? Czegoś bardziej oryginalnego.

- Boże, mammo, nie czepiaj się. - Bianca opadła na krzesło. Rdzawe loki tańczyły wokół jej twarzy, na nosie pyszniło się kilka piegów, które rozpaczliwie starała się zamaskować korektorem, piwne oczy otaczały gęste ciemne rzęsy. Zupełnie jak u ojca.

Cisco wskoczył jej na kolana. Zazwyczaj uwielbiała się z nim bawić, ale dzisiaj była w złym humorze i zepchnęła go z kolan. Przycupnął na sfatygowanym dywanie i z przekrzywionym łebkiem wyglądał, jakby usiłował zrozumieć dziewczynę, która, zanim się zakochała, darzyła go szczerym uczuciem.

- Nic na to nie poradzę. Taka jestem z natury. To geny. Ty też je masz. Regan zerwała zwiędły kwiatek z kaktusa w oknie.

Bianca przewróciła oczami, jakby matka była największą idiotką na świecie.

- Chcę tylko na chwilę wpaść do Chrisa. To chyba nic takiego?

- Na dworze szaleje śnieżycy, jeśli jeszcze nie zauważyłaś. Ja wychodzę tylko dlatego, że muszę. - Regan szykowała się na walkę z żywiołem. Wyjęła z szafki czapkę i rękawiczki. Na stole piętrzyła się korespondencja z kilku dni. - Nie chcę, żebyście jeździli w taką pogodę.

Bianca znowu przewróciła wielkimi oczami Pescolich. Co wyprowadziło Regan z równowagi.

- Co więcej, zanim wrócę, masz odrobić lekcje, wyjąć naczynia ze zmywarki i pozmywać wszystko, co jest w zlewie.

Dzieci nie zareagowały.

- Jer, mówię też do ciebie - rzuciła głośnie. Był jak przyklejony do telewizora, nawet się nie obejrzał. - Jeremy! - Weszła do pokoju i dopiero wtedy zobaczyła, że ma słuchawki w uszach i słucha muzyki z iPoda, oglądając jednocześnie idiotyczny reality show.

- Jeremy! - wrzasnęła, klepiąc go w ramię.

- Co? - Podniósł wzrok i zobaczył jej surową minę. - O co chodzi? Wyjęła mu słuchawki uszu.

- Masz nakarmić psa, wyjąć naczynia ze zmywarki i pozmywać. To twoja kolej.

- Ale Bianca...

- Zmywała w zeszłym tygodniu. Twoja kolej, stary.

- No dobra - burknął i wrócił do oglądania telewizji.

- Mówię poważnie. A ten bałagan... - wskazała stosy papierowych talerzyków i kubków w zasięgu jego ręki - ma zniknąć.

- Dobra, załatwię to. Jezu...

- Dobrze. Mam świadka.

Bianca, zbyt obrażona, że nie może wyjść, nie okazała jak zwykle radości, że oberwało się bratu. Za bardzo pochłaniało ją pisanie zapewne miłosnych SMS-ów do mężczyzny jej życia, Chrisa, chudego, bladego chłopaka, który porozumiewał się monosylabami, i jeśli przecucie Regan nie myliło, ciągle palił trawkę.

Co przerażało ją do szaleństwa.

Nie żeby sama nie przypalała, kiedy była niewiele starsza od Bianki, ale miała dość rozsądku, by na tym poprzestać. Nigdy nie próbowała niczego mocniejszego. Nigdy. Przestała przed pierwszą ciążą i więcej nie sięgnęła po marihuanę.

Ale teraz dzieciaki są inne. I maryśka też.

- Ty również masz odrobić lekcje - zwróciła się do swej ślicznej naburmuszonej córki. - I posprzątaj w swoim pokoju.

- I tak jest lepszy niż jego. - Skinęła głową w stronę brata na kanapie. Nie przestała pisać.

- Wiem, jednak w zeszły weekend się postarał. Uwierz mi, nie odpuszczam mu, ale mam priorytety. Najpierw salon i kuchnia, potem loch.

Jeśli Jeremy ją słyszał, w co wątpiła, wykazał dość zdrowego rozsądku, by zignorować aluzje na temat stanu salonu.

- No dobrze - mruknęła Regan. - Mówię poważnie o sprzątaniu i lekcjach. Na weekend jedziesz do ojca, więc musisz się z tym uporać przed wyjazdem.

Bianca westchnęła dramatycznie. Regan tymczasem pogłaskała Cisco i poszła do garażu. Znacznie chłodniejszego niż reszta domu.

Zazwyczaj w weekendy bez dzieci co najmniej jedną noc spędzała poza domem. Czasem nawet dwie. Pusty dom szybko stracił swój urok i doszła do wniosku, że to jej szansa na trochę rozrywki. Jednak na ten weekend niczego nie planowała, bo w każdej chwili mogła być potrzebna w pracy. Była już połowa miesiąca, zbliżał się czas ataków psychopaty. Choć ofiary znajdowano dopiero później, koroner i specjaliści ustalili, że atakuje w ostatnim tygodniu miesiąca.

A więc niedługo.

Wszyscy w wydziale chodzili jak na szpilkach, w każdej chwili spodziewali się informacji, że znaleziono pusty wrak samochodu albo martwą kobietę przywiązaną do drzewa gdzieś w górach.

Zastanawiała się, ile jest już ofiar, ile wraków poniewiera się w leśnej głuszy, ile zwłok oderwały od drzew wygłodniałe zwierzęta.

- Nie myśl o tym - powiedziała do siebie. Wycofała wóz z garażu i cudem uniknęła zderzenia z pikapem Jeremy'ego. Wyjechała na podjazd i ruszyła w stronę miasta. Od głównej szosy dzieliło ją kilka zakrętów, nawierzchnia była niezła, dużo śniegu i mało lodu.

Mieszkała osiem kilometrów od miasteczka, wśród wzgórz otaczających Grizzly Falls, z dala od ulicznego ruchu. Minęła pług śnieżny i porzucony samochód. Zatrzymała się, sprawdziła, czy nikogo w nim nie ma, zgłosiła jego pozycję dyspozytorce i wróciła do dżipa. Z topniejącym śniegiem na ramionach skręciła w drogę do miasta. W miarę jak zbliżała się do Grizzly Falls, mijala coraz więcej samochodów. Zmierzała na wzgórze nad rzeką. Woda mieniła się ołowiem, płynąc wśród oblodzonych głązów.

Zaparkowała i szła szybko, otoczona obłokiem oddechu. Pchnęła szklane drzwi, weszła od środka, podpisała listę obecności i ruszyła w stronę swojego biurka.

Zostawiła kurtkę w szafce, nałapała sobie kawy i pogadała chwilę z Tril-by Van Droz, samotną matką z patrolu drogowego. Jej córka była tylko rok młodsza od Bianki. Były mąż Trilby był gorszy niż Lucky, wyjechał z Montany i rzadko płacił alimenty - tak rzadko, że doprowadzał ją do szału, ale na tyle często, by nie poszła do prawnika.

Kilka minut później zobaczyła Alvarez za biurkiem, ze słuchawką przy uchu. Na monitorze migotały zdjęcia ofiar pierwszego w historii seryjnego mordercy w Grizzly Falls. .

- Przyniosłam ci kawę - oznajmiła Pescoli. Wiedziała, że Alvarez zawsze zapomina o kawie stygnącej na biurku.

- Dzięki. - Upiła łyk, nie podnosząc wzroku.

- Coś nowego?

- Nie. Jeszcze nie.

- Nadal nie znaleźli wozu Wendy Ito?

Alvarez podniosła głowę. Jej ciemne włosy upięte były w surowy kok. Niesforne loki Regan już się szykowały, by wysunąć się z klamry.

- Próbowałam rozgryźć notatki - powiedziała i wskazała notes na biurku. Na kartkach w linie wypisała starannie inicjały wszystkich ofiar i zostawiła między nimi takie same odległości, jak zabójca:

- I co wymyśliłaś?

- Nic sensownego. Jeśli to wiadomość, to pierwsze słowo może być - „what”, czyli co, albo „wait”, czyli czekaj. A może to początek nowego wyrazu? „Coś” i chyba mają być koło siebie, jak w słowach „school, scent” i tak dalej... N pasuje do nich albo nie. A może to jedno bardzo długie słowo...

- A może po prostu robi sobie z nas jaja? Może boki zrywał ze śmiechu, gdy to pisał? Alvarez ściągnęła brwi i pokręciła głową.

- Nie. Jest zbyt zorganizowany. Wynajduje ofiary, śledzi je, strzela im w opony, zabiera kobiety i ich rzeczy i nie zostawia żadnych śladów. A potem je leczy, by w końcu zaprowadzić na miejsce, które, jestem święcie przekonana, wybrał dużo wcześniej, krępuje je i zostawia te cholerne liściki.

- Skąd pomysł, że wcześniej wybiera miejsca?

- Znaleźliśmy na śniegu nieliczne ślady i nie ma w nich wahania. Biegają prostą linią.

- A więc zna teren i to dobrze. Zna topografię, rozkład dróg, wie, jak się poruszać, będąc niewidzialnym.

- Hm. - Alvarez w zadumie kiwała głową, wodząc palcami po zarysach liter. - Wspinacz? Narciarz? Przewodnik? Leśniczy?

- Strażnik?

Alvarez podniosła ciemne oczy. Pescoli przeszył lodowaty dreszcz i na moment jej serce przestało bić.

- Myślisz, że to ktoś z wydziału?

- Sama nie wiem, co myślę - westchnęła Alvarez. - Ale ten, kto za tym stoi, jest bystry i świetnie zorganizowany, zna teren jak własną kieszeń i wyprzedza nas o krok. Co gorsza, wkrótce znowu zaatakuje. O ile jeszcze tego nie zrobił.

Pescoli się denerwowała. Niemożliwe, żeby ten psychopata, ten świr, pracował tu, z nimi! W ułamku sekundy stanęły jej przed oczami twarze wszystkich kolegów z wydziału.

- Niemożliwe - szepnęła, ale jednocześnie zacisnęła dłoń na kubku. Alvarez powiedziała cicho:

- Mówię tylko, że na razie nie możemy nikogo wykluczyć. Nikogo. Regan skinęła głową. Racja. To jest najgorsze. Alvarez po raz kolejny trafiła w sedno. Wszyscy są podejrzani. Nawet koledzy z wydziału, którym powierzają życie.

- Cholera, cholera, cholera. - Jillian klęła na głos, mimo szczykowania zębami. Traciła czucie w całym ciele. Zasnęła na kilka minut czy na dłużej? Na dworze się ściemniło, księżyc wznosił się nad górami. Reflektory przygasły.

Więc to tak? Zamarznie w starym samochodzie? Na dnie wąwozu? Co za żałosna śmierć!

Boże, Jillian, teraz naprawdę wpakowałaś się w kłopoty. I możesz liczyć tylko na siebie. Usiłowała się skupić, przypomnieć sobie wypadek i wydarzenia, które zaprowadziły ją w te góry, ale w pamięci miała jedną wielką czarną dziurę. Koncentrowała się intensywnie, drżącymi rękami mocując się z klamką w drzwiach. Ani drgnęły. Spróbowała od strony pasażera. Nic z tego, nie wiedziała, czy wskutek wypadku, czy oblodzenia.

Jęknięta rozzarowana.

Jeśli wytrzyma ból w złamanej koście, może się wydostać przez wybitą przednią szybę.

Zacisnęła zęby i po raz kolejny spróbowała wyswobodzić uwięzioną stopę. Ból przeszył całą nogę. Wstrzymała oddech, poczuła chłód i podjęła kolejną próbę. Nie może tak po prostu tu zostać. Musi się jakoś uwolnić. No, dalej, Jillian, zrób coś!

Komórka! O Boże, gdzie komórka? A torebka? Zaraz, zaraz, gdzie ona może być... Nie na siedzeniu pasażera, ale na podłodze, pod schowkiem. Naprężyła całe ciało, wyciągała rękę

najdalej jak mogła, nie zwracając uwagi na ból w kostce i klatce piersiowej. Gdyby tylko zdołała osiągnąć torebki... uchwyt był zaledwie kilka centymetrów od jej wyciągniętych palców. Szarpnęła się, niemal położyła, wyciągnęła rękę... i dotknęła paska opuszkami palców.

- No, dawaj - ponagliła się. Jej oddech otaczał ją białym obłoczkiem pary. - Dawaj. - Spróbowała jeszcze raz. Dalej. I poczuła, jak coś przeskakuje jej w kostce. - Au! - Z zaciśniętymi zębami wsunęła palec w pasek i szarpnęła do siebie. I co? Cholerny telefon wypadł! Na podłogę! - Nie!

Ale jest w zasięgu ręki. Podniosła srebrzysty aparacik, zanim zsunął się dalej. Zaciśnęła na nim dłoń, jakby się bała, że jej ucieknie.

- Błagam, niech będzie zasięg - szepnęła. Nie zwracała uwagi na pulsowanie w kostce, ból za oczami, krew krzepnącą na czole i policzkach. Telefon był włączony, ale nie widziała nawet jednej kreski zasięgu, napis na wyświetlaczu informował, że jest poza zasięgiem. - Świetnie - jęknęła, szcękając zębami, i pomyślała, że gorzej już chyba być nie może. Mimo wszystko próbowała dzwonić, w nadziei że sygnał z jej komórki jednak dotrze do najbliższego masztu, że ktoś ją znajdzie za sprawą GPS-u w cholernym aparacie. Jeśli sygnał dotrze do masztu... o ile tu w ogóle jest maszt.

Nie chciała nawet myśleć o tym, że w tej głuszy może nie być nadajnika na obszarze wielu kilometrów, ani że nikt o zdrowych zmysłach nie rusza się z domu w taką pogodę. Zajrzała do torebki i przekonała się, że nadal jest w niej portfel, ciemne okulary, kosmetyczka i książeczka czekowa. Znalazła też paragon ze stacji benzynowej w Wildwood, w Montanie. Gdzie to jest, do cholery? Zerknęła na datę, ledwie widoczną w mdłym świetle z wyświetlacza komórki. Siódmy grudnia. Dzisiaj?

Nie miała pojęcia. W portfelu znalazła trzysta dolarów gotówką, więcej niż zazwyczaj miała przy sobie, i w połowie pełną buteleczkę ibuprofenu.

- Dzięki ci, Boże! - szepnęła. Drżącą dłonią wyjęła dwie tabletki, po chwili namysłu dodała trzecią i przełknęła je bez wody. - Sprawcie cud. - Zamknęła pojemniczek i modliła się, by ból ustał. Schowała portfel i lekarstwo do torebki. - No dobra, co teraz...

Z drzeniem odważyła się zerknąć w rozbite lustro. Wzdrygnęła się. Kobieta w lustrze, zniekształcona w słabym świetle i popękany lustrze, wyglądała, jakby zeszła z pola bitwy. Całą twarz przecinały rany i otarcia, dokoła nosa zaschły smugi krwi z rany na czole, białka oczu zabarwiły się na różowo. Na całej twarzy wykwitwały sińce. Włosy, brązowe, sięgające brody, przylegały do czaszki, sklezione krwią. Odwróciła wzrok.

- Nie myśl o tym - szepnęła i ponownie spróbowała zadzwonić. Na darmo. Do nikogo się nie dodzwoni.

Wołała o pomoc co sił w płucach. Może ktoś tu jest? Ale skoro tak, na pewno słyszał, jak spada z drogi w przepaść.

Gdzie ratownicy?

Policja?

Strażacy?

Ktokolwiek?

Słyszała o samochodach, które runęły w przepaść, o małych samolotach, lądujących awaryjnie w górach w środku zimy. Zdarzało się, że zwłoki pasażerów znajdowano dopiero na wiosnę, gdy nadeszły roztopy. Jeśli w ogóle. Dygocząc na całym ciele, rozmyślała o swoim losie. Przecież nie jest jej pisana śmierć tu, w nieznanym wąwozie, we wraku własnego samochodu.

- Uspokój się i o tym nie myśl - powtarzała sobie, wpatrzona w papierowy kubek leżący na podłodze - pamiątkę po kawie wylanej na dywanik. Jej uwagę zwróciło brązowe logo, wizerunek łosia na tle gór. I napis: „Kawiarnia pod Czekoladowym Łosiem, Spruce Creek, Montana”.

Najwyraźniej tam była, ale za nic nie mogła sobie tego przypomnieć. Daleko stąd? Kilometr? Pięć? Dwadzieścia? Równie dobrze może być i tysiąc.

Zamknęła oczy. Starła się skupić, nie słyszeć dudnienia w głowie, nie zwracać uwagi na ból pulsujący w stopie. Jak może się uratować?

Spruce Creek w Montanie? Po co, do licha, tu przyjechała? Co ją skłoniło, by porzuciła dom na rzecz zimowej dziczy? Nie pojmowała tego, ale coś ją łączy z tym stanem... coś, co nie daje spokoju, co podświadomość uparcie zachowuje dla siebie. Ale co? O Boże. Jej serce zabiło szybciej. Ależ tak, zna kogoś w Montanie, chociaż wątpliwe, by to do niego spieszyła z wizytą w środku zimy.

Mason Rivers.

Jej były mąż.

Zrobiło jej się niedobrze, gdy wysiłki, by przypomnieć sobie jego twarz, spęły na niczym. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że miał ciemne włosy, piwne oczy i dbał o siebie, ale, przynajmniej w tej chwili, nie mogła sobie przypomnieć rysów jego twarzy. Zresztą mieszka w Helenie. Jest prawnikiem.

Choć nie wiedziała dlaczego była przekonana, że Mason to jeden z powodów jej podróży do Montany.

Zimno kusiło, otaczało ją, przesywało dreszczem Nie poddawaj się walcz. Do cholery, walcz! poddawaj się.

Zmusiła się, by unieść powieki.

- Ratunku! - krzyknęła znowu, gotowa na wszystko, byle się stąd wydostać. -Czy ktoś mnie słyszy? Jestem tutaj! Na rany boskie, pomocy! Błagam! - Znowu nacisnęła klakson.

Ale słowa wracały do niej echem w cichym kanionie, kpiły z jej naiwności i strachu.

Reflektory gasły, w miarę jak wyczerpywał się akumulator. A klakson piszczał cicho i żałośnie.

Nie rezygnowała, póki po kilku minutach akumulator nie padł zupełnie. Choć z całej siły waliła w klakson, milczał. Reflektory zgasły, a jej głos zmienił się w ledwie słyszalny, ochryply szept.

- Boże - szepnęła, sama w ciemności.

Wyczerpana, nie może zrobić już nic, może tylko czekać i modlić się, i starać się nie zasnąć, odpędzić senność i zimno, aż otoczy ją cisza.

Mroczna, groźna cisza.

Myślała o swoim życiu, o tych, których kocha. Czy ich jeszcze zobaczy? A może to już koniec? Może naprawdę jej życie dobiegło kresu?

Nagle w pękniętym lusterku poruszył się cień. Wydawał się daleko, ale zarazem nie na miejscu, plama ciemności w jasnym pejzażu.

Serce zabiło jej szybciej.

Odwróciła głowę. Przeczesała wzrokiem okolicę, która szybko pogrążała się w mroku.

Czyżby ktoś ją znalazł? Czy to jej wyobraźnia? A może naprawdę ktoś tam jest? A może to tylko złudzenie, cień padającego śniegu.

Już otwierała usta, by znowu krzyknąć, ale się zawahała.

Może to nic takiego. Może to tylko umysł płata jej figle.

Z nerwami napiętymi jak postronki wpatrywała się w ciemność, wyteżala wzrok, nastawiała uszu.

Ratownik wołałby co chwila.

Każdy, kto schodzi w dół kanionu, musi zobaczyć jej samochód, prawda?

A schodzi, bo jej szuka; niby po co miałyby się zapuszczać w tę odludną dolinę?

Kolejny ruch w lusterku.

Serce podeszło jej do gardła.

I znowu chciała krzyknąć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

W panice usiłowała dostrzec ruch wśród cieni.  
Ma halucynacje? Albo...  
Musisz zaryzykować. Nieważne, przyjaciel czy wróg, teraz musi ci pomóc! Jeśli chcesz żyć, musisz się wydostać z tego samochodu!  
A jednak.... Nie drgnęła, a świat zawirował, jakby zaraz miała zemdleć. Z wysiłkiem zmuszała się, by nie zamykać oczu, by zachować czujność.  
Uwięziona w samochodzie, niezdolna się poruszyć, sama, jest łatwą zdobyczą. Za łatwą. Strach nie pozwalał jej się ruszyć. Po raz pierwszy od wypadku poczuła się zupełnie bezradna, zdana na łaskę tego, co kryje się w mroku. Przeszył ją dreszcz, chciała krzyknąć ze strachu. Spięta jak nigdy, wpatrywała się w zbite lusterko. Proszę, niech to będzie ktoś dobry... proszę...  
I znowu ruch.  
Jęknęła, gotowa krzyknąć, ale milczała. Złapała odłamek szkła, przy okazji się skaleczyła, musiała jednak mieć jakąś broń.  
Nie wygłupiaj się, powtarzała sobie, ale jej serce waliło jak oszalałe, żyły pulsowały strachem, a mimo tego czuła, jak kolejna fala ciemności chce ją ze sobą zabrać. Nie nakręcaj się, nie wierz w wytwory własnej wyobraźni. Oglądałaś za dużo horrorów. Krzycz. Potrzebujesz pomocy, inaczej umrzesz.  
A jednak milczała.  
Bo wiedziała.  
Gdzieś w głębi duszy wiedziała.  
Może to kobieca intuicja, może zwierzęcy instynkt, ale we wraku samochodu była zdobyczą równie łatwą jak królik w sidłach. Przeszył ją dreszcz, ogarnęło złe przeczucie i nagle wiedziała, że tam, w śnieżnej ciszy, spaceruje ucieleśnienie zła.  
Zesztywniała, znieruchomiała, a ciemność kusiła, wabiła.  
Dygocząc z zimna, walcząc z osłabieniem, zastanawiała się, czy we wraku samochodu jest coś, co okaże się lepszą bronią niż odłamek szkła w jej dłoni. Aparat fotograficzny! Jest ciężki. Zakręci nim jak maczugą i ciśnie w...  
I znowu ruch. Bliżej.  
Szybki. Mroczny. Skryty.  
Przed samochodem.  
Oszalały puls przywrócił jej przytomność. Jezu, ratunku!  
Nerwy napięły się jak postronki. Z palców płynęła krew, gdy zaciskała dłoń na odłamku szkła. Mrok wabił, zachęcał, by się poddała.  
Wstrzymała oddech. Nasłuchiwała, wyteżala słuch, usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemność.  
Niczego nie widziała. Nawet wiatr nagle ucichł.  
Poczuła gęsią skórkę na ciele. Walczyła z sennością.  
I nagle cisza w kanionie zdawała się ją ogłuszać.

## Rozdział 6

Alvarez była z natury podejrzliwa.  
To część jej charakteru.  
Nie urodziła się z tym. Była radosnym, pogodnym dzieckiem, ale wszystko się zmieniło mniej więcej w tym czasie, gdy poszła do szkoły średniej.  
Przeszłości nie zmienisz.  
Wiedziała o tym, ma się rozumieć, tylko co z tego, skoro i tak próbowała. I pewnie zawsze tak będzie, stwierdziła, idąc korytarzem w gmachu sądu. Przed chwilą zeznawała w sprawie o



przemoc w rodzinie. Mówiono jej nieraz, że jest bardzo dobrym świadkiem. Spokojna. Opanowana. Niełatwo zbić ją z tropu.

Obrońcy nie znosili, gdy zasiadała na miejscu dla świadków, i dzisiaj było tak samo.

Pchnęła drzwi i ciasniej związała szalik, czując zimne podmuchy wiatru. Mimo zimna, miała na sobie spódniczkę do kolan, buty na obcasach, obcisły golf i żakiet. Jediną biżuterię stanowiły małe srebrne kolczyki i dobrany do nich wisiołek. Włosy upięła w kok, ale nie tak ciasno jak zwykle. Zeznawała krótko i zwięźle, choć obrońca robił, co w jego mocy, by powiedziała coś, co pozwoli jego klientowi, wrednemu ojczymowi, uniknąć kary. O nie. Nie, skoro od trzech lat znęcał się nad żoną i pasierbicą.

Była gotowa założyć się o swoją odznakę, że kiedy przysięgli wrócą, facet trafi za kratki na dobrych kilka lat.

I dobrze. Wsiadła do samochodu i pojechała do domu. Przebrała się w spodnie, zmieniła buty na płaskie. Kochała swoje małe mieszkanko z szerokim łóżkiem pod ścianą i kanapą we wnęce okiennej. Przy jednej ścianie stał kominek na gaz. Gzyms nad nim ugiął się pod ciężarem fotografii jej licznej rodziny. Tam, gdzie zazwyczaj jest kuchnia, urządziła gabinet. Na stole od trzech miesięcy piętrzyły się książki, notatki, wykresy. Nie chciała nawet myśleć, ile godzin spędziła przy tym stoliku, pochylona nad laptopem, próbując rozwiązać zagadkę ostatnich zabójstw.

Nie chodziło o czas, tylko o to, że nadal ani o krok nie zbliżyła się do Prawdy.

- Cierpliwości - upomniała samą siebie. Włożyła gruby płaszcz, wyszła na dwór i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Nie uszło jej uwagi, że w ciągu kilku minut, które spędziła w środku, wiatr znowu przybrał na sile, a gęste chmury zapowiadały kolejną śnieżycę.

- Akurat tego nam trzeba - mruknęła, gdy suche liście zawirowały, poderwane nagłym podmuchiem wiatru.

Idąc do samochodu, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się nawet przez ramię, jednak nikogo nie dostrzegła.

- Wybijała wyobraźnia - skarciła się.

Ale gdy siadała za kierownicą, znowu to poczuła: wyraźne, jasne przecucie śmierci. Swojej? Albo kolejnej ofiary, nagiej, przywiązanej do drzewa, rozpaczliwie czekającej na ratunek i zarazem świadomej, że to już koniec.

- Boże, dopomóż - szepnęła Alvarez i po raz pierwszy, odkąd skończyła czternaście lat, nerwowo się przeżegnała. - Dopomóż nam wszystkim.

Łup! Łup! Łup!

Jillian usiłowała unieść jedną powiekę.

Jezu, ale zimno.

Bardzo zimno.

I ciemno.

W jej głowie niósł się echem przeraźliwy dźwięk. Co jest?

Gdzie ja jestem?

- Ej, ty, nie śpij! - krzyczał niski męski głos. - Pomóż mi, dobrze?

Co?

Usiłowała się skupić, poczuła ból w nodze.

Co tu się dzieje? Czy to sen?

Nagle przypomniała sobie, jak ocknęła się w rozbitym subaru. Była w nim uwięziona, czekała na pomoc, wyczuła obecność zła i wtedy chyba straciła przytomność...

Jej serce zabiło szybciej. Wyteżyła wzrok. Odłamek szkła nadal tkwił w jej dłoni, niemal do niej przymarzył.

Czy ten, który chce podważyć drzwi, to ta sama postać, która ukradkiem skradała się przez śnieżną połać? Czy to w nim wyczuła zło wcielone?

- Hej! Wszystko w porządku?! - zawołał. Oszalał czy co? Oczywiście, że nie w porządku.

Czy ona wygląda, jakby wszystko było ok?

- Możesz pchnąć drzwi?

Akurat.

Dostrzegła go wśród gęstych płatków śniegu. Jego twarz zasłaniała czarna maska narciarska, gogle, przez co wyglądał raczej na kosmitę niż na człowieka. Miał na sobie grubą ciepłą kurtkę, ale nie dostrzegła żadnych insygniów sugerujących, że to policjant, leśnik albo przedstawiciel innych służb

- Ej! - Wsunął rękę przez zbitą szybę, dotknął jej ramienia - Nie śpij!

- Ja... ja... - Chciała krzyknąć, jednak zdobyła się tylko na słaby szept.

- Możesz się ruszać?! - wrzasnął tak głośno, że podskoczyła. Boże, czyżby znowu straciła przytomność?

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła. Całą jej uwagę pochłaniało unoszenie powiek. Ma mu zaufać? A ma inne wyjście?

- Nie wyciągnę cię przez szybę... dach jest wgnieciony. Spróbuję wyważyć drzwi.

Szczękała zębami, nie czuła już takiego bólu jak przedtem. Pewnie odrętwiała.

Ma takie ciężkie powieki. Tak cholernie ciężkie.

- Ej, ty! Nie śpij! Zostań ze mną, do cholery! Trzymaj się! Jak się nazywasz? Zamrugają szybko. Czyżby znowu zasnęła? Straciła przytomność?

- Sukinsyn. - Trzyma coś w ręku, chyba łom, pomyślała sennie. Taki sam, jaki wozi w bagażniku. Chce się zdrzemnąć, tak na chwilę... Na pięć, dziesięć minut... To jej wystarczy. Usłyszała przeraźliwy odgłos rozdieranego metalu, gdy mężczyzna podważał drzwi od strony kierowcy. Kątem oka dostrzegła, jak napiera całym ciałem na prowizoryczną dźwignię, sapiąc z wysiłku.

- No, dawaj, do cholery - wycedził przez zęby. Zgrzyt metalu. Opór materii. Zamarznięte zamki nie ustępowały tak łatwo. - Dawaj, sukinsynu. - Walczył z zamkiem w drzwiach jej samochodu.

Powinna się bać. Martwić. Powinna coś czuć.

A ona marzyła o jednym: by znowu zanurzyć się w miękkim, ciepłym obłoku nieświadomości.

- Zostań ze mną! - krzyknął. Odpływa... trzask!

Coś pękło, przemknęło jej przez myśl, ale nie wiedziała co, i nic jej to nie obchodziło. Trzask rozdieranego metalu, lodowaty powiew wiatru i gdzieś z oddali męski głos:

- Nie umieraj mi teraz, słyszysz? Do cholery, nie umieraj mi teraz! Czuła lodowaty wiatr i czyjś dotyk na szyi, jakby szukał pulsu, pochylał się nad nią...

Ale nie unosiła powiek i przez następnych kilka godzin - czy może dłużej - co chwila odzyskiwała i traciła przytomność, słyszała, jak ją woła gdzieś w oddali. Uciekała w ciemność, w długi mroczny tunel, ale jego głos ściągał ją z powrotem, mimo tego po chwili znowu odpływała. Słyszała warkot silnika, czuła ruch, jakby mknęła przez wszechświat w potokach gwiazd... Nadal bolały ją zębra i kostka, to chyba dobry znak, ale odrętwiałe ciało zdawało się nic nie ważyć, szybować w przestrzeni...

- Nie odchodź - powtarzał, zagłuszając warkot silnika. Jego głos docierał z oddali. - Nie wiem, kim jesteś, ale, do cholery, zostań ze mną.

Telefon w biurze szeryfa zadzwonił dwa dni później, gdy zmieniała się pogoda. Znalaziono kolejny samochód - rozbity, pusty, zasypany śniegiem.

Selena Alvarez siedziała akurat za biurkiem, gdy dyspozytorka przekazała zgłoszenie, dlatego była jedną z pierwszych na miejscu zbrodni. Razem z Johnsonem i Slatkinem z

laboratorium pojechała ich wozem zamkniętą drogą na dno kanionu. Było tu prawie metr śniegu.

- Ej, Alvarez, tutaj! - Głos posterunkowego Pete'a Watersheda niósł się echem po pustym kanionie.

Podniosła głowę i zobaczyła go skulonego przy przednim kole wraku. Nie sposób było rozpoznać w stercie złomu zgrabnego subaru. Włączyła dyktafon.

- Chwileczkę! - krzyknęła przez ramię i pochyliła się nad przednim kołem wozu.

Ponieważ obfotografowano go już ze wszystkich stron, śmiało odgarnęła śnieg i przyjrzała się dziurze w oponie zimowej. Taka sama jak poprzednio. Z całą pewnością ślad po kuli wystrzelonej ze strzelby o dużym zasięgu.

- Skurczybyk - mruknęła, choć wcale jej to nie zaskoczyło. W ciągu minionych dwóch miesięcy opisała dwa takie miejsca zbrodni. Prawe prze nie opony samochodów Teresy Charleton i Niny Salvadore przestrelono strzelby o dużym zasięgu, wskutek czego auta runęły z wysokiego urwis Nadal poszukiwano białego priusa Wendy Ito, ale to nie jej wóz. Alvarez powiedziała to wszystko do dyktafonu - na zimnie to najlepszy sposób na notowanie. Wyłączyła go i rozejrzała się po zaśnieżonym kanionie.

Jego codzienną pustkę zakłócali dzisiaj policjanci, technicy i strażnicy przywieźli najlepszy sprzęt, na jaki stać okręg Pinewood, w nadziei że odnajdą dowody, które doprowadzą ich do drania, który zamordował trzy, a teraz może i cztery kobiety.

Tak jak poprzednio, w samochodzie nie został nawet ślad po kierowcy, nie było żadnych dokumentów. Morderca nie tknął tablicy rejestracyjnej, choć niewiele pomaga, bo właściciela auta można odnaleźć po numerze identyfikacyjnym wozu. Poza tym miejsce zbrodni zawsze wyglądało tak samo: czarne smugi opon na szosie powyżej, połamane drzewa na zboczu i metalowy złom na dole.

A więc znowu przestrelona prawa opona. Alvarez była gotowa założyć się o swój dyplom z psychologii, że laboratorium odkryje, że wystrzelono ją z lufy kaliber 0.3.

- Pieprzony świr - syknęła. Mimo puchowej kurtki, rękawiczek, narciarskich spodni, ciepłej bielizny i górskich butów, przeszył ją lodowaty dreszcz, o wiele zimniejszy od wiatru hulającego w kanionie. Wskazała oponę i rzuciła do technika z aparatem:

- Sfotografuj mi to.

- Tak jest. - Virginia Johnson, Murzynka otulona kurtką z logo policji stanowej, w ciepłych rękawicach i spodniach, pstrykała posłusznie zdjęcia, a Selena przedzierała się przez śnieg i połamane gałęzie zalegające na dnie wąwozu.

- Co masz? - zapytała. Pete Watershed zawsze wydawał się zniecierpliwiony. Ściągnął brwi, zacisnął wąskie usta. On także miał na sobie kurtkę z logo policji stanowej i wełnianą czapkę z daszkiem, na którym zbierał się śnieg.

- Popatrz tylko. - Kucnął i palcem w rękawiczce wskazał czerwone kropki na śniegu. - Krew

- powiedział. - Ślad. - Wskazał na wschód, w stronę zakrętu rzeki, za którym zaczynała się ścieżka używana przez leśników. - Chyba ciągnął ją na noszach.

Alvarez poświeciła latarką na śnieżne zasy i rzeczywiście, dostrzegła ślady płóz i ciemne krople krwi.

- Zabezpieczyć to - poleciła.

Michaił Slatkin, jeden z techników, którzy usiłowali zabezpieczyć na śniegu odcisk buta, skinął głową, nie odrywając wzroku od śniegu. Wysoki, silny, syn rosyjskich imigrantów, miał zaledwie dwadzieścia sześć lat i był jednym z najlepszych kryminologów, jakich Alvarez spotkała w życiu.

- Za chwilę, tylko skończę z tym. - Pracował szybko, walczył z żywiołem, bo w kanionie wirował śnieg, wiatr zasypywał ślady w tempie centymetra na godzinę.

Mimo podmuchów wiatru, Alvarez usłyszała warkot silnika, podniosła wzrok i zobaczyła Regan Pescoli, stojącą koło wozu policyjnego, która błyskawicznie wyskoczyła z kabiny i

naciągnęła czapkę na splątane rudawe loki. Była blada i zmęczona, cienie pod oczami sugerowały, że mało spała.

Nic nowego.

Choć jej życie prywatne wcale Alvarez nie interesowało, nie zdołała opanować irytacji. Dziewięć razy na dziesięć musiała kryć partnerkę, która albo do późna czekała na dzieci, kłóciła się z byłym, albo bałowała z jednym ze swoich kochanków.

Ale mimo tego była świetną policjantką, a to najważniejsze. Miała dar, rozgryzała podejrzone przy pierwszym spotkaniu, wyłuskiwała prawdę nic spośród pokładów bzdur. Alvarez szlag trafiał, że jej wykształcenie i kursy nic nie znaczą przy instynkcie partnerki.

To Policzek, ale da sobie z tym radę. Spojrzała na Watersheda, a Pescoli podpisywała listę obecności. Błyskawicznie zorientowała się w sytuacji.

- To samo? - powitała Alvarez.

- To samo.

Śmierdziała papierosami i wyglądała okropnie, ale o tej porze nikt wygląda powalająco, zwłaszcza w zimowych ciuchach.

- Co mamy?

- Nic nowego. Zobacz. - Alvarez zaprowadziła ją do wraku samochodu

- Wendy Ito?

- Nie. Rejestracja ze stanu Waszyngton, ale to stary model subaru, a ta miała nową toyotę.

- Tak, pamiętam, priusa. - Pescoli zacisnęła usta i pochyliła się nad wrakiem. - Więc mamy następną.

- Na to wygląda.

- Cholera. - Wyprostowała się z westchnieniem. Jej zazwyczaj złote te oczy pociemniały. - Drzwi od strony kierowcy wyważone? Przestrzelona opona? Brak dokumentów, torebki, portfela?

Alvarez potakiwała. Z nieba sypał śnieg.

- Jak przedtem.

- Ale ciała nie ma?

- Jeszcze nie.

Alvarez szybko opowiedziała Pescoli, co znaleziono. Musiała krzyczeć bo wiatr przybierał na sile, wył w gałęziach drzew, szarpał konarami, osypywał Alvarez białym puchem.

- Jak poprzednio. - Pescoli zagryzła pełne usta. - O co mu chodzi, cholery?

Dobre pytanie.

Pescoli podniosła wzrok, wpatrzona w skraj kanionu. To stamtąd runął samochód.

Alvarez podążyła w ślad za jej wzrokiem i wiedziała, co chodzi partnerce po głowie. To cud, że ktoś przeżył wypadek.

Choć tego oczywiście nie wiedzą. Na razie wiedzą tylko, że kierowcę zabrano z wozu.

Cholera.

- Wiemy, kiedy to się stało? - zainteresowała się Pescoli. Alvarez poprawiła rękawice.

- Sądząc po opadach, mogło dojść do wypadku już wczoraj po południ

- Więc ofiara prawdopodobnie jeszcze żyje. - Pescoli rozejrzała się mrocznym kanionie. -

Sukinsyn je leczy, kuruje jak jakiś cholerny samarytanin, a potem przywiązuje do drzewa i zostawia na śmierć. Świr.

Święte słowa.

- Kto znalazł samochód? - spytała Pescoli. Pete Watershed skrzywił się pod czapką. Pescoli nie dała się spławić.

- Mów.

Grace Perchant. Była na spacerze z psem. - Na spacerze z psem? W taką pogodę? Tutaj? Po cholere?

- A czemu Grace robi to, co robi? - Pete wzruszył ramionami.

Dobre pytanie. Grace Perchant to kolejne lokalne dziwadło. Alvarez spójna na partnerkę.  
- Grace uważa, że widzi duchy i rozmawia ze zmarłymi, do cholery. A jej pies to półkrwi wilk.

- Właściwie w trzech czwartych wilk - poprawił ją Michał z uśmiechem.

- A niby skąd to wiesz? - Alvarez wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć jego odpowiedź.

- Czekam na szczeniaka.

- Na rany boskie! Wiesz, że jej pies to właściwie dzikie zwierzę? Pewnie to nie ona wyszła z nim na spacer, tylko on z nią.

- Fakt - mruknęła Pescoli. - Wielokrotnie mieliśmy na niego skargi.

- Pogryzł kogoś?

- Nie. Wył. Sąsiedzi nie mogli spać. - Pescoli założyła niesforny kosmyk włosów za ucho.

- To śmieszne. - Alvarez pokręciła głową. - Skoro pies chciał sikać, czemu nie wypuściła go po prostu na dwór? Po co tu szła w taką pogodę?

- Bo to Grace - odparł Watershed, jakby to wszystko tłumaczyło. Zdenerwowana, zarumieniona od wiatru, Pescoli rozglądała się po zaśnieżonej dolinie.

- Dokąd ją zabrał, do cholery?

Selena Alvarez pokręciła głową. Gdzieś w głębi duszy przeszył ją dreszcz. Wiedziała, że kobieta z samochodu jest już stracona, że wcześniej czy później ją znajdą, tak jak znaleźli pozostałe. Przy akompaniamencie zawodzenia wiatru podeszła z Pescoli do miejsca, gdzie Slatkin pobierał próbki zmarzniętej krwi.

Może los się do nas uśmiechnie i okaże się, że drań się skaleczył. Może to jego krew.

- Nie liczylibym na to - stwierdził męski głos. Alvarez obejrzała się przez ramię i zobaczyła szeryfa, idącego w ich stronę od leśnej przesieki. Pod jego wielkimi stopami chrzęścił śnieg. Na twarzy malowały się różne uczucia: gniew i poczucie klęski. Wiatr wył tak głośno, że nie usłyszała warkotu jego samochodu.

Alvarez skinęła głową.

- To prawda.

Odrobina szczęścia by się przydała - mruknęła Pescoli. Grayson się uśmiechnął.

- Fakt. - Grayson był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną z włosami oproszonymi siwizną. Niedawno został szeryfem i się rozwiódł - oba te wydarzenia nastąpiły niemal jednocześnie, takie przynajmniej Alvarez miała wrażenie. - Tylko mi nie mówcie, że samochód znalazł Ivor Hicks.

- Nie tym razem - zapewniła Alvarez.

- No nie. - Pescoli wbiła ręce w kieszenie kurtki. - Tym razem to Grace Perchant.

- Na Boga, kolejna wariatka! - Grayson się skrzywił. - Najpierw Ivor teraz Grace... jeszcze tylko brakuje, żeby Henry Johansen udzielał nam rad.

Co prawda Henry, miejscowy farmer, nie upierał się jak Ivor, że porwali go kosmici, nie komunikował się także z zaświatami - to dziedzina Grace za to dwadzieścia lat temu spadł z traktora i twierdził, że wskutek odniesionych obrażeń czyta ludziom w myślach. Nie miał na to żadnych dowodów, co jednak nie przeszkadzało mu uważać, że głosy, które słyszy, to myśli mieszkańców. Regularnie odwiedzał szeryfa i upierał się, że ma dla niego ważne informacje.

- Boże, miej nas w opiece - sapnął Watershed. Grayson obserwował kanion i pochmurniał z każdą chwilą.

- Musimy kończyć. Zbliża się kolejna śnieżycyca. Duża.

Alvarez zrobiło się słabo. Od początku mieli małe szanse, by znaleźć kobietę z samochodu, ale w śnieżycy spadną niemal do zera.

Grayson zerknął na samochód zagrzebany w śniegu i nachmurzył się jeszcze bardziej.

- To chyba znowu on - stwierdził.

- Chyba tak - zgodziła się Pescoli.

- Cholera. - Dan podniósł wzrok i śnieg osiadał mu na wąsach. - Ten sam sposób działania? Watershed skinął głową.
- Tak. Nie ma ani ciała, ani dokumentów.
- Przestrzelona opona?
- Pęknięta. Nie wiemy jeszcze na pewno, czy... - zaczęła Alvarez.
- Na pewno. - Grayson nie pozwolił jej dokończyć. Powiedział to, co i tak wszyscy wiedzą, muszą tylko to udowodnić. - To nie przypadek. Ten drań znowu poluje.
- Też tak myślę - rzekł Watershed. Alvarez skinęła głową.
- Sprawdź tablicę rejestracyjną - polecił Grayson. - Dowiedz się, czyj to samochód, od tego zaczniemy. Jeśli kuli nie ma we wraku, sprawdźcie zbrocze. Może została na jezdni, może utkwiała w ścianie. Wezwaliście wóz, by odholować wrak do miasta?
- Już jadą - powiedziała Alvarez. Zadzwoiła po ciągnik zaraz po przybyciu na miejsce.
- Oby dali radę tu zjechać. Na drogach rozpętało się piekło, mamy przerwy w dostawach prądu i wypadki. - Watershed podrapał się w głowę i spojrział na wrak. - Musimy go dopaść.
- Jestem za - zgodziła się Pescoli. Grayson spojrział Alvarez w oczy. - Ale najpierw poszukajmy ofiary. I znajdziemy ją żywą.

## Rozdział 7

Trzask!

Główka zapałki głośno pociera o kamienne palenisko, zapach siarki wypełnia moje nozdrza. Płomień wykwita przed moimi oczami ze słodkim sykiem.

Doskonałe małe światełko. Zawsze kochałem ogień.

Zawsze mnie fascynowało, jak szybko się rodzi, jak żywa istota, której tlen jest niezbędny do życia. Roztańczone żółtopomarańczowe płomienie uwodzą ciepłem, blaskiem i śmiertcioną siłą.

Zapalanie zapałek - budzenie ognia do życia - to jedna z moich rozlicznych pasji.

Ostrożnie unoszę klosz, zapalam knot i pomieszczenie wypełnia światło. Na kominku już buzuje ogień, żar czerwieni się wśród popiołu, płomienie łakomie liżą omszałe konary, przez stary murowany komin w niebo wzbija się smużka dymu, na zalanych oknach tańczą złociste cienie.

Na dworze szaleje śnieżycy, wiatr wyje, śnieg pada nieustannie, ale chata z drewna i kamienia chroni przed żywiołem. Tutaj nie muszę zawracać sobie głowy drapiącym, nieprzyjemnym ubraniem. Nie, tutaj mogę swobodnie chodzić boso po kamiennej podłodze, ogień z kominka rozgrzewa mi skórę.

Trzymam w domu spory zapas drewna na opał, ale jeśli się okaże, że muszę przynieść więcej z szopy, nie muszę się męczyć z kurtką i butami, ale nago stawię czoło żywiołom, kąsaniu wichru i uderzeniom lodu.

Zapałka się wypala. Płomień muska moje palce. Gaszę go szybko.

Z policyjnym radiem przy uchu, które bełkocze i trzeszczy, siadam na ześle, jednym z tych, które sam zrobiłem. Rozkładam mapy lasów i zdjęcia satelitarne. Posklejałem je starannie, oznaczyłem pinezkami tego samego koloru co na mapie.

Z pokoju w drugim końcu korytarza dobiega jej kaszel.

Zastygam w bezruchu. Nasłuchuję.

Jęczy, zapewne nadal nieprzytomna.

Uśmiech unosi kąciaki moich ust, gdy o niej myślę. Budzi się - to dobry znak. Wkrótce będzie gotowa. Przebiega mnie dreszcz oczekiwania, ale zaraz go tłumię. Jeszcze nie. Musi nadejść właściwy czas. Musi być na tyle zdrowa by dobrze odegrała swoją rolę.

Och, nie, nie zrobi tego z własnej woli, ale zrobi.

Jak wszystkie.

Jęczy coraz głośniejsze - muszę do niej zajrzeć. Otwieram drzwi szafy, którą zrobiłem własnymi rękami. Ozdobiłem ją wizerunkami istot niebieskich, z czułością i artyzmem wyryłem je na twarde drewno. Wewnątrz - przegródki w których trzymam skarby. Pamiątki po niechętnych współpracownikach. Drzwi są lekko uchylone. Odsuwam krzesło, wstaję, przeciągam się, podchodzę do szafy. Otwieram drzwi szerzej i widzę moje odbicie w lustrze po ich wewnętrznej stronie. Silne mięśnie. Ciemne włosy. Głęboko osadzone, bystre oczy. „Nieźła sztuka”, powiedziała o mnie jedna idiotka, błędząc wzrokiem po moim ciele. Jakby to miało mi pochlebić.

„Ciasteczko”, szepnęła inna niedoszła kochanka i łakomie oblizała usta

„Mm... niegrzeczny chłopiec z błyskiem w oku”, mruknęła inna w nadziei, że ulegnę jej niewybrednym zalotom.

W lustrze widzę, jak moje usta wykrzywiają się na to wspomnienie, a oczy ciemnieją. Dowiedziały się, może nie?

Ale to były dopiero początki, zanim w pełni zdałem sobie sprawę z mojej misji.

Nie zwracam już uwagi na moje odbicie, wysuwam szufladę i napawam się widokiem moich skarbów, drobiazgów należących do kobiet, które staną się nieśmiertelne: skórzana torebka z frędzlami, kopertówka ze sztucznego futerka, portfel z wężowej skóry, prawa jazdy, karty ubezpieczeniowe. Futerały na okulary, papierosy, kosmetyczki. Pilniki, tampony, telefony komórkowe. Szminki w różnych odcieniach, od głębokiej czerwieni po delikatny róż.

Skarby.

Dary od wybranych. Zerkam na jeden z artykułów poświęconych zabójstwom. Wszystkie leżą na jednej półce, starannie wycięte. W tym dziennikarz powołuje się na „źródło w biurze szeryfa”, za którym podaje, że „zbrodni dokonano w sposób przypadkowy, a sprawca jest psychopata”.

Psychopata?

Przypadkowy?

Policjanci są głupszy, niż myślałem.

Z daleka, przez lornetkę, obserwowałem, jak ludzie szeryfa uwijają się w kanionie, jedni na dnie, inni na urwisku, szukają śladów, grzebią w śniegu jak pies szukający kości w ziemi.

Inni, co bardziej leniwi, tłoczyli się przy wraku samochodu, drapali się w głowy, robili mądre miny i niczego nie wymyślili,

Zamykam drzwi szafy i słyszę jej krzyk. Jęk. Może jednak dokonałem

złego wyboru. Wydaje się bardzo słaba. Ale jeszcze za wcześnie. Wróć do siebie. Okaże się ducha, chęć walki.

Wiem, że jest jedną z wybranych, jak pozostałe.

Słucham zawodzenia wiatru i zastanawiam się, gdzie dokładnie ją zostawię by stoczyła walkę z żywiołami i przeznaczeniem. Na razie jest ranna i zbyt obolała po wypadku, ale w ciągu tygodnia doprowadzę ją do takiego stanu, że da radę dojść do idealnego miejsca, które dopiero znajdzie. Musi być odludne, ale dostępne, żeby ci idioci z biura szeryfa zdołali ją znaleźć.

Znowu patrzę na mapę, przesuwam palec wzdłuż jednego z niższych pasm gór Bitterroot i przypominam sobie dolinę, w której kiedyś polowałem. Alpejska w klimacie, pośrodku rośnie kilka drzew. Skupiam się, przywołuję z pamięci wizję zielonej łąki. O świcie widziałem tam łosia, potężnego samca. Stał przy powykęcanej sośnie, miał fantastyczne rozłożyste poroże. Strzeliłem, spudłowałem i zniknął jak duch. Znalazłem kulę wbity głęboko w pień wiekowej sosny. Jeśli nadal tam stoi, będzie idealna.

Starannie przyglądam się mapie. Tyle tu wąwozów i rozpadlin, w których można ukrywać ciało do wiosny albo i dłużej.

Ale tego nie chcę.

Muszą je znaleźć. Muszę nadal szukać doskonałej lokalizacji.

Nie wątpię, że mi się to uda.

Bóg i przeznaczenie są po mojej stronie.

- Dobra, co mamy? - Alvarez przerwała milczenie. Dżip jechał po oblodzonej szosie, targany wichurą.

- Nie licząc świrów? - Pescoli w skupieniu obserwowała szosę. Chociaż wycieraczki pracowały pełną parą widoczność spadła właściwie do zera. Jechały zamkniętą drogą - pługi śnieżne nie nadążały z uprzątnięciem śniegu. Przed nimi inne wozy policyjne powoli jechały przez górzystą okolicę.

- Tak, nie licząc. - Radio trzeszczało i skrzeczało. W kabinie było na tyle ciepło, że Alvarez ściągnęła zębami rękawiczki i rozpięła kurtkę.

Kabinę samochodu wypełniał zapach papierosowego dymu, w uchwytach stały niedopite napoje.

- Znamy jego sposób działania. - Pescoli ściągnęła brwi. Nie odrywała wzroku od szosy.

- Co na razie daje nam jedynie to, że możemy połączyć subaru z pozostałymi znalezionymi wozami. - Alvarez nie podobał się ten tok rozumowania. Obawiała się, że wrak subaru okaże się samochodem kolejnej zaginionej kobiety, kobiety, która może jeszcze żyje, przetrzymywana gdzieś tu, w promieniu kilkunastu kilometrów. Tak blisko, a zarazem tak niezmiernie daleko podczas śnieżycy.

Pescoli zajęła się jazdą, a Alvarez po raz kolejny wybrała numer wydziału motoryzacji stanu Waszyngton, wreszcie uzyskała połączenie - i kazano jej czekać! Kiedy w końcu zgłosił się urzędnik, nie chciał udzielać żadnych informacji przez telefon, ale obiecał przestać wszystkie dane faksem. Kiedy wrócą do biura, nazwisko ofiary będzie na nie czekało.

Niestety, nie można powiedzieć tego samego o nazwisku mordercy.

- Skoro samochód leżał w kanionie dwa, może trzy dni, jak myślisz, ile czasu będzie ją utrzymywał przy życiu?

- Nie mam pojęcia. - Alvarez wbiła wzrok w tylne reflektory pikapa Watersheda, który jechał tuż przed nimi w tym zaimprovizowanym policyjnym konwoju. Za nimi wóz pomocy drogowej holował wrak subaru. Trafi na parking, gdzie technicy będą do znudzenia szukali czegokolwiek, co przyniesie choćby cień informacji na temat sprawcy. Może zostawił odcisk palca, włos, cokolwiek.

Na razie, szczęście było po stronie zabójcy. Żadnych włosów, jedyne znalezione włókna pochodziły z plastikowej liny, którą przywiązywał ofiary do drzewa, żadnych odcisków palców, ani na kartkach, ani na wrakach samochodów, żadnych świadków. Mieli kule, ale bez łusek, i niewyraźne ślady butów na śniegu. Krew znaleziona na miejscach zbrodni należała do ofiar. Nacięcia na drzewach, zrobione prawdopodobnie nożem myśliwskim, pozwalały jedynie oszacować jego wzrost. Na ciałach ofiar nie było nasienia ani śladów gwałtu.

Niewiele o nim wiedzieli.

Zakładano, że to mężczyzna, między metr siedemdziesiąt pięć a dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, nosi buty rozmiar jedenaście. I tyle. A i to tylko spekulacje. Swoje listy pisze na zwykłym papierze, dostępnym w każdym sklepie, posługuje się zwykłym długopisem... A skoro już o tych listach mowa... Cholera, co to wszystko znaczy?

Pescoli zwolniła na zakręcie, widząc, że samochód Watersheda zbliżył się niebezpiecznie blisko skraju drogi.

- Skurczybyk - mruknęła przez zęby. - Przypomnij mi, właściwie dlaczego nie mieszkam w Phoenix?

- Nie spodobałoby ci się w Phoenix. Zresztą na pustyni w nocy też jest zimno.



- Nie aż tak. Ale dobrze, niech będzie San Diego. Chyba się tam przeprowadzę. W przyszłym tygodniu.

Alvarez uśmiechnęła się pod nosem; wyobraziła sobie Pescoli w zimowych butach, puchowej kurtce i dzinsach, jak śmiga na rolkach gdzieś wzdłuż plaży w południowej Kalifornii.

- Śmieję się, ile chcesz, i tak to zrobię. Gdy tylko wrócimy do biura, poszukam ofert pracy w Los Angeles.

- Powodzenia.

Pescoli się uśmiechnęła, jakby chciała powiedzieć: „Obie wiemy, że chrzanię”.

Im bliżej miasta, tym lepsze były warunki jazdy, bo rozjechany śnieg nie dązał zamrażać.

Po ulicach jeździły pługi i odladzarki, ludzie i samochody dzielnie walczyli z żywiołem.

Pescoli wjechała na parking. Podjechała tak blisko drzwi wejściowych, jak tylko się dało, zgasiła silnik. Alvarez zapięła kurtkę, włożyła rękawiczki, naciągnęła kaptur na głowę i wyskoczyła na zewnątrz.

Przy biurku najpierw zdjęła wszystkie warstwy ciepłego ubrania, dopiero potem spojrzała na faks z wydziału motoryzacji stanu Waszyngton. Dowód rejestracyjny wozu wymieniał jako jego właścicielkę Jillian Colleen Rivers, lat trzydzieści sześć, zamieszkałą w Seattle. W poczcie elektronicznej czekało już na nią zdjęcie Jillian z prawa jazdy.

- Jezu - mruknęła Alvarez, patrząc na fotografię kobiety, która równie dobrze mogła już nie żyć. Ciemnobrązowe włosy do ramion, oczy, w opisie piwne, na zdjęciu raczej szare, wydatny nos, małe usta, miły uśmiech, wysokie kości policzkowe, chyba kilka piegów. Alvarez zadzwoniła na posterunek w Seattle, poprosiła o połączenie z kimś z wydziału zabójstw i wyjaśniła, z czym dzwoni.

- Sprawdźmy to - zapewnił detektyw Renfro. - Ale proszę nam dać kilka godzin.

- Jasne. I sprawdźcie, czy ma czyste konto. - Ale już odkładając słuchawkę, Alvarez wiedziała, że Renfro nie znajdzie pani Rivers.

Nie ma szans.

Jillian Rivers to zapewne wzorowa obywatelka, jak inne, które zostawiono w lesie na śmierć. I jako taka jest następną ofiarą na liście sadysty.

Łup!

Jillian słyszała hałas, spróbowała wstać, ale nie mogła.

Co to było? Trzaśnięcie drzwiami?

Jak przez mgłę docierał do niej ból w nodze i zębrach. O Jezu, jak boli.

Starła się nie zwracać na niego uwagi i unieść powieki. Nic z tego. tak

Boże drogi, gdzie ona jest? Była w samochodzie, miała wypadek... a potem ktoś przyszedł jej z pomocą... ale nie mogła myśleć, nie była w stanie zebrać wszystkich elementów układanki. Gdzieś z oddali docierało monotonne wycie - to pewnie wiatr. Jakby hulał w głębokim wąwozie.

Boże, co się dzieje?

Czas stracił znaczenie. Jej dotychczasowe życie wydawało się odległe i nieważne.

Nie było jej już zimno. Wiedziała, że powinna się obudzić, ale ciemność towarzyszyła jej już od tak dawna, że było jej dobrze w ciepłym kokonie. Znowu uległa miękkiej pokusie. Musi spać. Zdrowieć.

Później zajmie się całą resztą...

Nie śpi.

Jestem tego pewien.

Coś się zmieniło. Jakiś czas temu przestała jęczeć i wiem, że jest przytomna. I przerażona.

Jak zawsze.

Ale uspokoję ją.

Zdobędę jej zaufanie.

Na razie jednak musi zostać sama.

W ciemności.

Nauczyć się bać samotności.

Wtedy zrozumie, że jestem jedynym człowiekiem w pobliżu i nie będzie miała innego wyjścia - będzie musiała mi zaufać. To potrwa tylko kilka dni, akurat tyle czasu, ile potrzeba, by wyzdrowiała.

Opieram się pokusie, by do niej zajrzeć, podnoszę z ziemi ciężki podręcznik astronomii, który niechcący upuściłem, i znów siadam za stołem. Starannie umieszczam książkę w przypisanym jej miejscu na małym regaliku, wstaję, przeciągam się i mój wzrok zatrzymuje się na metalowym drążku w drzwiach prowadzących do mojej sypialni. Podchodzę do niego bezgłośnie, oddycham głęboko, napinam wszystkie mięśnie, podciągam się na rękach i zginam nogi, tak że są pod kątem prostym do tułowia. Wytrzymuję tak przez wiele długich minut, a moje mięśnie omdlewają z wysiłku, i jeszcze dłużej, aż pokryty potem drzę z wysiłku, utrzymując właściwą pozycję.

Dopiero kiedy jestem pewien, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej, powoli liczę do sześćdziesięciu, puszczam drążek i upadam na podłogę. Wycieram spocone dłonie i wstaję, robię sto pompek, a potem znowu przyjmuję odpowiednią pozycję: nogi wyprostowane, palce ściągnięte, mięśnie widoczki pod skórą ciała drżące z wysiłku.

To część mojego planu.

Dyscyplina.

Duchowa i cielesna.

Dokładnie naprzeciwko mnie, na ścianie sypialni wisi lustro i widzę moje odbicie.

Sprawdzam, czy wszystko jest idealnie, jak powinno.

Oczywiście.

Znowu słyszę jej jęk, teraz cichszy, i uśmiecham się, bo wkrótce otworzę i uratuję ją kolejny raz, uspokoję, przekonam, że zrobię wszystko, co mojej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo i sprawić, że wyzdrowieje. Będzie paplała o rodzinie i przyjaciółach, o szpitalach, badaniach i powrocie do cywilizacji, a ja będę tłumaczył, że jesteśmy odcięci od świata, ale kiedy tylko śnieżyca minie, sprowadzę pomoc.

Muszę tylko utrzymać ją przy życiu przez kilka dni.

A potem, kiedy śnieżyca się uspokoi, a ona będzie w stanie kuśtykać, zacznie się następna faza.

Wtedy dowie się, czym jest dyscyplina.

I ból.

I zwycięstwo umysłu nad ciałem.

Puszczam się, ląduję na podłodze niemal bezszelestnie. Już nie jęczy. Dobra dziewczynka, tak jest. Bądź dzielna.

I już niemal otwieram drzwi do jej pokoju, ale znowu się powstrzymuję i podchodzę do pokrytego lodem okna. Drży pod naporem wiatru, ale w izbie ogień tańczy i wesoło trzaska. Choć mojej nagości nie okrywa ani skrawek ubrania, jest mi ciepło i dobrze.

Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Co wiemy o Jillian Rivers? - zapytała Pescoli następnego dnia, gdy razem z Alvarez wpadły na kawę do Java Bean, lokalnej wersji Starbucksa. Nalała sobie kawy z dzbanka i zapłaciła za bułeczkę z serem, a Alvarez w tym czasie zamówiła zbożowe latte z cynamonem, zdrową miksturę podawaną w ogromnej misce.

Usiadły przy małym stoliku przy oknie i wpatrywały się w szalejącą burzę. W kawiarence było pusto, za ladą kręcił się tylko jeden barman, bo w taką pogodę niewielu klientów wystawiało nos z domu.

- Obecnie samotna, dwukrotnie zameżna. Pierwszy mąż zginął na wyprawie w Surinamie, jakieś dziesięć lat temu. Nie znaleziono ciała, ale owszem ubezpieczenie wypłaciło polisę, a ona ponownie wyszła za mąż, za prawnika z Missouli, Masona Riversa, ale nie był to długi związek. Mieszka w Seattle, projektuje broszury i katalogi, prowadzi małą firmę. Sama się wszystkim zajmuje: robi zdjęcia, pisze teksty, projektuje. Nie ma dzieci. Jedna siostra Dusti Bellamy, mieszka z dwójką dzieci i mężem w jednym z twoich ulubionych miejsc.

- Czyli?

- W San Diego.

- Och. - Pescoli się uśmiechnęła. - A ja stawiałam na Phoenix.

- Żyje także Linnette White, matka Jillian Rivers. Ojciec umarł. Linnete mieszka w Seattle, ale nie z córką, Jillian mieszka sama. Chłopcy z Seattle zabezpieczyli jej dom, ale na razie nie znaleźli niczego, co sugerowałoby, dokąd się wybierała. Jeszcze nie. - Pescoli obficie smarowała bułeczkę masłem orzechowym i serkiem.

Alvarez gwałtownie podniosła głowę.

- Nie mam dzieci.

- No, wiem. - Pescoli pokiwała głową i wytarła tani plastikowy nóż o talerzyk. - Uwierz mi, czasami ci zazdroścę. - Wbiła zęby w bułeczkę.

Oczy Alvarez pociemniały na chwilę, ale trwało to zaledwie moment i cień zniknął, jeśli w ogóle się pojawił.

- Nie oddałabyś ich za nic.

- Co nie znaczy, że nie są koszmarnie upierdliwe.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pescoli uśmiechnęła się i upiła spory łyk kawy.

- Tylko im tego nie mów. Wmawiam im, że ich wady to genetyczne dziedzictwo i to nie z mojej strony.

- Są za mądre, żeby się na to nabrać. Pescoli się zachnęła.

- Pewnie tak. - Z apetytem zjadła bułeczkę, a Alvarez sączyła napo z wielkiej filiżanki. Pracowały razem od trzech lat, odkąd Alvarez przyjechała do Grizzly Falls z San Bernardino. Różniły się jak ogień i woda, ale dogadywały się. Szanowały się wzajemnie. Zdaniem Pescoli Alvarez jest zbyt spięta, powinna więcej wychodzić. Jasne, chodzi na zajęcia ze sztuk walki i ma mnóstwo trofeów, od strzelectwa po łucznictwo. I wspomniała coś o maratonie może nawet niejednym, ale nie ma życia prywatnego. W wolnym czasie siedzi z nosem w książkach, z palcami przyklejonymi do klawiatury komputera, ciągle czegoś szuka w Internecie, wiecznie doskonali ciało i umysł na zajęciach na uczelni i w fitness klubie. Zdaniem Pescoli Alvarez dobrze zrobiłoby kilka głębszych i porządny seks. Te dwie rzeczy sprawiają cuda. Pescoli była tego pewna.

## Rozdział 8

Agenci FBI w niczym nie przypominają swoich kolegów z ekranów telewizyjnych, pomyślała Alvarez, zakładając nogę na nogę. Siedziała wraz z innymi członkami specjalnego zespołu powołanego do rozwiązania sprawy seryjnych zabójstw, w pokoju zebrania, za długim stołem. Na blacie poniewierały się opakowania po gumie do żucia, notesy, długopisy, kubki stygnącej kawy i pogniecione pudełko po papierosach. Na ścianach wisały zdjęcia ofiar i wielka mapa okręgu.

W każdym razie Craig Halden był nietypowy. Ściągnięto go z biura Lake City. Wydawał się bardzo sympatyczny. Owszem, brązowe włosy strzygł krótko, ale daleko im było do wojskowego jeża. Emanował naturalnym wdziękiem wiejskiego chłopaka - to pewnie skutki młodości na polach Georgii. Był dowcipny i bezpośredni, ale Alvarez wyczuwała pod beztroską zwłoką bystrego, zaangażowanego agenta.

Natomiast jego partnerka to co innego, przynajmniej według Alvarez. Stephanie „Steff” Chandler okazała się wysoką chudą ponurą suką. Stała przy tablicach informacyjnych i uważnie wszystko czytała, jakby chciała nauczyć się tego na pamięć. Miała długie jasne włosy, była opalona, jakby spędzała mnóstwo czasu na dworze, i lekki makijaż. Na poprzednich spotkaniach zjawiała się w ciemnym kostiumie, dzisiaj miała na sobie granatowe spodnie od dresu i gruby golf. Na razie rzadko się odzywała, ale z namysłem marszczyła czoło. Wręcz biła od niej dezaprobata i dystans - zdradzały to wyprostowane plecy i zmrużone oczy. Odnosiło się wrażenie, chociaż nikt tego nie powiedział, że uważa się za jedyną osobę zdolną rozwikłać tę zagadkę.

Wszyscy pozostali, w tym także Pescoli i szeryf Grayson, siedzieli, tylko Chandler przechadzała się nerwowo wzdłuż tablic, zagryzając dolną wargę. Alvarez podziękowała losowi za partnerkę - lepsza szalona, niesubordynowana Pescoli niż ta ponuraczka.

Regan Pescoli ma przynajmniej poczucie humoru, co z tego, że czasami jest to czarny humor. Chandler zatrzymała się przy ostatnim zestawie - zdjęciu Jillian Rivers z prawa jazdy i fotografii wraku jej samochodu.

- Nikt nie zgłosił jej zaginięcia - zauważyła.

- Krewni nie wiedzieli nawet, że wyjechała z Seattle, powiedziała tylko sąsiadce, która opiekuje się jej kotem - wyjaśniła Alvarez. - Emily Hardy, dziewiętnaście lat. Mieszka na tym samym osiedlu, studentka. Rivers prowadziła własną firmę, niemal wszystko robi sama, więc współpracownicy nie zaważyli jej zniknięcia. Dopiero zabieramy się do rodziny i byłego męża.

- Tego, który jeszcze żyje - dodała Pescoli. - Muszę do niego zadzwonić. ~ Chłopcy z Seattle nie znaleźli w jej mieszkaniu niczego podejrzanego ciągnęła Alvarez. - Nie było w nim laptopa. Pewnie zabrała go ze sobą.

- Ale na miejscu zbrodni go nie było? - Halden dopił kawę i cisnął pusty kubek do kosza.

- Nie. - Pescoli wpatrywała się w plansze ze zmarszczonym czołem. - I opona. Także przestrzelona.

- Ten sam kaliber?

- Nie znaleźliśmy ani kuli, ani łusek. Nadal szukamy.

- Coś innego niż w poprzednich przypadkach?

- Nie zabrano dokumentów ubezpieczeniowych - przyznała Alvarez. - To jedyna różnica. Ale były w nietypowym miejscu, nie w schowku, tylko pod fotelem kierowcy.

Wyciągnęliśmy je dopiero, gdy technicy wyjęli siedzenie.

- Błąd mordercy? - zapytała Chandler.

- Pewnie nie mógł ich znaleźć. Może była ranna i chciał zabrać ją jak najszybciej, może ktoś go spłoszył.

- Dlaczego dokumenty wozu były pod fotelem kierowcy? - Chandler oparła się o stół, jej niebieskie oczy szukały wzroku Alvarez.

- Dokumenty mogły się wysunąć podczas upadku. Prawdopodobnie zawsze je tam trzyma.

- A może on je upuścił, gdy wyciągał ją z samochodu? - Chandler myślała intensywnie, spięta, skupiona.

- Nie ma na nich krwi. - Alvarez także nie dawało spokoju to odstępstwo od normy w stosunku do poprzednich zbrodni. - Szukamy odcisków.

Chandler skinęła głową.

Może wcale nie jest taka zła, pomyślała Alvarez, choć jeszcze nie była do końca przekonana. Rozpięła kamizelkę, bo w pokoju było coraz cieplej. Piec grzał pełną parą krztusząc się i plując, gdy spowijał pomieszczenie ciepłym oddechem. Za oknami widać było biały parking, za nim odśnieżoną drogę. Niecałe pół kilometra dalej stał okrągowy areszt, dwupiętrowy budynek o płaskim dachu. Na ogrodzeniu narosła czapa śniegu, płatki oblepiały drut kolczasty.

- No dobrze. - Chandler wróciła wzrokiem do plansz. - Więc nikt nie mi pojęcia, co oznaczają jego listy? - Spojrzała na powiększone kopie kartek.  
- Jeszcze nie - mruknął Grayson. Uczestniczył w spotkaniu, ale siedzi w kącie i niewiele się odzywał. Miał na końcu języka uwagę, że jeśli panna mądralińska coś wie, to niech im powie, ale ugryzł się w język.  
- Zastanawiające jest to, że na każdym liście gwiazda jest w innym miejscu. Jest dokładny do bólu: litery są identycznej wielkości, starannie wypisane... więc to, że gwiazda jest za każdym razem gdzie indziej, coś znaczy, chce nam coś powiedzieć.  
- Albo się z nas nabija - mruknęła Pescoli.  
- No tak, to też. Jest inteligentny i ostrożny. To nie są pospieszne, przypadkowe zabójstwa. Planuje wszystko, nawet najdrobniejsze szczegóły. Świetnie zorganizowany. Uważa się za mądrzejszego od nas i mało prawdopodobne, by pominął taki element jak dokumenty wozu. - Chandler podszedł do powiększonych kartek: - Spójrzcie, gdzie jest gwiazda. Na każdej z tych kartek jest w odrobinę innym miejscu. To moim zdaniem ważne.

Alvarez skinęła głową. Też tak myślała.

- Więc chce nam coś przekazać za pomocą tych liter. Kobiety to nie przypadkowe ofiary.  
- Moim zdaniem on je wybiera - zgodziła się Chandler. Pescoli podniosła głowę. - Ale ich nie gwałci.

Chandler spojrzała na wysoką policjantkę.

- Kolejna anomalia. Większość dobrze zorganizowanych seryjnych morów upaja się przetrzymywaniem ofiar, zbliżaniem się do nich, torturowaniem ich i gwałceniem. - W zadumie potarła podbródek. - Odrzuciliśmy kobietę jako sprawcę, tak? Za duże ślady butów, siła, potrzebna do dostania się do wraku i zabrania ofiary...

- Jeśli to kobieta, musi być potężna. - Pescoli zawsze musiała dorzucić swoje trzy grosze. - Wszystkie ofiary były drobne, ważyły między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt kilogramów. Ale większość seryjnych to mężczyźni.

- Sprawca płci żeńskiej wydaje mi się mało prawdopodobny - orzekła Chandler. - Coś mi tu nie pasuje.

- Mnie też nie - zgodziła się Pescoli. Nikt nie protestował. Zza zamkniętych drzwi dobiegł dźwięk telefonu i odgłos kroków.

Chandler mówiła dalej:

- Naszym zdaniem albo porywa, albo zostawia je na śmierć koło dwudziestego każdego miesiąca. Mamy już trzy znane ofiary i jedną zaginioną więc sprawdzmy układ gwiazd w te dni, od września do grudnia, a jeśli znajdziemy coś ciekawego, porównajmy to ze styczniem.

- Jeszcze nie mamy ofiary grudniowej - zauważyła Pescoli - a ty już myślisz o styczniu?

- Owszem. - Po pogodnej minie Craiga Haldena nie było śladu. - Bo ten facet nie przestanie. - Odsunął krzesło, wstał, podszedł do mapy wiszącej na ścianie. Zaznaczono na niej miejsca, w których znaleziono wraki samochodów i zwłoki ofiar. - Przesłuchaliśmy wszystkich właścicieli domków letniskowych w tej okolicy? - upewnił się, zataczając nad mapą łuk ręką.

- Zaczęliśmy - odparł Grayson. - Dostaliśmy listę. Sporo tego, to dziewczki kilometrów kwadratowych.

Chandler skinęła głową.

- Słabo zaludnione.

Grayson spojrzał na niego.

- Zajmiemy się tym.

Mapę przecinały linie łączące poszczególne miejsca zbrodni - policjanci mieli nadzieję, że punkt ich przecięcia wyznaczy miejsce zamieszkania mordercy, ale jeśli się przecinały, to w zupełnie odludnych okolicach.

Alvarez nie była zaskoczona, wiedziała, że tak działają seryjni mordercy. Bardzo starannie ukrywają swoją tożsamość, wymykają się policji. Długo, szczegółowo planują zbrodnie,

przewidują każdy szczegół, starannie wybierają ofiarę, rozkoszują się oczekiwaniem, drażnią się z ofiarą zanim ją zabiją z satysfakcją obserwują poczynania policji. Dranie.

Halden wrócił do krzesła. Chandler podniosła głowę.

- Wiemy coś o listach? To był drażliwy punkt Alvarez; poświęciła niezliczone godziny, usiłując zrozumieć, co morderca chciał im przekazać.

- Niewiele - przyznała.

- Niech się tym zajmie grafolog. I ktoś od szyfrów.

- Już zrobione - włączył się szeryf. - Jeden z lepszych w kraju. Na razie nic. Twierdzi, że w życiu czegoś takiego nie widział.

Craig Halden usadowił się wygodnie.

- U nas to samo. Nie znaleźliśmy w bazie danych niczego podobnego. Zdaje się, że to świr jedyny w swoim rodzaju.

- Ależ z nas szczęściarze - mruknęła Pescoli i zerknęła na Alvarez. Chandler w końcu usiadła i zaczęła przeglądać swoje notatki.

- Dobrze, porozmawiajmy o świadkach, którzy znaleźli zwłoki. Z waszych danych wynika, że samochód Jillian Rivers znalazła kobieta, która twierdzi, że komunikuje się ze zmarłymi.

- Cóż... - Szeryf Grayson odchrząknął. - Nie mamy pewności, czy na pewno się z nimi komunikuje. Wiemy tylko, że twierdzi także, jakoby rozmawiała z duchami, ale wątpię, żeby przysięgli dali wiarę jej twierdzeniom, że łatwo... jak ona to mówi? Pokonuje granicę?

- Jakoś tak - przytaknęła Pescoli.

- A zwłoki Wendy Ito znalazł mężczyzna, który twierdzi, że porwał go UFO? - Chandler posłała Graysonowi znaczące spojrzenie. - Czy to nie dziwne?

- Tutaj? Nie - odarła Pescoli i Grayson łypnął na nią gniewnie.

- To niezbyt wiarygodni świadkowie.

- A czy to ważne? - Pescoli nie kryła irytacji. - Przecież nie opowiadali o mordercy.

Zaprowadzili nas do zwłok i do samochodu. Tak, oboje mają trochę nierówno pod sufitem, ale pomogli nam.

Grayson jej zawtórował:

- I Ivor, I Grace, wyszli na dwór, mimo przejmującego zimna. Kiedy Ivor znalazł Ito, była przynajmniej dobra widoczność, ale Grace wyszła z psem w środku tej zamieci! Nie widzę niczego dziwnego w tym, że nie wszystkie styki u nich kontaktują. Normalny człowiek nie wyszedłby w taką pogodę.

Punkt dla pana, szeryfie, pomyślała Alvarez, bawiąc się długopisem - denerwowało ją nastawienie Chandler, która patrzyła na nich z góry, jakby byli bandą dumnych wieśniaków. Alvarez znowu zmieniła o niej zdanie. Może jednak Chandler bardziej przypomina swoich kolegów z seriali, niż się na początku wydawało.

Grayson patrzył na federalnych.

- Theresę Charleton znaleźli turyści, Ninę Salvadore - narciarze. Wóz Charleton wypatrzył kierowca ciężarówki, zatrzymał się akurat na moście i dostrzegł coś błyszczącego w korycie strumienia, auto Salvadore - nastolatki. Nikt nie jest z nikim związany, nikt z nich nie znał ofiar. Nikt nie był notowany - poza jednym z dzieciaków, które znalazły ford focusa. Jechał bez prawa jazdy.

- Dobrze, że nie wszyscy potencjalni świadkowie nadają się do leczenia psychiatrycznego. \_ Chandler posłała Graysonowi lodowaty uśmiech. Tak, to jednak suka. - Chciałabym przejrzeć wszystkie akta.

- Nie ma sprawy. - Gdyby nie tik w kąciku lewego oka, irytacja Graysona przeszłaby niezauważona. - Możecie dostać kopie akt i przesłuchać, kogo chcecie. Materiał dowodowy jest w laboratorium w Missouli.

- Dzięki. - Halden skinął głową choć na pewno już to wszystko wiedział. Znow skupił się na mapie. - Ciągłe nie mamy wozu ofiary numer trzy i ciała ofiary numer cztery.

- Mamy nadzieję znaleźć Jillian Rivers żywą - oznajmiła Alvarez. Stephanie Chandler spojrzała na nią.

W jej lodowato niebieskich oczach nie było nawet cienia nadziei.

- Oby nie było ich więcej. Wszyscy zakładamy, że zaczął od Theresy Charleton, tylko dlatego, że jej ciało znaleźliśmy najpierw. A może zaczął wcześniej, tylko my nie znaleźliśmy ani ciał, ani samochodów. To trudny teren.

- Czy na kartkach nie byłoby więcej inicjałów, gdyby było więcej ofiar? Jezu, ależ tu gorąco!

- Pescoli energicznie wstała i podeszła do termostatu. - Co? Dwadzieścia cztery stopnie? Jak w cholernej saunie! A mamy chyba kryzys energetyczny! - Pomajstrowała przy urządzeniu i wróciła na swoje miejsce. - Przepraszam - mruknęła bez cienia skruchy.

Chandler nie straciła wątku.

- Jeśli seryjniak wymyśla sobie podpis, rzadko go zmienia, choć jego sposób działania może ewoluować, w miarę jak eksperymentuje i się uczy. Ale ten facet jest inny. Wiemy już, że ich nie gwałci. Atakuje przedstawicielki różnych ras. Charleton i Rivers są białe, Salvadore to Latynoska, Ito, Azjatka. Jest doskonale zorganizowany i działa na ogromnym terenie, Chandler wbiła wzrok w mapę. - Czekają nas mnóstwo pracy.

Ciszę przerwało dzwonicie komórki szeryfa. Wstał energicznie.

- No dobra. Dajcie znać, jakbyście czegoś potrzebowali. Przyda się nam Para rąk do pomocy, by złapać tego sukinsyna.

Ból niemal rozsadzał czaszkę Jillian.

Kostka płonęła.

Klatka piersiowa bolała przy każdym oddechu.

Uniosła powiekę i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu, rozjaśnionym blaskiem lampy naftowej i ognia na kominku. Było jej ciepło i czuła to nowe uczucie. Jeszcze niedawno było jej bardzo, bardzo zimno.

I ktoś jęczał...

A może to ona?

Zamrugnęła, usiłowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Wracają okruchy mięci. Jazda ośnieżoną szosą, poślizg, pęknięta opona, brzęk tłuczonego szkła.

Ktoś pośpieszył jej na ratunek.

Mężczyzna w czarnej masce narciarskiej. Krzyczał na nią. Pamiętała to i niewiele więcej.

Więc dlaczego nie jest w szpitalu?

Skąd się wzięła w ciemnej chacie? Leżała na sienniku, w śpiwór: Chciała usiąść, ale krzyknęła z bólu, ledwie poruszyła nogą. Boże, w co ona się wpakowała?

Przypomniała sobie strach. Najpierw obawy, że zostanie w samochodzie i aż do wiosny nikt jej nie znajdzie. A potem wyczuła czyjaś obecność, czyste zło kryjące się w lesie, widziała mroczny cień.

I najwyraźniej właśnie on cię uratował.

Też mi ratunek. Teraz jest uwięziona w pomieszczeniu z drewna i kamienia, z małym oknem, przez które wpada niewiele światła. A może to już wieczór? Jak długo właściwie spała?

Wydawało jej się, że pamięta, jak ktoś wchodzi i opatruje jej rany, ale nie była tego pewna...

O Boże. Podniosła rękę i zobaczyła podwinięty rękaw grubej koszuli.

I nie ma na sobie stanika.

Ktoś ją rozebrał i ubrał w tę za dużą zimową odzież.

Znów spróbowała usiąść, ale ból w nodze na to nie pozwalał, a kiedy się podnosiła, miała zawroty głowy. W ustach czuła okropny smak, jakby od tygodnia nie myła zębów i znów zaintrygowało ją, jak długo leżała nieprzytomna. Poruszyła się i zdała sobie sprawę, że ma łupki na nodze. Dotknęła twarzy i poczuła pod palcami bandaże.

Najwyraźniej ten, kto ją tu sprowadził, opatrzył jej rany. Na malutkim stoliku przy łóżku leżała maść z antybiotykiem i plastikowy kubek ze słomką.

Z posłania przyglądała się kamiennej ścianie. Za szklanymi drzwiami jarzyły się węgle, pozostałości po zapewne większym płomieniu.

Wywnioskowała, że ten ktoś musi tu dosyć często zaglądać, żeby dorzucać drewno do ognia i sprawdzać, co z nią, i nagle wydało jej się, że przypomina sobie czyjaś obecność.

A jakże, był blisko... rozbierał cię, dotykał, opatrzył rany, ułożył w śpiworze... To bliskość, do cholery, to intymność.... Belki zatrzeszczały głośno, usłyszała gwizd wiatru i drżenie ścian. Czy jest sama?

Choć w pomieszczeniu oprócz niej nie było nikogo, spod zamkniętych drzwi wpadała smuga światła, znak, że w sąsiednim pokoju jest jasno. Zastawiała się, czy nie zawołać, ale się rozmyśliła. Coś tu jest nie tak, i to bardzo, nie tak, i musi być ostrożna. Mężczyzna w masce narciarskiej, ten, który ją uratował, którego twarzy nie widziała, przywiózł ją tu, a nie do szpitala.

Dlaczego?

Bo nie miał samochodu? Z powodu śnieżycy?

Ale jakoś ją przecież przetransportował do tej chaty! Jak?

Czyżby mieściła się blisko miejsca, w którym jej samochód spadł z drogi? Blisko miasta?

Czy daleko? Nie pozna odpowiedzi na to pytanie, chyba że podejdzie do okna i wyjrzy. Ale na razie to niemożliwe ze względu na tę cholerną kostkę.

Leżała spokojnie i nasłuchiwała, ale niczego nie słyszała przez szum wiatru, syk płomieni i trzeszczenie starych bali.

Jedyna droga na zewnątrz prowadzi przez zamknięte drzwi albo małe okienko, wysoko w ścianie, całe oblodzone. Czy to dzień, czy noc? Nie miała pojęcia. Może zmierzch? Albo świt? Odruchowo spojrzała na lewy przegub, ale zegarka, którego prawie nigdy nie zdejmowała, na nim nie było.

Świetnie.

Przyjrzała się okienku - prawie dwa metry nad ziemią za małe, by zdołała się przez nie precyzyjnie przesuwać.

Zresztą i tak nie może się ruszyć. Jeszcze nie. Nie pozwala na to noga, a poza tym, nawet gdyby jakimś cudem zdołała podciągnąć siennik pod okno i wdrapać się na niego, co dalej? Nawet jeśli wydostanie się przez małe okienko i w nim nie utkwi, co zrobi w szalejącej zamieci?

Ucieczka chwilowo nie wchodzi w grę.

Ale on musi mieć jakiś pojazd. Wóz terenowy z napędem na cztery koła, suwa, albo chociaż psi zaprzęg... Musisz tylko poszukać... Albo go zapytać.

Wyrzucić z siebie wszystkie nurtujące ją pytania. W najgorszym wypadku ją okłamać.

Prawda?

A może sama się oszukuje? Chyba coś czytała o zaginionych kobietach, o tym, że znajdowano ich rozbite samochody gdzieś w Montanie. Nie pamiętała szczegółów, ale powrócił paraliżujący strach. Ktoś prześladował te kobiety. .. Samotne podróżniczki w stanie Montana...

Jeszcze nigdy tak się nie bała.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że miała wypadek i znalazł ją akurat psychopatyczny morderca i...

Prześlan! W ogóle o tym nie myśl! Opanuj się.

Ale serce biło jej tak głośno, że była przekonana, iż odbija się echem od potężnych belek sufitu. Puls miała tak szybki, jakby przed chwilą ukończyła biathlon.

Słumiała przerażenie.



W sąsiednim pokoju usłyszała zgrzyt - czyżby noga krzesła przesuwała się na kamiennej posadzce?

Jej serce na moment przestało bić.

Dostrzegła cień w szparze pod drzwiami, szybki ruch, gdy ktoś mijał źródło światła.

O Boże. Wejdzie tu?

Nie masz powodów, by mu nie ufać. Ocalił cię od pewnej śmierci, prawda?

Owszem, ale nie zabrał mnie do szpitala, nie wezwał policji ani straży. Nieprzytomną przywiózł mnie tutaj. Jestem zdana na jego łaskę.

Na razie ma tylko jedno wyjście - będzie udawała, że śpi, i zastanowi się, czy może mu zaufać.

Czy raczej nie.

Nie drgnęła, gdy drzwi się uchyliły. Mimo zamkniętych oczu czuła, jak wchodzi do pokoju, podchodzi do łóżka i na nią patrzy. Oddychaj równo, powoli. Nie zaciskaj pięści. Rozluźnij się.

Możesz się ruszać... to normalne we śnie... tylko nie przesadzaj.

W końcu odszedł, słyszała, jak jego kroki cichną, a potem dobiegł ją odgłos otwieranych drzwiczek paleniska. Wyobrażała sobie, jak dokłada drewno do ognia.

Nie oparła się pokusie, odrobinę uniosła powieki.

W pokoju panował półmrok, a ponieważ mężczyzna ukląkł przy kominku, widziała tylko jego zarys, niewiele, ale tak, to na pewno mężczyzna. Szerokie ramiona w ciemnym golfie, włosy, ciemnobrązowe albo czarne, dość długie, by dotykać golfu, i ciemne spodnie. Ogień trząskając głośno, żarłocznie pochłaniał świeże drewno, oświetlał go, gdy odwrócił się profilem, sięgając po kolejne polano. Dostrzegła ostro zarysowany podbródek, długi nos, głęboko osadzone oczy i gęste brwi.

Słyszała, jak zamyka drzwiczki i odważyła się zerknąć jeszcze raz. Sweter odsłonił jego plecy. Nie miał na sobie podkoszulka i dostrzegła skrawek nagiego ciała, jędrnej skóry na twardych mięśniach, jakby cały czas ćwiczył.

- Podoba ci się to, co widzisz? - zapytał, nie odwracając się. Jego głos niósł się echem po pomieszczeniu.

Mało brakowało, a podskoczyłaby. Cholera! Nie uniosła powiek, nie drgnęła.

- Właściwie mógłbym zaproponować, żebyś strzeliła mi fotkę, zostanie na dłużej, ale to szczeniacki tekst, nie uważasz?

Milczała. Słyszała, jak jego ręce pocierają o siebie, jakby strzepywał z nich kurz albo trociny. Pewnie zaraz się wyprostuje. Podszedł do pośłania. Boże, ratunku.

- Wiem, że jesteś przytomna. - Stał nad nią, czuła na sobie jego badawcze spojrzenie. -

Jillian? - szepnął miękko, a ona umarła tysiąc razy. Wie, kim jest. No pewnie. Miał wszystkie jej rzeczy - torebkę, laptop, komórkę, pewnie też papiery wozu.

Robiła, co w jej mocy, by leżeć nieruchomo, nie zdradzić się najmniejszym drgnięciem, nie napinać rozluźnionych mięśni.

- Ej, Jillian. - Dotknął jej, ciepłe palce spoczęły na jej ramieniu. Miała ochotę wrzeszczeć.

- Musimy pogadać. Utkwiliśmy tu razem, póki śnieżycy nie odpuści, i chciałbym mieć pewność, że z tobą wszystko w porządku. Musisz coś jeść i pić... Jillian? Słyszysz mnie?

Oddychała powoli.

- Wiem, że mnie słyszysz, i żeby ci to udowodnić, połaskoczę cię w stopy. O Boże, tylko nie to! Jest bardzo wrażliwa na łaskotki. Może to fetyszysta?

Zdaje się, że większość seryjnych morderców ma fioła na punkcie skomplikowanych, makabrycznych kolekcji i rytuałów.

Usiłowała zachować spokój. Jakkolwiek by było, doznała od niego tylko dobra.

Na razie.

- Proszę cię, Jillian. Nie mamy czasu na gierki. Jeśli mam cię stąd zabrać, musisz mi pomóc.

Jeśli?

Jej serce niemal oszalało, gdy zdała sobie sprawę z implikacji, jakie kryją się za tym małym słówkiem. Jezu, chyba widzi jej oszalały puls. Jeśli? Jak to? Dlaczego jeśli, a nie: kiedy? Nie, na pewno to miał na myśli. Kiedy ją stąd zabierze.

- Więc nie udawaj trupa. - Cofnął rękę i mało brakowało, a odetchnęłaby głośno z ulgą, ale nie zrobiła tego.

Wiedziała, że czeka na jej reakcję, najmniejszy znak, że go słyszy.

- Wiesz, Jillian...

Jillian . Jakby się znali. Jakby się przyjaźnili, do cholery.

Chwileczkę, nie spodziewasz się chyba, że będzie się do ciebie zwracał per pani Rivers?

Chyba nie będziesz się upierała przy grzecznościowych formułkach, tkwiąc po uszy w zamieci? Daj spokój, Jillian, zejdz na ziemię!

Poczuła się zbrukana, jakby wlaż w jej życie z butami.

- Mamy dużo do zrobienia. Jeśli śnieżyca uspokoi się za kilka dni, jak przewidują meteorolodzy, zastanowimy się, jak cię stąd wydostać przed kolejną burzą.

Odczekał chwilę, jego spojrzenie jej ciążyło i w końcu powiedział:

- Dobrze, niech będzie, jak chcesz, jednak nie sądzę, żeby kostka dała ci spokój. Moim zdaniem nie jest złamana, ale mocno skręcona. Mam tu tabletki, ibuprofen. Może chcesz?

A potem wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Dobrze chociaż, że dał jej chwilę samotności.

A może nie chodzi mu o ciebie, tylko o siebie? Może nie chce, żebyś wiedziała, co robi, a nie odwrotnie?

Powoli liczyła do stu. Do dwustu.

Dopiero wtedy, ciągle z mocno bijącym sercem, ostrożnie uniosła powieki. Tylko odrobinę, żeby się przekonać, czy jej nie oszukał. Była sama. Na szczęście.

Na kominku huczał ogień. Zastanawiała ją jego troskliwość. Czy to prawdziwy dobry samarytanin? A może tylko udaje, chce zdobyć jej zaufanie?

Ale po co?

W jakim celu?

Gdyby chciał cię skrzywdzić, zrobiłby to już dawno, prawda? Nie związał cię.

No cóż, nie musiał - ma skręconą kostkę, a na dworze szaleje wichura. Czy może mu zaufać?

O nie! Przynajmniej na razie. W głuszy Montany grasuje seryjny zabójca, tyle wie.

Nie panikuj. Zachowaj spokój.

Ale w gardle zaschło jej ze strachu.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że go spotkała?

Jedno na milion?

Niemożliwe, żeby miała aż takiego pecha. O nie!

Bardzo chciała w to uwierzyć.

## Rozdział 9

Więc nie wie pani, gdzie może przebywać pani siostra - podsumowała Pescoli poszła do wniosku, że wylosowała najgorsze zadanie, dzwoniąc do Dusti Bellamy- Siedziała za biurkiem, tak bardzo skupiona na rozmowie, że nie zwracała uwagi na harmider dokoła - dzwoniące telefony, rozmowy, ciągłe stukanie klawiszy komputerów czy nawet zalanego faceta, którego Trilby Van Droz prowadziła koło jej biurka. Niestety, bardzo szybko zdała sobie sprawę, że kobieta po drugiej stronie linii ma w nosie los Jillian Rivers, nieważne, czy to jej siostra, czynie.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę chciałabym pani pomóc, ale widzi pani, nie jesteśmy z Jillian zbyt blisko. Przeraziła mnie pani śmiertelnie informacją, że znaleźliście wrak jej samochodu, ale właściwie mnie to nie dziwi. Zawsze była bardzo... aktywna. Lubiła ryzyko. Do licha, uprawiała wszystkie możliwe sporty, od spadochroniarstwa po... sama nie wiem. I jest bardzo niezależna, nie znosi, gdy ktoś nią rządzi. Nic dziwnego, że nie udało jej się utrzymać małżeństwa. Ona... cóż, jest po prostu dzika. Zmartwiła mnie pani, ale naprawdę nie wiem, jak mogłabym pomóc. Nie jesteśmy... nigdy nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Ja mieszkam w San Diego, ona w Seattle. Ja mam męża i dwoje dzieci, a ona... Nie, przynajmniej nie teraz. - W jej głosie rozbrzmiewała wyższość kobiety, która nie dość, że zdobyła męża, to jeszcze umiała go utrzymać. - No i nie ma, nigdy nie miała dzieci. Niewiele nas łączy.

- Rozumiem - mruknęła Regan, żeby jeszcze nie kończyć rozmowy. Dusti Bellamy zasapała się lekko, jakby od rana uganiała się za dziećmi po schodach albo ćwiczyła.

- Już pani mówiłam, że ostatnio rozmawiałam z nią koło dziesiątego listopada, kiedy poinformowała mnie, że nie przyjedzie do nas na Święto Dziękczynienia. Tak po prostu! Nie tłumaczyła się, a ja nie pytałam.

- Miała kogoś?

- Może. Pewnie tak. Nie wiem. Nic nie mówiła o nowym facecie, ale mama na pewno by mi powiedziała. Takich rzeczy Linnie nie umie zachować w tajemnicy.

- A czy Jillian jej się zwierzała? - Regan w to wątpiła. Ona nie dzieliła się swoim życiem miłośnym ani z matką, ani z córką.

- Pewnie nie. Moja... Nasza mama nie umie trzymać języka za zębami i mówi, co myśli. Jest staroświecka i... - umilkła na chwilę. - O Boże... muszę kończyć. Mój synek stoi na krześle koło akwarium męża. Reece! - wrzasnęła na całe gardło. - Nie!

- Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić pod numer...

Bum!

- Nie!

Zanim przerwano połączenie, usłyszała krzyk dziecka i brzęk rozbitego szkła.

- Tyle, jeśli chodzi o siostrzaną miłość - westchnęła Pescoli, przeglądając notatki. Jeśli nawet Dusti Bellamy White wie coś o zniknięciu siostry, nie puszcza pary z ust. Podobnie jak sąsiadka, która zajmuje się kotem Jillian. Policjanci z Seattle przesłuchali Emily Hardy, która powiedziała tylko, że Jillian prosiła ją by zajęła się kotem, bo „na kilka dni wyjeżdża z miasta”.

Pescoli na wszelki wypadek jeszcze raz przejrzała swoje notatki. Emily Hardy podała policjantom numer telefonu komórkowego Jillian, ale kiedy dzwonili, nikt nie odbierał. Także sama Pescoli próbowała się do niej dodzwonić, ale łączyło ją od razu z pocztą głosową.

- Nic z tego, nic z tego - powtarzała, nerwowo bawiąc się długopisem. Ponownie sięgnęła po słuchawkę. Chłopcy z Seattle przesłuchali już Linnettei White, ale Regan i tak wołała sama z nią porozmawiać. Odczekała sześć sygnałów, ale Linnette nie podnosiła słuchawki. Regan nagrała się na sekretarkę i poprosiła, żeby do niej oddzwoniła.

Jeśli nie odezwie się do jutra rana, spróbuje ponownie.

A może FBI wyśle kogoś do Seattle, żeby z nią porozmawiał? Mieli współpracować. Na razie, Chandler i Halden nie wchodzili im w paradę. Ba, nawet pomagali, więc Pescoli nie narzekała.

Na razie.

Zerknęła na listę znajomych Jillian Rivers. Oprócz matki i siostry wysoko na liście znajdował się Mason Rivers, jej były mąż. Pescoli starała się, by doświadczenia z Luckym nie rzutowały na jej nastawienie. Choć była święcie przekonana, że dobry eks nie istnieje, starała się trzymać swoje uprzedzenia! na wodzy. Z danych wynikało, że Mason i Jillian Rivers byli

małżeństwem przez cztery lata, rozwiedli się dwa lata temu. Mniej więcej pół roku temu! Mason ożenił się ponownie.

- Zero zysków, zero strat - mruknęła pod nosem, wybrała jego numer służbowy i usiadła wygodnie.

- Olsen, Nye i Rivers - odezwała się recepcjonistka. Pescoli poprosiła o połączenie z panem Masonem. Na darmo. Jak poinformowała ją recepcjonistka, pan Mason jest w sądzie i nie wróci do firmy wcześniej jak jutro po południu.

Bardzo wygodnie, pomyślała Pescoli, od razu czujna, pytanie tylko, czy obudziła się w niej policjantka, czy była żona? Podejrzała, że radosny głosik w słuchawce kłamie, ale z drugiej strony z natury była podejrzliwa, zwłaszcza wobec byłych partnerów osób zaginionych.

Podawała nazwisko, numer telefonu i poprosiła, by pan Rivers się z nią skontaktował.

Rozłączyła się i jeszcze długo patrzyła na słuchawkę, stukając długopisem. Co takiego jest w tej sprawie, że nikt niczego nie wie? Przejrzała notatki na temat Theresy Charleton, Niny Salvadore i Wendy Ito i uderzyło ją, że we wszystkich przypadkach zdanie „nie ma wrogów” powtarzało się jak mantra. Do wszystkich ofiar pasowało określenie: lubiane. „Nie mam pojęcia, jęto chciałby ją skrzywdzić”, także padało z wielu ust.

Czy ofiary zostały wybrane przypadkowo? Czy morderca spisuje inicjały bez sensu, bez logiki? Chandler tak nie uważa. Pescoli też nie. Włączyła komputer i otworzyła plik z kopiami listów. Bardzo do siebie podobne. Bardzo starannie napisane, jak zauważyła Chandler. Ofiary zostały wybrane według jakiegoś klucza i ich inicjały stanowią jeden z elementów. A więc... zginęły z powodu nazwisk? Co to za psychopata? Po raz kolejny odczytała inicjały:

W T SC I N

Usiłowała uzupełnić brakujące litery: „What scenę”, jaka scena, „Want scorn”, chcę gniewu, „Wilt scan”, zwiędły skan. A może trzeba dodać coś na początku i na końcu? O ile oczywiście ma z tego wyjść logiczne zdanie. Może „swat”, uderz albo „await”, czekaj... a może to tylko jedno długie słowo z użyciem wszystkich liter?

Gdzie miejsce na inicjały Jillian Rivers?

Choć w pokoju było ciepło, nagle przeszył ją zimny dreszcz - pomyślała o losie Jillian Rivers. Czy już umarła? A może cierpi w oczekiwaniu na egzekucję?

- Cholera - mruknęła pod nosem i rzuciła długopis na biurko. Boże, oby ją znaleźli, zanim morderca przywiąże ją nago do drzewa, wytnie w pniu gwiazdę nad jej głową i doda jej inicjały do śmiertelnej zagadki.

Jillian chciało się siusiu.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

A nie mogła się ruszać.

Świetnie. Po prostu świetnie.

Miała do wyboru - albo zawołać swego porywacza tudzież zbawcę, albo zsiusiać się w majtki.

Nie ma mowy.

Nasłuchiwała.

W chacie panowała cisza, jeśli nie liczyć wiatru za oknem i skrzypienia starych desek.

Wstrzymała oddech, ale nie słyszała żadnych kroków, szelestu papieru czy ubrań, chrapania.

Prawdopodobnie jest sama.

Może cię zostawił? Samą, podczas burzy.

Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Nie mogła dłużej tego roztrząsać, nie przy takim parciu na pęcherz.

Zacisnęła usta, żeby nie krzyknąć z bólu, i dzwignęła się do pozycji siedzącej. Cały czas czuła pulsowanie w klatce piersiowej. Usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Owszem, jest tu okno, przez które wpada światło, a zatem jest dzień, ale śnieg zasypał szybę i nic nie widać. Jedyne drzwi prowadziły do drugiego pokoju, głównej części chaty, gdzie przebywał on, kimkolwiek jest. Nasłuchiwała, ale niczego nie usłyszała; śpi albo wyszedł.

Czy to możliwe?

W taką pogodę?

Jakim cudem?

Tak samo, jak cię tu sprowadził.

Przypomniała sobie uczucie unoszenia się w powietrzu i tak, głośny warkot silnika, ale było jej zimno, tak strasznie zimno, i niemal straciła przytomność, niemal całkowicie odplynęła w mrok, który ją otaczał od wypadku.

Nie może do końca świata siedzieć na łóżku i rozmyślać, bo pęcherz jej pęknie, więc zacisnęła zęby.

To dopiero test silnej woli.

Zagryzła usta i opuściła zdrową stopę.

Przeszył ją ból.

Matko Święta!

Zapomnij o bólu, zapomnij o strachu. Chodziła na wystarczająco wiele zajęć z samoobrony, by zapanować nad myślami... Jezu, ależ to boli.

Wstrzymała oddech.

Poradzisz sobie, powtarzała w kółko.

Z trudem przesunęła stopę na skraj posłania i obróciła lekko, zanim ją uniosła. Dopiero teraz zobaczyła, co zrobił - obandażował jej kostkę, żeby ją unieruchomić. Owinął czystym bandażem i usztywnił drewnianymi łupkami, których czubki wystawały spod opatrunku. Staroświecki sposób, niedzisiejszy kolorowy gips, który pamiętała ze szkoły, ale wyglądało na to, że ten ktoś odwalił kawał dobrej roboty, opatrując jej rany.

Z tym że oczywiście nie jest to opatrunek, z którym można chodzić.

I wtedy zobaczyła kulę.

Stała oparta o ścianę, w nogach posłania.

Przeszył ją dreszcz. Facet jest o wiele lepiej przygotowany, niż można by się spodziewać.

Kto, u licha, ma w domu kule? Może to lekarz? Albo... albo sam kiedyś z niej korzystał. Ale doprawdy, kula tutaj?

Nie myśl. Bierz ją!

Może, tylko może, nie jest taki zły.

Nie, nie może tak myśleć, póki się nie dowie o nim czegoś więcej. Po wypadku błyskawicznie zjawił się w wąwozie. Dlaczego włóczył się podczas burzy? Wydawało jej się, że słyszała strzał tuż przed tym, jak samochód wpadł w poślizg. Choć to tylko mgliste wspomnienie, musi być ostrożna.

Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, jest tu uwięziona.

Ze zbawcą?

Czy z mordercą?

Nawet o tym nie myśl. Jeszcze nie teraz.

Zmusiła się, by wykonać następny ruch - wyciągnęła rękę i wzięła kulę. Jakimś cudem udało jej się wstać, choć starała się nie obciążać kostki. Kuśtykała do drzwi, hałasując o wiele bardziej, niż chciała.

Mimo tego nie reagował. Nie słyszy jej, zakładając, że jest w domu.

Głęboko zaczerpnęła tchu i przekreśliła staroświecką metalową gałkę w drzwiach. Delikatnie pchnęła wiekowe dębowe deski. Drzwi uchyliły się cicho i przez szparę zajrzała do większego pomieszczenia. Panowała tam ciemność, wewnątrz w kamieniu i drewnie było ponure, jedyne źródło światła stanowił ogień na kominku.

Pomieszczenie było wysokie na niemal dwa piętra. W drugim końcu dostrzegła drabinę prowadzącą na antresolę. Pod nią - półki na książki. Pośrodku pokoju wielki stół. Pod ścianą kredens, a koło kominka dostrzegła jeszcze jeden mebel - staroświecką szafkę, jaką przed laty widziała w domku dziadka Jima. Trzymał w niej swoje strzelby.

Poczowała ukłucie strachu.

Oczywiście, że ma broń. Na miłość boską przecież mieszka w dzicy! Może uda ci się zdobyć broń i amunicję. Tak na wszelki wypadek.

Wspomnienie wypadku powróciło nieoczekiwanie - huk, jakby wystrzału, a potem samochód wpadł w poślizg i runął...

Serce przestało jej bić, w ustach zaschło ze strachu.

Musi uciec.

Wydostać się stąd.

I to już!

Kulą lekko pchnęła drzwi, przygotowana na atak.

Koło kominka stała wiekowa kanapa obita skórą. Obok przycupnęło krzesło i podnózek. W kącie stał szeslong, na którym poniewierał się śpiwór. Po przeciwnej stronie pokoju zobaczyła wysokie okna, wychodzące na zadaszoną werandę. Chata stała na wzgórzu, ale widok zasłaniał śnieg na werandzie.

Zresztą na dworze szaleje śnieżycą.

Widoczność nie przekraczała trzech metrów. Słyszała wściekły skowyt wiatru, czuła, jak napiera na wiekowy budynek z drewna i kamienia. Posmutniała.

W taką pogodę nie wyjdzie stąd, nie ucieknie. Na raz musi tu zostać.

- Bosko - mruknęła pod nosem. Obróciła się powoli. Ból w klatce piersiowej przypominał, że podczas wypadku zapewne złamała kilka żeber.

Tak jak sądziła, w chacie nikogo nie było. Na wielkim kominku płomienie leniwie lizały kawał drewna, spowijając pokój czerwonym blaskiem, sprawiając, że na ścianach tańczyły cienie.

Tu wcale nie jest strasznie. Tu jest przytulnie.

Akurat.

Uparcie ignorując ból w kostce, pokuśtykała do, jak sądziła, szafki z bronią. Tak jak przypuszczała, była zamknięta na klucz, którego nigdzie nie było widać. Tyle jeśli chodzi o odrobinę szczęścia.

Poszła dalej. Za kolejnymi drzwiami kryła się malutka kuchnia, a w niej podrapany blat i staroświeckie szarki, wyglądające, jakby miały co najmniej sto lat. Ale także zlew z kranem, a zatem i bieżącą wodą. Dobrze chociaż, że nie będzie jej musiała brnąć w dwumetrowych zaspach do wychodka. W kącie dostrzegła wąskie drzwi. Prowadziły do zimnej ciasnej łazienki, wyłożonej starym linoleum. Nad wanną wspartą na lwich łapach było małe okienko. Pod ścianą dostrzegła sedes i umywalkę, po przeciwnej stronie stała pralka, suszarka i szafka.

- Jak w domu - stwierdziła. Nie traciła czasu. Zamknęła drzwi, oparła się o umywalkę i wspierając się na kuli, usiadła na sedesie. Po chwili wstała i spojrzała w lustro. Miała potargane, tłuste włosy, sińce na twarzy, przekrwione oczy. - Ślicznotka - westchnęła.

Obmyła twarz wodą. Uparcie ignorowała ból w klatce piersiowej i pulsowanie w kostce.

Nie ma czasu do stracenia.

Musi wymyślić, jak się stąd wydostać i dotrzeć do cywilizacji. Mogłaby ukraść broń i amunicję z szafki, włożyć najcieplejsze ciuchy, jakie znajdzie i... i... i co? Pokuśtykać w dół wzgórza z jedną kulą? Podczas zamieci?

Może ma jakiś pojazd? Z napędem na cztery koła. Skuter śnieżny, cokolwiek, nawet konia. Podeszła do drzwi kuchennych i wyrzała przez i oszronione szyby. Owszem, dostrzegła kilka innych budynków. Pewnie garaż. I szopa. Ale droga do nich jest śliska i ośnieżona. - Niech to szlag...

Otworzyła dwie szuflady i znalazła nóż, wąski, cienki nóż do filetowania ryb, idealny od oddzielania ości i kości od mięsa. Albo do samoobrony. Zacisnęła dłoń na rękojeści, wróciła do saloniku i zobaczyła na ścianie rakiety śnieżne i narty.

Jakby mogła z nich skorzystać.

Telefon!

Cholera, Jillian, co z tobą? Gdzie telefon, do diabła?

Znowu pokuśtykała do kuchni, ale i tam nie znalazła aparatu telefonicznego. Znalazła kontakt i przekreśliła pstryczek, jednak nic się nie stało. Nie było prądu. Nic dziwnego, w taką pogodę.

W kuchni nie było telefonu.

Wróciła do saloniku.

Rozglądała się w poszukiwaniu kabla, telefonu komórkowego, komputera, czegokolwiek, co pozwoli nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym, gdy ponownie włączą prąd. Musi się stąd wydostać, zawiadomić bliskich, gdzie jest, musi... gdzie to jest, do cholery?

Noga bolała ją coraz bardziej, ale obeszła cały pokój. Nie ma kabla? Nie modemu? Komputera? Nawet głupiego telewizora?

Ostrożnie, Jillian, wychodzi z ciebie mieszczuch.

Dawno temu wędrowała z Aaronem po leśnej głuszy. Sypiali pod gwiazdami, myli się w górskich potokach, zostawiali za sobą wygodę i stresy współczesności.

Aaron.

Powróciły wspomnienia wspólnych wędrówek. Dżungle nad Pacyfikiem, górskie szlaki Oregonu, alpejskie łąki San Juan, pustkowia Kolorado, bagna Florydy. Najważniejsza miała być wyprawa, o której rozmawiali, na którą oszczędzali przez cały rok. To miała być przygoda życia - długa wędrówka przez bezdroża Ameryki Południowej. I tam Aaron zaginął i zginął.

Albo i nie.

Zacisnęła dłonie na krawędzi stołu, gdy napływała kolejna fala wspomnień. To przez Aarona wyjechała z Seattle. Ktoś przysłał jej zdjęcia - albo jego, albo kogoś bardzo podobnego.

Kogoś z Missouli. To dlatego jechała przez góry, gdy padł strzał...

Nogi się pod nią ugięły, gdy przypomniała sobie wyraźny huk wystrzału. Wtedy pękła jej opona, samochód wpadł w poślizg, runął w przepaść i... i... To znaczy, że ktoś celowo spowodował wypadek? Chciał ją zabić?

Ale dlaczego?

Kto wiedział, że będzie tamtędy jechała?

Ten, kto do ciebie dzwonił, idiotko! Ta sama osoba, która przysłała ci zdjęcia. Zwabił cię tu. To pewnie on cię cudownie uratował. Nie zapominaj, że w tych okolicach grasuje morderca. O Boże, Boże, Boże...

Jej serce biło jak oszalałe. Nie da rady uciec, nie w tym stanie, nie w taką pogodę. Przecież nawet nie wie, gdzie jest. Ale gdzieś tu musi być jej komórka i szansa na ucieczkę.

Łup!

Zaskoczona, drgnęła, słysząc hałas. Odwróciła się - to tylko pękło polano w kominku.

Krew pulsowała jej w uszach. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna, który ją przywiózł, może wrócić lada chwila. I co wtedy?

W panice jeszcze raz obeszła pomieszczenie, szukając gniazdka telefonicznego.

Nic! Niczego nie znalazła.

Szybko, szybko, szybko!

Dobry Boże, traci rozum.

Pomyśl, Jillian. Nie wariuj, tylko myśl. Musi być jakiś sposób komunikacji. Niemożliwe, że mieszka tu na stałe, odcięty od...

Trzask!

Zdławiła krzyk.

Dźwięk odsuwanej zasuwki przyprawił ją o dreszcz. To już nie był odgłos z kominka!

Wraca!

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi i odgłos kroków na kuchennej podłodze.

- Chodź tutaj!

O Boże, ktoś z nim jest? Wspólnik? Czy kolejna ofiara?

Przeżrana spojrzała na drzwi do sypialni. Może gdyby zakradła się bezszelestnie i wróciła na posłanie, mogłaby znowu udać, że śpi, ale to za daleko. Nie zdąży. Zaciśnęła dłoń na rękojeści noża i ukryła go w rękawie. Za wszelką cenę chciała go zatrzymać.

Może jej się przyda.

Drzwi kuchenne zaniknęły się z trzaskiem, a ona o mało nie umarła na zawał.

Uspokój się. Czas na rolę twojego życia. Nie okazuj, że mu nie ufasz. Nie daj tego po sobie poznać. Udawaj, że wierzysz w każdy kit, jaki zechce ci opchnąć. Może na chwilę straci czujność, a wtedy...

Przeżrana, odwróciła się w stronę kuchni i mało brakowało, a runęłaby jak długa. Miała serce w gardle, ale starała się nie okazywać strachu.

Znowu kroki.

Nikt więcej się nie odezwał.

Ciężkiemu stapaniu towarzyszył inny dźwięk, ciche stukanie.

Złapała się krawędzi stołu. Stała wsparta na kuli. Zaciśkała dłonie tak mocno, aż pobieleły jej kłykcie. W drugiej dłoni trzymała nóż.

Na jej czole pojawiły się krople potu, mimo że w pomieszczeniu było chłodno.

Dobra, draniu, jestem gotowa, pomyślała, szykując się do walki.

I wtedy wszedł, potężny, wysoki, szorstki, od stóp do głów w czarnym stroju narciarskim.

Zaschło jej w ustach.

- No proszę - w jego głosie nie było cienia uśmiechu. Mówił do niej czy do towarzysza? -

Oto nasza Śpiąca Królowa.

## Rozdział 10

Alvarez zaproponowała jej kawę i starała się nie okazywać zdumienia, jakby pierzyła we wszystko, co powie Grace Perchant, osobie, która komunikuje się z duchami. Oprócz niej i chudej bladej kobiety, w pokoju przesłuchań nie było nikogo, ale obie miały świadomość, że ich rozmowie przysłuchują się inni za lustrem weneckim. Kolejni wpatrywali się w monitory, bo przesłuchanie nagrywano.

- Bardzo przepraszamy, że znowu panią niepokoiimy. Bardzo nam pani pomogła, ale chcemy się upewnić, że wszystko dobrze zrozumieliśmy, że nic nie umknęło naszej uwadze.

Grace nawet nie skinęła głową. Czasami trudno było stwierdzić, czy w ogóle słyszy, co się do niej mówi. Pescoli powtarzała, że to dlatego, że tyłu zmarłych do niej przemawia, że już nie słyszy żywych. No ale to złośliwa, ironiczna realistka Pescoli.

- Niech pani mi opowie, jak pani trafiła na samochód.

Grace Perchant nawet nie spojrzała na parujący kubek, za to podniosła najjaśniejsze zielone oczy, jakie Alvarez kiedykolwiek widziała, na policjantkę.

- Już mówiłam innym policjantom. Poszłam na spacer z moim psem, Bane'em, spojrzałam w dół i zobaczyłam samochód. Błyszczał w śniegu. Tak trudno to zrozumieć?



- Chyba nie.

- I czy mogłabym prosić o herbatę? - dodała starsza pani. - Kawa jest szkodliwa. Alvarez skinęła głową i upiła łyk policyjnej lury.

- Za chwileczkę.

- Z miodem i cytryną.

- Nie mamy...

- Trudno. - Lekko uniosła brwi, gdy Grace mruknęła: - Może być zwykła, chociaż ziołowa byłaby lepsza. - Widząc wzrok Alvarez, zmniejszyła wymagania: - Niech będzie jakakolwiek.

- Dobrze. - Alvarez wstała i podeszła do drzwi. Na korytarzu czekała na nią Pescoli.

- Słyszałam. - Regan przewróciła oczami. - Co ona sobie myśli, do cholery, że to Starbucks?

- To Grace Perchant - przypomniała Alvarez, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Tak, tak, rozumiem. Przyniosę jej herbatę. Niechętnie przyznaję rację Chandler, ale to koszmar, że Ivor i Grace to nasi jedyni świadkowie.

Jeśli kiedykolwiek dojdzie do procesu, pomyślała Alvarez i od razu się skarciła za takie myśli. Pescoli poszła do świetlicy, a Selena wróciła do pokoju przesłuchań.

- Za kilka minut. - Usiadła. - Wspominała pani o spacerze nad September Creek.

Grace skinęła głową. Jasne włosy musnęły ramiona. Zachowywała się, jakby spacer podczas śnieżycy były najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

- Było bardzo zimno i padał śnieg - zauważyła Alvarez.

- Bane chciał wyjść. - Grace wzruszyła ramionami. - To półkrwi wilk i zimno mu nie przeszkadza. Mniej więcej co drugi dzień tamtędy chodzimy.

- A pani? Pani zimno przeszkadza?

- Czasami. - Grace spojrzała prosto w lustro, jakby widziała za nim szeryfa i agentów FBI. - To kwestia dominacji umysłu nad materią.

- Widziała pani kogoś tamtego wieczoru? Grace pokręciła głową.

- Nie. Jak pani sama powiedziała, było bardzo zimno.

- Żadnych samochodów? Grace z westchnieniem położyła dłonie na metalowym stoliku, pochyliła się i zajrzała Alvarez prosto w oczy.

- Nie uwierzy mi pani, kiedy powiem, co tam widziałam.

- Zobaczmy.

Była spokojna, niewzruszona.

- Proszę nie traktować mnie z góry, pani detektyw. Wie pani, jaki mam dar. Widzę duchy.

- I duchy tam były?

- Duchy są wszędzie. - Uśmiechnęła się lekko. - Zimno im nie przeszkadza.

Czy Grace jest normalna?

- Czy pani pies zachowywał się inaczej niż zwykle? Jakby coś zobaczył?

- Węszył, jak zawsze.

Przeszkodziło im ciche pukanie do drzwi. Alvarez otworzyła je i zobaczyła Joelle ze styropianowym kubkiem, w którym parowała herbata z torebki.

- Mamy tylko earl greya - powiedziała. - Zdaje się, że Grace lubi ziołowe, uspokajające, ale nie mamy niczego takiego. - Wydawała się zmartwiona, na jej czole pojawiły się zmarszczki, a usta, w tym samym kolorze co kostium, zacisnęły się w wąską linię.

- Nie ma sprawy - zapewniła Alvarez. - To tylko jeden kubek. Zostawi, jeśli nie będzie jej smakowało. - Wyjęła kubek z dłoni Joelle i wróciła do stolika.

Grace upiła mały łyczek. Nie narzekała.

I dobrze.

Wystarczyło kilka pytań pomocniczych i Grace opowiedziała Alvarez to samo co mówiła wcześniej, niemal słowo w słowo. Nie widziała niczego podejrzanego, nie licząc wraku samochodu na dnie zamarzniętego potoku.

- Szliśmy skrajem szosy i dostrzegłam go poniżej.

- Była pani na szosie?

- Tak, i widziałam, w którym miejscu samochód runął w dół, więc wróciłam do domu i zadzwoniłam. Na szczęście telefony jeszcze wtedy działały, potem sama chciałam się dostać do tego samochodu, sprawdzić, czy ktoś jest w środku, ale zastępca szeryfa mnie uprzedził, nadszedł z przeciwnej strony. Chyba był w pobliżu.

Tak jest. Na razie, wszystko się zgadza.

- I nic więcej mi pani nie powie?

- Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym - zapewniła Grace spokojnie, choć jej oczy nagle pociemniały. Żrenice się rozszerzyły, gdy patrzyła na policjantkę.

Alvarez poczuła się, jakby w jej duszy powiał zimny, mroczny wiatr i z najwyższym wysiłkiem stłumiła odruch, by odwrócić wzrok.

- No cóż... gdyby się pani coś przypomniało, proszę dać nam znać. - Odsunęła się od stolika na znak, że przesłuchanie zostało zakończone. Grace, szybko jak błyskawica, wyciągnęła rękę, przewracając przy tym niemal pusty kubek Alvarez. Na nadgarstku policjantki zacisnęły się silne palce.

- Znajdziesz go - obiecała. Alvarez odruchowo sięgnęła po broń. Na twarzy starszej pani malowała się troska. Alvarez nie wyjęła pistoletu.

- Oczywiście, że go znajdziemy. - Delikatnie wyjęła rękę z zimnego uścisku Grace. - Sukinsyn dostanie za swoje.

- Co? Mężczyzna, którego szuka policja? Nie o nim mówiłam. - Grace lekko uniosła brwi.

- Więc... o kim? - zdziwiła się Alvarez, ale w głębi serca wiedziała, że ta kobieta, z którą rozmawiała pierwszy raz w życiu, zajrzała w najciemniejsze zakamarki jej duszy.

- Nie rozpaczaj - powiedziała Grace z niesamowitym spokojem. - Znajdziesz go.

Za weneckim lustrem Pescoli niemal upuściła kubek. Już zbierała się do wyjścia, gdy Grace złapała Alvarez za rękę, lecz szeryf ją zatrzymał.

- Wszystko w porządku - mruknął, ale została do końca tej dziwacznej sceny.

- O co tu chodzi? - zastanawiała się na głos.

- Z Grace nigdy tego nie wiesz - stwierdził Grayson.

- Jezusie, Maryjo. Nasz pierwszy świadek to Ivor od ufoludków, a teraz zaklinaczka duchów z udomowionym wilkiem. - Pescoli zgmiotła kubek i cisnęła do przepelnionego kosza. -

Przykro mi to mówić, szeryfie, ale los nam nie sprzyja.

- Śpiąca Królowna, też mi. - Jillian groźnie łypała na, jak stwierdziła prędzej porywacza niż zbawcę.

Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a w stroju narciarski wydawał się jeszcze potężniejszy. Silniejszy. Imponujący.

U jego boku stał biało-czarny pies o długiej sierści, spaniel, zjeżony i spięty. Opuścił łeb, w ciemnych oczach błyszczała nieufność.

- Pies mnie zaatakuje?

- Jeśli nie rzucisz się na mnie z kulą, to nie.

Zastanawiała się, czy ją odłożyć, ale słysząc warkot dobywający się z psiego gardła, zmieniła zdanie.

- Uspokój go.

- Nie lubisz zwierząt? - Jego twarz nadal kryła się za narciarską maską, ale w jego ruchach, w swobodzie, z jaką zwracał się do psa widziała... rozbawienie? Okrucieństwo?

- Jeśli zwierzak się zachowuje, jakby chciał mi skoczyć do gardła, nie bardzo.

- Słyszałeś, Harley? Spokój. Pies warknął.

- Dobrze ułożony.

- Siad! - rzucił ostro i pies przysiadł na deskach podłogi. Ale nadal nie spuszczał Jillian z oczu.

- Lepiej? - zapytał. Żartuje? Jak to? To sytuacja jak z koszmarnego snu. Z tego, co wie, może się okazać psychopatą najgorszego pokroju, mordercą. Przecież Ted Bundy, gwałciciel i morderca, był uważany za czarującego, przystojnego, inteligentnego mężczyznę. O jednym z najsłynniejszych seryjnych morderców w historii sąsiad powiedział: „Ataki był z niego miły facet”. Owszem, niektórzy mordercy są dziwni, szaleni, inni tak bardzo, że każdy widzi ich obłąd, ale ofiary, które nie znały ich od dziecka, uważały ich jedynie za zdziwaczalych odludków. Choć to nie zawsze prawda. Ale ona nie zaufa zbawcy, w każdym razie jeszcze nie teraz.

- No dobrze. Ja jestem Śpiącą Królewną, to - czubkiem kuli wskazała psa - jest Harley, on albo ona. - Pies znowu warknął. - Nie znam tylko ciebie.

- Zane MacGregor. I dla jasności, Harley jest płci męskiej.

- Od dawna tu jestem? - zapytała.

- Trzy dni.

- Trzy dni? - powtórzyła przerażona. Oczywiście zdawała sobie sprawę, minęło trochę czasu, ale trzy dni? Straciła siedemdziesiąt dwie godziny swojego życia?

- Od tego czasu trwają burze. Drogi są nieprzejezdne. Nie ma prądu. Panuje chaos. Była zaskoczona, próbowała poskładać wszystkie elementy układanki. MacGregor tymczasem zdjął czapkę i maskę, ściągnął szalik z szyi. Włosy, ciemne, lśniące, sterczały na wszystkie strony, silną szczękę pokrywał kilkudniowy zarost. Spod gęstych ciemnych brwi patrzyły szare oczy.

- Chcesz mnie tym dzielić? - zapytał, wskazując kulę.

- Może.

Uniósł brew, jakby sam pomysł był szalony, jakby mógł wyrwać jej kulę, zanim się zamachnie.

- Słyszałeś, Harley? Chce mi przyłożyć.

Pies przechylił łeb i czekał na kolejne polecenie. Pół pyska miał białe, pół czarne, sierść szorstką i długą.

- Uważaj, może i tobie się oberwie - ostrzegł MacGregor. Podszedł do kominka, odsunął ekran i dorzucił drewno do ognia. Płomienie strzeliły głośno. Pies ani drgnął. - Jak się czujesz?

- zapytał przez ramię. - Nie spodziewałem się, że wstaniesz.

- Musiałam skorzystać z łazienki. Czuję się fatalnie. Chyba powinnam być w szpitalu.

- Wiem.

- Więc dlaczego...

- Nie dałbym rady. Uwierz mi, bardzo chciałem. - Odwrócił się. - Myślę, że nie uszło twojej uwagi, że ten lokal nie jest przystosowany do tego, by leżeli w nim chorzy. - Przesunął wzrok w dół jej ciała i nagle poczuła się naga. Wskazał jej kostkę. - Powinnaś leżeć.

- Chyba już się należałam.

- Musisz mieć uniesioną nogę i chronić zębra.

- Od kiedy jesteś lekarzem?

Wziął pogrzebacz ze stojaka i grzebał w palenisku, aż pokój zalało jasne, złociste światło.

- Jestem sanitariuszem. Pierwsza wojna w Zatoce. Po wojsku jakiś czas pracowałem w pogotowiu.

- Ale przestałeś?

Zerknął na nią z ukosa.

- Owszem. I nie miałem z tym nic wspólnego, aż trzy dni temu... - Wydawał się lekko zirytowany, ale nic jej to nie obchodziło. Może łąze jak pies. Nagle uśmiechnął się rozbijająco. Miał trochę krzywe zęby, co tylko dodawało mu uroku. I pewnie wszystkich myliło, pomyślała.

Nie ufaj mu!

- Harley, zjedzmy coś - powiedział do psa. Pies, do niedawna tak wrogi, zerwał się i w podskokach pobiegł do kuchni. Co chwila oglądał się na swojego pana.

- Głodny?

Harley zaszczekał radośnie. Tyle, jeśli chodzi o groźnego psa.

- Tak myślałem - westchnął MacGregor. Jillian pokuśtykała wzdłuż stołu. Zobaczyła, jak wyjmuję z szafki torbę z psią karmą. Zagrzechotał. Harley tańczył z radości.

- Co ty, głodzisz go?

- Bynajmniej. - MacGregor nasypał karmy do jednej z dwóch misek z nierdzewnej stali stojących przy drzwiach kuchennych. Nie zauważyła ich wcześniej. - Ale jego nie pytaj. Gdyby mógł, żarłby dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jillian pokuśtykała do drzwi i sprowadziła rozmowę na temat, który najbardziej ją interesował.

- Więc przywiozłeś mnie tutaj, bo do szpitala było za daleko. A więc wypadek miał miejsce w pobliżu?

- Mniej więcej dwa i pół kilometra na zachód. - Pies zjadał z apetytem, a MacGregor starannie zamknął opakowanie i wstawił je na miejsce do szafki, w której był taki porządek, jakby lada chwila spodziewał się inspekcji dowódcy. - Najbliższe miasteczko to Grizzly Falls, mniej więcej szesnaście kilometrów na wschód. Niestety, nie dałbym rady tak daleko. - Schylił się, podniósł miskę na wodę, wylał resztki i nalał świeżej z kranu. - Uwierz mi, próbowałem.

- Jakim cudem poruszasz się po śniegu?

- Mam skuter śnieżny.

W to akurat uwierzyła. W jej głowie kołatały się ułamki wspomnień zjazdu.

- I mieszkasz tutaj - stwierdziła. - Na końcu świata. Postawił miskę na podłodze.

- Wielu mieszkańców Montany poczułoby się dotkniętych tymi słowami.

- Wiesz, co mam na myśli.

- A jakże. Mówmy o królestwie Pana.

Żartuje sobie w tej sytuacji? Teraz, gdy jest ranna i tkwi tu jak w pułapce z nim i jego cholernym psem, a na dworze szaleje śnieżycy i grasuje seryjny morderca?

Wziął ręcznik z pieca, wytarł ręce.

- Mówię poważnie. Powinnaś leżeć.

Choć zmęczona i obolała, nie chciała dać się zapędzić do sypialni, póki nie dowie się czegoś więcej.

- Mam jeszcze kilka pytań.

- Wal.

Denerwowała się, nieznajomy i jego pies budzili jej niepokój, ale starała się skoncentrować.

- Jesteśmy tutaj - zatoczyła łuk ręką i mało brakowało, a upuściłaby przy tym nóż - bardzo daleko do cywilizacji, szpitala, lekarza.

- Rozbiłaś się na pustkowiu.

- A skoro już o tym mowa... Wydaje mi się, że ktoś przestrzelił mi oponę. Odwrócił się gwałtownie, na jego twarzy malowało się napięcie.

- Przestrzelił?

Pies skończył jeść. On także uniósł łeb, wyczuł zmianę nastroju swojego pana. Poczula na sobie inteligentny psi wzrok.

Może niepotrzebnie mu to powiedziała; jeśli to morderca, powinna udawać idiotkę. Za późno, by cofnąć wypowiedziane słowa.

- Tuż przed tym, jak straciłam panowanie nad autem, słyszałam strzał. Chyba w moją oponę, bo wóz zaraz potem wpadł w poślizg i...

MacGregor zacisnął zęby i wrzucił ręcznik do zlewu.

- Jesteś pewna?

- Nie, pewna nie. W tym rzecz. Niczego nie jestem pewna. - Stłumiła strach i łzy i dodała: - I w gruncie rzeczy nie wiem, czy mogę ci zaufać. Nie znam cię, a jesteśmy tu sami... chyba że ktoś jeszcze z tobą mieszka?

- Harley.

- No, to świetnie - urwała, ale uznała, że lepiej powiedzieć wszystko od razu: - O ile pamiętam, zamordowano tu kilka kobiet. Słyszałam o tym w Seattle.

Skinął głową. Na jego policzku pulsował mięsień.

Czyżby trafiła w czuły punkt? Fizyczne dolegliwości wpływały na jej zdolność oceny, sprawiały, że nie odczytywała ukrytych znaków. Jest zły? Przerażony? Czy jedno i drugie?

- To fakt, od kilku dni nie byłem w mieście - zaczął. Wrócił do saloniku. Pies deptał mu po piętach. Najszybciej jak mogła usunęła się na bok. Zdziwiła się, gdy Harley w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. - Jesteśmy odcięci do świata, ale tak, słyszałem o kobietach znalezionych w lesie. Były przywiązane do drzew. O ile pamiętam, ich samochody znajdowano w pewnej odległości od ciał.

Nagle przeszył ją lodowaty strach. Palce zaciśnięte na trzonku noża spocły się nagle, serce biło jak szalone. Co ona o nim wie?

Nic poza tym, co sam jej powiedział, a to mógł być stek kłamstw.

Albo prawda.

Ale masz tylko jego.

Nieważne, czy to święty, czy grzesznik, masz tylko jego.

- Strzelano im w opony? - zapytała szeptem, który poniósł się echem po całym wnętrzu.

Choć pokręcił głową, pobladał lekko i nie wiedziała: mówi prawdę czy kłamie.

- Nie wiem. Być może. Policja zawsze zachowuje pewne szczegóły dla siebie. - Jego oczy pociemniały nagle, nozdrza się rozděły. Podrapał się w brodę i podszedł do okna. - Żeby oddzielić owce od kóz.

- Przy czym w tym przypadku owieczką jest morderca - dokończyła, słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- No, tak. - Ze śmiertelną powagą zapytał: - Myślisz, że cię zaatakował?

- Nie wiem. - Ile może mu powiedzieć? Przecież w ogóle go nie zna. Nadal patrzył w okno, skupiony, jakby chciał przeniknąć wzrokiem śnieżycę.

- Dlaczego jechałaś w taką pogodę?

- A ty? - odpowiedziała pytaniem. Odwrócił się z ponurą miną.

- Szukałem nowej drogi do miasta, jechałem po zapasy skuterem. Śnieżycą się wzmagała, ale coś usłyszałem. - Pokręcił głową, potarł ręką kark i podszedł do ognia.

Ukrywa coś. Poczują gęsią skórę. Bawi się z tobą w chowanego, tak samo jak ty z nim.

Czuła, jak serce jej zamarło.

- Wydawało mi się... nie słyszałem dokładnie, bo skuter śnieżny ma bardzo głośny silnik, ale wydawało mi się, że słyszałem strzał. - Odnalazł jej wzrok i w jego szarych oczach zobaczyła mroczny sekret. Przypomniała sobie, jak po wypadku wyczuła w pobliżu czyjąś obecność. I widziała ciemną postać.

Ponownie podszedł do ognia. Jego nogi zasłaniały jej płomienie, sprawiały, że pokój spowiła ciemność. Nagle wydał się mniejszy. Na dworze hulał wiatr.

- No dobrze. - Nie chciała go irytować, mówiła cicho, spokojnie. - Usłyszałaś strzał i...?

Nie odpowiadał przez chwilę, ciszę zakłócał jedynie trzask ognia.

- Potem usłyszałem odgłosy wypadku: huk, trzask łamanych drzew, krzyk. Zaszło jej w gardle. Powróciły wspomnienia koszmarnego upadku na dno kanionu.
- Tak - szepnęła. Podszedł bliżej.
- Myślisz, że byłaś jego celem? - powtórzył.
- Nie śmiała skłamać, choć chciała. Był zbyt blisko. Jej dłonie się zacisnęły, na kuli i na nożu.
- Ja... tak, chyba tak.
- Ale kto czatowałby na ciebie z bronią, czekając, aż będziesz przejeżdżała?
- Spięła się. Nie wiedziała, czy nie rozmawia właśnie z nim, ze strzelcem, który w nią celował.
- Powiedz mi, Jillian. - Stał na tyle blisko, że wyczuwała ciepło jego ciała widziała pory jego skóry i okrutny łuk ust. - Kto, twoim zdaniem, pragnie twojej śmierci?

## Rozdział 11

Pytanie MacGegara zawisło w powietrzu. Pies tymczasem przestał się dąsać, kilka razy obrócił się w kółko i ułożył na dywaniku przed kominkiem. Jej serce biło jak szalone. Był tak cholernie blisko.

Zastanawiała się, czy nie wyjąć noża, nie kazać mu się cofnąć, ale uznała, że tego nie zrobi, jeszcze nie teraz. Lepiej zachować broń w rezerwie, stwierdziła.

- Nie mam pojęcia, kto mógłby chcieć mnie zabić - przyznała.
- Doprawdy? - MacGregor nie ukrywał niedowierzania, ale cofnął się kilka kroków. Miała teraz więcej przestrzeni i mogła skupić się na czymś więcej niż dudnieniu krwi w uszach. - Nie masz żadnych wrogów?
- Nie takich, którzy chcieliby mnie zabić.
- Jesteś tego pewna?
- Tak. - Ale czy naprawdę? Boże drogi, ten facet wpędza ją w paranoję.
- Ktoś do ciebie strzelał. - Rozpiął płaszcz, wysunął ręce z rękawów, jakby w końcu się rozgrzał. Coś zabrzęczało w jego kieszeni. Monety? Klucze? Gwizdek na psa?
- Albo dla zabawy strzelał do samochodów. Nie sądzę, żeby celował akurat we mnie.
- Nie? - Znowu wyraźny sarkazm w jego głosie. Wydało jej się, że po chatce przemknął lodowaty powiew.

Kim on jest, do cholery?

Niewykluczone, że stanowi jeden z elementów skomplikowanego planu, by cię porwać albo nawet zabić, i na razie ten plan działa, przemknęło jej przez głowę. Szybko wzięła się w garść. Nigdy nie dawała wiary teoriom spiskowym i teraz nie zamierzała tego robić.

Ale Aaron to co innego.

Zawsze był pewny, że ktoś, najpewniej agenci rządowi, deptają mu po piętach. Uważał, że John F. Kennedy zginął z rąk zamachowców będących na usługach Sowietów, mafii albo Fidela Castro, wierzył także, że D. B. Cooper, złodziej, który w latach siedemdziesiątych wyskoczył z samolotu na północnym zachodzie, otrzymał pomoc i jakimś cudem przeżył. Jillian jednak zawsze twardo stąpała po ziemi. Przynajmniej do teraz.

Dopóki nie utkwiała na tym odludziu, uwięziona przez śnieżycę z nieznajomym na bezdrożach Montany.

Dopóki nie stała się potencjalną ofiarą seryjnego mordercy grasującego po śnieżnym pustkowiu. Czyżby przestrelił jej opone i uratował tylko po to, by ją później zamordować? Potrzebowała całej siły woli, by nie zerknąć w stronę szafki z bronią, ale cały czas się zastanawiała, jakie strzelby się tam kryją.

Zacisnęła dłonie.

- Uważasz, że ktoś chciał mnie zabić? Właśnie mnie?
- Sam nie wiem. - Rzucił kurtkę na kanapę i pochylił się, by rozsznurować buty. - A ty?

- Jak ci mówiłam, wkurzyłam w życiu trochę ludzi. Na przykład moją siostrę. Ale nie na tyle, by ktoś chciał mnie zabić. - Obserwowała, jak ściąga buty, rozpina ocieplane spodnie, pod którymi miał dzinsy. Bez ciepłej odzieży wydawał się o jakieś piętnaście kilo lżejszy, ale i tak onieśmiała wzrostem i posturą.

- Powinnaś się położyć - stwierdził. Przeczesał włosy palcami. - Dać kostce odpocząć.

To prawda; bolała ją cała noga i zmęczyło już wspieranie się na kuli. Ale nie mogła znieść myśli o powrocie do sypialni, gdzie będzie leżała samotnie, wsłuchana w wycie wiatru, z głową pełną pytań i różnych wizji.

- Na razie tu sobie usiądę. - Wskazała wiekowy fotel. Nie czekając na jego reakcję, pokiwała do niego.

- Może się czegoś napijemy?

- Na przykład? - Usiadła, nie wyjmując noża z rękawa. Nie może się odprężyć. Jeszcze nie. Harley wstał i podreptał za MacGregorem do kuchni, stukając pazurkami.

- Mam kawę... zaraz... - Słyszała, jak MacGregor buszuje w szafkach, co chwila trzaskając drzwiczkami. - Hm. Herbata się skończyła... jest zupa w proszku. I whisky. Tyle. Co powiesz na whisky ze śniegiem? Taki alkoholowy lód.

Żartuje czy co?

- Nie, dzięki! - zawołała, ale jej żołądek zagrał marsza na samą myśl o jedzeniu. Ile czasu minęło od jej ostatniego posiłku? Nawet go nie pamiętała.

Wrócił z dzbankiem kawy i postawił w żarze na palenisku.

- Trochę potrwa, zanim się podgrzeje - wyjaśnił. Pies jeszcze raz łypnął wrogo na Jillian, określił się kilka razy i znowu ułożył na dywaniku. Położył czarno-biały łeb na białych łapach i przyglądał się jej bacznie.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - powiedział MacGregor. - Czemu do cholery, jechałaś w taką pogodę?

Rozwiesił mokrą odzież przy kominku i spojrzał na Jillian.

- I to podczas najgorszej od dziesięciu lat zimy?

- Jechałam do Missouri - odparła po dłuższej chwili.

- Po co?

- Nie po co, tylko do kogo. Do mojego byłego męża. MacGregor się zamyślił.

- Może to on chciał cię zabić?

- Rozstaliśmy się w przyjaźni. Przyglądał jej się z niedowierzaniem.

- Akurat. W takim razie dlaczego ryzykowałaś życie, jadąc przez góry w zimie? Żeby odwiedzić byłego?

- Ja... muszę z nim porozmawiać. Ciemna brew uniosła się pytająco.

- Nie chciałam dzwonić. Musiałam zobaczyć jego reakcję.

- Na co?

- Na moje pytanie, czy to on wysyła mi zdjęcia mężczyzny łudząco podobnego do mojego pierwszego męża. Martwego pierwszego męża.

Przysiadł na piętach.

- Twój eks... twój drugi mąż przysyłał ci zdjęcia martwego pierwszego?

- Tak sądzę. Może się mylę. Byłam przekonana, że zginął podczas wyprawy do Ameryki Południowej.

- Twój pierwszy mąż... ten martwy. Według ciebie. Ale widziałaś jego zdjęcia, tak? Które ci przysłał twój drugi mąż.

- Zdjęcia mojego pierwszego męża albo jego sobowtóra.

- Czy jest też trzeci mąż?

- Nie - odparła chłodno. - Byli tylko ci dwaj.

- Ale teraz uważasz, że pierwszy mąż jednak żyje.

- Sama nie wiem. Miałam te zdjęcia przy sobie. Były w torbie z laptopem.

Podszedł do szafy i wyjął jej torebkę i torbę na laptop i postawił koło jej fotela. Na myśl, że oglądał jej rzeczy, łzy napłynęły jej do oczu, jakby dopiero teraz dotarła do niej w pełni groza sytuacji i to, jak bardzo oddaliła się od swojego życia. Odchrząknęła. Nie rozplakała się, ale z trudem powstrzymała łzy.

MacGregor zapytał:

- Mam wyjąć zdjęcia?

- Zakładam, że już je widziałeś.

Skinął głową nie wypierał się. Jeszcze raz podszedł do szafy, wyjął jej walizkę i resztki babcinej kołdry.

I znowu ścisnęło jej się serce; czy jeszcze kiedyś wróci do domu?

- Przejrzałem twoje rzeczy. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś i d kogo zadzwonić.

- Masz telefon?

- Komórkę. Ale nie działa. Twoja też nie. - Nie wąpiła w jego słowa ale jedną ręką otworzyła torebkę i nerwowo szukała telefonu, grzebiąc wśród szminek, długopisów, portfela, książeczki czekowej i...

- Byłoby łatwiej, gdybyś odłożyła nóż.

Gwałtownie podniosła głowę i poczuła na sobie jego wzrok. Przez moment była przekonana, że przenika ją wzrokiem. Nóż nagle wydał jej się ciężki i nieporęczny. Z trudem przełknęła ślinę. Zobaczyła, że pies zamknął oczy, Drzemał.

- Ja...

- Wyjmij go z rękawa. Czy mam ci go odebrać?

- Nie... - Powoli położyła nóż na małym stolczku, na którym stała lam pa naftowa, magazyn wędkarski i dwie książki o astronomii.

- A teraz zacznij od początku - poprosił.

Jak mogła być tak głupia i sądzić, że może mu zaufać? Dopiero teraz docierało do niej, jak bardzo jest od niego uzależniona. Wyjęła komórkę, włączyła ją w nadziei, że wbrew wszystkiemu pojawi się zasięg. Oczywiście zasięgu nie było. Na wyświetlaczu nie widniała ani jedna kreska, a bateria była bardzo słaba.

Tak jak mówił. Poczowała się jeszcze gorzej.

- Próbuję zadzwonić, dzień w dzień - powiedział. - Dlatego czasami wychodzę. Szukam zasięgu.

Zamyśliła się. Przypomniało jej się, jak miała wrażenie, że jest sama, długie godziny, gdy znikał wśród zamieci. To bez sensu.

- Tutaj w ogóle jest kiepski zasięg, a obawiam się, że wskutek burzy niektóre maszty mogły się złamać.

- Świetnie.

- Mogłem ci powiedzieć, kiedy tylko odzyskałaś przytomność, ale uznałem, że mi nie uwierzysz.

Tu akurat miał rację.

- No dobra - nie dawał za wygraną. - Co z twoim mężem? Jillian westchnęła. Patrzyła na niego przez nieskończenie długą chwilę.

I nagle zdecydowała, tak po prostu, że wszystko mu powie. Zaczęła od małżeństwa z Aaronem, od tego, co się wydarzyło w Surinamie, szybko opisała swój drugi związek, skupiła się na dziwnych telefonach i doszła do zdjęć, które MacGregor wyciągnął z wraku samochodu, bo były w bocznej kieszeni torby z laptopem. Ona opowiadała, a on słuchał i sprawdzał temperaturę kawy. Zadał kilka pytań, ale głównie milczał, ponury i skupiony.

Kiedy skończyła, nalał wrzątku do kubka z rozpuszczalną kawą i podsumował:

- Więc podejrzewasz, że Aaron, twój pierwszy mąż, żyje. - Myślę raczej, że ktoś chce, żebym tak sądziła.

- Żeby cię tu zwabić? - domyślił się.



Upiła łyk kawy. Gorący płyn spływał prosto do żołądka.

- Sama nie wiem - przyznała.

- Ale facet na zdjęciach jest do niego na tyle podobny, że zdecydowałaś się przyjechać?

- No, tak. - Kręciła głową na myśl o swojej głupocie. - Teraz widzę, że to szaleństwo. -

Odgarnęła włosy z oczu. - Albo idiotyzm.

- Źle ci się układało z Aaronem?

- Nie! - zaprzeczyła bardziej energicznie, niż zamierzała. - Nie wydaje mi się. O ile mi wiadomo, nie miał powodu, by zniknąć.

- Może miał długi?

- Nie większe, niż byliśmy w stanie spłacić.

- Miał ubezpieczenie na życie?

- Tak i trochę to trwało, ale w końcu mi wypłacili. Za te pieniądze kupiłam dom. - Dlaczego mu się zwierza, do cholery?

- I dopóki nie zobaczyłaś tych zdjęć, byłaś przekonana, że nie żyje. Nie chodzi mu o pieniądze.

- Ten list i telefony... w ogóle się tego nie spodziewałam. I teraz myślę, że to chyba głupi kawał.

- Żeby cię tu zwabić - powtórzył. - Bo ktoś chce cię zabić?

- Brzmi idiotycznie, prawda?

Wzruszył ramionami i ściągnął brwi, kołysząc się na piętach.

- Jestem myśliwym. Byłem w wojsku. Jest mnóstwo sposobów, by kogoś zabić i zrobić to szybko i może nawet uniknąć kary, ale strzelanie w oponę w nadziei, że samochód runie w przepaść, to nie jest pewna metoda.

- Zwłaszcza że nadal tu siedzę - dodała.

- No właśnie. Morderca wie, że przeżyłaś. Podejrzewam przynajmniej, że zajrzał do samochodu.

- Może nie? Może zakładał, że mu się udało.

- Albo go spłoszyłem.

- Dlaczego nie zastrzelił i ciebie?

- Może nie mógł. Zresztą nie powinniśmy zakładać, że właśnie ty byłaś celem. Sama mówiłaś, że ostatnio zginęło tu kilka kobiet. One także miały wypadki, choć nie znam szczegółów.

- Już rozmawialiśmy o seryjnym mordercy - przypomniała mu i starała się nie zwracać uwagi na ogarniającą ją falę paniki. - Chcesz powiedzieć, że morderca zna ofiary, a przynajmniej dość szczegółów z ich życia prywatnego, by je tu zwabić? - Boże drogi, sama nie wierzyła, że te słowa przeszły jej przez usta, a jednak: - Znasz nazwiska tamtych kobiet?

Pokręcił głową.

- Nie. Niby dlaczego? Myślisz, że mogłem je znać?

Nerwowo zerknęła w okno, za którym zapadał zmierzch.

- Wydaje mi się, że czytałam ich nazwiska, ale nie pamiętam. - Zmusiła się, by patrzeć mu prosto w oczy. Skąd ma wiedzieć, że nie jest mordercą? Że się nią nie bawi? Co prawda nie odnosi takiego wrażenia. Ba, MacGregor wydawał się szczerze przejęty.

Przełknęła ślinę.

Czy może mu zaufać?

A czy ma inne wyjście?

Odpowiedź była prosta - nie.

Czy jej się to podoba, czy nie, jest tu uwięziona, przynajmniej na jakiś czas. Ale nie musi tu zostawać. Jeśli będzie mogła chodzić, chociaż trochę, jeśli pogoda się poprawi... Wspominał, że ma skuter śnieżny. Jeździła już czymś takim w Kolorado, gdy wybrali się z Aaronem na

narty. W najgorszym wypadku uruchomi to diabelstwo i pojedzie do cywilizacji, do innej chaty, gdziekolwiek.

Musi tylko zdobyć kluczyki.

Mason Rivers to dupek.

I to dupek, który coś ukrywa, stwierdziła Pescoli, skręcając na podjazd przed swoim domem. Jechała do domu w śnieżyce, chcąc się upewnić, czy dzieci spakowały wszystko, co będzie im potrzebne podczas weekendu z ojcem. W domu paliły się światła, ale wóz Jeremy'ego nie stał na swoim miejscu.

- Sekretarka mi mówiła, że chciała się pani ze mną skontaktować - zaczął Rivers ostrożnie, po wymianie uprzejmości.

Nie chrzań, Sherlocku, pomyślała Pescoli, ale zachowała ten komentarz dla siebie.

- Słyszał pan o swojej byłej żonie? - Wcisnęła guzik na pilocie do drzwi garażu.

- Nie było mnie w mieście, ale wiem od kolegi, że znaleziono jej samochód w wąwozie.

- Tak.

- Nic jej nie jest? - zapytał. Drzwi garażu unosiły się powoli.

- Nie wiemy tego. Nie możemy jej znaleźć. Chwila milczenia, którą przerywało jedynie skrzypienie drzwi garażu i warkot silnika.

- Pomyśleliśmy, że może pan wie, dokąd się wybierała albo gdzie była. - W rzeczywistości zespół rekonstruujący przebieg wypadku ślęczał długie godziny nad urwiskiem, z którego spadł wóz Jillian. Wiedzieli już, z którego punktu i pod jakim kątem samochód runął na dno kanionu, ale ze względu na poślizg nie mogli ustalić, w którą stronę zmierzała. Mieli jedną wskazówkę - pusty kubek po kawie z kawiarni Pod Czekoladowym Łosiem w Spruce Creek. Kelnerka z tego lokalu przypomniła sobie Jillian, bo była jedną z nielicznych tamtego dnia osób, które wzięły coś na wynos. Wydaje się więc, że jechała w kierunku Missouli, a nie oddalała się od miasta.

- Proszę pani, rozwiędliśmy się dwa lata temu, zawarłem nowy związek małżeński. Nie utrzymuję kontaktów ani z Jillian, ani z jej rodziną.

- Myśleliśmy, że może jechała do pana.

- Dlaczego?

- Właśnie tego chcemy się dowiedzieć.

- Proszę posłuchać, nie mam zielonego pojęcia ani dokąd jechała, ani dlaczego. Jak już powiedziałem, nie kontaktowałem się z nią odkąd dopełniliśmy formalności rozwodowych. A teraz bardzo mi przykro, ale jeśli nie ma pani innych pytań, czeka na mnie klient.

- Proszę dać nam znać, gdyby coś się panu przypomniało.

- Nie ma niczego, co mógłbym sobie przypomnieć. - Rozłączył się i Regan została sama ze złym przeczuciem. Wjechała do garażu, zamknęła zdalnie sterowane drzwi, wysiadła z wozu i weszła do domu. Cisco powitał ją energicznie machając ogonem, popiskując radośnie i kręcąc się w kółko. Ma tylko pół godziny, potem musi wracać na posterunek na piątkowe posiedzenie. Czeka ją praca do późna w noc. Nadgodziny. W tym roku sfinansują jej Gwiazdkę.

Pies nadal tracił marne resztki psiego rozumu.

- Cisco, cisza! - wrzasnęła Bianca ze swojego pokoju. Telewizor ryczał na cały regulator, zdradzając sekrety dwudziestoparolatków, którzy opowiadali w reality show o szczegółach swojego życia i pokazywali prawie całe ciała. Piękne, opalone ciała, tu i ówdzie piercing, niezliczone tatuaże, a do tego łyzy, przekleństwa i nastoletnie lęki i emocje.

- Prawdziwe życie, akurat - prychnęła Pescoli, ściszyła i zmieniła kanał na lokalne wiadomości.

Kiedy poziom decybeli opadł do znośnego dla normalnego człowieka, Pescoli zajrzała do pokoju córki. Pomalowany na różowo, gdy Bianca miała dziesięć lat, teraz zamienił się w wystawę plakatów gwiazd muzyki i filmu. Bianca leżała na nieposłanym łóżku z komórką przy uchu.

- Gdzie Jeremy? - spytała Regan. Bianca się naburmuszyła.

- Rozmawiam - powiedziała bezgłośnie.

- Też mi problem. To przestań. Możesz zaraz oddzwonić.

- Co? Chwileczkę. Weszła moja mama. Nie, naprawdę.

- Rozłącz się. Za dwadzieścia minut przyjedzie ojciec.

Bianca posłała matce zabójcze spojrzenie i rzuciła:

- Słuchaj, oddzwonię. Muszę kończyć. Co? Tak, tak. Strażniczka mniej woła. - Posłała matce triumfalny uśmiech.

- Strażniczka pyta, czy wszystko spakowałaś na weekend i gdzie jest twój brat.

- Jestem gotowa.

- A praca domowa?

- U Lucky'ego nie trzeba odrabiać prac domowych - oznajmiła. Mówiła ojcu po imieniu, od rozvodu ani razu nie nazwała go tatusiem. - Michelle twierdzi...

Pescoli wyrwała jej komórkę z ręki.

- Ej! - Bianca zaprotestowała, gdy matka z trzaskiem zamknęła klapkę.

- Nie obchodzi mnie, co twierdzi Michelle, mam też w nosie, co mówi Lucky. Zabierasz pracę domową ze sobą i ją odrabiasz, bo inaczej będziesz miała problem ze strażniczką.

- Już mam - syknęła Bianca.

- Fakt. Więc gdzie jest Jeremy?

- Nie wiem.

- Na pewno wiesz. Jakoś przecież wróciłaś do domu, a nie sądzę, że przyjechałaś autobusem.

- Chris mnie odwiózł.

- Twój chłopak odwiózł cię do domu? Chyba mówiłam, że nie wolno mu tu wchodzić pod moją nieobecność?

- Tylko mnie podwiózł. To znaczy, no tak, wszedł i dałam mu coś do picia, więc proszę, przyznałam się do winy, a teraz dzwoń po policję!

- Policja to ja - zauważyła Pescoli.

- Podwiózł mnie do domu, do cholery! Powinnaś się cieszyć. Jeremy mnie wystawił.

- Jak to?

- Nie wiem i nic mnie to mnie obchodzi. Mówił coś, że Lucky to nie jego ojciec i że wcale nie musi jechać. - Łypnęła gniewnie na matkę. - Oddaj telefon.

- Dopiero kiedy się spakujesz. Włącznie z pracą domową. - Pescoli wściekła poszła do kuchni, wypuściła Cisco na dwór i zerknęła na zegarek. - Nakarmiłaś psa?! - zawołała, ale z pokoju córki dobiegało jedynie wrogie milczenie. No i dobrze. Lepsze to niż kiedy pyskuje. Terier zaskrobał w drzwi, prosząc, żeby go wpuściła. Pescoli zadzwoniła na komórkę syna. Wraz z psem do domu wpadł powiew lodowatego powietrza.

Jeremy nie odbierał, jak zwykle. Niby dlaczego dzisiaj miałyby być inaczej? Jest okropny. A czyja to wina, co? Kto mu na wszystko pozwalał, bo miał wyrzuty sumienia z powodu śmierci Joego?

- Cholerny świat - mruknęła. Nie zostawiła mu wiadomości na poczcie głosowej, wołała wystukać wiadomość tekstową. Nie lubiła tego, ale przynajmniej miała pewność, że Jeremy ją przeczyta.

„Wracaj do domu. Buziaki. Mama”.

- To chyba wystarczy, co? - zapytała psa. Słyszac dobiegające z pokoju Bianki odgłosy pakowania, naląła sobie dietetycznej coli, wrzuciła kilka kostek lodu i usiadła na kanapie.

Cisco, który błyskawicznie uporał się z suchą karmą wskoczył na kanapę, domagając się pieszczot.

- Nikt się tobą nie interesuje? - domyśliła się. - Witaj w klubie. Wskoczył jej na kolana, oparł się łapkami o jej piersi i polizał po twarzy.

- No dobrze, dobrze, już dosyć. Owszem, jestem sama, ale nie aż tak zdesperowana.

- Niedobrze mi. - Bianca wyszła z pokoju z wypchanym plecakiem.

- Trochę poczucia humoru - poprosiła Pescoli i Bianca się wreszcie uśmiechnęła.

- No dobra, dobra - mruknęła. - Czy możesz mi... Pescoli rzuciła jej ukochany telefon.

- Spakowałaś pracę domową?

- Tak. - Bianca wyjątkowo nie przewróciła oczami i nie naburmuszyła się. Ba, schyliła się nawet, żeby pogłaskać psa. - Jakie masz plany na weekend?

- Po okolicy grasuje seryjny morderca.

- Będziesz pracowała?

- Sto punktów za domyślność. - Regan upiła spory łyk coli i patrzyła, jak kostki lodu tańczą w ciemnym płynie.

- Nie masz tego dosyć?

- Cóż, lepsze to niż praca za biurkiem. Albo kelnerowanie. Wiem, bo robiłam i jedno, i drugie.

Bianca zmarszczyła nos.

- Sama nie wiem... Musisz oglądać straszne rzeczy...

- Straszne i demoralizujące. Czasami się zastanawiam, co się dzieje z ludźmi.

- Więc czemu to robisz?

- Ktoś musi.

- Ale dlaczego ty?

- Bo jestem w tym dobra. - I prawda była taka, że kochała tę pracę. Żyła nią. W pewnym sensie jest od niej równie uzależniona jak Alvarez, po prostu podchodzą do sprawy na różne sposoby. Uśmiechnęła się do córki i uściskała ją serdecznie. - Nie dopuszczam, by to mnie zdołowało. - Zerknęła na wyciszony telewizor i zobaczyła, jak Ivor Hicks udziela wywiadu. - O nie.

- Co?

- Ktoś wypuścił świry. - Słyszac warkot potężnego silnika, przygotowała się na nieuniknione spotkanie z Luckym. Dzisiaj, po rozmowie z dupkiem Masonem Riversem, nie miała siły na konfrontację z byłym. - Ojciec przyjdź chał - powiedziała do córki. Bianca się rozpromieniła. Boże, jak ona kocha ojca. I dobrze, ale i tak bardzo ją to drażniło.

Bianca zerknęła na nią z ukosa.

- Powiesz mu o Jeremym czyja mam to zrobić?

- Poradzę sobie.

Jillian słyszała, jak w kieszeni kurtki MacGregora brzęczą kluczyki. Musi je tylko stamtąd wyciągnąć, kiedy zaśnie. Nie powiedziała tego głośno, zapytała tylko:

- Mieszkasz tu przez cały rok?

- Czasami.

- I co robisz?

Wahał się zaledwie przez chwilę. Spojrzał na nią przez ramię.

- Poluję, łowię, w lecie organizuję spływy górskimi rzekami.

- A w zimie?

- Najczęściej szykuję się do sezonu letniego. Czasami znajdują się chętni na wyprawy na rakietach śnieżnych albo biegówkach. - Potarł kark. - Ale ostatnio nie, nie w taką pogodę. Zmrużyła oczy. Nie wierzyła mu. I nie dawała się nabrać na aurę poczciwego wieśniaka.

- Przez całą zimę siedzisz tu sam?

- Z Harleyem.

Słyszając swoje imię, pies zamerdał ogonem, nie otwierając oczu.

- A rodzina? Żona? Dzieci?

I znowu króciutkie wahanie, grymas na twarzy, zanim pokręcił głową:

- Tylko Harley. Zdrobnienie od Harlequin. - Pochylił się i podrapał psa za uszami. - I nie, nie ja mu nadałem to imię. To zasługa kogoś innego.

- Kogo?

- Harley stanowił część wyposażenia. Kupiłem chatę od jednego gościa, kilka lat temu. Jego suka akurat się oszczeniła. Jeden malec zdechł, cztery rozdał, dla mnie został ten. - Mrugnął do psa, który westchnął z zadowoleniem. - Jak na razie, dobrze nam razem.

- Nigdy nie czujesz się samotny? Jeden kącik jego ust uniósł się lekko.

- Nie na tyle, żeby zmienić nawyki.

- Masz rodzinę?

- Małą.

- Jak małą? - zapytała. Intrygował ją.

- Dwie przyrodnie siostry. Młodsze.

- Rodzice nie żyją?

I znowu chwila wahania, jakby sprawdzał kłamstwa, upewniał się, że nie powie za dużo.

- Nie widziałem matki od trzech lat. O ile mi wiadomo, mieszka z mężem numer pięć... albo sześć gdzieś koło Phoenix.

- Nie widzisz się z nią?

- Nie. I obojgu nam to odpowiada. Ojciec się zmył, zanim się urodziłem. Nie ożenił się z matką. Pewnie dlatego ciągle szuka nowych mężów.

- Poznałeś go? Co to ma być? Gra w dwadzieścia pytań?

- Co najmniej dwadzieścia - odparła. MacGregor w końcu się odprężył, przyglądał się jej znad brzegu kubka z zimną już kawą.

- No dobra, raz go widziałem. Miałem wtedy jakieś osiemnaście lat. Nie wyszło najlepiej. Poprawiła się na krześle i ból przeszył całą nogę tak, że wstrzymała oddech.

- Mówiłem, żebyś się położyła. - Odstawił kubek na gzyms kominka i wstał. - Jeśli nie chcesz wracać do sypialni, możesz leżeć tutaj, na kanapie albo na fotelu, chodzi o to, żebyś uniosła nogę.

- No dobrze.

Podszedł do krzesła, wziął nóż ze stolika i położył na sekretarzyku koło fotela.

- Nie zapominaj o tym - zauważył. Położył go w jej zasięgu.

- Niepotrzebny mi.

- Nieprawda. Nie znasz mnie. Nie ufasz mi, a jesteś tu uwięziona. A teraz chodź. - Podszedł do niej i podał kulę. - Odpocznij, a ja przygotuję kolację.

- Kolację?

- Chili z puszek. - Uśmiechnął się. - Dla smakoszy - zaznaczył i pomógł jej wstać, zanim zaprowadził do fotela. - Zaufaj mi, będziesz zachwycona.

W tym rzecz. Nie może mu zaufać. Ani przez chwilę.

## **Rozdział 12**

Regan patrzyła przez oblodzone okno, jak samochód Lucky'ego podjeżdża niemal pod drzwi. I oczywiście nie był sam w czarnym dodge'u z wysokim zawieszaniem.

Na siedzeniu pasażera siedziała Michelle, bardzo opanowana i modna w czymś, co wyglądało jak okulary przeciwsłoneczne od znanego projektanta.

Żołądek Pescoli fiknął tylko pojedyncze salto. Choć rozgłaszała wszem wobec i wmawiała samej sobie, że już od dawna nic nie czuje do byłego, w rzeczywistości doświadczała różnych emocji, gdy go widziała. I jego żoneczkę.

Regan się skrzywiła. Ona i Michelle to dwa różne światy. Generalnie rzecz biorąc, Michelle jest miła, a że nie grzeszy inteligencją, że czeka, aż ktoś wszystko za nią zrobi, że Regan nigdy takim kobietom nie ufała...

Ale takie jest życie. Czy jej się to podoba, czy nie, Michelle, za sprawą Lucky'ego i dzieci, stała się częścią jej życia.

I to ją strasznie wkurzało.

Odstawiła colę, podeszła do drzwi i otworzyła je w tym samym momencie, gdy Lucky otrząpywał śnieg z butów na mikroskopijnym skrawku przestrzeni, które architekt bezczelnie nazywał gankiem.

- Wszyscy gotowi? - zapytał, patrząc na nią ciemnymi oczami Pescolich. Głęboko osadzone, orzechowe, z niebieskim połyskiem, były seksowne jak cholera. Podobnie jak cały Lucky. Wysoki, szczupły, o gęstych ciemno-blond włosach i beztroskim charakterze, który doprowadzał kobiety do szaleństwa. Lucky Pescoli to przystojniak, jakich mało. I straszny dupek.

- Jeremy'ego nie ma. Nie mam pojęcia, co go ugryzło.

- Mówiłam ci. - W obecności ojca po łagodności Bianki nie został ślad. - Nie jedzie.

- A niby dlaczego?

- Powiedział, że nie jesteś jego ojcem.

- Też mi nowina - skomentował Lucky. Posłał byleż żonie spojrzenie pełne niedowierzania. - Coś się stało?

Regan pokręciła głową.

- O niczym nie wiem, ale wiesz, jak to bywa. Ma siedemnaście lat,

O czym przypomina mi sto razy dziennie. Uważa, że jest dorosły i może robić, co chce.

- Jest stuknięty! - stwierdziła Bianca.

Lucky ściągnął brwi pod daszkiem czarnej filcowej czapki.

- Mam z nim pogadać?

- Nie, sama to załatwię - powiedziała Regan. - Zadzwoń do ciebie

I powiem, co miał na swoje wytłumaczenie.

Skinął głową. Bianca minęła ją w drzwiach i ruszyła do samochodu. Rozpromieniona

Michelle machała jak wariatka z uśmiechem królowej piękności przyklejonym do twarzy.

- Jak tam sprawa seryjniaka? - zainteresował się Lucky.

- Jakoś idzie. - Unikała jednoznacznej odpowiedzi. Lucky wiedział, że nie może rozmawiać o prowadzonym śledztwie.

- Nie daj się zwariować. Wiem, jak reagujesz. Tu nie chodzi o ciebie.

- Nie? A mordowanie kobiet na moim podwórku? - Patrzyła, jak córka wsiada do samochodu.

- Przykro mi, Lucky, ale niestety biorę to do siebie. I to bardzo.

Skrzywił się,

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Nie. I dobrze!

- Dobrze, dobrze, poddaję się, pani władzo. - Uniósł ręce w komicznym geście i mało brakowało, a roześmiałyby się. Mało brakowało. - Nie chciałem nastąpić ci na odcisk - dodał, poprawiając czapkę. - Daj znać, co z Jeremym.

- Dobrze. Dopilnuj, żeby Bianca odrobiła lekcje. Ma coraz gorsze stopnie z matematyki i geografii. Wydaje mi się nawet, że ma kłopoty z angielskim, choć zawsze była z tego dobra.

- Tak? - Lucky uniósł brew. - Załatwimy to. Michelle miała same piątki. Wysoka średnia u kobiety, która nie wierzy w zasadność odrabiania prac

domowych? Regan w to wątpiła, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

- To dobrze. Pomoże Biance w nauce - wycodziła przez zęby.

Jakimś cudem udało jej się skinąć głową, uśmiechnąć i pomachać tak, że wyglądało to, jakby jej gest był przeznaczony dla całej trójki - córki, byłego męża i jego nowej żony. Zamknęła drzwi, zdenerwowana uczuciem pustki, które nagle ją ogarnęło. Wiedziała, że to głupota, ale widok Bianki wchłoniętej przez nową rodzinę Lucky'ego działał na nią przygnębiająco. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Bianca nigdy nie przepuszczała okazji, by podkreślić, jak świetnie się u ojca bawiła.

Ale na to Regan nic nie poradzi.

Zerknęła na telewizor. Bogu dzięki Ivor Hicks już zniknął z ekranu. Czy nikt nie może zamknąć tego świra? Wywoła panikę, narobi zamieszania w mediach i pewnie tylko przysłuży się mordercy. Bo wariat, którego kręci zamrażanie kobiet, tylko czeka na zainteresowanie mediów.

Po dobrym nastroju nie było śladu. Wyłączyła telewizor i zbiegła na dół. Znowu zadzwoniła na komórkę Jeremy'ego i znowu przekierowano ją do poczty głosowej. Nastawiła pranie. Zajrzała do pokoju syna. Gdzie on się podziewa? Jej wzrok błądził po stertach opakowań po płytach CD i grach komputerowych i zatrzymał się na fotografii Joego. Joe Strand, jej szkolna miłość, jej pierwszy kochanek, mężczyzna, za którego wyszła i którego zdradziła, gdy przestało się między nimi układać. Dobrze, byli wtedy w separacji, i tak, on także miał romans, ale i ona z własnej woli złamała przysięgę małżeńską. Może po to, żeby się na nim zemścić.

To było dawno temu. Boże, jeszcze nie skończyła studiów, a już była w ciąży. Nosiła syna Joego. Jeremy'ego.

Joe oczywiście nie był do końca przekonany, że to on jest ojcem, póki nie zobaczył małego - swojej miniatutki. Minęło kilka miesięcy i postanowili dać sobie jeszcze jedną szansę.

I wtedy Joe był na tyle bezczelny, że zginął.

Na tyle bezczelny, że zginął w akcji i zostawił wdowę z malutkim dzieckiem.

Najgorsze, że wcale nie zerwał z kobietą, przez którą zaczął się kryzys ich związku. Okłamał Regan, mówił, że się z nią rozstał, ale do końca był związać z kochanką, która kiedyś była jedną z najlepszych przyjaciółek Regan.

Gina Walters, także zamężna, przyszła na pogrzeb zapłakana, z zapuchniętymi oczami, i miała dość śmiałości, by położyć na trumnie białą różę. Pescoli stała obok, czując w dłoni malutką łapkę synka.

- Suka - mruknęła teraz, nie zwracając uwagi na szalejącą pralkę. Wróciła na górę, zrobiła sobie kanapkę z czerstwego chleba, resztek szynki i musztardy z Dijon, rzuciła Cisco kawałek mięsa, popiła posiłek kolejną dietetyczną colą i podeszła do drzwi.

Zmierzcha już, musi wracać do biura, ale cały czas zastanawiała się, gdzie jest jej syn.

- Chyba nadchodzi zmiana pogody - zauważył MacGregor. Nałożył sporą porcję chili do miski i podał Jillian.

- Kiedy?

- Niedługo.

- Ale kiedy?

- Pytanie za milion, co? - Poszedł do kuchni, poszukał czegoś w szufladzie i po chwili wrócił i podał jej łyżkę. Nałożył sobie chili do drugiej miski, odstawił garnek na palenisko, obok foremki z chlebem kukurydzianym z proszku, który dochodził w ciepłe.

- Skąd wiesz? Masz tu telewizor podłączony do generatora? Albo bezpośrednio połączenie z ośrodkiem meteorologicznym?

- Mam przecucie. - Spojrzał w okno na zaśnieżony krajobraz. Zmrok zapadał szybko, drzewa rzucały coraz dłuższe cienie, sprawiały, że chata wydawała się jeszcze bardziej oddalona od ludzkich siedzib.

- Przeczucie? - Zamieszała chili łyżką, aż spowił ją pikantny aromat. Czuła się trochę lepiej, pulsowanie w kostce złagodniało, ból w żebrach zmalął, o ile nie śmiała się i nie ruszała zbyt energicznie. Ale w przeczucia nie wierzyła.

- Najwyższy czas. Śnieżycy musi w końcu ustać.

Wyjrzała przez okno i pokręciła głową. Nie wierzy w cuda i nic nie wskazuje na to, by burza miała ucichnąć. Przynajmniej jej zdaniem. Podniosła łyżkę z chili do ust. Potrawa, którą jadła setki razy, smakowała jak nigdy dotąd. Jadła z apetytem i obserwowała MacGregora siedzącego obok paleniska.

Dłonią w rękawicy ochronnej wyjął formę z chlebem z ognia i ukroił jej kawałek tym samym nożem, który wcześniej ukryła. Skubała chrupiącą skórkę.

Był równie pyszny jak chili, ale na tyle gorący, by pohamować jej łakomstwo I dobrze, bo powinna jeść powoli.

powietrze przesycił zapach drewna i sosu pomidorowego, płomień tańczyły na kominku, węgielki zażyły się czerwono.

Nawet pies się uspokoił i nie spuszczał z MacGregora błagalnego wzroku Chwila nieuwagi, a się odpręży w obecności tego mężczyzny, którego przecież wcale nie zna. Niewykluczone, że wszystko, co jej mówił w ciągu ostatnich kilku godzin, to kłamstwa.

- Jeśli moje przeczucia się sprawdzą i śnieżycy się uspokoi, jutro postaram się nas stąd wydostać.

- Skuterem śnieżnym? Pokręcił głową.

- Mam wóz terenowy.

- Więc mogliśmy już dawno wyruszyć! I znowu przeczający ruch głową.

- Nie sądzę. Zresztą nie chciałem ryzykować, że utkniemy w śniegu podczas zamieci. Nie jestem nawet pewien, czy powinniśmy ryzykować jutro, ale spróbujemy, jeśli pogoda się ustabilizuje.

- A jeśli nie?

- Musisz teraz o tym myśleć? - Odgryził kawałek chleba. Pies, wpatrzony w niego, oblizał się łakomie.

- Dokąd pojedziemy?

- Do Grizzly Falls. Mają tam mały szpital. Podrzucę cię na izbę przyjęć.

- I powiesz policji o moim samochodzie?

Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać.

- Sama to zrobisz.

- Musisz im powiedzieć, gdzie to było. Ja nie znam okolicy.

- Jest w September Creek, niedaleko Johnson Road, mniej więcej dziesięć kilometrów od zjazdu na Missoulę. Zapamiętasz?

- Tak - mruknęła, zaintrygowana nagłą zmianą jego zachowania. Skąd to napięcie? - Masz coś do policji?

Kącik jego ust uniósł się lekko.

- Nie.

- Kłamca. - Nie uwierzyła mu. Coś go gryzie. Jego nozdrza nagle się rozděły.

- Chodzi nie tyle o to, co ja mam do nich, ile o to, co oni mają do mnie. - Wstał energicznie. - Piwa?

- Nie. - Alkohol to ostatnie, czego jej trzeba. Przy nim musi mieć się na baczności. -

Opowiedz mi o tym - poprosiła. MacGregor wstał, włożył kurtkę i rękawice i zniknął w kuchni. Pies zerwał się na równe nogi i pobiegł do tylnych drzwi. Płakał i piszczał przez całe trzydzieści sekund, póki nie otworzyły się ponownie i MacGregor nie zapytał:

- Tęskniłeś za mną, bracie? - Dobiegł ją jego śmiech i odgłos kapsla zdejmowanego z butelki. Dwukrotnie. Po chwili wszedł do pokoju z dwiema butelkami piwa.

- Trzymam je w garażu, w torbie izolacyjnej, żeby nie zamarzło.



- Aha.

Postawił jej butelkę przed nosem.

- Pomyślałem, że może jednak zmienisz zdanie.

- Raczej nie.

- W takim razie ja wypiję. - Upił spory łyk i wrócił na fotel.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie - zauważyła, gdy ponownie sięgnął po piwo. - Co policja ma do ciebie?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, przyglądał się naklejce na butelce bawił się szyjką flaszki. Widziała wyraźnie, że jest zdenerwowany.

- O co chodzi, MacGregor?

Obserwowała drgający mięsień na jego szczęce, gdy podnosił butelkę do ust. A potem spojrzał na nią takim wzrokiem, że serce zamarło jej w piersi.

- Uwierz mi, Jillian, nie chcesz tego wiedzieć.

- Przekonajmy się - rzuciła szeptem, nagle cała spięta.

- Cholera. - Przeczesał gniewnie włosy palcami i spojrzał w ogień. Harley zajęczał, jakby wyczuł zmianę nastroju.

- Co ty zrobiłeś, MacGregor? - zapytała. Miała wrażenie, że są na końcu świata. Stare bale trzeszczały głośno. Szyby w oknach drżały lekko, ogień trzaskał energicznie. - Dlaczego policja ma coś do ciebie?

Zawahał się, zaniknął oczy. Przygotowała się na najgorsze.

- Jillian, zabiłem człowieka. To się stało dawno temu, ale prawda jest taka, że sukinsyn sobie na to zasłużył. - Kolejny łyk piwa. Bruzdy koło jego ust nagle się pogłębiły.

- To był wypadek, tak?

- Wypadek? - zachnął się. - No, nie wiem. - Pokręcił głową. - Nie chciałem go wtedy zabić, ale prawdę mówiąc, przez chwilę, tylko kilka sekund, ale to wystarczyło, chciałem, żeby nie żył.

Alvarez skończyła trening na orbitreku, przeszła na atlas i ćwiczyła, wsłuchana w ulubione przeboje z lat osiemdziesiątych, ryczące w jej iPodzie. Wpadła do siłowni po trzeciej, zdecydowana, że przerwę na lunch wykorzysta na szybki trening, a zadowoli się kubeczkim jogurtu. Kiedy skończyła, dochodziła czwarta. Dzisiaj w klubie było pusto, śnieżycą zatrzymała w domu niemal wszystkich stałych bywalców.

Alvarez wyłączyła iPoda, zdjęła słuchawki i ruszyła w stronę szatni. Minęła rowerki stacjonarne i bieżnie. Jedna kobieta coś czytała, pozostali biegacze gapili się w telewizor wiszący na ścianie. Biegli w miejscu, w różnym tempie, spoceni i zapatrzeni w ekran. A tam Ivor idiota z przejściem opowiadał coś dziennikarce w niebieskiej kurtce. Padający śnieg oprószał białą krzaczaste brwi Ivora, ścielił się na schodach sądu za jego plecami. Warkot bieżni zagłuszał większość słów, ale Alvarez nie musiała niczego słyszeć, by wiedzieć, co opowiada.

Dzień, od początku niezbyt udany, teraz stał się fatalny. Dlaczego ten stary dureń nie zamknie buzi na kłódkę?

Nie ma szans. Sama wiesz, jak schlebia mu zainteresowanie.

- Bosko - mruknęła pod nosem i skręciła w korytarz. Minęła salę gimnastyczną, w której kilku nastolatków grało w kosza. Po drugiej stronie holu widziała zajęcia ze stepu - garstka zapaleńców pociła się wedle instrukcji szczupłej instruktorki.

Alvarez sięgnęła po ręcznik, weszła do szatni, rozebrała się i wzięła prysznic.

I przez cały czas myślała o śledztwie.

Zalazło jej za skórę, nie dawało spokoju jak nachalny były chłopak. Nie mogła spać, myślała o nim od rana do nocy, nawet w czasie wolnym, gdy miała się bawić.

Namydliła się i uśmiechnęła do siebie.

Bawić? Co to znaczy, do cholery?

Choć ma dopiero trzydzieści trzy lata, nie przypomina sobie, kiedy ostatnio zaszalała, zabalowała czy jak to się tam nazywa. Jej życiem jest praca. Głupie? To mało powiedziane. To żalosne.

Opłukała się, wytarła, włożyła czyste dzinsy, ciemny golf, puchową kamizelkę i przejrzała się w lustrze na wewnętrznych drzwiczkach szafki. Jest wysportowana i ładna, to fakt, ale jej usta nie uśmiechają się już tak chętnie jak kiedyś, a w oczach czasami pojawia się rozpacz. Gdzie się podziała dziewczyna, która tak lubiła błyszczuki do ust, okrągłe kolczyki, wysokie obcasy i głośną muzykę? Licealistka, u której w parze z doskonałą figurą szły świetne stopnie?

Ona? Nie pamiętasz? Porzuciłaś ją prawie dwadzieścia lat temu. Uciekłaś, nie zważając na rodzinę, przyjaciół i ubóstwo miasteczka Woodburn w Oregonie.

Coś ścisnęło jej żołądek i przez chwilę miała przemożną ochotę się przeżegnać, choć pogrzebała ten zwyczaj już dawno, wraz z latynoskim pochodzeniem i tajemnicą... przeklętą tajemnicą, która do dziś nie daje jej spokoju.

Weź się w garść!

Alvarez zapięła torbę i zatrzasnęła szafkę. Nie czas na wspominki i analizowanie poszczególnych kroków na drodze, która zaprowadziła ją do Grizzly Falls w Montanie. Nie o tym marzyła. Nie to sobie wymyśliła. Chociaż dzisiaj to i tak bez znaczenia. Teraz najważniejsze, to złapać świra, który terroryzuje tę część stanu.

Choć siłownia znajdowała się zaledwie kwadrans jazdy od biura, wracała do pracy ponad pół godziny, takie zamieszanie na ulicach wywołała śnieżycy. Na poboczu stało wiele porzuconych aut. Stłuczka sprzed chwili dodatkowo utrudniała i tak niełatwą jazdę po oblodzonej nawierzchni. Alvarez zatrzymała się i sprawdziła, czy może się przydać, ale ludzie z drogówki, wezwani do wypadku, opanowali sytuację. Nie było rannych, jeśli nie liczyć ego kierowcy land-rovera, który zderzył się z fordem taurusem.

Jechała przez najstarszą część miasta, założoną przez osadników, którzy zbudowali domy nad brzegiem rzeki. W wystawach sklepowych błyskały świąteczne ozdoby, wzdłuż chodników ciągnęły się śnieżne zasy, przechodnie przemykali wąskimi ścieżkami. Nieliczni klienci odwiedzali sklepy, ale na placu przed gmachem sądu zespół muzyczny szykował się do świątecznego koncertu pod wielkim świerkiem, ustrojonym lampkami i ozdobami. Trębacz w rękawicach i nausznikach z przejęciem dmuchał w instrument.

Jechała odśnieżanymi ulicami, wybrała dłuższą ale mniej stromą drogę na wzgórze, na którym mieściło się biuro szeryfa. I po raz pierwszy, odkąd zatrudniła się w okręgu Pinewood, Selen Alvarez się spóźniła.

- Chwileczkę... powoli. - Jillian nie dawała za wygraną choć jej serce biło jak szalone.

Podejrzewać, że facet, który wyciągnął ją z wraku samochodu nie jest tym, na kogo wygląda, to jedno, ale słyszeć, jak przyznaje się do morderstwa, to co innego. - Dlaczego chciałeś, żeby nie żył?

- To moja sprawa.

- Chciałabym wiedzieć - powiedziała, zła na siebie, że oddała mu nóż. Co prawda nie sądziła, żeby chciał ją zaatakować, bo gdyby miał takie zamiary, nie mówiłby o morderstwie, ale i tak była zdenerwowana. - Dlaczego życzyłeś mu śmierci?

MacGregor zacisnął usta w wąską kreskę.

- Bo pobił żonę na kwaśne jabłko.

- Jak to? Gdzie?

- Byłem w Denver, w barze. Facet się upił, zaczął obrażać żonę, popychał ją i szturchał, aż wyrzucili go z knajpy. Poszła za nim. Wyszedłem kilka minut później i co widzę? Facet jest na parkingu, żona leży na asfalcie, a on ją bije i kopie. - MacGregor oparł się o gzyms

kominka, wpatrzony w płomienie. Nagle się postarzał. - Klęła, wrywała mu się i płakała, żeby uważał na dziecko, błagała, żeby go nie skrzywdził. Skomlała. A on nadal ją kopał. Jillian ze współczuciem pokiwała głową.

- Wpadłem w szal - ciągnął. - Przeskoczyłem przez samochód, złapałem go... zamachnął się na mnie, ale byłem lepszy. Powaliłem go na ziemię.

Jillian wstrzymała oddech. Widziała, że MacGregor już nie siedzi z nią w chacie, ale na nowo przeżywa koszmarną scenę.

- Leżała tam, w krwi i śniegu, i dygotała. Jej twarz... To już właściwie nie była twarz. Jezu, to była czarno sina miazga, pełno ran, miała złamany nos i szczękę. I dżinsy. Miała na sobie obcisłe dżinsy i widziałem na nich krew... - Dopił piwo i w pokoju zapanowała cisza. Kiedy znów się odezwał, mówił spokojniej. - Pamiętam... tak, pamiętam wycie syren i blask policyjnych świateł na śniegu... Ktoś wezwał policję. Kazali mi podnieść ręce do góry i uklęknąć. Zrobiłem to i ani się obejrzałem, a potężny gliniarz pchnął mnie twarzą w śnieg i skuł mi ręce na plecach. - Zmarszczył brwi i odstawił butelkę.

- Aresztowali cię?

- Tak.

- Póki wszystko się nie wyjaśniło.

Odwrócił się do niej. Jego oczy nagle pociemniały, usta wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Nic się nie wyjaśniło. Facet umarł tej samej nocy. Pęknięcie czaszki. Krwotok. - MacGregor westchnął. - A żona... ma na imię Margot, choć to i tak bez znaczenia. Margot twierdziła, że to ja ją pobiłem, że chciałem ją zgwałcić, że Ned, jej mąż, chciał ją uratować.

- Co? - Jillian nie wierzyła własnym uszom.

- Tak. - Pokręcił głową. - Materiał dowodowy mówił co innego. Moją wersję potwierdziły noski butów starego Neda, ale i tak efekt końcowy był taki, że facet nie żył. Gdybym nie wstawił się za Margot, pewnie żyłby dalej. Ale nie dziecko. Margot poroniła. Ale za śmierć Neda Tomkinsa winę ponosiłem ja. Tak przynajmniej orzekli koroner i sędzia. Przyznałem się do winy, żeby zmniejszono wymiar kary, i spędziłem szesnaście miesięcy za kratkami.

- To straszne!

- Margot zarzucała mi, że przeze mnie straciła męża i dziecko. - Uśmiechnął się smutno. - Tyle jeśli chodzi o rycerskie odruchy. - Wskazał głową jej piwo. - Nie pijesz?

Puściła to mimo uszu.

- A co potem?

- Finał był taki, że wyszedłem z pudła. Od strażnika, który ją znał, stygłem, że Margot ma nowego faceta, kolejnego damskiego boksera, który ją bije. - Podeszedł do szafki z bronią otworzył ją kluczykiem, który wyjął z kieszeni dżinsów, wybrał dubeltówkę o długiej lufie i zamknął szafę.

- Co ty wyprawiasz? - Jillian obserwowała go, nagle przerażona.

- Wychodzę.

- Teraz? - Co on sobie myśli? Najpierw jej mówi, że kogoś zabił, a potem wyciąga strzelbę? Chce ją przerazić na śmierć?

- Zanim się ściemni. - Z szuflady w komodzie wyjął garść nabojów i podeszedł ze sztucerem i amunicją do drzwi. Zdjął kurtkę z wieszaka. - Muszę sprawdzić drogę - wyjaśnił, ubierając się. - Jeśli śnieżyca naprawdę ucichnie, może uda nam się wcześniej stąd wyrwać.

Jillian bała się mu uwierzyć. Ale też nie śmiała wierzyć w wiele rzeczy, także w jego opowieść. Czy mówił prawdę? Sprawiał takie wrażenie. Ból na jego twarzy, gniew w jego oczach - wszystko wydawało się autentyczne.

No i jak dotąd nie zrobił jej krzywdy.

Wygląda także na to, że chce się jej pozbyć tak samo, jak ona chce się stąd wydostać.

A jednak... nadal ją przerażał. Zwłaszcza z bronią w ręku. Daruj sobie, Jillian. Gdyby naprawdę chciał ci coś zrobić, zrobiłby to już dawno temu.

- Boję się ciebie.

Spojrzał na nią i zobaczył jej wzrok utkwiony w sztucerze i skinął głową. Otworzył drzwi, wystawił strzelbę na dwór.

- Fatalny czas.

- Fakt.

- Dopiero teraz widzę, jak jest ciemno. A w tych lasach mieszkają pumy i niedźwiedzie. Co prawda nie atakują bez powodu, ale lepiej się zabezpieczyć. - Uśmiechnął się do niej i założył rakiety śnieżne, które wisały przy drzwiach. Gdy się pochylał, po raz drugi zobaczyła skrawek silnego, umięśnionego ciała pod wieloma warstwami odzieży.

Przyłapał ją na tym, że mu się przygląda, i szybko spojrzała w inną stronę. Sięgnęła po piwo i wreszcie upiła łyk. MacGregor tymczasem zdjął rakiety i wrócił do kuchni.

- Zostawię ci więcej drewna.

Wniósł naręczę drew i ułożył przy palenisku. Znów przypiął rakiety do butów. Harley tańczył dokoła niego, gotowy na nową przygodę, ale MacGregor ostudził jego entuzjazm.

- Zostajesz. Zaraz wracam.

Harley zaskomlał, ale MacGregor uciszył go pstryknięciem palców.

- Spokój!

Pies umilkł i siedział wpatrzony w pana.

- Dobry piesek. - MacGregor nałożył maskę narciarską, czapkę i rękawice. - Pilnuj domu. - Spojrzał na Jillian tak, że zaparło jej dech w piersiach. Wysoki, groźny, w czerni. Czy to jego, jak jej się zdawało, widziała, siedząc we wraku samochodu? Czy to on emanował czystym złem? - Niedługo wrócę.

- A jeśli nie?

- Przeżyjesz. W garażu jest piwo i dość jedzenia, byś przetrwała z Harleyem do wiosennych roztopów.

- Też mi pocieszenie. Uśmiechnął się i wyszedł.

- Ciesz się, że żyjesz i możesz się ruszać - powiedziała, a jej słowa odbiły się echem. Chata już teraz wydawała się pusta, groźna, ciemniejsza. - To tylko twoja wyobraźnia - tłumaczyła sobie. Upiła kolejny łyk piwa, choć nie przepadała za tym trunkiem. - Królestwo za caberneta - westchnęła. Harley słuchał jej, przekrzywiając głowę. Przynajmniej już nie warczy i nie kłapie zębami, jakby chciał rozerwać ją na strzępy. Nie, siedzi przy drzwiach, wpatrzony w szerokie deski, czekając na powrót pana. - Wygląda na to, że zostaliśmy we dwójkę - poinformowała go, zaskoczona potrzebą rozmowy z czworonogiem. Czy to dlatego, że czuje się tu taka samotna, odcięta od świata?

Spojrzała w okno na szalejącą zamieć, ciekawa, kiedy MacGregor wróci. Czy w ogóle wróci? Może zostanie tu całkiem sama przez wiele dni. Albo nawet tygodni. Wzdrygnęła się, dreszcz przeszył ją do szpiku kości. Nie wie, czy to przyjaciel, czy wróg, ale musi przyznać, że w obecności Zane'a MacGregora czuje się lepiej.

### **Rozdział 13**

Gdy wpadła Alvarez, w pokoju zebranych grupy specjalnej byli już prawie wszyscy. Przy biurku pod oknem siedział policjant w mundurze i odbierał telefony. Nawet Pescoli przybyła na czas, co u niej niespotykane, i siedziała za stołem w towarzystwie szeryfa i dwójki agentów FBI. Ledwie Alvarez usiadła koło partnerki, wszedł zastępca szeryfa, Cort Brewster, i detektyw Brett Gage, szef wydziału kryminalnego.

- Coś nowego? - zapytała Alvarez. Pescoli pokiwała głową. Zapach dymu tytoniowego zdradzał, że znowu pali. Nie żeby to ją zaskoczyło. Alvarez zdążyła się już przekonać, że w

okresach wzmożonego napięcia Pescoli wraca do nałogu. Pracują razem od dwóch i pół roku i w tym czasie Pescoli czterokrotnie rzucała palenie.

- Ponieważ zbliża się weekend i część z was ma wolne, cokolwiek to oznacza - zaczął Halden - uznaliśmy, że musimy przyspieszyć. Wygląda na to, że w wąwozie na zachód od miasta, jakieś sześć i pół kilometra, znaleziono priusa Wendy Ito. - Podeszedł do mapy i wskazał miejsce w kanionie Star Fire, oddalone mniej więcej pięć kilometrów od punktu, w którym znaleziono ciało Azjatki. - Policjant już zabezpieczył miejsce zbrodni. Samochód wygląda tak samo jak pozostałe, po wypadku, otwarty siłą, przestrzelona opona... tylko że prawie zniknęła pod śniegiem. Zaraz tam pojedziemy.

- Kto go znalazł? - zainteresowała się Alvarez. Gage pospieszył z odpowiedzią:

- Bob Simms. Mieszka niedaleko. Szukał drewna na opał, kiedy zamieć zelżała.

- Albo zastawiał sidła - zauważyła Pescoli. - Simmsowi wydaje się, że nadal mamy wiek XIX i może robić, co mu się żywnie podoba. Połować, na co chce, bez zezwolenia. Potem sprzedaje skóry na czarnym rynku. Poluje dosłownie na wszystko.

Gage przyznał jej rację. Miał mniej więcej czterdzieści lat, duży nos, a na nim okulary i ciemne włosy przyprószone siwizną.

- Uważa się za anarchistę. - Zachnął się.

- Tak, i ma pół tuzina dzieciaków, zaniebanych od śmierci żony. Wszystkie zdążyły już wpakować się w kłopoty - dorzucił Grayson.

- W tym rzecz, nie uznają rządu ani prawa. Dziwię się, że Simms w ogóle nas zawiadomił.

- Nawet anarchiści miewają sumienie - westchnęła Pescoli. Gage prychnął.

- Dobrze, że znalazł samochód, a nie kolejne zwłoki.

- Jeszcze nie - wtrąciła się agentka Chandler. Tego dnia miała na sobie standardowy strój agenta w terenie. Jasny kucyk wystawał spod czapki baseballowej, pod kurtką widać było granatowy sweter. - Nadal szukamy Jillian Rivers. Musimy się zastanowić nad czasem zgonu ofiar. Ze względu na warunki atmosferyczne trudno ustalić go dokładnie, ale wygląda na to, że morderca dokonuje zbrodni koło dwudziestego każdego miesiąca. We wrześniu była Charleton, w październiku Salvadore, w listopadzie Ito, w grudniu, Rivers. Daty czasami się nie zgadzają bazujemy na datach zgłoszenia zaginięcia danej osoby i spekulacjach koronera co do chwili śmierci. Wszystkie zagięły mniej więcej w połowie miesiąca i zmarły, jak się wydaje, kilka dni później, a jeszcze później je znaleziono. Tak więc niewykluczone, że Jillian Rivers już nie żyje.

- Jezu - mruknął Brewster i rzucił długopis na stół. Chandler nie przerwała wątku.

- Możliwe, że gwiazda wryta nad głową ofiary ma coś wspólnego z dniem jej śmierci. Na przykład oznacza pozycję danej gwiazdy na niebie w dniu porwania.

- Albo śmierci - podsunął Halden.

Chandler skinęła głową.

- Może nasz sprawca pasjonuje się astronomią albo astrologią. Alvarez zmarszczyła brwi.

Oczywiście pomyślała o rozgwieżdżonym

nocnym niebie, ale też o kulcie szatana, czarnej magii... gwiazdy mają różne znaczenie dla różnych ludzi.

- Może tylko się z nami bawi - zauważył Brewster. - Może gwiazdy są tylko dla ozdoby.

- Stanowią część jego rytuału - upierała się Chandler. Wodziła palcem po rysunkach na listach od mordercy, powiększonych i powieszonych obok fotografii ofiar. - Jest zbyt dokładny. Zwróćcie uwagę, jak starannie wypisuje inicjały, jakby je pieścił. Jeśli położyć kartki jedna na drugiej, zobaczymy, że litery są dokładnie w tych samych miejscach, ale gwiazda się przesuwa. Idę o zakład, że to jakiś kalendarz astronomiczny.

- Ej, czy to nie koło dwudziestego dnia każdego miesiąca zmienia się znak zodiaku? -

podsunęła Pescoli. - Chociaż chyba zdarzają się małe odstępstwa od reguły. Nie za bardzo się na tym znam. O ile to w ogóle ma jakieś znaczenie.

- Kiedy mowa o seryjnym mordercy, słowo zodiak działa mi na nerwy - burknął Grayson.

- O tak. - Brewster pokiwał głową. - Ten drań terroryzował całe San Francisco. Kiedy to było? W latach sześćdziesiątych? Siedemdziesiątych? Pamiętam, jak moja mama o tym opowiadała. Jej siostra mieszkała wtedy w San Francisco i mama umierała z niepokoju.

- Zrobili o nim film - mruknęła Alvarez. Pescoli w zadumie kiwała głową.

- Nigdy go nie złapali, prawda?

- Nigdy. - Chandler spięła się jeszcze bardziej, co uwydatniło jej kości policzkowe i podbródek. - Ale Zodiak jest za stary na naszego sprawcę, o ile jeszcze żyje, w co wątpię.

- Może to naśladowca? Ktoś, kto słyszał o pierwowzorze. Ale ma inny sposób działania. -

Pescoli myślała na głos. - Z drugiej strony, może Zodiak go zainspirował. Stąd tak staranne planowanie.

Alvarez wyobraziła sobie mężczyznę za biurkiem, z długopisem w ręku, który planuje śmierć kobiety. Ta, związana, zamknięta w klatce bez światła i powietrza, umiera ze strachu, a i tak nie pojmie ogromu zła, jakie tkwi w porywaczu.

To morderca, który planuje zbrodnię w najdrobniejszych szczegółach i uzależnia ją od pozycji gwiazd na niebie.

- Zodiak działał inaczej. Jedźmy zobaczyć wóz Ito, chyba że macie coś Jeszcze - zdecydował Grayson. Chandler i Halden omówili wszystkie zgłaszane informacje, które niczego do sprawy nie wniosły.

Alvarez ogarnął wewnętrzny chłód. Wywołało go wspomnienie Zodiaka. Potwór szalał, wybierał sobie ofiary, czasami psuł im samochody. Jedną kobietę znaleziono z niemal odciętą głową do innych strzelał z bliska, czasami zabierał pamiątki, bawił się z policją w kotka i myszkę.

I nigdy go nie złapano.

Grayson odsunął krzesło od stołu i zagwizdał na psa. Sturgis, czarny labrador, nie odstępował go na krok. Byli nierozłączni, odkąd kilka lat temu Sturgis, szkolony do służby w psich oddziałach K-9, odpadł z eliminacji podczas naboru nowych czworonożnych funkcjonariuszy. Grayson się nim zaopiekował. Alvarez czasami zastanawiała się, czy szeryf nie przelał na psa uczuć do żony, która go rzuciła. Zazwyczaj pies siedział w jego gabinecie, ale dzisiaj pozwolił mu wejść na zebranie i teraz labrador dumnie kroczył u jego boku, radośnie machając ogonem. Zniknęli za drzwiami gabinetu szeryfa, gdy Alvarez i Pescoli wychodziły na dwór.

Alvarez naciągnęła kaptur. Lodowaty wiatr hulał po parkingu, zmierzch zapadał szybko, zimno przenikało do szpiku kości. Na wycieraczkach dżipa Pescoli gromadził się lód.

- Uroczę spotkanko - stwierdziła Pescoli. Otworzyła samochód i usiadła za kierownicą.

Alvarez zajęła fotel pasażera.

- Tak, super.

Rozmawiały o dochodzeniu. Pescoli włączyła ogrzewanie i wycieraczki. Oddalały się od miasta, jechały w stronę gór. Pescoli sięgnęła do schowka po papierosa. Uchyliła okno.

- Masz coś przeciwko?

- Tak, ale to cię i tak nie powstrzyma, prawda?

- Jak to nie? Na trochę. - Pescoli schowała papierosa do niemal pustej paczki i wepchnęła ją do schowka. Policyjne radio trzeszczało głośno. Koledzy rozmawiali, jadąc w stronę wzgórz. Zapaliła dopiero w kanionie Star Fire, gdy zaparkowały najbliżej, jak się dało.

Tym razem nie było bezpiecznej drogi na dno kanionu, a dwaj policjanci i strażak wbijali haki w strome zbocze.

- Jakim cudem Bob Simms znalazł wóz? - zdziwiła się Alvarez.

- Obchodzi okoliczne lasy, bez względu na pogodę - wyjaśnił Pete Watershed.

- Chyba jest spokrewniony z kozicą. - Pescoli mocno zaciągnęła się papierosem i spojrzała w dół, do wąwozu. - Strasznie stromo.

- Zakłada rakiety śnieżne albo biegówki.

- Mimo wszystko jest kozicą.

Alvarez rozglądała się czujnie, szukała miejsca, w którym prius został trafiony.

Watershed zdawał się czytać w jej myślach. Wskazał wysokie urwisko na szosę.

- Chyba strzelał stamtąd. Jak na podróż ze Spokane trochę nadłożyła drogi, ale przy dobrej pogodzie dobry strzelec z dobrą bronią mógłby to zrobić.

Alvarez zmrużyła oczy i tu, na śniegu, w ciemności, próbowała zrozumieć szaleńca; co skłania go do czyhania na ofiarę na takim zimnie? Wyobrażała sobie sekundy, gdy celował i naciskał spust.

Billingi ofiar nie na wiele się zdały. Niczego się nie dowiedzieli od przyjaciół, którzy zostawiali wiadomości na poczcie głosowej, MySpace i innych portalach. Trzech kobiet nie łączyło nic poza tym, że zostały porwane i zostawione nagie na mrozie, przywiązane do drzewa.

Alvarez zadrżała, mimo ciepłej kurtki. Pomyślała o Jillian Rivers. Czy jeszcze żyje?

Jillian wykorzystała nieobecność MacGregora, by rozejrzeć się po chacie. Niczego o nim nie wie, a teraz ma okazję to zmienić. Opierając się na kuli, nie zważając na ból, starannie przeglądała zawartość szuflad i szafek, szukała czegoś, co jej zdradzi jego prawdziwą tożsamość, powie coś o jego życiu, jego przeszłości. Trochę gryzło ją sumienie, ale uciszyła je, tłumacząc sobie, że sam ją tu przyprowadził. Jest jego gościem i zarazem więźniem. Z książek w bibliotece wywnioskowała, że interesuje się łowiectwem, rybołówstwem, astronomią survivalem, pierwszą pomocą i medycyną. W szufladach znalazła mapy stanów Montana, Idaho, Waszyngton i Wyoming. Najróżniejsze: topograficzne, samochodowe, leśne, ba, nawet zdjęcia satelitarne.

Ale nigdzie nie było nawet jednej fotografii. Szukała na półkach, na kominku, na stolikach. Ani jednej. Jakby ukrywał swoje życie nawet przed samym sobą.

- Dziwne - mruknęła pod nosem i zastanowiła się, czy się myli. I to bardzo. Może to tylko jego leśna odskocznia, domek weekendowy.

Albo kryjówka, podsuwał przerażony umysł, jakby to on był seryjnym mordercą o którym słyszała. Z racjonalnego punktu widzenia już porzuciła te podejrzenia, ale instynkt przypominał, by zachowała czujność, by pamiętała, że wie o swoim wybawcy tylko to, co sam jej powiedział.

A niewykluczone, że to same kłamstwa.

Choć wymagało to pewnego wysiłku, udało jej się dorzucić drew do ognia i przy okazji nie urazić żeber. Zamknęła drzwiczki, wpatrzona w coraz większe płomienie, chciwie pochłaniające gałęzie. Wsparta na kuli, pokuśtykała w najdalszy kąt pokoju. Dotarła do półki z książkami i już wyciągała rękę po jedną z pozycji, gdy nagle to poczuła - dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Znieruchomiła na chwilę, rozejrzała się. Nikogo tam nie było, nawet pies zasnął przy drzwiach, zwinięty w kłębek. Nikt cię nie obserwuje.

Podniosła wzrok, przekonana, że zobaczy ukrytą kamerę.

- Wariujesz - poinformowała siebie głośno, ale nie zdołała uspokoić rozszalałego pulsu ani serca. Podeszła do okna. Ściemniało się, zmierzch opadał na wzgórza i musiała wyteżać wzrok, by cokolwiek zobaczyć.

Padał śnieg, ale mniej intensywnie i wydawało jej się, że jest nadzieja, że chmury się rozplyną. W wyobraźni już się zastanawiała, co zrobi po powrocie do cywilizacji.

Najważniejsze to dostać się do szpitala, potem zadzwoni do mamy i do Emily, sąsiadki, zapyta o kotkę. Będzie się musiała skontaktować z firmą ubezpieczeniową w sprawie samochodu, odsłuchać wiadomości, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych zleceń i...

I... znieruchomiła na myśl, że nadal musi doprowadzić do końca sprawę Aarona. Przekonać się, czy żyje.

A jeśli nie? A jeśli to wszystko to pogoń za mrzonką? A jeśli ktoś cię tu zwabił tylko po to, żeby przestrzelić ci oponę i spowodować wypadek? A jeśli Zane MacGregor jest częścią tego planu? A co, jeśli to wszystko zostało ukartowane?

- Zamknij się! - powiedziała tak głośno, że Harley uniósł łeb i szczerknął cicho. Poczuli się jak idiotka. - Przepraszam - mruknęła, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją obserwuje, że z mroku śledzą ją nienawistne oczy.

Odsunęła się od okna. Ten, kto strzelał do samochodu, posłużył się bronią o dalekim zasięgu i choć dach opadał nisko, a okna były małe, była doskonale widoczna na tle ognia i lamp. Skoro ktoś strzelał do samochodu nad przepaścią i teraz nie zawaha się przed pociągnięciem za spust.

I jeszcze MacGregor.

Z bronią.

Obliznęła usta i odsunęła się od okna, aż skrył ją cień.

Kim jesteś, draniu?

I czego ode mnie chcesz?

Zacisnęła dłoń na kuli na myśl o tym, dlaczego tu przyjechała. Z powodu pierwszego męża. Rzekomo martwego.

Z głębi chatki wpatrywała się w okno, chcąc wykryć źródło swojego niepokoju. Dobra, dupku, co, do cholery, łączy cię z Aaronem?

Pescoli siedziała po uszy w raportach. Raportach laboratoryjnych, z przesłuchań krewnych i znajomych ofiar, w stertach billingów. Czytała wszystko o ofiarach, miała wrażenie, że zna je tak dobrze jak ich najbliżsi. Jak się okazało, we krwi wszystkich znaleziono ślady valium, więc podejrzewała, że porywacz podawał im środki uspokajające i przeciwbólowe. FBI już sprawdzało lokalnych dystrybutorów, licząc, że dowiedzą się, gdzie morderca zaopatruje się w leki.

Problem w tym, że wszystkie ofiary miały recepty. Leki legalnie przepisane przez lekarzy na bezsenność, ból i nerwy.

Rozboliła ją plecy; nigdy dobrze nie znosiła długiego siedzenia za biurkiem, była na to zbyt energiczna. Nie wytrzymałaby na zwykłej biurowej posadzce. Wystarczył czas za biurkiem w komendzie, by zaczynała odchodzić od zmysłów.

Wyszła na korytarz i po raz pierwszy od wielu dni zobaczyła promienie popołudniowego słońca, przebijające się przez chmury. Przez chwilę oślepił ją blask światła odbijającego się od śnieżnych zasp na podwórzu, koło flag Stanów Zjednoczonych i stanu Montana powiewających dumnie na wietrze.

Dzięki Bogu za chwilową poprawę pogody, choć wiadomo, że nie potrwa długo.

Teraz przyda się jeszcze postęp w śledztwie.

Poszła do kuchni, nałapała sobie kawy, „Arcydzieła Joelle”, jak głosiła naklejka, i wróciła do biurka.

Usiadła za biurkiem, upiła łyk i doszła do wniosku, że kawa smakuje tak samo jak zawsze.

- Arcydzieło, też mi - prychnęła, odstawiła kubek i po raz kolejny przeczytała listę znajomych trzech ofiar. Nic się nie powtarzało, żadne nazwiska, miejscowości, szkoły... Nic. O ile wiedziała, nie znały się. Ale wszystkie upatrzył sobie ten sam morderca i z każdą z nich coś go łączyło, była tego pewna.

Rozdzwoniła się jej komórka. Poznała numer syna na wyświetlaczu. Odczekała dwa dzwonki, upomniała się, żeby nie zacząć od krzyku: „Gdzie ty jesteś, do cholery”, i powiedziała spokojnie:

- Pescoli.

- Dzwoniłaś do mnie?

- Tak. Miałaś ten weekend spędzić z oj... z Luckym.



- Nie chciałem.  
- Czemu?  
- Nudzę się tam.  
- No i? - Odwróciła się od biurka, żeby nie widzieć notatek i danych na monitorze.  
- To nie jest mój prawdziwy ojciec.  
- Wychowywał cię.  
- Czasami. Bo musiał.  
- Posłuchaj, Jeremy, taka jest umowa, oboje to wiemy. Co drugi weekend spędzasz u Lucky'ego.  
- To wasza umowa, nie moja. Ja nie miałem nic do powiedzenia.  
- Chyba nie musisz ci przypominać, że nie jesteś pełnoletni.  
- Mam prawie osiemnaście lat.  
Skrzywiła się. A przecież wykrzyczała te same słowa w twarz swoim rodzicom!  
- Może się zdziwisz, ale to, że ukończyło się osiemnaście lat, nie oznacza, że można robić, co się chce.  
- Będę dorosły. Akurat!  
- Jeremy, zasady się nie zmieniają tylko dlatego, że będziesz o dzień starszy. Wiesz, co dla mnie oznacza to, że skończysz osiemnaście lat? Że mogę cię zgodnie z prawem wyrzucić z domu.  
- Co? - Jego szok docierał aż tutaj. - Wyrzucić mnie z domu? Dzięki za wsparcie, mammo. Nie da się wciągnąć w kłótnię.  
- A na razie nie masz osiemnastu lat i masz zawieźć tyłek do ojczyma.  
- Chciałem dzisiaj przemocować u Ryana. Mieliśmy pograć na komputerze.  
- Pogadaj z Luckym.  
- Niezłe zagranie, mammo.  
- Muszę lecieć. Jeśli nie dowiem się od niego, że przyjechałeś albo wszystko z nim ustaliłeś, pogadamy w domu.  
- Ależ z ciebie twardzielka!  
- Tak jest, synu. Kocham cię! - Rozłączyła się, zanim zaczął protestować. A prawda jest taka, że bez mrugnięcia okiem założy podejrzanemu Nelsona, powali go na łopatki, skuje i odstawi do aresztu, ale jeśli chodzi o dzieciaki, straszny z niej mięczak. Wkurzało ją że przez nie zmienia się w sentymentalną idiotkę. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić do syna i nie porozmawiać spokojnie. Zamiast tego jednak zacisnęła zęby i powiedziała sobie, że gdyby obserwowała tę sytuację z zewnątrz, gdyby chodziło o dziecko przyjaciółki, poradziłaby jej, by odczekała.  
- Przykro mi, synu - szepnęła i odwróciła się twarzą do monitora, z którego patrzyła na nią martwa twarz Wendy Ito. - Co się stało? - zapytała ją. - Kto ci to zrobił?  
Wiadomo jedno: ten, kto przestrzelił oponę, jest świetnym strzelcem.  
I jest cierpliwy, umie czekać na odpowiednią okazję i wycelować dokładnie, w idealnej chwili. Analizowała listy członków organizacji strzeleckich, byłych snajperów... Były długie i tymczasem, nie znalazła nikogo, kto miałby jakieś powiązania z którąś z ofiar.  
- Kim jesteś? - szepnęła. Zachciało jej się palić, ale zamiast papierosa sięgnęła po gumę z nikotyną. Doszła już do pół paczki dziennie i czuła, że będzie palić jeszcze więcej, jeśli nie zdusi pokusy w zarodku.  
Znowu zadzwoniła jej komórka. Zerknęła na numer na wyświetlaczu i jej serce fiknęło głupiego kozła. Przypomniała sobie, jak widziała go po raz ostatni, śpiącego w poprzek łóżka w pokoju w motelu.  
- Pescoli - powiedziała miękko.  
- Zajęta? - Miał ochrypy i zarazem szorstki głos, i na sam jego dźwięk myślała o seksie. Bez sensu.

- A jak myślisz?  
- Myślę, że od pracy garb rośnie...  
- Jestem brzydka?  
- Jesteś ostra.  
- Ostra? Czyż to nie urocze? - rzuciła złośliwie. - Tak, ja też cię kocham.  
- Wiem - odparł, chociaż tylko żartowała.  
Opanuj się.  
- Pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać.  
- Czy jakaś kobieta oprze się takiej gadce?  
- Dobra, cofam to. W życiu nie byłaś ostra.  
- Kłamczuch - powiedziała, ale się uśmiechnęła. Potrafił to, potrafił przebić się przez jej grubą skórę i do niej dotrzeć. Strasznie ją to irytowało. Nie pasuje do niej. Wiedzieli o tym oboje, on sam to powtarzał. Ale nie mogli zlekceważyć chemii między nimi. Dobrze się razem bawili, śmiali i kochali. Ba, nawet Lucky wypadł przy nim blado, a Lucky, choć Pescoli przyznawała to z bólem serca, był w łóżku bardzo dobry.  
Ale teraz zajmował drugie miejsce. Za Nate'em.  
- No to się spotkajmy.  
- Jestem bardzo zajęta.  
- Miałem na myśli drinka po pracy.  
- Tylko drinka? - zapytała, choć znała odpowiedź.  
- No... zobaczymy.  
Niełatwo ją rozpalic, ale już czuła dreszcz oczekiwania.  
- To się nigdy nie kończy na drinku.  
Wyobrazila sobie jego uśmiech, błysk białych zębów w smagłej twarzy.  
- Tu mnie masz, Regan. Rzeczywiście, z tobą nigdy nie kończy się na drinku. - Zaśmiał się znacząco. - Daj znać, kiedy skończysz.  
Zastanawiała się, czy zareagować jakąś aluzją na jego ostatnie słowa, ale ugryzła się w język. Po co wyjść na wulgarną nawet jeśli to on zrobił pierwszą aluzję? Nate się rozłączył, a Pescoli wmawiała sobie, że wcale nie ma ochoty, że on się dla niej nie nadaje, że do niego nie zadzwoni i nie spotkają się w ulubionej knajpce... Ale wiedziała, że to wszystko kłamstwa.  
Spotkają się. Nie oprze się pokusie.  
Jest jak kokaina.  
I akurat tego nałogu nie zamierzała rzucać.

Suka ciągle się wierciła. Nawet po niemal godzinie.  
Pogoda znowu się zmieniła, czyste miejscami niebo ponownie zasnuły burzowe chmury.  
Jezu, ale zimno.  
A Jillian Rivers nie chce stać nieruchomo.  
Podchodzi co chwila do okna, pojawia się jak duch, niemal na tyle blisko, by dostrzec lufę, ale zawsze w ostatniej chwili, jakby wyczuwała niebezpieczeństwo, cofa się w głąb, komplikując strzał.  
Co robić?  
Ryzykować?  
Strzelać na oślep?  
Ale istnieje ryzyko spudłowania. I można ją tym sposobem ostrzec. Zwłaszcza że teraz nie chodzi o to, by ją zabić, jeszcze nie, tylko unieruchomić.  
Ale chyba lepiej poczekać.  
Suka w końcu popełni błąd.  
Zastrzelenia jej nie było w planie.

Tak, jest jeszcze dość czasu.  
W takiej chwili cierpliwość zaprawdę jest cnotą.

## Rozdział 14

Jillian zerknęła na zegar na toalecie. Staroświecki model z dużym cyferblatem, na baterie, odmierzał sekundy jej życia. Nie wiedziała, jaki to dzień tygodnia, ale wiedziała na pewno, że MacGregora nie ma już ponad godzinę.

Stare pytania nie dawały spokoju.

A jeśli nie wróci?

A jeśli wszystko to część jego planu?

Zerknęła na drzwi, przy których wiernie czekał pies. Nie, nie zostawiłby Harleya. Wróci.

Chyba że jest ranny. O nie, nie będzie o tym myślała. Myszkowała po chacie, szukała informacji na temat tego, kim jest i gdzie są. Mapy na ścianach niewiele jej mówiły. Były to topograficzne mapy górzystych obszarów.

Pokuśtykała do szafki z bronią i pociągnęła za klamkę, ale zamknął drzwiczki na klucz. Z nawyku? Żeby coś przed nią ukryć?

- Nie, idiotko, po to, żebyś go nie powitała z bronią w ręku. - Przypomniała sobie dziwne wrażenie, że ktoś lub coś czai się na zewnątrz, i przeszył ją dreszcz. Umiała posługiwać się bronią zadbał o to dziadek Jim, jeszcze gdy była nastolatką. Zabierał ją na strzelnicę i zapoznał z tajnikami kalibru 22, pokazał, jakie szkody można wyrządzić taką bronią nauczył strzelać. Nie jest w tym najlepsza, ale sobie poradzi.

Mocniej pociągnęła za klamkę. Na nic.

- W takim razie wracam do noża - poinformowała psa, który, o dziwo, radośnie zamachał ogonem. To miłe. Zwierzak zaczyna ją lubić. Zajrzała do szafy: sprzęt łowiecki, ubrania i wysoko na półce kilka kapeluszy i gier, które leżały tam chyba od lat siedemdziesiątych. W najgorszym wypadku zagrają w chińczyka, kiedy MacGregor wreszcie wróci.

- Świetnie. - Nie znalazła niczego, co pozwoliłoby jej lepiej poznać mężczyznę, który ją uratował. Albo uwięził. Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie chciał jej tutaj; dał jej to jasno do zrozumienia.

Ale może kłamie.

- Jak my wszyscy, prawda? Co ty, teraz go bronisz?

Zamiast wdawać się w dyskusję z samą sobą i tym samym przyznać, że zupełnie jej odbiło, kontynuowała poszukiwania. Podniosła wzrok na stryszek. Nie da rady wejść. Co tam jest? Stojąc przy kominku, koło drzwi do sypialni, widziała górną część antresoli, ale żadnych sprzętów.

To składzik? Strych? Salonik? Pokój gościnny? O ile wiedziała, nigdy nie wchodził tam po drabinie. Ale nie masz co do tego pewności, prawda? Byłaś półprzytomna przez kilka dni, może nie? Leżałaś w małym pokoju, nie wiesz, co się tu działo.

Jeszcze raz obejrzała biblioteczkę i wzięła do ręki coś, co wyglądało jak pusty wazon, ceramiczny kowbojski but. Zajrzała do środka, a tam - dwie fotografie. Więc jednak MacGregor przechowuje jakieś pamiątki. Dobrze.

- Jak się mówi raz, trzeba powiedzieć i dwa - zachęciła się na głos, gdy ponownie ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że buszuje w jego rzeczach. Zakurzone fotografie w kowbojskim bucie od dawna nie widziały światła dziennego.

Na pierwszym zobaczyła dziecko w niebieskim kocyku. Chłopczyk. Jego synek?

Na drugim widniała kobieta w dżinsach. Długie jasne włosy opadały jej na ramiona, na biodrze opierała bobasa. Było lato, świat się zielenił, w oddali, za nią i dzieckiem wznosiły się góry. Długi cień fotografa sugerował, że zdjęcie zrobiono późnym popołudniem.

MacGregor mówił przecież, że nie jest żonaty. I że nie ma dzieci. Może to jego siostrzeniec? Przyjrzała się kobiecie i doszła do wniosku, że to nie jego siostra.

W głębi serca wiedziała, że patrzy na jego synka i żonę albo dziewczynę. Zagryzła usta.

Nagle poczuła się oszukana. Okłamał ją. No i co z tego?

Naprawdę myślałaś, że będzie ci się zwierzał?

Przyglądała się kobiecie w dzinsach i nagle przeszło ją ukłucie zazdrości. Idiocyzm! Ale coś było w jej uśmiechu, w swobodzie, z jaką trzymała dziecko, w zawadiackim przechyleniu głowy. Jakby ją i fotografa łączyła specjalna więź, jakby we dwójkę stawiali czoło całemu światu.

Na miłość boską Jillian, robisz z igły widły! To tylko zdjęcia! Co cię to obchodzi?

No właśnie.

Upomniała się, że właściwie go nie zna. Skąd więc uczucie, że ją zdradził? Skąd rozczarowanie? Przecież wcale jej na nim nie zależy.

Po raz ostatni zerknęła na chłopczyka. Choć miał jasne włosy matki, widziała w nim podobieństwo do mężczyzny, który wyciągnął ją z wraku samochodu. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Odłożyła zdjęcia na miejsce i szukała dalej, w kuchni i łazience. Nie dostrzegła niczego dziwnego. Spojrzała w kuchenne okno, ale zobaczyła tylko nadchodzący mrok i wirujący śnieg.

Czyżby tam, pod ośnieżoną sosną niedaleko komórki na drewno, coś się poruszyło? Czy naprawdę ciemna postać przywiera do pnia?

Niemożliwe. Umysł płata jej figle.

Czyżby?

Z trudem przełknęła ślinę i usiłowała wtopić się w cienie. Do kuchni nie zabrała lampy, w pomieszczeniu było ciemno, ale i tak wrażenie, że jest obserwowana, jej nie opuszczało, jakby niewidzialne oczy towarzyszyły jej na każdym kroku.

Odbija ci, pomyślała, gdy wiatr przybierał na sile, wył wśród drzew, gwizdał w szparach. Wyteęzała wzrok, ale postać, jeśli w ogóle tam była, zniknęła. Pewnie to tylko gałąź poruszana wiatrem. Nic więcej.

Weź się w garść, upomniała się.

Ale nie mogła się opanować i kiedy usłyszała trzask drzwi wejściowych i szczekanie Harleya, z trudem opanowała krzyk.

- Jillian? - głos MacGregora niósł się po całej chacie. Nie wiedziała, co w niej silniejsze - ulga czy strach.

Opanuj się, powtarzała sobie.

- Tu jestem. - Wsparta na kuli, podreptała do drzwi. MacGregor ściągał buty. - Jaka sytuacja?

- Kiepska. Zrobiło jej się słabo.

- Więc przecucie cię zawiodło. Ściągnął buty i teraz zdejmował kurtkę.

- Nadal uważam, że pogoda się poprawi, ale na drodze leżą połamane drzewa, zbyt ciężkie, bym sam je usunął. Będę musiał je przepiłować, a to trochę potrwa. - Spojrzał na nią i chyba dostrzegł jej rozczarowanie. - Ja też miałem nadzieję, że się stąd wydostaniemy, ale będę musiał pojechać skuterem śnieżnym, pociąć pnie i je usunąć. - Długo patrzył jej w oczy. - Do tego potrzeba czasu i pogody.

- Czyli niewykluczone, że utkwiliśmy tu na wiele miesięcy?

- Miejmy nadzieję, że nie. Ale na kilka dni, na pewno. Może na tydzień. Oby nie dłużej.

- Oszaleję.

- Ja też.

Harley tańczył u jego stóp, więc odwiesił kurtkę, pochylił się i podrapał psa za uszami.

- Brakowało ci mnie? - zapytał. Choć głąskał Harleya, patrzył na Jillian.

- Ciebie?

Wzruszyła ramionami.

- Człowiek czuje się tu samotny.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Oparła się o framugę.

- Tak samo, jak tobie mnie.

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu, w oczach pojawił się błysk.

- Aż tak?

- Owszem, aż tak. - Weszła do pokoju i udawała, że nie zauważa jego ostro zarysowanej szczęki pod cieniem zarostu, że nie widzi, jak pociemniały mu oczy ani tego, jak jego włosy kręcą się na kołnierzyku koszuli. Udawała, że chata nie stwarza intymnego nastroju, wypełniona blaskiem ognia i lamp naftowych. Nawet o tym nie pomyśli. O nie.

Nie ma sensu wyobrażać sobie, że w tej sytuacji jest choćby odrobina romantyzmu. Słyszała, co spotyka kobiety, które idą do domu dopiero co poznanego faceta i śpią z pięknym nieznanym. Jillian nigdy nie wpadła w tę Pułapkę, nikt nigdy nie zafascynował jej na tyle, by zapomnieć o ostrożności. Owszem, jest odważna i dzielna, ale nie jest idiotką.

Przynajmniej do tej pory nie była.

Miała tylko jedno na swoje usprawiedliwienie - tak długo tkwi tu z tym mężczyzną, że umysł płata jej figle. Nie myśli logicznie. Tak, to na pewno to.

Niemożliwe, żeby naprawdę pociągał ją Zane MacGregor.

Absolutnie nie.

- A więc... - zaczęła, wściekła na siebie za ochryplą nutę w głosie. Odchrząknęła i stanęła za kanapą. MacGregor odwiesił maskę narciarską i rękawice. - Może spróbujemy się zastanowić, kiedy możemy się stąd wydostać?

- Gdybym to wiedział, sprzedałbym się meteorologom i zarabiał majątek.

- Bosko - stwierdziła, pokuściła do fotela i usiadła. - W takim razie, skoro nie umiesz przewidywać przyszłości, może mi opowiesz o swojej przeszłości.

- Może - mruknął, ale wyczuła wahanie w jego głosie, dostrzegła napięcie w oczach.

- Kiedy cię nie było... sama nie wiem... - Zawahała się, nagle zrobiło jej się głupio. - Czy w którymś momencie byłeś za domem? Miałam wrażenie, że ktoś obserwuje chatę.

Spoważniał i poczuła ukłucie strachu.

- Pies zareagował?

- Nie... myślałam, że to ty. Stałeś pod drzewem i obserwowałeś dom?

- Pójdę to sprawdzić.

- Nie, to pewnie nic takiego. Nie chcę, żebyś...

- Żeby co, Jillian?

- Sama nie wiem. Pewnie mi odbija.

- Zaraz się przekonamy. Włożył kurtkę, sięgnął po buty.

- Nie musisz wychodzić i...

- Oczywiście, że muszę. - Wciągnął buty. - Miałas wypadek, bo ktoś strzelał w oponę. Tak przynajmniej zakładamy. - Zacisnął zęby. - Sprawdź, co się dzieje. - Zagwizdał na psa. - Harley, idziemy. - Zastanowił się przez chwilę, sięgnął do kieszeni, rzucił jej kluczyk. - Umiesz posługiwać się bronią?

- Tak.

- Dobrze. Amunicja jest w szafie. Zamknij za mną drzwi. - Z tymi słowami wyszedł z psem u nogi.

Jillian nie zwlekała. Umieściła zasuwę na miejscu, podeszła do szafki z bronią, wyjęła dwudziestkę dwójkę, znalazła odpowiednie naboje, załadowała. A potem czekała po ciemku, celując w drzwi wejściowe, spięta do bólu. Nasłuchiwała, podświadomie oczekiwała huku wystrzału, ale słyszała jedynie szum wiatru, skrzypienie starych desek i cykanie zegara.

Pescoli nakładała na siebie kolejne mapy na ekranie komputera: najpierw topograficzna, na niej mapa samochodowa i domki letniskowe, i trzecia, z zaznaczonymi miejscami, w których znaleziono ciała i samochody. Wydrukowała powstały obraz w nadziei, że podsunie jej nowe pomysły co do zachowania mordercy.

Nic z tego. Zaznaczyła na niej nawet domy Grace Perchant, Ivora Hicksa i Boba Simmsa, trzech osób, które coś znalazły. Nadal jej nie olśniło. Czas dać sobie spokój.

Było już późno, dochodziła dziewiąta, a jeszcze czekał ją problem Jeremy'ego.

I Nate. Chciała najpierw zadzwonić do niego, ale uznała, że rozsądniej będzie rozwiązać problem z synem i dopiero potem planować wieczór. Jedną ręką sięgnęła po torebkę, drugą wybrała jego numer i oczywiście jak zwykle połączyła się z pocztą głosową, pełną, więc nie mogła nawet zostawić mu wiadomości.

- Bardzo sprytne - mruknęła, wiedząc, że syn jakimś cudem zrobił to celowo, żeby się nie nagrała. - Naprawdę bardzo sprytne. - Usiadła za biurkiem. - Ale się wpakowałeś, bracie - szepnęła, pisząc do niego SMS i dając mu bardzo jasno do zrozumienia, że ma zaraz wracać do domu.

Wyszła z biura. Kątem oka dostrzegła złote litery na zielonej ścianie: „Wesołych świąt”.

Nieco niżej srebrny napis życzył Szczęśliwego Nowego Roku. Taśma się obluźowała i litery lada chwila posypią się na ziemię, ale Pescoli nie miała czasu na takie drobiazgi. Zresztą wygląda na to, że to dzieło Joelle Fisher, która w ciągu ostatniego miesiąca mniej więcej milion razy wspominała, że trzeba by jakoś upiększyć tę norę i wpuścić troszkę świątecznej atmosfery. Pescoli nie pojmowała, co taka kobieta robi na posterunku policji.

Dzisiaj czekał na nią na parkingu pod kołderką świeżego śniegu, tak z osiem centymetrów.

Śnieg padał nieustannie, zasypywał i tak nieprzejezdne drogi. Owszem, to zachodnia Montana, ale Regan nie pamiętała takiej zimy. Odsnieżyła przednią szybę i wsiadła do wozu. Było lodowato.

Nawet w służbowych ocieplanych ciuchach przemarzła do kości. Przekręciła kluczyk w stacyjce i nastawiła ogrzewanie na maksimum. Wyjeżdżając z parkingu, nie zwracała uwagi na nagłe pragnienie nikotyny, bo nie chciało jej się palić w rękawiczkach. Za dużo zachodu. Kiedy wjechała na odsnieżoną ulicę, ogrzewanie zaczęło już działać. Jechała w stronę gór, tam, gdzie czekał jej mały domek. Zajrzała do skrzynki Pocztovej, skręciła na podjazd i omiotła reflektorami pień sosny.

Wóz Jeremy'ego stał tam, gdzie zawsze.

To już coś.

Nacisnęła guzik pilota i wjechała do garażu. Nie minęła nawet minutą a już była w domu. Cisco szalał. Czuć było zapach odgrzewanej pizzy, rll stole poniewierały się przedmioty codziennego użytku jej syna - pudełko po mrożonej pizzy, talerz i butelka coli.

- Jeremy! Chodź tutaj! - zawołała w stronę schodów. Cisco próbował zwrócić na siebie uwagę, skacząc jak szalony po kanapie. Szekał i piszcząc, aż rozpięła płaszcz i pogłaskała go po drobnym ciałku. - Tak, tak, ja też cię kocham - powiedziała pieszczotliwie. - Tak, tak, tak! - Włączyła telewizor i zapaliła lampki na choince. Trzeba by podłączyć to wąż drzewko. - Jeremy! - zawołała jeszcze raz, poszła do kuchni, wrzuciła naczynia do zlewu, nalała wody do dzbanka i wróciła do choinki. Udawała, że nie widzi, że nie leży pod nią ani jeden prezent. W ten weekend chciała jechać do Missouli na zakupy, ale z powodu zamieci i prowadzonego dochodzenia musi się zadowolić planem B, choć na razie go nie ma.

Ponieważ z sutereny nie dochodziły żadne odgłosy, zbiegła po schodach do pokoju syna.

Cisco ją wyprzedził, mało brakowało, a potknęłyby się o niego na stopniach. Jeremy spał ze słuchawkami w uszach, a i tak słyszała głośną muzykę. Ten chłopak chyba chce ogłuchnąć przed trzydziestką. Jezu, ale ją wkurza.

Przyglądała mu się, stojąc w progu. Leżał na plecach, chrapał cicho i wydawał się spokojny. Ogarnęło ją wzruszenie, gdy przypomniała sobie, jak przywiozła go do domu ze szpitala,

przeżrana, że ma synka, bo wychowała się z czterema siostrami. Ojca tak bardzo przytłaczała wszechobecna kobiecość, że w końcu odszedł. Cóż, prawdopodobnie nie z tego powodu, ale zniknął, kiedy Regan miała jedenaście lat i zapamiętała, jak mówi, że nie wytrzyma w domu pełnym bab. Wtedy zdała sobie sprawę, że ma tyle rodzeństwa, bo ojciec koniecznie chciał mieć syna. Nie miało znaczenia, że najmłodsza Regan miała świetne wyniki w sporcie. Ojciec nigdy nie wiedział, że doskonale strzelała, że zawsze bawiła się z chłopakami, a przydomki „lesba” i „chłopczyca” towarzyszyły jej, jeszcze zanim wiedziała, co znaczą.

Zważywszy jej gust, jeśli chodzi o mężczyzn, może byłoby lepiej, gdyby zainteresowała się kobietami, dumiała teraz, ale to niemożliwe. Za bardzo lubi mężczyzn, za bardzo ją podniecają, szczególnie seksowni nicponie. Nie kryminaliści, nie, ci to zwykli nieudacznicy. Ale ci, którzy igrają z ogniem... tak, tacy ją kręcą. Ba, jest od nich uzależniona jak od Nate'a.

To idiotyczne. A jednak nie mogła się doczekać spotkania.

Ale trzeba mieć priorytety. Przekroczyła próg pokoju syna i otoczył ją zapach. .. pizzy i czegoś jeszcze? O cholera, czyżby popalał trawkę? Tłumiły go inne aromaty, ale była pewna, że wyczuła słodki zapach marihuany.

- Cholera - mruknęła. Dzieciakowi potrzebny jest ojciec. Może dlatego tak bardzo chciała, by Jeremy zaakceptował Lucky'ego. Żeby miał ojca, męski wzór. Szkoda tylko, że wybrała takiego dupka.

Dotknęła jego stopy.

- Ej... - Nie zareagował, więc szarpnęła mocniej. Zamrugał i z jego twarzy zniknął spokój.

- Co, do ku... - W ostatniej chwili ugryzł się w język, usiadł, wyrwał słuchawki z uszu. - Jezu, mamo, ale mnie przestraszyłaś!

- Musimy porozmawiać. Przewrócił oczami.

- Jak zawsze.

- Dlaczego nie chcesz jechać do Lucky'ego? - zapytała, a kiedy otwierał usta, podniosła rękę i poprosiła: - Ale mów prawdę.

Skrzywił się.

- Nudzę się tam.

- Tutaj też. A przy okazji, kiedy następnym razem będziesz gotował, posprzątaj po sobie.

- Boże, mamo!

- Paliłeś trawkę? Poruszył się niespokojnie.

- Co ty gadasz?

- Wyczuwam zapach, Jeremy. Nie zapominaj, że przeszłam szkolenie.

- Kurwa!

- Jak ty się wyrażasz!

- Mamo, to nie trawka, przysięgam. Nigdy niczego nie brałem, naprawdę.

Milczała, bo chciała mu uwierzyć, ale przecież pracowała w policji. Wiedziała, jak łatwy jest dostęp do wszelkich możliwych narkotyków, od ecstazy do metamfetaminy.

- Nie próbowałaś?

- Byłem u kumpla, tak, nie pytaj, u kogo, bo i tak nie powiem. Ale nie, nie paliłem.

Boże, jak bardzo chciała mu uwierzyć.

- Więc skąd tu ten zapach?

- Był u mnie kumpel. Prosiłem, żeby tu nie palił. Wyszedł. - Jeremy zmrużył oczy i spojrzał na nią gniewnie. - Nie powiem, kto to.

- Jestem policjantką.

- Mam to w nosie.

Regan się zawahała, zanim zaproponowała:

- Zadzwoń do Lucky'ego, powiedz, jaka jest sytuacja. Chyba chciał was jutro zabrać na świąteczne zakupy.  
 Jeremy opadł na łóżko.

- Daruj mi.

- Wiem, to gorsze niż śmierć.

- Byłaś kiedyś na zakupach z Michelle i Biancą? - Energicznie kręcił głową. - To trwa całe wieki. O nie, nie dam się w to wrobić.

- Więc zadzwoń do Lucky'ego i mu to wyjaśnij. - Miała już dosyć kłótni. - I zastanów się, gdzie kupisz siostrze prezent.

- Tylko jej?

- I ukochanej matce, ma się rozumieć. - Zerknęła na zdjęcie Joego na półce. - Jeremy?

- Tak? - Już szukał telefonu.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że mnie także brakuje twojego ojca.

- Więc dlaczego się umawiasz z tyloma frajerami? O Jezu.

- Bo jego już nie ma.

- I dlatego wyszłaś za Lucky'ego?

- Ja... zakochałam się w nim.

- Nie jest taki jak tata.

- Nie, masz rację, ale ma pewne zalety. - Podniosła rękę na znak, że koniec dyskusji. - Nie będziemy go teraz obgadywali. Jest, jaki jest, ale to ojciec Bianki i twój ojczym i dlatego zasługuje na odrobinę szacunku.

- Sama go nie lubisz i nienawidzisz Michelle.

- Nie nienawidzę jej, jest mi obojętna. Zresztą jesteśmy rodziną. Może nietypową, ale... rodziną, na dobre i na złe.

Regan poczuła rodzicielską dumę, co z tego, że tylko przez chwilę.

- Wychodzę teraz. Będziesz w domu, kiedy wrócę?

- Mówiłem ci, przenocuję u Ryana. Ma ecstazy i...

- Nie żartuj na ten temat!

- Dobra, dobra. - Przesunął się, bo Cisco usiłował ułożyć się między jego nogami. - Nie będziemy niczego brali, tylko grali w gry komputerowe.

- A co z Heidi? - zapytała. Jeremy już od dawna chodził i zrywał z Heidi. Niewygodna sytuacja, bo to jedna z córek Corta Brewstera, zastępcy szeryfa.

- Nic. Zerwaliśmy. - Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia. Przynajmniej nie był załamany. Nie tym razem.

- No dobra, zobaczymy się później. Zadzwoń do Lucky'ego. Podniósł komórkę i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Właśnie to robię. - Pomachał jej. - No to na razie. Uważaj na siebie.

- Co?

Uśmiechał się od ucha do ucha i nagle wyglądał zupełnie jak jego ojciec.

- Powtarzam tylko, co zawsze mi mówisz, kiedy wychodzę.

- Mądrała - mruknęła, wbiegając na górę, ale poczuła się lepiej. Każdy wady, Jeremy także. Zostawiła go samego w domu i już w samochodzie zadzwoniła do Nate'a. Nagle postrzegła świat w jaśniejszych barwach.

Póki nie znajdzie kolejnych zwłok albo wraku samochodu.

## Rozdział 15

Jillian usłyszała odgłos kroków na ganku i znieruchomiła, zaciskając dłonie na broni.



Po kilku sekundach rozległ się szcęk zamka i do domu wszedł MacGregor. Harley kręcił się dokoła jego długich nóg. Spaniel zatrzymał się przy kominku, otrzepał się energicznie, aż żar zasyczał gniewnie, gdy spadły na niego krople wody.

Na widok MacGregora serce Jillian fiknęło idiotyczne salto. Zamknął drzwi, opuścił zasuwę.

- Wszystko w porządku? - zapytał, ściągając maskę narciarską. Ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony, ale nie zwracał na to uwagi.

- Chyba tak.

- W takim razie celuj w co innego, bardzo proszę. - Palcem w rękawiczce wskazał lufę pistoletu, który cały czas był skierowany w drzwi.

- Przepraszam. - Szybko opuściła broń. Patrzyła, jak MacGregor ściąga kurtkę i wiesza ją przy drzwiach. Choć miał na sobie gruby sweter, widziała zwinność jego ruchów i siłę jego mięśni. Był bardzo męski, bardzo zmysłowy i bardzo niedostępny. Czemu w ogóle zwraca na to uwagę? Słyszała o zakładniczkach, które zakochiwały się w porwaczach, traciły głowę dla jedyne go człowieka, którego widywały, i zawsze uważała to za idiotyzm. A tu, odcięta od świata, z niebezpieczeństwem czyhającym tuż za drzwiami, ulega czarowi mężczyzny o mrocznej przeszłości.

Co za stek bzdur! Weź się w garść. Oderwała wzrok od jego oczu.

- Znalazłeś coś?

- Sam nie wiem. - Pobiegł wzrokiem do drzwi, upewnił się, że są zamknięte.

- Jak to?

- Wydaje mi się, że widziałem ślady na śniegu. - Przeczesał włosy palcami, przez co potargał je jeszcze bardziej. Cały czas trzymał strzelbę.

- Jakby ktoś usiłował je zatrzeć gałęzią. To się udaje na piachu, ale nie na śniegu, zwłaszcza tak głębokim. - Usiadł przy kominku, by się rozgrzać.

- I pod warunkiem że nosi się rakiety śnieżne, zwykłe buty zapadają się zbyt głęboko. - Przez dłuższą chwilę myślał intensywnie. Podrapał się w podbródek. - Ale go nie złapałem. Długo trwało, zanim odkryłem ślady, a wtedy rozpadało się na dobre. Nie wiem, o co tu chodzi, ale to nie jest nic dobrego.

Jillian przeszła fala paniki. Wszystkie obawy, które starała się stłumić, nagle ożyły.

- I co teraz zrobimy?

- Nic, poczekamy - odparł, jakby rozważył wszystkie możliwości. - Pozamykamy drzwi, naładujemy broń, a kiedy tylko poprawi się pogoda, wynosimy się stąd.

- W twoich ustach to brzmi jak test z kiepskiego filmu z lat pięćdziesiątych, a w lesie czają się zombie.

Nawet się nie uśmiechnął.

- To, co czai się w lasach, z całą pewnością nie jest martwe.

- Boisz się?

- Niepokoję. - Patrzył jej głęboko w oczy. - Tylko się... niepokoję.

- A ja się boję. - Nie dodała, że właściwie umiera ze strachu. Pewnie już się tego domyślił.

Skinął głową, wpatrzony w ciemność za oknem.

- Spróbuj się przespać, ja będę czuwał.

- Myślisz, że to konieczne?

- Może nie, ale, jak powiedziałem, niepokoi mnie ta sytuacja. Chcę, żebyś wypoczęła. Musisz być silna, tylko wtedy uda się nam stąd wydostać.

- Nie zasnę, choćbym chciała.

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu, który ją rozbrajał.

- Postaraj się. Możesz się położyć tutaj albo w sypialni.

- Wolę tutaj - westchnęła niechętnie, pokuśtykała do kanapy i ułożyła się na poduszkach.

MacGregor usiadł na fotelu i zgasił lampy.

Za oknem hulał wiatr, gałąź monotonna waliła w dach. Ogień syczał cicho. Nerwy Jillian były napięte jak postronki.

Rozmyślała o wszystkim, czego się dzisiaj dowiedziała o MacGregorze, o okrucinach jego życia, które wyszperała, i mało brakowało, a zapytałaby o zdjęcie chłopczyka, ale ugryzła się w język.

To nieodpowiednia chwila, by przyznać się, że myszkowała w jego rzeczach. Choć pewnie się tego domyślał, a ją zżerała ciekawość, postanowiła na razie poczekać.

Tylko na razie.

Jest sama gdzieś w górach, w towarzystwie uzbrojonego nieznajomego, na dworze, w pobliżu, krąży morderca. To nie MacGregor; gdyby chciał ją skrzywdzić, mógłby to zrobić wiele razy. Musi mu zaufać.

Musi.

Nie ma innego wyboru.

Selena uznała, że dość pracy jak na jeden dzień. Czy raczej noc. Rano zeznawała w sądzie, później wróciła na posterunek i do późna siedziała za biurkiem. Teraz budynek ział nieprzyjemną pustką - większość kolegów już dawno poszła do domu.

Cisza przed burzą, pomyślała, wstając. Jej kroki niesły się echem po ciemnym korytarzu.

Zazwyczaj lubiła pracować sama, do późna, gdy nie przeszkadzały jej telefony, rozmowy, śmiechy i tłumaczenia zatrzymanych, ale dzisiaj było inaczej.

Może to po sesji w sądzie. Spędziła na ławie świadków zaledwie kilka minut, zeznawała, jak zginął pięcioletek, potrącony przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Ale nie mogła zapomnieć rozpacz w oczach matki, wyrzutów sumienia, że na ułamek sekundy spuściła dziecko z oka. A po drugiej stronie sali siedział oskarżony, najwyżej dwudziestoletni dzieciak, przerażony, skruszony i winny, bo był pijany i uciekł z miejsca wypadku, pił, choć jest niepełnoletni i tak dalej.

Tyle zmarnowanych szans.

Wyszła na dwór i wyłączyła immobilizer w swoim samochodzie, służbowym dziupie, podobnym do wozu Pescoli.

Oskrobała przednią szybę ze śniegu skrobaczką, którą zawsze miała w kieszeni, i usiadła za kierownicą. Miała za sobą ciężki dzień. Ciężki tydzień. Właściwie ciężkie miesiące, odkąd znaleźli ciało Theresy Charleton, samotnej nauczycielki z Boise. To był początek, pod koniec września. Jej zwłoki niedługo były w lesie, świadczył o tym mało zaawansowany rozkład i nieliczne ślady zwierząt. Jej brat, Lyle Wilson, regularnie wydzwaniał i pytał o postępy w śledztwie.

- Chciałoby się - mruknęła Alvarez, przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała z parkingu, na którym zostało już bardzo niewiele pojazdów. Skręciła w boczną uliczkę dopiero po chwili i znalazła się na głównej arterii, która prowadziła przez serce miasta, jego najstarszą dzielnicę. To tam na placu królował gmach sądu, to tam kusiły sklepiki i knajpki, zbudowane ponad sto lat temu. Ta część miasta przysiadła nad rzeką, niemal sto metrów poniżej biura szeryfa i posterunku policji. Początkowo mieszkali tu górnicy i drwale. Stary tartak w dole rzeki przypominał o szaleństwie z początku XX wieku. Zamiast od razu jechać do pustego mieszkania, zaparkowała przed Dzikim Willem, ulubioną knajpką, w której zawsze można dostać coś dobrego do jedzenia. Wysiadła z samochodu i nagle poczuła zimny prąd na plecach; miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Odwróciła się i po drugiej stronie wąskiej uliczki zobaczyła mężczyznę. Miał na sobie grubą kurtkę, jego twarz nikła w cieniu. Posłał jej jeszcze jedno spojrzenie i oddalił się w stronę rzeki.

Instynkt gliny płała ci figle, powtarzała sobie, gdy zniknął za rogiem. Uznała, że nie ma powodu, by za nim iść. Zaburczało jej w brzuchu i przypomniała sobie, że jej ostatni posiłek stanowił kubeczek jogurtu i jabłko, marna namiastka lunchu.

Poprawiła torebkę na ramieniu i ruszyła do restauracji.

Dziki Will był utrzymany w klimacie Dzikiego Zachodu: ściany z nieheblowanych desek, żyrandole z drewnianych kół od wozu. Ze ścian szklanym wzrokiem przypatrywały się gościom łby jeleni i łosi. Wypchany niedźwiedź grizzly, o pysku rozwartym w wiecznym uśmiechu, witał gości przy drzwiach. Miejscowi ochrzcili go Grizz, a właściciele przystrajali stosownie do pory roku. Na Czwartego Lipca widywano go w cylindrze w barwach narodowych i wyglądał jak Wujek Sam, w wielkiej łapie tkwiła flaga... W zeszłym roku na Halloween wystąpił w masce jak z filmu Krzyk, a w łapach trzymał piłę mechaniczną i kociołek. Trochę poplątane, ale w końcu to Halloween.

Alvarez w głębi duszy uważała, że to dziwaczny zwyczaj, ale zachowała! tę opinię dla siebie. Dzisiaj, ledwo weszła do środka, Grizz powitał ją w pełnej świątecznej krasie, z anielskimi skrzydłami na plecach, aureolą na głowie i sznurem lampek na włochatej piersi.

Cały czas łupał groźnie szklanymi ślepiami i szczyrzył ostre zęby, jakby na przekór otwartemu śpiewnikowi z kolędami, który dzierżył w łapach.

Jakby, a jakże, nucił Cichą noc, bo na tej kolędzie otwarto śpiewnik. Co prawda noc nie była ani cicha, ani święta, pomyślała, idąc do głównej sali. Tu wystrój był jeszcze gorszy.

Mijała stoliki, przy których siedzieli wygłodniaли goście, a nad ich spokojem czuwały zabite przed stu laty zwierzaki, z rogami ustrojonymi lampkami i anielskim włosiem.

Makabra.

Witamy w Grizzly Falls, pomyślała. Zdejmując kurtkę, poczuła na sobie wzrok kilku gości; zdawali się pytać, dlaczego dotąd nie złapała mordercy.

Nie zwracając uwagi na makabryczny wystrój i spojrzenia innych gości, usiadła pod ścianą, twarzą do drzwi - policyjny odruch, którego nie mogła się pozbyć. Nie wytrzymałaby, nie wiedząc, kto wchodzi i wychodzi.

Sandi, kelnerka i właścicielka w jednej osobie, podeszła od razu z dwoma dzbankami kawy.

- Kawy? A może masz ochotę na coś mocniejszego? Dzisiejszy drink to Dzikie Święta.

- Aż się boję zapytać. - Ostatni drink dnia nazywał się Dzika Czkawka i okazał się koszmarną mieszanką różnych whisky.

- Adwokat, creme de cacao, odrobina coli i whisky, Wild Turkey - wyrecytowała Sandi.

Uniosła brwi, aż pojawiły się nad oprawką okularów. - Jeśli chcesz, może być inna whisky, tej używamy ze względu na nazwę.

- Nie, dzięki, zostanę przy kawie bezkofeinowej. - Alvarez patrzyła, jak jej filiżanki trafia ciepły ciemny strumień.

- Poszcześnieście się wam z tym świrem? - zainteresowała się Sandi. Była wysoka, miała wąską, pociągłą twarz, oczy podkreślone ciemną kreską, a dzisiaj, pewnie ze względu na porę roku, upiękzone zielonym cieniem. Kiedyś była żoną Williama Aldridge'a, któremu lokal zawdzięczał nazwę, ale się rozwiedli, tak przynajmniej głosi plotka. Willowi dostał się ukochany samochód, góraska chata i nowa dziewczyna, o dwadzieścia lat młodsza od Sandi, a jego była żona stała się pełnoprawną właścicielką restauracji. Wprowadziła do monotonnego jadłospisu egzotyczne dania, czarowane z pstrągów i dziczyzny. Mieszkała w pokoiku nad lokalem i chyba nie wychodziła z knajpy przez całą dobę. I nie kryła satysfakcji, gdy się dowiedziała, że młodziutka ukochana „kopnęła Willa w jego żałosny tyłek”, o czym nie omieszkła poinformować każdego, kto w ciągu ostatnich dwóch lat zasiadł na kanapce obitej sztuczną skórą.

- Pracujemy nad tym.

- No, to się trochę pospieszcie, co? Całe miasto panikuje. Nikt nie rozmawia o pogodzie, o nie. Wszyscy tylko gadają o Mordercy z Bitterroot. Tak go nazwał Manny z „Reportera”.

Alvarez czytała artykuł Manny'ego Douglasa z „Mountain Reporter”, lokalnej wersji „New York Timesa”.

- Dorwiemy go - zapewniła.

- Mam nadzieję. - Nieprawda. Alvarez widziała napięcie w czerwonych ustach Sandi, gdy ta podawała jej kartę dań. - Dzisiaj polecam stek z bizona z borówkami, ziemniakami albo ryżem, do tego sałatka ze szpinaku, zielonych jabłek i orzechów i talerz zupy brokułowej. Klient przy sąsiednim stoliku uniósł pustą szklankę i Sandi pospieszyła do baru, by podać mu nowego drinka, Dziką Gwiazdkę albo coś równie pysznego.

Selena rozglądała się po sali. Zwyczajni obywatele, niektórzy z torbami pełnymi zakupów, siedzieli, zajęci rozmową. Wsłuchiwała się w urywki zdań, których nie zagłuszała muzyka, miękka ballada country. Czasami dolatywało do niej skwierczenie tłuszczu, gdy ktoś wchodził albo wychodził z kuchni. Choć Sandi bardzo się starała zamienić swój lokal w restaurację wyższej kategorii, większość klientów uparcie zamawiała steki, hamburgery i krążki cebulowe z frytkami.

- Co to za potwór? Boże drogi. A to było takie spokojne miasteczko - narzekała kobieta w siwej peruce, ze złotym krzyżkiem na szyi. Ona i jej towarzysz już kończyli posiłek, sączyli kawę i jedli ciasto kokosowe.

- Moim zdaniem, powinniśmy sami iść w góry i go poszukać. - Facet przy sąsiednim stoliku miał już nieco w czubie. To on zamówił kolejnego drinka. Zdaje się, że wraz z alkoholem budził się w nim animusz pierwszych osadników. - Przecież wszyscy mamy broń. Może już czas, żebyśmy sami wymierzyli sprawiedliwość... Cholerni gliniarze... O, dziękuję, skarbie. - Uśmiechnął się, gdy Sandi postawiła przed nim nową szklankę. Podniósł ją i spojrzał z aprobatą. - Pycha, naprawdę.

- Podobno je torturuje, przywiązuje do drzewa i wycina satanistyczne symbole na korze. - Niedaleko Alvarez siedziała kobieta w zakiecie ze świątecznymi aplikacjami. Skrzywiona, nachylała się nad resztkami steku do ucha przyjaciółki.

- I kto by pomyślał? Tutaj, w Grizzly Falls? - W głosie towarzyski brzmiała radosna ekscytacja, jakby rozkoszowała się najnowszymi plotkami.

Alvarez przestała słuchać.

No właśnie, kto by pomyślał?

Od wielu lat marzyła, by wziąć udział w ważnym dochodzeniu, by pracować nad sprawą, która przyniesie jej uznanie i pobudzi do działania.

Ale nie nad czymś takim. Nie nad sprawą kobiet, przetrzymywanych, być może torturowanych i porzucanych nago na mrozie.

Zamówiła pstrąga w migdałach i sałatkę ze szpinaku, ale mimo najszczerszych wysiłków nie mogła przestać myśleć o sprawie i ofiarach. Theresa Charleton znalazła się nago w lesie koło dwudziestego września, a więc niemal w momencie zmiany znaku zodiaku, jak zauważyła Pescoli. Nina Salvadore miesiąc później, potem Wendy Ito, teraz Jillian Rivers.

Czyżby ich sprawca naprawdę naśladował Zodiaka?

A może chodzi o coś innego? Rozejrzała się po sali, patrzyła na poważne twarze gości.

Owszem, Grizzly Falls ma swoich wariatów, ale czy ma też mordercę?

Sprawca zna teren, to pewne. I zna ofiary. I trzyma je gdzieś tu, w pobliżu ma kryjówkę.

Chatę, jaskinię, piwnicę, szopę, stodołę, stryszek - cokolwiek. Tuż pod twoim nosem.

Pracowali niemal bez przerwy, a i tak mieli wrażenie, że kręcą się w kółko i niczego nie osiągnęli.

Pescoli ślezczała nad mapami, agenci FBI przeglądali akta i pracowali na profilem sprawcy. Alvarez wydzwaniała do działu osób zaginionych w całe Montanie i sąsiednich stanach. W kółko przesłuchiowano różne osoby - krewnych, przyjaciół, lokalnych mieszkańców, którzy mogli coś wiedzieć. Opinii publiczna została zaalarmowana, szeryf apelował, by zgłaszano

wszystko, co wyda się podejrzane. Ludzie, psy i helikoptery szukali dalszych ofiar i innych wraków samochodów, każdego skrawka dowodu, który znajdą w taką pogodę.

Koszmar.

Nie mieli dość danych. Ani czasu.

Tyle jeśli chodzi o rozwiązanie sprawy i chwałę, pomyślała, gdy pojawił się przed nią smakowicie pachnący talerz, a Winonna Judd zaczęła nową kolędę. Na razie nie mieli zielonego pojęcia, kto sieje przerażenie w sennym zazwyczaj miasteczku w górach Montany. Sięgnęła po nóż i spojrzała na talerz, z którego łytał na nią pstrąg. Miała wrażenie, że ktoś ciągle ją obserwuje: facet na ulicy, inni goście w restauracji, głowy zwierząt na ścianach, nawet jej kolacja, do cholery.

No cóż. Wbiła nóż w pstrąga i odkroiła spory kawałek.

Smacznego.

Czas na kolejny etap.

Patrzę na nią i wiem.

Dochodzi do siebie. Przy niewielkiej pomocy może chodzić, da sobie radę w śniegu.

Wyobrażam sobie, jak będę ją wiązał i popychał. Będzie mnie przeklinała, tak, ale nie zrobi niczego i moim życzeniom stanie się zadość.

Siedzę w chacie, cieplej i jasnej od trzaskającego ognia, i bardzo chcę się jej pozbyć. Jeśli zatrzymam ją dłużej, ryzykuję, że mnie złapią. Policjanci oczywiście nadal nie mają o niczym pojęcia, ale to się może zmienić.

Nie wolno mi ich lekceważyć.

Zresztą list jest gotowy, litery doskonale, gwiazda we właściwym miejscu. Ale to przecież nic dziwnego; napisałem listy, kiedy tylko ustaliłem, kim są kobiety, które złożę w ofierze. A pozycja gwiazdy - to już przeznaczenie.

Denerwuję się, wyobrażam sobie ten moment, gdy do niej dotrze, że ją oszukałem i wcale jej nie uwolnię.

Ta chwila - gdy zdają sobie sprawę, że jestem panem ich życia i śmierci, gdy widzę w nich strach, tak, ale i rezygnację - to najcudowniejszy moment ze wszystkich. Niemal jak orgazm. Już niedługo, powtarzam sobie. Już za kilka godzin.

Ale jestem zmęczony udawaniem kogoś, kim nie jestem.

Flirtuję.

Śmieję się.

Sprawiam wrażenie swobodnego i sympatycznego.

To mnie męczy.

Teraz śpi, nieświadoma tego, co ją czeka, więc mam czas. Choć nie do końca mi ufa, pogodziła się już z faktem, że jestem jej jedyną nadzieją, że nikt inny jej nie uratuje.

Widziałem to dzisiaj w jej oczach.

Teraz mogę działać dalej.

Skuter śnieżny jest gotowy do drogi.

A niebiosa popierają mój plan. Czyż gwiazdy nie są w doskonałej pozycji? O tak.

Zdaje się, że nadchodzi zmiana pogody. Chwilowa.

Powinno mi wystarczyć czasu, zanim kolejne podmuchy arktycznego wiatru zaczną chłostać góry. Może nawet wystarczy nie na jedną, ale na dwie. Uśmiecham się na myśl, jak to zbije z tropu biednych gliniarzy. Nie będą wiedzieli, co o tym myśleć.

Chociaż to akurat nic nowego.

Śpi na kanapie, płomienie tańczą na jej twarzy i nagle coś ściska mnie za serce, ale nie pozwolę sobie na to. Nie mogę niczego czuć, to tylko skomplikuje sprawę. I zwiększy ryzyko błędu.

Mógłbym jej pragnąć.

Mógłbym nawet zaryzykować i się z nią kochać... Ona już o tym myślała, widziałem to dzisiaj w jej oczach. Tak, nadal się boi, ale jest też podniecona i zaczyna na mnie polegać. To nie do przyjęcia.  
Idę do kuchni. Zimno tu, ogień w piecu dawno wygasł.  
Nalewam sobie drinka.  
Wracam do saloniku, patrzę na nią, piję.  
Ciepło whisky spływa w dół gardła, stopniowo rozgrzewa krew.  
Bawię się drinkiem, upijam kolejny łyk. Alkohol mnie uspokaja i zarazem zwiększa napięcie.  
Patrzę na nią. Taka niewinna.  
Jak jagnię prowadzone na rzeź.  
Och, tak, bez problemu mógłbym ją uwieść. Pocałować w kark, musnąć palcami jej szyję, słuchać, jak oddycha szybko, podniecona i przerażona.  
Pozwoli mi się rozebrać. Zrobię to, ale zapragnie więcej. Będzie chciała, bym wsunął rękę między jej uda, żebym ją pieścił. Będzie nawet marzyła, że stracę głowę i ją pocałuję, dotknę tam językiem. Jej sutki nabrzmieją, będzie jęczała z pożądania.  
Jak tamte.  
Koniec końców, wszystkie tego pragną.  
Chcą wiedzieć, jakie to uczucie, całkowicie oddać się mężczyźnie. Och, oczywiście, gdyby mogły, skarżyłyby się przyjaciółkom, ale prawda jest taka, że wszystkie chciały, żebym się z nimi kochał, żebym je wypełnił, żebym zaciskał dłonie na ich piersiach, napierał na nie członkiem. Chciały poczuć moją twardość, chciały mieć ją w sobie. Chciały jęczeć z pożądania zmieszanego ze strachem, co tylko jeszcze bardziej je podnieca. Myślały, że będę je pieścił, muskał nagie plecy, całował karki, gryzł i szczytował, kończył w ich mokrych, rozpalonych ciałach.  
Głupie, puste suki.  
Jakbym mógł się tak poniżyć.  
To zbyt proste.  
I bez znaczenia.  
Patrzę na drinka, bawię się bursztynowym płynem, dopijam do końca i wtedy wiem, że nadeszła odpowiednia chwila.  
Czas się rozstać.  
Kolejna już czeka.  
Na świt.  
W innej chacie.  
Ona także pójdzie na spotkanie przeznaczenia.  
Ona także się zastanawia, czy może mi zaufać.  
Czy zrobię z nią, co chcę.  
Czy mi na to pozwoli.  
Uśmiecham się do siebie i upijam kolejny łyk. Wiem o nich wszystko.  
Biedne idiotki.

## **Rozdział 16**

Gdzie ja jestem?

Jillian gwałtownie otworzyła oczy i w pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje. Leżała w śpiworze na starej kanapie, w lodowatej chacie...

Błyskawicznie przypomniała sobie swoje opłakane położenie. Szyja bolała ją od niewygodnej pozycji, zebra też dawały o sobie znać, ale kiedy poruszyła nogą, kostka już tak nie bolała.

Przez okno wpadało nieśmiałe światło brzasku, spowijając meble miękkim cieniem. Fotel MacGregora był pusty.

Odwróciła się i zobaczyła go koło okna przy drzwiach. Wpatrywał się w dal, ciemny na tle bieli za szybą. Wyraźnie widziała jego ostre rysy. Mocno zarysowana szczeka, wystające kości policzkowe, oczy głęboko osadzone w smagłej twarzy, wąskie usta zaciśnięte w wąską linię.

Stał z boku, jakby nie chciał być widziany. Sam widział wszystko, ale pozostawał niewidoczny.

- Dzień dobry - powiedział, przeciągając zgłoski. Zerknął na nią. Odprężył się trochę. - Mocno spałaś.

- Tak?

- Chrapałaś - dodał.

- Przepraszam.

- Nie było tak źle. - Wyraźnie się rozluźnił.

- Czego wypatrujesz?

- Nie wiem. W nocy śnieżyca ustała.

- Coś słyszałeś? Albo widziałeś?

- Nic nadzwyczajnego. - Znów spojrzął w okno. - Pogoda ustabilizowała się na tyle, że uważam, że możemy spróbować. Może nam się uda stąd wydostać.

- Naprawdę? - Aż się bała w to uwierzyć. Usiadła, krzywiąc się z bólu.

- Zobaczymy. Jak się czujesz?

- W porównaniu z czym? Jego usta drgnęły.

- Z codziennością?

- No cóż. - Pokręciła głową. - Do tego jeszcze daleko. Ale chyba dam radę utrzymać się na skuterze śnieżnym, jeśli to masz na myśli. Poza tym mam silną „chatofobię”. - Pomyślała o matce, która pewnie odchodzi od zmysłów z rozpaczy. Pewnie nawet Dusti się o nią niepokoi. No, i jeszcze kotka, od tyłu dni pod opieką sąsiadki... I praca. Zbyt szybko opuściła nogi na ziemię. Kostkę przeszył ból. Głośno wciągnęła powietrze.

- Niech to szlag!

Trzema szybkimi krokami pokonał dzielącą ich przestrzeń, szybko złapał ją za rękę i podtrzymał silnym twardym barkiem.

- Ostrożnie - powiedział miękko. Jego oddech łaskotał ją w kark. - Wszystko w porządku? Harley, leżący na legowisku w kącie, podniósł łeb i szczechnął cicho, niespokojnie.

- Nie - warknęła. Straciła cierpliwość. Była wściekła na siebie, na swoje ciało i na to, że zwraca uwagę, jaki jest męski. Jakaś część jej umysłu podpowiadała, że sporo czasu upłynęło, odkąd ostatnio czuła na sobie męskie dłonie. - Nie, nic nie jest w porządku. Mam dosyć siedzenia Bóg wie gdzie, ze skrzyconą nogą, połamanymi zębami i siniakami na całym ciele. Uwięziona w chacie bez prądu, z facetem, o którym nic nie wiem. Absolutnie nic. - Kątem oka dostrzegła, że Harley wstaje. - Że nie wspomnę o psie, który mnie nienawidzi.

- Nie sądzę, że Harley cię... Odwróciła się i śmiało spojrzała mu w oczy.

- Aha, zapomniałabym: niewykłuczone, że w lesie grasuje wariat, który; przestrelił mi oponę i spowodował wypadek. Więc nie, nie w porządku. Ani trochę.

- No, dobrze - mruknął, ale w jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Co? Skądże.

- Uważasz, że to zabawne?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. - Na jego twarzy znowu malowała się śmiertelna powaga.

- No i dobrze. A teraz się zastanówmy, jak się stąd wydostać. - Odsunęła się, nie chcąc stać tak blisko niego.

- Pracuję nad tym.  
- To pracuj szybciej z łaski swojej - burknęła. Usłyszała jad w swoim głosie.  
- Robię, co w mojej mocy.  
- Cholera jasna. - Chciała się uspokoić, ale nie mogła. - Przepraszam. Mam dosyć siedzenia na tyłku i roli biednej bezradnej ofiary. To nie w moim stylu i... o Boże. - Starła się nie zwracać uwagi na jego oddech na karku, na jego męski zapach. Ależ z niej idiotka. - Chodzi o to, że muszę mieć coś do roboty, cokolwiek! I chcę się stąd wydostać! - Walczyła ze sobą, by ignorować siłę jego ramion, jego zapach, czysty i męski. Spojrzała na niego gniewnie, jakby to jego wina, że był tak mrocznie, zmysłowo pociągający. - Oszaleję tu. Zbikuję. Muszę się stąd wydostać! I to dzisiaj!

Kącik jego ust uniósł się w tym seksownym uśmiechu, któremu nie śmiała zaufać. W tym momencie dotarło do niej, jak okropnie musi wyglądać. Od kilku dni nie brała prysznicza, miała siniaki na twarzy, choć na szczęście nie złamała szczęki ani nie straciła zębów. Cóż, szczęście to rzecz względna, pomyślała, ale co za ironia losu, że kiedy wygląda strasznie, pociąga ją ten nieznajomy. Idiotka z niej i tyle.

Wściekła na siebie i swoje fantazje - jej wyobraźnia najwyraźniej także oszalała - odepchnęła go. Nie dotykali się już i poczucie bliskości znikło. Wsparta na kuli, próbowała wziąć się w garść. Musi się skupić. Oboje muszą.

Harley wstał, ziewnął, przeciągnął się i podbiegł do MacGregora.  
- Chcesz wyjść? - Poklepał go po głowie, jeszcze raz spojrzawszy przeciągle na świat za oknem i powiedział: - No to chodź. Od tyłu. - Zdjął kurtkę z wieszaka i poszedł do kuchni. Spaniel podążył za nim.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy zniknął w kuchni, i starała się opanować złość. Wstała z łóżka, czy raczej z kanapy, lewą nogą. To nie jego wina, że miała wypadek.  
Nie jego wina...  
A czyja?

Pokręciła głową. Tego nie wiedziała. Gdyby MacGregor miał wobec niej zamiary, mógł je już dawno spełnić. Co prawda nie mogła stąd uciec, miała też kłopoty z poruszaniem się, ale nie skrzywdził jej nawet słowem, nie robił żadnych groźnych aluzji, ba, zostawił jej nabitą broń.

Myślała o nim. Zabił człowieka. Dlaczego wybrał samotny tryb życia? Kim jest chłopczyk na zdjęciu? Ma żonę? Dziewczynę? Narzeczoną? A może jest prawdziwym pustelnikiem i nie pragnie ludzkiego towarzystwa, wystarczą mu góry?

Z westchnieniem poszła do łazienki. W wiadrze było pełno wody, więc mogła skorzystać z toalety, chociaż pompa nie działała. Co wieczór MacGregor wnosił do domu kilka wiader śniegu, który topniał i stąd brali wodę do picia i mycia. Gorąca woda stanowiła luksus, trzeba było poczekać, aż się zagrzeje w czajniku albo garnku na palenisku. Służyła przede wszystkim do gotowania, wszystkiego, od owsianki i zupek w proszku po liofilizowane zapiekanki. Udało mu się nawet upiec chleb kukurydziany. Co prawda trochę go przypalił na brzegach, ale była taka głodna, że pochłonęła dwie grube pajdy.

Chociaż byli odcięci od świata, MacGregor zadbał, by nie umarli z głodu, ale chacie i tak daleko było do pięciogwiazdkowego hotelu. Właściwie daleko jej nawet do jednogwiazdkowego, jeśli już o tym mowa.

Tęsknie spojrzała na kabinę prysznicową i wyobraziła sobie, jakie to uczucie, stać pod ciepłymi strumieniami, które obmywają obolałe mięśnie, spływają po włosach...  
Raj.  
Wyobraziła sobie, jak siedzi w ciepłej pachnącej wodzie, w łagodnym blasku świecek, otulona pianą. Zmyka oczy i... MacGregor bierze gąbkę i myje ją pieszczotliwie, muska palcami jej skórę, dotyka piersi, aż sutki staną się twarde, a ona straci oddech, błędzi dłońią po jej śliskiej skórze...



Jęknęła gniewnie.

Co ona sobie myśli?

Osamotnienie rzuciło jej się na głowę, sprawiło, że fantazjuje o seksie z nieznajomym. Wściekła na siebie, wróciła do kuchni, znalazła rondel i nabrała trochę gorącej wody z garnka na piecu. Wróciła do łazienki, dołączyła wrzątku do zimnej wody i umyła twarz, ręce i całe ciało. Włosy muszą poczekać, choć zmoczyła je trochę i namydliła najlepiej jak się dało. Co prawda nie było to mycie profesjonalne, ale od razu poczuła się lepiej. Przeczesała je palcami, potem znalazła nawet grzebień.

- Gwiazda Bitterroot w pełnej krasie - powiedziała, patrząc na swoje odbicie. Pod skórą nadal czaiły się sińce.

Otworzyła drzwi i zastała MacGregora i psa w kuchni. Chyba wrócili już jakiś czas temu, bo siedział w dżinsach, kurtki nigdzie nie było widać.

- Ktoś się kąpał - zauważył.

- Najwyższy czas, nie sądzisz? Skinął głową.

- Dobrze wyglądasz.

Mało brakowało, a parsknęłyby śmiechem.

- W równaniu z kim? Quasimodo? Dżabą? Mr Hyde'em? Chyba żartujesz.

- Nie, zwłaszcza jak sobie przypomnę, jak wyglądałaś, kiedy wyciągnąłem cię z samochodu.

- Masz kiepskie standardy, MacGregor.

- Może, ale naprawdę wyglądasz... o wiele lepiej. Pomyślałem, że napijemy się kawy - powiedział spokojnie, jakby byli starym małżeństwem i nie mieli do roboty nic innego poza wspólnym czytaniem gazet.

- Bosko. - Skrzywiła się, słysząc swój głos. Dobry Boże, czy naprawdę z nim flirtuje? Co się z nią dzieje?

- Poczekaj, aż spróbujesz. - Otworzył szafkę i wyjął opakowanie kawy. - Mielona - wyjaśnił.

- Żaden tam smakowy bajer. Nie ma to jak prawdziwa kawa. - Spojrzał na ekspres stojący na porysowanym kontuarze. - Ponieważ nie mamy prądu, zaparzę japo staremu.

- Cudownie - powiedziała i napotkała jego wzrok. Wstrzymała oddech, widząc tajemnicę w jego oczach.

Wpadłam po uszy, pomyślała, i stwierdziła, że wcale się nie boi.

Alvarez zdążyła właśnie zatrzaskać drzwiczki swojego dżipa i podejść do drzwi biura, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i przygotowała się na ciężkie chwile, widząc numer telefonu matki. Rozważała, czy nie odrzucić połączenia, ale w ten sposób tylko odwlekałaby nieuniknione.

- Dzień dobry, mamó. - Z laptopem pod pachą szła w stronę budynku, kuląc się w podmuchach lodowatego wiatru.

- Witaj, kochanie.

Mimo trwającej rozmowy, Selena przyłapała się na tym, że już myśli o tym, co ją dzisiaj czeka w pracy. Dobrze chociaż, że nie pada śnieg. W nocy pługi odśnieżyły większość dróg. Może helikoptery wzbijają się w powietrze i obserwatorzy wypatrzą coś z góry. Może właśnie dzisiaj dojdzie do przełomu w śledztwie.

Z drugiej strony...

- Znowu pracujesz, tak? Alvarez nie odpowiedziała.

- *Dios*, Seleno! Nie ma jeszcze ósmej rano! I to w niedzielę! W niedzielę przed Bożym Narodzeniem! W taki dzień powinnaś albo leniuchować, albo wybierać się do kościoła.

- Wiesz przecież, że nie mam ustalonych godzin pracy. - Weszła do budynku i skinęła głową policjantowi z nocnej zmiany, który siedział w recepcji.

- Za dużo pracujesz.

- Ty tak twierdzisz.

- Wszyscy tak twierdzą. Twój brat Esteban też jest policjantem, dostaje różne odznaczenia i mówi, że wcale nie trzeba pracować tyle co ty.

Zdaniem Alvarez Esteban był zwyczajnie leniwy, ale tego matce nie powie.

- Co u was słychać? - zapytała. Podeszła do swojego biurka, zapaliła lampę.

- Liczyłam, że może zmienisz zdanie i przyjedziesz na święta do domu. Oczami wyobraźni Selena zobaczyła dom: dwupiętrowy budynek w Woodburn w stanie Oregon, niedaleko Highway 99. Dorastała tam z piątką braci i dwiema siostrami. Dziewczynki miały wspólny pokój na poddaszu, chłopcy mieszkali oddzielnie - trzech młodszy w izdebce na strychu, dwaj najstarsi w osobnych pokojach w piwnicy. Dom rozbrzmiewał hałasem i śmiechem i przez pierwsze czternaście lat jej życia był jej oazą. Potem stał się piekłem.

Ale w święta Bożego Narodzenia mały domek rozjaśniał się lampkami, które mrugały na wszystkich rynnach i w oknach. Na podwórku dumnie królowała duża szopka, pół saloniku zajmowała wielka prawdziwa choinka, ciotka Biatriz brzdąkała kolędy na pianinie, a mama i babka gotowały tradycyjne meksykańskie dania jako dodatek do amerykańskiego indyka. Na ich stole było wszystko, od wołowej pieczeni po smażone tamales.

- Przykro mi - skłamała i usiadła za biurkiem. - Nie dam rady.

- Ale to Boże Narodzenie, *niña*.

- Wiem, ale mam, mamy tu seryjnego mordercę. Myślałam, że o nim słyszałaś.

- Musisz mieć trochę wolnego.

- Nie w tym roku.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie wyjeżdża na święta? Nie wierzę.

- W tym roku po prostu nie mogę. Ucałuj wszystkich ode mnie - zakończyła, nie chcąc, by matka wymusiła na niej zmianę zdania.

- Przecież zawsze wieszasz *pinatę* dla małych.

- Nie w tym roku. Lydia to robi. - Poczula ukłucie żalu na myśl o najmłodszej siostrze. Tak, Lydii będzie jej brakowało. I może Eduarda. Może. - Zadzwoń i ze wszystkimi porozmawiam.

- Skąd? Jakie masz plany? Bóg jeden wie.

- Będę u przyjaciół. - Kolejne kłamstwo. Nie miała żadnych planów na święta. Popracuje dłużej, weźmie nadgodziny, a potem uczci Boże Narodzenie w domu, z miską popcornu i filmem na DVD. Cudowna perspektywa, choć nikt koło niej nie usiadzie.

- Seleno, rodzina jest w życiu potrzebna - zauważyła matka.

- Wiem o tym. Kocham cię, mam, ale naprawdę muszę kończyć.

- Bóg z tobą, dziecko. - Juanita z westchnieniem wyszeptowała szybką modlitwę po hiszpańsku i się rozłączyła.

- Wina, wina, wina - mamrotała Alvarez. Włączyła komputer i otworzyła plik ze zdjęciami martwych kobiet i listów znalezionych przy zwłokach. A jeśli morderca chce im coś przekazać nie tylko za pomocą liter, ale i pozycji gwiazd? Nałożyła na siebie wszystkie notatki, tak że widziała zmieniające się położenie symbolu.

Sprawdzała za pomocą specjalnego programu komputerowego, czy uda jej się znaleźć konstelację zawierającą gwiazdy w tych właśnie miejscach. Niestety, było ich aż nadto.

- Za mało danych - mruknęła gniewnie. Im więcej ofiar, tym więcej informacji. Któregoś dnia, o ile oczywiście gwiazdy stanowią element konkretnej konstelacji, zidentyfikują ją, podobnie jak odczytują przekaz, mając więcej liter.

Któregoś dnia, gdy będą mieli dużo liter. I dużo martwych kobiet.

- Cholera. - Wstała zza biurka. Niedobrze jej się robiło od tego wszystkiego. Po raz pierwszy, odkąd weszła do niemal pustego pomieszczenia, dotarły do niej dźwięki muzyki. Otaczały ją radosne nuty *Let It Snow* i zachciało jej się śmiać, gdy uświadomiła sobie absurdalność sytuacji. Bing Crosby wyśpiewywał ostatnie słowa tekstu.

Wyjrzała na biały świat. Owszem, na dworze jest strasznie, ale tu w biurze wcale nie jest przytulnie. Nawet w święta.

Jillian, oparta o blat, obserwowała, jak MacGregor parzy kawę. Nasypał mielonej kawy na lnianą ściereczkę, którą położył na dzbanku od kawiarki, nabrał wody do kubka i powoli przelewał przez prowizoryczny filtr.

Już po chwili do dzbanka spadły pierwsze ciemne krople.

- Kawa obozowa - mruknęła, gdy otoczył ich smakowity aromat. Zerknął na nią przez ramię i w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Na szlaku zawsze tak parzę kawę. To robi wrażenie na kobietach.

- Oczywiście - zgodziła się i nie zdołała opanować uśmiechu. - Na mnie też.

Zachichotał i po raz pierwszy zobaczyła inne jego oblicze. Kiedy przelał przez filtr cały dzbanek, nalał kawy do kubków i podał jej jeden.

- Mam cukier i śmietankę w proszku.

- Dzięki, piję czarną. Na zdrowie. - Lekko stuknęli się kubkami.

- Za ciebie.

Wydawało się, że na chwilę zniknęło napięcie ostatnich dni. Nawet Harley, do tej pory bardzo czujny, odprężył się, zwinął w kłębek na dywaniku i zmrużył ślepia.

- Chyba mnie zaakceptował - stwierdziła, pochyliła się i pogłaskała szorstki łeppek. Pies uniósł jedną powiekę i ziewnął, ale nie warczał.

- To naprawdę przyjazny zwierzak. - MacGregor jakby dopiero teraz zauważył, że Jillian nadal opiera się na kuli. - Chodźmy do pokoju. Daj, poniosę. - Zabrał jej filiżankę i poszedł za nią.

- Kiedy wyszedłeś z psem, chciałeś się jeszcze raz rozejrzeć? Skinął głową.

- Ale nic nie sugeruje, że ktoś tam był.

- Na pewno? - Przez chwilę wpatrywała się w okno. Zamieć ucichła, na ganku piętrzyły się wysokie zasy.

- Niczego nie jestem pewien. Jeśli ktoś tu wczoraj był, śnieg zasypał ślady. Ale teraz? Tak, teraz jesteśmy sami.

Co wcale nie znaczy, że jestem bezpieczna, upomniała się. Ale musi mu ufać. Cholera, nawet chce mu ufać, ale i tak musi zachować ostrożność. Harley zastukał pazurkami po deskach podłogi i powędrował na swoje miejsce przy kominku.

MacGregor podał jej kubek. Zamknęła go w dłoniach, rozkoszując się ciepłem, które przenikało ją do głębi. Oparła stopy na stoliku.

Skinął głową w stronę jej kostki.

- Nie jest złamana.

- Mówiłeś.

Ich spojrzenia się spotkały, gdy przypominała sobie jego monolog. Udawała wtedy, że śpi.

- Więc nie spałaś - zaryzykował.

- Nie. - Teraz nie ma sensu kłamać, on i tak znał prawdę.

- Tak myślałem. - Upił spory łyk, nie odrywając od niej wzroku. - Al dobrze ci szło.

- Lata praktyki w dzieciństwie. - Skrzywiła się na wspomnienie, ile razy wymykała się potajemnie, udając, że wcześniej zasypia. Wypychała samochód z podjazdu na szosę i jeździła z przyjaciółmi. To było głupie i niebezpieczne, i Dusti, starsza, mądrzejsza i zawsze poprawna siostra, ciągle jej wypominała, jaka z niej idiotka.

- Buntowniczką?

- Albo głuptas. Wybieraj. Uśmiechnęła się szeroko i poczuła, że MacGregor pociąga ją coraz bardziej. Może rzeczywiście mają coś wspólnego, jakąś niezależność, której ni sposób okiełznać.

- Dajeś mi kule - zauważyła, wracając do terażniejszości, do miejsca, w którym pochrapywał pies, ogień strzelał wesoło, a powietrze przesycił aromat kawy.

- Żebyś mogła wstać, gdy się obudzisz. Wiedziałem, że kostka nie utrzyma ciężaru ciała, a kule trzymam tu na wypadek, gdyby podczas jednej z moich wypraw doszło do wypadku, póki nie odwiozę nieszczęśnika do szpitala albo nie wezwę pomocy.

- A skoro już o tym mowa; próbowałaś dzisiaj gdzieś zadzwonić? Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- A jak myślisz?

- Właśnie w tym rzecz. Nie wiem, co myślę.

Zdawał się czytać w jej myślach. Podeszedł do kurtki i odpiął kieszeń.

- Proszę. - Wyjął nieduży telefon, włączył go i rzucił jej. Złapała wolną ręką. - Spróbuj sama. Jak mówiłem, kiepsko tu z zasięgiem i bateria już siada, ale jeśli ci się uda...

Trzymała telefon jak bezcenny skarb, klucz do rajów, ale gdy spojrzała na mały wyświetlacz - ze zdjęciem Harleya - nie widziała nawet jednej kreski zasięgu i choć naciskała wszystkie guzki, nic to nie dało.

- Nic z tego - przyznała i odrzuciła mu bezużyteczny teraz gadżet.

- Rodzina pewnie się o ciebie martwi.

Pokiwała powoli głową i pomyślała o matce. Kiedy do Linnette wreszcie dotrze, że zaginęła, pewnie zaraz zadzwoni do wszystkich możliwych organów ścigania. Oczywiście najpierw skontaktuje się z FBI. Tylko że matka pewnie nie ma o niczym pojęcia. Na razie. Wolała zachować tę informację dla siebie. Nie ma sensu zdradzać MacGregorowi, że nikt jej nie szuka. Lepiej niech myśli, że jej krewni postawili na głowie całą policję.

- Kiedy tylko złapiemy zasięg albo się stąd wydostaniemy, zadzwonimy do nich.

- Ja zadzwonię.

- Jak chcesz. - I znowu ten uśmiech, choć tym razem dostrzegła w nim pewną twardość.

Przypomniała jej się fotografia w wazonie, zdjęcie jasnowłosego chłopczyka.

- Kiedy cię nie było, trochę się tu rozejrzałam. Ciemna brew uniosła się pytająco.

- Nie masz tu żadnych zdjęć.

- Bo tak mi się podoba.

- A twoja rodzina?

- Chyba już ci mówiłem. Nie jestem z nimi blisko.

- Ale zależy ci na chłopczyku. - Uznała, że czas przejść do sedna. - Znalazłam zdjęcie chłopca, tam, w wazonie. - Wskazała półkę z ceramicznym butem.

MacGregor zacisnął usta w wąską kreskę, widoczną nawet pod zarostem.

- Wiesz, o kim mówię.

Zawahał się, a potem lekko skinął głową. Na jego szczęce zadrgał mięsień.

- Miał na imię David - powiedział cicho. - Był moim synem. Czekała, zła na siebie, że poruszyła ten temat, bo od razu wiedziała, dlaczego użył czasu przeszłego.

- Nie żyje.

- Przykro mi - powiedziała.

- Nie znałaś go.

- Przykro mi, że go straciłaś. Powiedziałeś, że nie masz żony... że...

- Nie mam żony. I nie mam dzieci. Moja żona i mój syn nie żyją. Zginęli w wypadku drogowym, w czołowym zderzeniu, jednym z tych, których przyczyny nigdy nie udaje się ustalić. Nie wiadomo, dlaczego Callie zjechała na przeciwny pas, prosto pod koła ciężarówki.

- O Boże...

- Tamtego dnia to ja miałem zawieźć ich do szkoły, ale byłem zajęty, pochłonęła mnie praca, więc zadzwoniłem i powiedziałem, że spotkamy się na miejscu. Pociaszano mnie, mówiąc, że zginęli na miejscu, ale co to zmienia? W każdym razie to się działo dawno temu i nie chcę o tym myśleć.

- I dlatego chowasz zdjęcia.

- Tak. - Wyciągnął rękę po kurtkę.

- I jesteś samotnikiem.
- Nie do końca. - Sprawdził kieszenie i podszedł do drzwi.
- Przykro mi.
- Już to mówiłaś.
- Wiem, ale...
- Skupmy się na terażniejszości. Czy kiedy tu myszkowałaś, znalazłaś swoje rzeczy?
- Moje rzeczy? - Do tej pory w ogóle o nich nie myślała, co tylko świadczy o tym, w jak żalnym stanie psychicznym się znajduje. To szaleństwo, ale czuła się napięta jak struna, obolała i brzydka.

Minął ją, podszedł do regału, otworzył drzwiczki i wyjął znajomą torbę podróżną.

Jakim cudem wcześniej jej nie zauważyła? Myślała, że zajrzała wszędzie, ale z drugiej strony była otumaniona. Na widok torby miała ochotę się rozplakać, co byłoby głupie.

Na widok torby, którą sama pakowała kilka dni temu, uświadomiła sobie, że jej życie wygląda zupełnie inaczej. I że już nigdy nie stanie się częścią jego życia.

- Pomyślałem, że zechcesz się przebrać. - Postawił torbę koło jej fotela.

Odchrząknęła.

- Chętnie.
- Nie wiem, czy dasz radę wyjąć nogę z nogawki, twoja kostka...
- Spróbuję.

Zawahał się.

- Może ci pomóc? Mogę...
- Nie! - Zareagowała za szybko, krzyknęła głośniejsze, niż zamierzała.
- Przepraszam. Nie, chyba sama dam sobie radę.

Zmrużył oczy.

- Wiesz co, chyba zmienię diagnozę. Poruszasz się zadziwiająco dobrze jak na połamane żebra. Jeśli miałaś szczęście, tylko je poobijałaś. Połamane bołałyby o wiele bardziej.
- Bola jak cholera, zapewniam.
- Ale gdyby były złamane, nie mogłabyś się ruszać.
- Dobrze. - Nieważne, czy są złamane, czy poobijane, i jak ją bołą.
- Czy mógłbyś łaskawie zanieść mi torbę do sypialni?

Spełnił jej prośbę. Wstała, pokuśtykała do sypialni, z trudem zamknęła za sobą drzwi, zmieniła bieliznę i włożyła grubego sweter. Żebra bołały ją przy każdym ruchu, ale postanowiła, że da sobie radę. Ze spodniami było gorzej, ale na szczęście zabrała dzwony i te dało się wciągnąć na obolałą kostkę.

A potem nawet umalowała usta i musnęła rzęsy tuszem. Przejrzała się w małym lusterku. Lepiej, choć nadal ma podkrążone oczy i zadrapania na twarzy.

Pół godziny później wróciła do saloniku. Ogień buzował wesoło. MacGregor układał drwa. Stos miał już ponad metr. Wiedziała, dlaczego to robi.

- Wychodzisz - stwierdziła. Przyniósł drewno, żeby mogła utrzymać w domku wysoką temperaturę. Na palenisku bulgotał kociołek wody, obok leżała paczka owsianki i zupa w torebce.

- Jeśli teraz nie pójde, później mogę nie mieć okazji. Zależy mi, żeby cię stąd zabrać. Jeśli mi się uda, zadzwonię. Jeśli będę musiał przecinać pnie na szosie, zajmie mi to trochę czasu. W każdym układzie wrócę za kilka godzin, najpóźniej o zmierzchu.

Nie wyobrażała sobie, że siedzi w chacie sama i czeka, ale nie miała wyboru.

- Harley zostanie z tobą. W szafce jest broń. Skinęła głową.

Cofnął się i podszedł do niej.

- Wrócę, zanim się obejrzysz - zapewnił, a potem, ku jej zdumieniu, musnął jej policzek ustami. - Trzymaj się.

## Rozdział 17

Pomocy!

Boże, ratunku! Niech ktoś mi pomoże!

Rona szarpała się, walczyła, zmagając z zimnem i liną, którą przywiązał ją do drzewa, ale im bardziej się szarpała, tym mocniej sznur wrzynał się w jej ciało. Chciała krzyczeć, wrzeszczeć, powiedzieć światu, co jej robił, ale knebel działał jak kaganiec i z jej ust wydobywały się jedynie stłumione krzyki. Słyszała rozszalałe bicie swojego serca i szum wiatru. Targały nią wyrzuty sumienia. Była idiotką i to najgorszego rodzaju.

Jak mogła mu zaufać? Jemu? Potworowi, który przywiązywał ją do drzewa? Zdjął jej ubranie? Nie protestowała. Odurzył ją? A może sparaliżował ją strach? A może po prostu czuła się tak samotna, że pragnęła, by zwrócił na nią uwagę?

Boże, ale z niej idiotka. Pozwoliła, by ją rozebrał, nie protestowała, gdy ją całował i wtedy, gdy wahała się między pożądaniem a strachem, a on założył jej pętlę na szyję. Dopiero to uświadomiło jej, że wpadła w śmiertelną pułapkę.

Pomóż mi, Boże, błagała ze łzami w oczach. Śnieg, twardy od mrozu, parzył jej skórę, sprawiając, że wstrząsały nią dreszcze.

Chyba jej tu nie zostawi.

To tylko taki test, nic więcej.

Słyszała, jak sapie z wysiłku, zaciągając sznur, i jej plecy przywarły boleśnie mocno do chropowatej kory jodły. Przed nią rozciągała się łąka, teraz zasypana śniegiem. Zamrugowała szybko, chcąc zapomnieć o białych płatkach i dostrzec drogę ucieczki.

- Puść mnie, błagam! - krzyczała, ale knebel tłumił słowa, odbierał im sens. Zresztą i tak nikt jej nie słuchał.

Bo on wiedział, że i tak ją zabije.

Od samego początku.

A jednak uwierzyła mu, gdy obiecywał, że zawiezie ją do miasta, że kie tylko śnieżycą ucichnie, zawiezie ją do szpitala albo wezwie pogotowie. Albo.. I A ty się na to nabrałaś. Idiotka!

Znowu się rozpląkała, łzy zalewały jej oczy, zasłaniały widok, spływa<sup>1</sup> po lodowatych policzkach. Jezu, ale zimno. W życiu nie było jej tak zimno. Nagie sutki nabrzmiały boleśnie. Nawet krew zdawała się płynąć wolniej, jakby i ona traciła ciepło.

Wychłodzenie.

Hipotermia.

Zamordowana przez naturę i własną głupotę.

- Gdyby Connor tu był... pomógłby jej na pewno... Connor, najdroższy. .. co... Co ja najlepszego zrobiłam?

Ciemność kusiała, ostatkiem sił starała się zachować przytomność, by jeszcze raz spojrzeć w przystojną twarz tego sukinsyna, ale myśli odpływały, nagle wydało jej się, że widzi Connora, szeptał, że dostała, na co sobie zasłużyła. .. a potem pojawił się ktoś inny...

Kobieta...

- Mama? - zapytała, bo co prawda jej mama nie żyła od trzech lat, ale ta kobieta...

Powróciła ciemność, pochłonięta ją i z oddali dobiegało stukanie, jakby ktoś pukał do drzwi.

- Ja otworzę, mamó - szepnęła, choć z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czuła nieprzyjemny smak. - Ja otworzę...

Pescoli podniosła wzrok znad papierów i stłumiła ziewnięcie. Oddałaby wszystko za papierosa, żeby móc się lepiej skoncentrować.

- Sukinsyn! - Szeryf Grayson wybiegł z biura, klnąc na czym świat stoi.

Pescoli czuła, jak wszystkie mięśnie w jej ciele się napinają. Było sobotnie popołudnie, pogoda się ustabilizowała i wielu policjantów zjawilo się w biurze, by nadgonić papierkową robotę i przejrzeć notatki. Cisnęła długopis i energicznie wstała zza biurka.

- Niech zgadnę - powiedziała, choć już знаła odpowiedź. - Znalezione nowe zwłoki w lesie?  
- Owszem. - Grayson zaciskał usta, z trudem ukrywając wściekłość. Już wkładał kurtkę, pod którą mignęła kabura pod pachą. - Nie udało nam się go przyskrzynić, zanim znowu to zrobił.  
- Co? - Brewster słyszał ich rozmowę przez otwarte drzwi swojego gabinetu. Wyszedł na korytarz z kurtką w ręku. - Chyba sobie żartujecie?  
- Skądże. - Grayson nie czekał, aż zastępca go dogoni.  
- Niech to szlag! - Cort Brewster poczerwieniał ze złości, wkładając ocieplaną kurtkę. - Cholerny sukinsyn.

Alvarez, której biurko stało po przeciwnej stronie korytarza niż biurko Pescoli, upychała już włosy pod czapką i jednocześnie szła między biurkami, Podążając za resztą ekipy. Sturgis wysunął ciemny łeb z gabinetu szeryfa i szczerzył nerwowo.

- Siad! - krzyknął Grayson, gdy pies chciał wyjść. I już łagodniej dodał: - Zaraz wracam, mały.

Zasmucony labrador zawrócił, jeszcze raz obejrzał się smętnie i podreptał do gabinetu, na posłanie, stojące koło grzejnika. Pescoli wzięła kurtkę, torebkę i broń.

- Jillian Rivers? - zapytała, idąc za szeryfem.

Grayson skinął głową.

- Wygląda na to, że drań ją załatwił. Ten sam sposób działania.

- Biedaczka. - Pescoli wyobrażała sobie przerażenie, którego zapewne doświadczała ofiara, gdy zmuszał ją by nago wędrowała przez las, a potem bezradna czuła, jak przywiązuje ją do drzewa. - Kto ją znalazł?

- Turyści na szlaku. Znaleźli ją na polanie niedaleko Cougar Pass. Martwa kobieta, przywiązana do drzewa, jak pozostałe. Mało nie umarli ze strachu. - Grayson miał rozpacz w oczach. Poczucie winy i bezradność pogłębiały bruzdy wokół jego ust. - Spóźniliśmy się. Znowu.

Nikt nawet nie próbował go pocieszać. Szli korytarzem, tupiąc ciężkimi butami.

- Zadzwoni do policji stanowej - zwrócił się do Brewstera. - Zapytaj, czy mogą nam udostępnić helikoptery, niech patrolują okolice z góry, porobią zdjęcia... Zobaczymy, co znajdziemy, zanim na nowo rozpęta się śnieżycy.

Pescoli dodała:

- Niech zwrócą uwagę na wszystkie chaty, z których unosi się dym. W górach nie ma prądu, a jeśli morderca jest w pobliżu, musi mieć jakieś ogrzewanie.

- Może ma generator?

- W takim razie gdzieś kupuje paliwo, propan albo diesel, i to w dużych ilościach.

- Już poinformowaliśmy dystrybutorów w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów - wtrąciła się Alvarez.

- Niech helikoptery szukają śladów na śniegu. Niech szukają chaty, dokoła której jest go mniej, a dom teoretycznie stoi pusty. Generatory nie tylko hałasują ale i grzeją. Może ktoś coś słyszał. I sprowadźmy psy. Może złapią trop i zaprowadzą nas do drania. - Grayson pchnął przeszkłone drzwi t. mocno, że uderzyły o ścianę.

Na dworze oślepiło ich słońce. Promienie odbijały się od białej kołdry śniegu, łańcuch przy maszcie flagi dzwonił na wietrze. Z gałęzi drzew dokoła parkingu zsuwały się ciężkie śnieżne czapy.

Pescoli otworzyła samochód i usiadła za kierownicą Alvarez tymczasem zajęła fotel pasażera. Regan męczył lekki kac - efekt zbyt wielu drinków i zbyt krótkiego snu. I zbyt wielu godzin z Nate'em, bo Jeremy nocował u kumpla.

Ten facet na nią działał. Oczywiście wylądowali w łóżku, jak zawsze. I choć seks z nim wywoływał na jej twarzy uśmiech, czasami kac przyćmiewał blask. Tego ranka nie miała czasu, by sobie przypominać, jak muskularne nogi Nate'a oplatają jej ciało, jak zaciskał dłonie na jej pośladkach, przyciągając ją jak najbliżej. W każdym razie nie teraz. Musi się skupić na cholernym mordercy.

Założyła okulary przeciwsłoneczne i w ślad za samochodem Graysona wyjechała z parkingu.

- Widziałaś dzisiejszą gazetę? - zapytała Alvarez, gdy mijaly szyld witający podróżnych w Grizzly Falls.

- A było coś ciekawego?

- Owszem. I dlatego Grayson zachowuje się, jakby go osa ugryzła.

- Więc chodzi o coś więcej niż kolejne zwłoki w lesie?

- Ktoś przekazał prasie szczegóły. Mamy przeciek.

- Co? - Pescoli nie wierzyła własnym uszom. - Jakie szczegóły? Napisali już przecież, że najpierw ofiary miały wypadek samochodowy, że prawdopodobnie ktoś do nich strzelał...

- A teraz pisali o notatkach. Nie wszystko, ale że morderca przywiązuje kobiety do drzewa i wycina im gwiazdę nad głową. Wcześniej o listach nie było mowy.

Pescoli zacisnęła dłonie na kierownicy, czując, jak ból głowy, który zaczął się u nasady karku, pełznie coraz wyżej. Policja miała jedną przewagę: znali pewne szczegóły, których nie podawali do publicznej informacji, bo dzięki temu łatwiej im było wyłuskać prawdziwego zbrodniarza wśród dziesiątków świrów spragnionych sławy. Tu, w tym zakątku, aż roi się od wariatów, gotowych przyznać się do zbrodni, byle trafić w światła reflektorów.

- Kto?

Alvarez się zachnęła.

- Źródła nie ujawniono, ale stawiam na Ivora Hicksa. Ten facet nie utrzyma języka za zębami.

- My nie przekonamy Ivora, ale może jego krewni...

- Ma tylko syna, a wydaje mi się, że Bill nie utrzymuje z nim bliskich kontaktów. Dziwisz mu się?

- Na jego miejscu wyprowadziłabym się jak najdalej - mruknęła Pescoli.

- Naprawdę? - Alvarez pokręciła głową. - Każdy mieszka, gdzie chce. W pobliżu rodziny, nawet jeśli nie jest doskonała.

Pescoli zamyśliła się nad tymi słowami. Nadal mieszka w tym samym mieście, co jej były mąż. Może Alvarez ma rację. Chociaż, z drugiej strony...

- Ty się wyprowadziłaś.

- No cóż, w mojej okolicy szanse na pracę były mizerne.

- W przeciwieństwie do Grizzly Falls. - Pescoli skrzyła z szosy w boczną drogę, która pięła się w górę.

Alvarez nie odpowiedziała, co Pescoli wcale nie zdziwiło. Partnerka zawsze tak reagowała na wzmianki o rodzinie. Nigdy o niej nie rozmawiała, ale wyczuwało się na odległość, że stało się tam coś złego. Bardzo złego.

- W każdym razie ktoś musi powstrzymać Ivora przed dalszymi rozmowami z prasą.

- O ile to Ivor.

- A kto jeszcze wchodzi w grę? - zdziwiła się Pescoli.

- No właśnie. Dobre pytanie. Kto jeszcze? Nieistotne, w każdym razie ktoś to zrobił i Grayson jest wściekły.

- Nie dziwię mu się. - Pescoli nie spuszczała z oczu potężnego subaru szeryfa i jednym uchem słuchała rozmów z policyjnego radia. Jej dżip wspinał się na strome wzgórze, opony wbijały się w miałki, syпки śnieg. Na poboczu drogi walały się pnie zwalonych drzew, usunięte przez pługi śnieżne.



Policyjny konwój nie napotkał na drodze ani jednego samochodu, gdy pięli się coraz wyżej, na najnowsze miejsce zbrodni.

Pescoli próbowała sobie wyobrazić ten zakątek. Cougar Pass, mniej więcej dwadzieścia cztery kilometry od Grizzly Falls. Jediną drogą tam prowadzącą była stara droga do kopalni, zasypana śniegiem, na tyle dobrze utrzymana, że będą mogli podjechać mniej więcej sto metrów przed miejscem, gdzie porzucił zwłoki.

- Dzisiaj będą nam potrzebne łopaty - mruknęła. - Nie ma co, facet lubi odludne zakątki.

Brnąc po kolana w śniegu, Alvarez myślała o braciach i siostrach, z którymi przed laty modliła się o śnieżycę, o wielką zamieć. Niestety, w Woodburn w Oregonie było to rzadkie zjawisko.

Agenci FBI zjawili się niemal równocześnie z nimi. Na miejscu był już Pete Watershed, przyjechał jako pierwszy. Całą grupą zeszli z przełęczy i zobaczyli, dokładnie jak to opowiadali turyści, martwą kobietę przywiązaną do drzewa. Dwójka wędrowców siedziała w samochodzie i cierpliwie czekała na policjantów.

- Boże, miej litość - szepnęła Alvarez i przeżegnała się szybko. Ona, kobieta wykształcona i racjonalna, instynktownie wracała do religii młodości, ilekroć los zmuszał ją do konfrontacji z najciemniejszą stroną ludzkiej natury.

Selena Alvarez wierzyła w Boga, może nie tak głęboko, jak życzyłyby sobie tego jej babka Rosaria, ale wierzyła i się tego nie wypierała. Czasami czuła na sobie ukradkowe spojrzenia Brewstera i Watersheda, ale je ignorowała. Dobrze chociaż, że Pescoli nigdy nie komentowała jej zachowania i sprawiała wrażenie, że jej zdaniem wszystko jest w porządku.

A teraz, gdy patrzyła na martwą kobietę, szukała w wierze otuchy, choć na niewiele mogła liczyć na przejmującym zimnie, wpatrzona w ciało przywiązane do jodły. Drobne, białe, choć teraz skóra przybrała siny odcień. Krótkie jasne włosy wisiały w zamrzniętych strąkach, ośnieżona głowa opadła na pierś. Na całym ciele widniały sińce, liny głęboko wrzynały się w skórę.

- Jezu Chryste - szepnął Brett Gage.

- Okropny widok, co? - Pescoli z powagą chłonęła makabryczny widok. - Boże, chciałabym dopaść tego świra, który to robi.

Stephanie Chandler patrzyła na ślady na śniegu.

- Może tym razem coś znajdziemy. Może psy złapią trop.

- Miejmy nadzieję - szepnęła Alvarez. Na razie, psy okazały się bezużyteczne, ale dzisiaj jest lepsza pogoda, no i widać ślady prowadzące na polanę i do lasu. - Co tam jest?

- Nie ma żadnej drogi, w każdym razie żadnej przejezdnej, ale kiedyś była tam ścieżka do prywatnej kopalni, zamkniętej od lat. - Gage rozłożył mapę tak, że pokazywała kawałek terenu, na którym się znajdowali.

- Jakież budynki po kopalni? Gage pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Musimy to sprawdzić.

- Ja pójdę - zaproponował. Ominął ślad szerokim łukiem, żeby niczego nie zdeptać, i ruszył w stronę skupiska sosen na skraju polany, bo tam trop się zaczynał.

- Facet nie jest na tyle głupi, nie kryje się tu w pobliżu. - Z głosu Alvarez przebijała pewność siebie.

- Niekoniecznie. - Pescoli przyglądała się partnerce przez bursztynowe okulary. - Każdy popełnia błędy. Nawet świr.

To fakt, pomyślała Alvarez.

- Nie on. - Stephanie Chandler stała o kilka kroków dalej. Jasne włosy nikły pod granatową czapką z logo FBI. Chłonęła wzrokiem miejsce zbrodni. - Jest na to zbyt dokładny.

Wyobrażał to sobie miliony razy, przeżywał to w myślach. Nie popełnia błędów.

Pescoli nie ustępowała.

- Każdy popełnia błędy. Dlatego właśnie seryjni wpadają. Więc miejmy nadzieję, że i nasz to zrobi, bo inaczej czeka nas jeszcze wiele ofiar.

Chandler także nie zmieniała zdania:

- Popełniają błędy dopiero, kiedy są pod presją. Na razie, nie depczemy mu po piętach.

- Na razie - zgodziła się Pescoli. - Ale będziemy.

- Mam nadzieję. - Chandler wpatrywała się w las.

- Chyba umarła niedawno - oznajmił Watershed. - Ciało jest cieplejsze niż w poprzednich wypadkach, śnieg nie zasypał śladów. Może psy coś wyczują. - Zmrużył oczy i popatrzył w ślad za Gage'em i tropem. - Odszedł tą samą drogą którą przyszedł.

- Jak poprzednio - zauważyła Alvarez.

Zjawili się śledczy z laboratorium i zabrali się do pracy, zabezpieczali dowody na ciele ofiary i w okolicy, fotografowali miejsce zbrodni i ofiarę, szukali najmniejszego drobiazgu, który być może zostawił po sobie morderca.

- To nie jest Jillian Rivers - stwierdziła nagle Alvarez.

Pescoli skinęła głową.

- Nie wygląda jak na zdjęciu w prawie jazdy. Rivers ma jakiś metr siedemdziesiąt i waży koło sześćdziesięciu pięciu kilo, ta tutaj ma najwyżej metr sześćdziesiąt i waży najwyżej pięćdziesiąt.

Alvarez przygotowała się na następny cios. Przyjrzała się zwłokom.

- Rivers ma piwne oczy i długie ciemne włosy, to jest blondynka. Oczywiście mogła je ufarbować i ściąć, ale nie sądzę. Kolor wygląda na naturalny. - Włosy łonowe ofiary były jasne, niewidzące martwe oczy lśniły błękitnie. - I nie ten kolor oczu. Spójrz na list:

WAR            T                    SC                    I    N

- Zgodnie z naszą teorią powinny tu być inicjały Jillian Rivers. Mamy R, jak w Rivers, ale nie ma J, jest za to A. - Alvarez pokręciła głową. - Coś tu nie gra. Chyba że zmienił sposób działania.

- Niemożliwe. - Chandler przyglądała się zwłokom z odległości dziesięciu metrów. - Nie zrobi tego. Bawi się z nami, tak, ale jednocześnie chce nam coś powiedzieć. Chce, żebyśmy doszli, co to takiego, żebyśmy podziwiali jego geniusz.

Alvarez patrzyła, jak Michał delikatnie bierze liścik w szczypce i wsuwa do plastikowej torebki. Wyciągnął do niej rękę.

- Chcesz obejrzeć?

- Dzięki. - Wzięła torebkę za róg i odeszła od ciała, zadowolona, że może się oddalić.

Chociaż nauczyła się to ukrywać, Selena Alvarez bardzo źle znosiła oględziny miejsca zbrodni, szczególnie tak brutalnej. Szczególnie wobec kobiet. Cóż, każdy ma swój krzyż, jak mawiała babka Rosarita.

Powtarzała sobie, że te emocje dają jej siłę i energię, by ścigać takich drani jak ten. Dla których morderstwo jest zabawą. Sukinsyn.

Dlatego także nie chciała pracować w laboratorium. Choć zdawała sobie sprawę z wagi pracy laboratoryjnej i znaczenia kryminalistyki, nie zniosłaby tego. Koledzy z laboratorium byli pochłonięci pracą: wsuwali dłonie ofiary w plastikowe woreczki, dokonywali oględzin ciała, przeczesywali okolice samotnej jodły, a Alvarez wpatrywała się w list, zdecydowana, że rozgryzie jego tajemnicę. Nie wiedziała, czy to szyfr, kod czy obcy język, ale wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie rozwiąże tej zagadki.

To jak szukanie igły w stogu siana.

Pescoli ściągnęła brwi, patrząc na górzysty teren otaczający miejsce zbrodni. Góry, wąwozy, zamrożone potoki, serpentyny wśród skał. Szukali tu Jillian Rivers - na darmo. Teraz muszą znaleźć samochód tej ofiary.

Jeśli pogoda na to pozwoli.

Szukanie cholernej igły w stogu siana.

Przypomniły jej się topograficzne mapy w biurze. Może za pomocą komputera uda jej się wyznaczyć prawdopodobne miejsca kolejnych zbrodni.

W tych górach kryją się tuziny małych łączek i minie mnóstwo czasu, zanim sprawdzą wszystkie, ale czy mają inne wyjście?

- Wiemy przynajmniej, że Jillian Rivers żyje - pocieszała się Alvarez.

- W liście nie ma litery J, a zawsze zawiera inicjały ofiar.

- Fakt, ale równie dobrze może ją mordować właśnie w tej chwili - zauważyła Pescoli.

Alvarez pochyliła się nad śladami stóp.

- Owszem, jednak jeszcze kilka godzin temu był tutaj. To świeże ślady, niezasypane śniegiem, a pogoda ustabilizowała się zaledwie kilka godzin temu.

- Niewielka to pociecha. Może ją załatwia dosłownie w tym momencie.

- Pescoli pokręciła głową

Usłyszały z oddali miarowy stukot śmigła - nadlatywał helikopter. Najwyraźniej policja stanowa już zabrała się do przeszukiwania terenu.

- Co on, do cholery, chce nam przekazać? - Pescoli zaglądała Alvarez przez ramię, wpatrzona w kartkę.

- Nie mam pojęcia. - Brewster rzucił okiem na dziwny napis i gwiazdę.

- Może: „War to science”, wojna nauce? - podsunął Watershed. - Może to fanatyk religijny.

Może to ofiara, jakiś dziwaczny rytuał.

- Satanistyczny - dodała Pescoli.

- Albo „Wart science”, nauka o brodawkach. - Pete Watershed nie dawał za wygraną choć poczerwieniał z zimna. - Albo „War of the scientists”, wojna naukowców, albo nawet „Wary of this coin”, uwaga na tę monetę.

- Więc gdzie miejsce na inicjały Jillian Rivers? - Alvarez odrzuciła jego przypuszczenia. -

Oczywiście zakładając, że jest następna. - Podniosła wzrok na Pescoli. - Facet najwyraźniej ciągle ją ma.

- Sukinsyn - wyszeptała Pescoli. - Nie odpuści.

- Albo... „War of the school institutions”, wojna instytucjom edukacyjnym. Kurczę, jeśli tak, to czeka nas jeszcze dużo ofiar. - Watershed z niepokojem potarł policzek.

- Oczywiście, że nie odpuści. - Stephanie Chandler podeszła bliżej.

- Nie może. On tym żyje. - Z daleka przeczytała list. - Nabiera rozpędu. Musimy poszukać zaginionej o inicjałach RA albo AR, wiek około dwudziestu lat. Kto znalazł ciało? -

Spojrzała na Graysona. Stał mniej więcej dwadzieścia metrów od drzewa. Wbił ręce w kieszenie, zaciskał usta, wpatrzony w zwłoki.

- Eldon i Mischa Yorkowie, mają tu domek letniskowy, przyjechali na odzież i poszli w góry. Twierdzą że śnieżycą uwięziła ich w domu i kiedy

się przejaśniło, chcieli rozprostować kości. Dobrze jest jedynie to, że kiedy zobaczyli miejsce zbrodni, zawrócili na pięcie i od razu wezwali policję. - Grayson w końcu spojrzał na

agentkę. - Oboje czekają w samochodzie, jeśli chcesz z nimi porozmawiać. - Wskazał drogę dojazdową, na której wszystkie policyjne wozy otaczały dżipa Yorków.

- Owszem - mruknęła Chandler. Ciszę zakłócał warkot silników.

- Chyba tym razem los się do nas uśmiechnął. Z tych odcisków powinno dać się zrobić odlew - stwierdziła Alvarez.

- Do nas tak, do ofiary nie - mruknął Grayson i odszedł, zaciskając pięści w rękawicach. - Jej się nie udało. - Spojrzał w niebo, na którym helikopter zastygł nad urwiskiem.

Po chwili ruszył dalej, obniżył lot, okrążył polanę. Nie był to helikopter policyjny; na niebieskich drzwiczkach widniało logo lokalnej stacji telewizyjnej, a z okna wychylał się kamerzysta uzbrojony w kamerę z teleobiektywem.

Pescoli najchętniej odpędziłyby dziennikarzy.

- Zdaje się, że mamy towarzystwo.

- Też mi nowina - wycedził Grayson przez zęby. - Już myślałem, że gorzej być nie może, a teraz jeszcze media zwalają nam się na głowę.

- Prędzej czy później i tak musiało do tego dojść. - Agentka Chandler wpatrywała się w helikopter. - Może wykorzystamy ten materiał na naszą korzyść. Zobaczymy, co im się uda nakręcić. Wykorzystamy ich, zamiast dać się wykorzystać.

- Chcesz powiedzieć: wypieprzymy dziennikarzy? - W oczach Brewstera pojawił się wesoły błysk.

Chandler skinęła głową.

- W wolnym tłumaczeniu.

Pescoli spojrzała na helikopter zawieszony w przejrzystym górskim powietrzu. Chandler trafiła w sedno: media mogą im się przysłużyć.

- Proszę bardzo. - Grayson skinął głową. - KIBT jest do twojej dyspozycji - zapewnił Chandler.

Jillian bała się, że straci resztki zdrowego rozsądku. Wpatrzona w połacie białego śniegu myślała, że oto jej szansa, by się stąd wydostać.

I dokąd pójdziesz?

Jak?

Musi na niego poczekać. MacGregor uprzedzał, że tak będzie. Kilka godzin temu wyszedł z piłą mechaniczną. Patrzyła, jak odjeżdża skuterem śnieżnym, słyszała ryk potężnego silnika, a kiedy ucichł, nasłuchiwała, czy usłyszycie warkot piły tnącej drewno.

Nic z tego.

Pies, który w końcu ją zaakceptował, znowu ułożył się przy drzwiach. Ogień buzował wesoło. Jillan próbowała zająć się lekturą, ale nie mogła się skupić na żadnej książce, była zbyt spięta, zbyt podminowana, zbyt zdesperowana, by się stąd wydostać. Czas płynie, i jeśli chce się dowiedzieć, czy Aaron naprawdę żyje, czy nawet po prostu wrócić do starego życia, nie może sobie pozwolić na dłuższą zwłokę.

A MacGregor? Tak po prostu go tu zostawisz?

- Oczywiście - powiedziała na głos. Przecież nic dla niej nie znaczy. No dobrze, intryguje ją, ale składała to na karb faktu, że siedzą tu zamknięci. Słyszała o syndromie sztokholmskim - sytuacji, w której ofiara zaczyna ufać porywaczowi i na nim polegać, nawet po wyzwoleniu nie zwróci się przeciwko temu, kto ją uwięził.

Czy o to chodzi? Czy właśnie to leży u źródeł jej fantazji? Przypomniała sobie, jak musnął ustami jej policzek. Pocałował ją. Wielkie rzeczy. No dobrze, jest przystojny. No i co z tego?

Dobra, jest tajemniczy. Tym bardziej musi uciekać! Dorzuciła dREW do ognia i nasłuchiwała, licząc, że dotrze do niej warkot silnika, ale ciszy w chacie nie zakłócał żaden dźwięk.

Sięgnęła do torebki i wyjęła komórkę. Szukała zasięgu w każdym zakamarku chaty, ale akurat kiedy wydawało jej się, że go złapała, padła bateria.

- Świetnie - mruknęła do psa, podeszła do okna i pomyślała, że MacGregor mógłby już wrócić. Nadal nie słyszała warkotu piły mechanicznej, walczącej ze zwalonymi drzewami, nie docierał też do niej odgłos silnika skutera śnieżnego.

Wpatrzona w okno, zastanawiała się, gdzie dokładnie się znajduje. Na stole leżał stos map. Przejrzała je i znalazła tę, która przedstawiała jej zdaniem najbliższą okolicę. Zobaczyła miasta, ulice i rzeki, także Spruce Creek i Grizzly Falls - obie nazwy brzmiały znajomo.

Znalazła też Missoulę i wpatrywała się w nazwę. Myślała o Masonie, o tym, jak głęboko była przekonana, że to on zwabił ją do Montany.

Ale czy to ma sens?

Niby dlaczego miałyby chcieć, żeby przyjechała?

I dlaczego chciałby ją zabić?

Tak, kiedyś była polisa na życie, oczywiście, i to warta kilkaset tysięcy dolarów. Ba, co więcej, to Mason nalegał, by ją wykupić, ale nie wiedziała <sup>na</sup>awet, czy jeszcze jest ważna. I ten głos w telefonie. Czy to Mason starał się, by go nie rozpoznała? Szeptał, żeby nie wiedziała, że to on?

Dlaczego akurat teraz?

O ile wiedziała, był szczęśliwy z nową młodą żoną. Więc po co wygrzebywać Aarona? Od tak dawna zakładano, że nie żyje, że Jillian już niemal zapomniała, jak wyglądał. Przejrzała stertę astrologicznych wykresów na stoliku i znalazła kopertę ze zdjęciami jakoby martwego męża. Przysunęła je do światła lampy naftowej i uważnie im się przyjrzała.

Czy to naprawdę Aaron?

Może i tak. Może. Tak, ma brodę i ciemne okulary, czapka baseballowa częściowo zasłania twarz, do tego dodatkowe kilogramy, a Aaron zawsze był szczupły.

Ale minęło dziesięć lat. Ona w tym czasie zdążyła ponownie wyjść za mąż i się rozwieść. A Aaron, gdyby żył, zbliżałby się do czterdziestki.

Zmarszczyła brwi, niezdecydowana, czy na fotografiach jest Aaron, czy jego sobowtór. I co ważniejsze, czy wie o tych zdjęciach, czy także jest pionkiem w tej grze? Może to tylko facet, którego podobieństwo do jej zmarłego męża zainspirowało autora zdjęć do ich zrobienia. To nie fotografie pozwane, ale zdjęcia z ulicy - Aaron szedł do sklepu, mijał samochody zaparkowane przy zaśnieżonym chodniku.

- Kim jesteś, do cholery? - szepnęła, wpatrzona w fotografię. Słyszając jej głos, Harley wstał, brzęcząc identyfikatorem na obroży, zerknął na nią podszedł do frontowych drzwi, zaskomlał i zadrapał pazurami w drewno.

- Chcesz wyjść? - domyśliła się. Gdzie, do cholery, jest MacGregor?

Odszedł. Nie wróci. Może ktoś go zaatakował... Ten sam człowiek, którego obecność wyczułaś wczoraj.

To idiotyzm, pozwala, by paranoja mąciła jej umysł. Harley zaskomlał głośniejsze.

- Dobrze, dobrze, wiem. Chwileczkę. - Pokuśtykała do szafki z bronią i choć czuła się trochę głupio, wyjęła naładowaną strzelbę. Nie podobała jej się sama myśl o użyciu broni, ale wiedziała, że w razie konieczności to zrobi. Dziadek Jim o to zadbał.

Zagwizdała na psa.

- Chodź, Harley, wiesz, jak jest. Wychodzimy tylnymi drzwiami. - Wsparta na kuli, podeszła do drzwi, otworzyła je i pies wyskoczył na zewnątrz, zanim zdążyła się zastanowić i dojść do wniosku, że to głupi pomysł. A jeśli ten cholerny pies pobiegnie za MacGregorem?

I się zgubi.

To pies, na miłość boską.

Jest u siebie w domu. W taką pogodę nie będzie długo na dworze.

Musi się tylko przewietrzyć, rozprostować nogi, wysiusiać.

- Zostań ze mną, proszę - szepnęła i patrzyła, jak unosi tylną łapę koło drzewa przy ścianie garażu. Brodził w śniegu po szyję i chyba świetnie się bawił, wydeptując ścieżkę w białym puchu.

Jillian, z ręką na klamce, poczuła zimny powiew i zadrzała. Już miała zawrócić do domu, gdy zobaczyła, jak Harley zatrzymuje się pośrodku małej polanki i ciekawie nastawia uszu.

Już chciała go zawołać, ale ugryzła się w język.

Uderzyła ją intensywność spojrzenia psich ślepi. Zacisnęła dłoń na kuli.

Harley zadarł łeb i węszył chciwie, z sierścią zjeżoną na karku.

Jezu Chryste.

Jillian przeszła fala paniki.

Podniosła strzelbę.

Nie świruj.

Pies warknął cicho, pochylił łeb, podwinął ogon pod siebie.

Coś jest nie tak.

Wystarczająco dobrze знаła się na psach, by wiedzieć, jak się zachowują, gdy wyczują niebezpieczeństwo.

Harley brnął w śniegu, zmierzał w kierunku kępy sosen, cały czas wpatrzony w jedno miejsce.

Z sercem w gardle i strzelbą wycelowaną w kępę sosen, cały czas blisko budynku, zagwizdała na psa tak samo, jak robił to MacGregor.

Spaniel nawet nie zareagował, uparcie brnął w sypkim śniegu.

- Harley! - zawołała, patrząc na niego znad muszki. - Do nogi! Czy ten pies oszalał? Śnieg niemal zakrywał go całego.

A cholerny spaniel ją ignorował. Dotarł do pierwszej sosny, której gałęzie ugięły się pod śniegiem.

- Cholera! - syknęła i odbezpieczyła broń.

Dzień był pogodny, promienie słońca niemal ją oślepiały, odbijając się od śniegu. Wiatr ucichł. Ptaki milczały. Ciszę przerywał jedynie jej chrapliwy oddech.

Wpatrywała się intensywnie, nasłuchiwała, oczekując najmniejszego szmeru.

- Wracaj, Harley - szepnęła w nadziei, że pies ją usłyszy. Nie panikuj. Może zobaczył wiewiórkę.

Albo jelenia.

Albo wilka. Czytałaś ostatnio, że do Montany wróciły wilki.

I że wędrują watahami.

I mogą rozerwać psa na strzępy.

Zaschło jej w gardle.

Nigdy w życiu nie bała się dzikich zwierząt, zawsze uważała, że ludzie są<sup>o</sup> wiele bardziej niebezpieczni, ale teraz...

- Harley, do nogi! - krzyknęła głośno. Zachwiała się, a bosą stopę przeszył dreszcz. - Wracaj!

- Z rozszalałym sercem podeszła do skraju werandy, wpatrzona w miejsce, w którym pies zniknął jej z oczu. - Harley! - jej głos niósł się echem po górach.

Bum!

Ciszę przerwał huk wystrzału.

O Boże!

Pies zapiszczał z bólu.

- Harley! - wrzasnęła przerażona. Dobry Boże, co teraz? Musi iść po psa. - Harley! - Może jeszcze żyje!

Już schodziła ze stopni, gdy w ostatniej chwili przypomniała sobie, że dwa najniższe nikną w śniegu. Zachwiała się, ale odzyskała równowagę i ruszyła ścieżką wydeptaną przez spaniela.

Kto do niego strzelał?

Myśliwy? Wziął go za wilka albo kojota?

Albo... ktoś, kto się czai wśród sosen?

Ktoś o bardzo złych zamiarach.

Ktoś, kto przestrelił jej opone...

O Boże. Oparła broń na ramieniu, nerwowo oblizała usta i nie zwracając uwagi na zimno, szła dalej. Nasłuchiwała, licząc, że usłyszy pisk psa, odgłos kroków albo szept - ale panowała cisza.

Na skraju polany schyliła się i przeszył ją dotkliwy ból. To szaleństwo, Jillian, wracaj do domu. Niby jak pomożesz biedakowi, kiedy go znajdziesz? Zaniesiesz go do domu? Jak? Zaciśnięta zęby i brnęła dalej, najciszej jak umiała. Jej serce waliło jak oszalałe, gdy szła śladem psa wśród drzew, gdzie śnieg nie był tak głęboki. Usłyszała cichutki szmer strumienia, pewnie nie do końca zamrzniętego, i gdzieś daleko, daleko, warkot silnika. Skuter śnieżny MacGregora?

Och, tak.

Postępując się kolbą strzelby, odgarnęła gałęzie i usłyszała skomlenie psa - żyje! A MacGregor już wraca. Warkot silnika był coraz bliżej... Czy aby na pewno?

No, MacGregor, wracaj, i to już!

Skręciła za wielkim głazem i zobaczyła psa, kulkę białoczarne futra na śniegu. I plamy krwi, odcinające się od dziewiczej bieli.

- Och, Harley - szepnęła, gdy podniósł głowę. - Nie, tak mi...

Nie patrzył na nią.

Gdzieś za jej ramieniem.

Zrobiła krok do przodu.

Wyszczrzył zęby, warczał groźnie. Kątem oka Jillian zobaczyła ruch. Zaciśnięta dłoń na kolbie i zamachnęła się.

Za późno. Napastnik był tuż za nią, pchnął ją na zamrzniętą ziemię. Jillian skrzywiła się, gdy mdlący zapach chemikaliów wypełnił jej nozdrza. Dostrzegła jeszcze dłoń w ciemnej rękawicy tuż koło swojej twarzy, nagi nadgarstek pocięty bliznami, a potem mokra szmata zakryła jej usta i nos.

I panika przeszła w rozkoszną nieświadomość.

## Rozdział 18

Bam!

Odgłos wystrzału niósł się przez kaniony. MacGregor wyłączył silnik skutera śnieżnego i nasłuchiwał.

Czy dźwięk dobiegał od strony jego chaty? Jillian?

Czyżby wystrzeliła z broni, którą jej zostawił?

A może to kto inny?

Myśliwi?

Przeszył go dreszcz. Nacisnął pedał gazu i skierował się w stronę chaty. Może się myli. Jest godzinę drogi od domu.

Nie daj się zwariować, tłumaczył sobie, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak. Drogi w okolicy jego chaty nadal były nieprzejezdne, nawet dla najpotężniejszych wozów terenowych, śnieg zasypał wąwozy i rozpadliny, ale już dwa i pół kilometra dalej było lepiej, ubity śnieg i piach stanowiły w miarę przyczepną powierzchnię dla opon. Jeśli uda mu się umieścić Jillian na saniach, przymocowanych do skutera śnieżnego, wyciągnie ją stąd. Albo jeszcze lepiej, sam pojedzie do miasta i sprowadzi pomoc.

Nie podobała mu się ta myśl. Od dziesięciu lat unikał policji, ale niewykluczone, że nie będzie miał innego wyjścia. Miał coraz mniej czasu; zanosilo się na następną śnieżycę.

Nacisnął pedał gazu i skuter ruszył z rykiem silnika. Płozy bez trudu niknęły przez śnieg.

Wściekły na siebie, robił sobie wyrzuty, że ją zostawił.

Ale czy miał inne wyjście?

Zastanawiał się, co z nią zrobić, nie podobało mu się, że przyzwyczajają się do jej obecności, że pociąga go, a to już zupełnie idiotyczne. Już dawno temu zrezygnował z kobiet, nie potrzebował ich. Nie chciał.

A potem znalazł ją we wraku samochodu, nieprzytomną, wyziębioną i nie miał wyjścia, musiał ułożyć ją na prowizorycznie skleconych noszach przywiązanych do auta i zawiózł do chaty. Wrócił po jej rzeczy, próbował skontaktować się z policją, a potem, podczas szalejącej śnieżycy, zamknął się z nią w chacie.

I to był błąd.

To, że się nią opiekował, kiedy była nieprzytomna. Obmył i opatrzył jej rany, ubrał w suche, ciepłe rzeczy, widział ją nago... to wszystko przyczyniło się do jego zguby. To nie tak, że nigdy dotąd nie opatrywał kobiecych ran, ale...

Mknął między drzewami, wzdłuż zbocza, nad zamrożony strumień, przykryty metrem białego puchu. To najkrótsza droga do chaty, choć i najbardziej niebezpieczna, przez nierówny, stromy teren. Spod białej kołderki wystawały wielkie głazy. Słońce odbijało się od śniegu, przenikało nawet okulary przeciwsłoneczne. Widział świat w kolorze sepii; wydawał się tak pusty, tak daleki, że miał wrażenie, iż znajduje się na niezamieszkanym planecie. Sceneria rodem z filmu science fiction.

Drzewa szumiały cicho, gdy je mijał, i oto pokonał ostatni zakręt i skuter wyłonił się zza drzew. Zobaczył chatę poniżej. Płozy ślizgały się na zamrożonym śniegu. Z komina unosił się leniwie czarny dym. Poczł się odrobinę lepiej.

Wszystko w porządku.

Na pewno.

Jest zdenerwowany, bo pojechał nad September Creek, tam, gdzie znalazł wrak jej subaru. Samochodu już nie było, wszelkie ślady przykrył metr świeżego śniegu, ale na drzewach powiewały strzępy żółto-czarnej taśmy. Policja znalazła jej samochód i zapewne teraz szuka jej.

Czas zawieźć ją do miasta.

Wszystko jedno jak.

Nawet jeśli znowu będzie musiał holować ją na noszach. Wszyscy się martwią, w góry wyruszyły ekipy poszukiwawcze. Jakoś musi ją odwieźć. Pod warunkiem że nic jej nie jest. Wcisnął pedał gazu i pomknął w dół wzgórza, przerażony, bo szósty zmysł podpowiadał mu, że od jego wyjazdu wszystko się zmieniło.

- Pilot helikoptera uważa, że znaleźli samochód. - Grayson skończył rozmawiać przez telefon.

Zadowolona, że mają nowy trop, Pescoli pobiegła do dżipa. Niech śledczy przeczesują sami polanę. Wiedziała, że niczego nie znajdą, ale formalnościom musi stać się zadość.

Psy oczywiście nie złapały tropu, ślady na śniegu prowadziły do starej drogi do kopalni, zamkniętej od co najmniej trzydziestu lat. Ale morderca zna wszystkie ścieżki, wszystkie dróżki i zakamarki.

Ktoś stąd.

Może nawet go zna? Może widywała go u Dzikiego Willa, jak wychyla szklaneczkę czy dwie, a może to jeden z tych nerwowych ojców, którzy trenują szkolną drużynę piłkarską? Poznała ich aż za dobrze, gdy grała w niej Bianca. Widziała niejednego ojca, i matkę, skoro już o tym mowa, którzy wyglądali jakby zaraz mieli dostać apopleksji, kiedy drużyna ich dziecka została, według nich, potraktowana niesprawiedliwie. Znała ten typ: gorliwy chrześcijanin, członek społeczności, w którym kryje się inna, ciemna strona, zamaskowana poczciwym obliczem. A może mordercą jest ktoś, kogo zamknęła za drobne przewinienie? Może nie po raz pierwszy ucieka się do przemocy?

Zamyślona, wsiadła do dżipa. Sprawdzili już wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy w ciągu ostatnich pięciu lat trafili na posterunek za pobicie, napad z bronią w rękę i tym podobne przestępstwa. Sprawdzili mężów oskarżonych o znęcanie się nad żonami, przyglądali się miejscowym myśliwym i wojskowym, i niczego nie znaleźli.



Może źle szukali?

Alvarez zatrzasnęła drzwiczki po stronie pasażera i Pescoli wycofała wóz. Jechała za dziupem szeryfa i myślała.

- Dlaczego nie możemy go znaleźć? - Alvarez przerwała ciszę, wpatrzona w dal. Pescoli włączyła ogrzewanie.

- Znajdziemy.

- No dobra, ale kiedy? Ile jeszcze kobiet zamarnie na śmierć? - Była wściekła. Wyjęła komórkę i wybrała numer. - Halo? Tak, tu Alvarez. Macie coś? - Chwila milczenia. - Tak, Marcio, wiem, że to weekend, ale mamy martwą kobietę. - Kolejna cisza, tym razem dłuższa.

- Tak, AR. - Opisała zwłoki. Pescoli czuła, jak ściska się jej żołądek. - Idę o zakład, że ktoś już zauważył jej zaginięcie. Sprawdźcie w całym stanie, jeśli to nic nie da, na całym północnym zachodzie. Co? Kanada? Nie, jeszcze nie. Tak, wiem, że jesteśmy blisko granicy, ale do tej pory wszystkie ofiary były obywatelkami Stanów Zjednoczonych. Hm... dobrze.

Zadzwoń, jeśli będziesz coś miała. - Rozłączyła się, gdy wjeżdżały na górską drogę prowadzącą do miasta.

- Wszystkie ofiary i samochody znaleziono w promieniu szesnastu kilometrów - zaczęła Pescoli.

- Do potęgi drugiej. Co masz? Sto sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych lasów, gór, kanionów i rzek. Ciężki teren.

- I ktoś go bardzo dobrze zna. - Pescoli sięgnęła po papierosa, nie zwracając uwagi na ostre spojrzenie partnerki. - Mój wóz - mruknęła.

- Moje płuca.

- Wiesz co? Powinnaś się trochę wyluzować.

- Nie po to ćwiczę, zdrowo się odżywiam i uprawiam jogę, żebyś mi niszczyła układ oddechowy.

- Odpuść sobie - jęknęła Pescoli, ale nie zapaliła. Poczekaj do parkingu koło posterunku. Zresztą, nałóg aż tak bardzo nie dawał się jej we znaki. Po prostu lepiej się myśli...

Jej telefon zadzwonił mniej więcej w tym samym momencie, gdy rozbłysł kogut na wozie szeryfa i zawyła syrena.

- Pescoli.

- Mamy kolejną.

- Co?

Alvarez spojrzała na nią gwałtownie, z pytaniem w oczach.

- Wygląda na to, że znaleziono kolejną kobietę przywiązaną nago do drzewa, niedaleko Broken Pine Lodge. Wypatrzyli ją dziennikarze z KBIT. Posłałem tam Van Droz, była najbliżej. Pewnie będzie tam przed nami i zabezpieczy miejsce zbrodni.

- O, super - jęknęła Pescoli, zmartwiona bardziej niż zwykle.

- Kolejna ofiara? - Alvarez już się domyśliła.

- Tak. - Pescoli kiwała głową i prowadziła dwie rozmowy jednocześnie: z partnerką w samochodzie i z szeryfem przez komórkę.

- Facet eskaluje? - Alvarez zadała to pytanie na tyle głośno, że usłyszał ją Grayson.

- Na to wygląda - odparł.

- Znaleźli ją dziennikarze - dodała Pescoli.

- Właśnie to powiedziałem. - Szeryf się niecierpliwił.

MacGregor wszedł do chaty. Powitała go śmiertelna cisza i nieduży, zapomniany płomień na kominku.

- Jillian! - zawołał. Zaglądał do opustoszałych pomieszczeń. Panik chwyciła go za gardło. Zniknęła.

Po prostu.

Nie było także kuli i strzelby, którą jej zostawił.

I psa.

- Harley? - Jego kroki niosły się echem po starych deskach podłogi. Zajrzał do kuchni, wyszedł na ganek z tyłu domu. Niepokój, który poczuł, gdy godzinę temu usłyszał strzał, nasilał się z każdą chwilą. Przeszedł do drzwi wejściowych, zagwizdał, długo, nisko, z nadzieją, że spośród zasp wyłoni się czarno-biały spaniel.

Nic.

- Cholera.

Szybko przeszedł przez dom, poszedł na tylny ganek, przyłożył dłonie d ust i zawołał na całe gardło:

- Jillian?! Harley?! - Jego głos odbijał się echem od kanionów. Ze strzelbą w ręku przeszedł całą werandę. I wtedy dostrzegł ślady na śniegu. Prowadziły do lasu. - Cholera. - Co ona sobie myśli? Uciekać na piechotę ze skreconą nogą?

Może ktoś ją do tego zmusił.

Na tę myśl przeszył go dreszcz. Przypomniał sobie odgłos wystrzału.

Ale odciski na śniegu należały do psa i do niej, poznawał po kuli i jednym bucie. Nikogo innego tu nie było. Może pies pobiegł za nim albo za szopem czy jeleniem, a Jillian ruszyła jego śladem.

Cholerna wariatka, przemknęło mu przez głowę, ale puścił się biegiem wzdłuż śladów.

Pochylił się pod zwisającymi gałęziami.

- Harley! - zawołał. Zagwizdał. Dlaczego pies się oddalił?

Spomiędzy drzew dobiegł go żalony pisk i poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Z głośno bijącym sercem odbezpieczył broń, minął wielki głaz i zobaczył psa. Leżał na śniegu, na czarno-białym futrze krzepła krew. Dużo krwi. Mimo tego spaniel spojrzał na niego i usiłował zamerdać ogonem.

- Spokojnie, bracie - szeptał. Ściągnął kurtkę, wyrwał podpinkę, przesunął psa na materiał, zawiązał rękawy na tylnej łapie, powyżej rany postrzałowej. - Sukinsyn - wycedził przez zęby. - Pieprzony sukinsyn.

Ukląkł koło Harleya i wtedy zobaczył ślady. Nie tylko Jillian, także inne, zdecydowanie większe. Kierowały się na wschód, w stronę starego tartaku oddalonego o mniej więcej trzy kilometry.

Niemożliwe, żeby Jillian zaszła tak daleko.

Nie chciał zostawiać psa, ale nie miał innego wyjścia.

Tu chodzi o życie Jillian Rivers.

Z dłońmi zaciśniętymi na strzelbie, nieświadom zimna, Zane MacGregor puścił się biegiem, wpatrzony w trop. Oby się nie spóźnił.

- Jezu Chryste! - Brewster patrzył na kobietę przywiązaną do drzewa i zrobił taką minę, jakby miał zaraz zwymiotować. Pescoli i Alvarez podeszły bliżej. Scena wyglądała niemal identycznie jak ta, którą widziały wcześniej tego samego dnia, tyle że nagą kobietę odcięto już od sosny, rosnącej samotnie pośrodku małej łąki. Leżała na kurtce, szkliste oczy pustym wzrokiem wpatrywały się w niebo. Była posiniaczona, miała zakrwawione usta. Zajmowała się nią van Droz, kucała w zdeptanym śniegu koło drzewa.

- Żyje. Wezwałam pogotowie.

- Żyje? - powtórzyła Pescoli. Ciszę błękitnego nieba zakłócał helikopter stacji telewizyjnej, kamerzysta chciwie filmował scenę.

- Cholerni idioci - syknął Grayson i przepędził ich ruchem ręki. - Zadzwońcie do nich i powiedzcie, żeby się usunęli, by helikopter medyczny mógł wylądować.

Brewster już wyjął krótkofalówkę, wywoływał kolegę, przekazywał rozkaz szeryfa.

- Dobrze, że ją znaleźli - zauważyła Alvarez. - Zajmę się odgradzeniem miejsca zbrodni. Trzeba je otoczyć taśmą izolacyjną. Wszyscy obecni muszą się podpisać. Grayson robił to pośpiesznie.

- Przytomna?! - zawołał.

- Nie, ale wyczułam puls i oddycha. - Van Droz udzielała pierwszej pomocy, usiłowała rozgrzać ofiarę. Górską ciszę przerwał jęk syren.

Pescoli się podpisała i nie chcąc zdeptać ewentualnych śladów, podeszła do kobiety, uklękła na śniegu i starała się pomóc.

- Czy to Jillian Rivers?

- Nie wiem.

- Nie. - Watershed odezwał się za jej plecami. - Stał tyłem i przyglądał się kartce przychepionej do powykręcanej pnia. - Nie te litery.

Pescoli podniosła wzrok i zobaczyła dziwaczną wiadomość. I rzeczywiście, nie było w niej inicjałów Jillian Rivers. Zobaczyła R z poprzedniej kartki, ale J nadal nie było. Teraz list wyglądał następująco:

WAR            T    HE                    SC    I    N

- Co to znaczy, do cholery? - szepnął Watershed.

Trilby van Droz nadal klęczała nad ofiarą. Pescoli była tuż koło niej. Zgodnie z poleceniem szeryfa Brett Gage szedł wzdłuż śladów na śniegu. Towarzyszył mu inny funkcjonariusz z psem.

- Jak on się tu dostał? - zastanawiał się Grayson głośno, wsłuchany w wycie syreny karetki pogotowia.

Pescoli masowała okolice serca ofiary.

- Słyszysz mnie pani? - pytała. Kątem oka widziała, jak karetka zatrzymuje się na starym, zaśnieżonym parkingu przed wiekowym schroniskiem. - Jak się pani nazywa? Kto tu panią zostawił?

- Nie reaguje - mruknęła van Droz. - Nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu.

W stronę dwóch kobiet klęczących na śniegu biegło dwóch sanitariuszy. Niskiej, krępej Murzynce wystarczyło jedno spojrzenie na ofiarę, by sięgnęła po krótkofalówkę.

- Musimy ją stąd zabrać - orzekła i podała współrzędne pilotowi helikoptera. - Jazda samochodem potrwa zbyt długo. - Nie odrywała oczu od kobiety, mówiąc do policjantów: - Helikopter już leci. Będzie tu za jakieś pięć minut, więc zajmijcie się swoją robotą i pozwólcie nam ją ratować!

Policjanci i agenci FBI cofnęli się kilka kroków, a Murzynka i jej partner, wysoki mężczyzna przed trzydziestką, pracowali szybko: sprawdzali puls i oddech ofiary, podawali jej tlen, okryli termiczną folią. Z oddali dobiegał warkot helikoptera.

- Zniszczono miejsce zbrodni - mruknęła Chandler ze zmarszczonymi brwiami, wpatrzona w zdeptany śnieg dokoła samotnego drzewa.

- Jest takie samo jak poprzednie - zauważyła Pescoli.

- Ale może tym razem zostawił jakieś ślady. - Chandler wpatrywała się w zdeptany śnieg i nieruchomą postać na noszach.

- Ludzie z laboratorium znajdą wszystko - zapewniła Pescoli. W tej samej chwili pojawił się helikopter. W związku z tym helikopter stacji telewizyjnej wzbił się wyżej, ale nie odleciał.

- „War to the scientists”, wojna naukowcom - powiedział Watershed.

- Co? - Pescoli zmarszczyła czoło.

- Listy.

- Tym zajmiemy się później - warknęła. W tej chwili nie obchodziły jej idiotyczne wskazówki od mordercy. Teraz mają jedną z jego ofiar, żywą, i jeśli uda im się ją uratować, może poda im nazwisko tego świra.

Pieprzyć listy.

- Czy helikopter znalazł także samochód? - Chandler nie odrywała wzroku od ekipy ratowniczej. - Nadal brakuje nam dwóch wozów, zakładając, że to nie Jillian Rivers.

- Nie. - Pescoli patrzyła na mały nos i szerokie usta ofiary. Miała krótkie włosy z jasnymi pasemkami i oczy tak ciemne, że wydawały się czarne. Była wysoka i szczupła, miała koło metra osiemdziesięciu wzrostu, tak chuda, że przez skórę przebijały żebra. Nosła buty co najmniej dziewiątkę. Pescoli przypomniała sobie zdjęcia Jillian Rivers. Nawet jeśli schudła, obcięła i ufarbowała włosy i nosiła ciemne szkła kontaktowe, nie wyglądałaby jak ta tutaj. Ani poprzednia.

- Więc gdzie ona jest, do cholery? Dlaczego znaleźliśmy jej samochód, a nie tej tutaj czy tej z rana? - Agentka Chandler nie ukrywała frustracji. Jej oddech wznosił się mleczną chmurką.

- Znajdziemy i ją. - Halden, jej partner, był spokojniejszy, choć i jemu ta sytuacja działała na nerwy. Zaciskał usta w wąską kreskę, przeczesał wzrokiem rozpadające się resztki budynku, który kiedyś był doskonale prosperującą stacją myśliwską. Tu, wysoko w górach, nie było ludzi, cały obszar wydawał się zapomniany, idealne miejsce dla śmierci.

Ofiarę umieszczono na specjalnych noszach i helikopter zabrał ją do Grizzly Falls. Mniej więcej w tym samym czasie przyjechała ekipa śledczych z laboratorium.

- Jakim cudem załatwił dwie w dwóch różnych, odległych miejscach? - mruknęła Chandler pod nosem.

- Po kolei. Najpierw załatwił tę z Cougar Pass, potem tę.

- O inicjałach EH albo HE, jeśli wzorzec się nie zmienił.

- Zmienił - burknęła Chandler. - Facet się rozpęda.

- Nie tylko o to chodzi - zauważyła Pescoli. - Powtarza się. Nie zabija coraz częściej. To raczej taka promocja, dwie w cenie jednej. Dwie ofiary jednego dnia. - Zmartwiona przyglądała się drzewu i notatce. Na korze widniały ślady krwi, czerwone krople przyciągały uwagę na śniegu. Nieznajoma walczyła ze wszystkich sił.

- Ale co to ma znaczyć, do cholery? - dopytywał się Grayson.

- Nie mam pojęcia. - Stephanie Chandler pokręciła głową. - Musimy się dowiedzieć, kim są ofiary.

- Przekazałam już wszystkie inicjały do wydziału zaginionych - poinformowała Alvarez. Stała niedaleko taśmy i pilnowała, by wszyscy, którzy ją przekraczają, podpisali się na liście. - Sprawdzają już.

- Zadzwoń do dyspozytorki. Niech ściągną wszystkich - zdecydował Grayson. - I żadnych wymówek, że to niedziela przed świętami czy że dziecko jest chore. Kiedy wrócimy do miasta, na posterunku mają być wszyscy. Nadgodziny to nie problem, pieprzyć budżet. Czy maszty nadawcze już działają?

- Nie wszystkie, jeszcze nie - poinformował Watershed. - Tak jak z elektrycznością: miejscami jest, miejscami nie.

Szeryf zaciskał wąskie wargi pod wąsami. Zdjął kapelusz i przeczesał włosy dłonią w rękawiczce, wpatrzony w miejsce niedoszłej zbrodni.

- Nienawidzę sukinsyna - wycedził przez zęby.

Pescoli w milczeniu przyznała mu rację. Modliła się, żeby tym razem naprawdę zdążyli.

Żeby EH albo HE przeżyła. Nie, nie tylko przeżyła, ale żeby była w stanie zidentyfikować napastnika i swoimi zeznaniami posłać drania za kratki.

Tak, właśnie tego chciała. Odprowadzała wzrokiem helikopter znikający za wzgórzem.

Drań sobie na to zasłużył.

Wrócił Gage z psami i złą nowiną: ślad urywał się na parkingu, widział tam ślady kół. Ludzie z laboratorium muszą zrobić odciski śladów opon i stóp, na śniegu to trudne, ale możliwe. Najpierw należy popsikać ślad odpowiednim preparatem, a potem zalać go gipsem dentystycznym. Kiedy zastygnie, eksperci zrobią kopie odcisków i przeanalizują je, szukając niedoskonałości i cech charakterystycznych w strukturze opony i podeszwy. A potem zaczną się mrówcza robota, ustalanie, kto w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów kupił takie opony, i sprawdzanie każdego samochodu.

Będzie się to ciągnęło tygodniami. Pod warunkiem że uda im się uzyskać wyraźny odlew. W tym momencie rozdzwoiła się komórka szeryfa.

- Wygląda na to, że znowu mamy zasięg w górach - stwierdził i odebrał. W miarę rozmowy pochmurniał coraz bardziej: - Tak... Dobrze. Tak. Poślijcie helikopter na górę. Jeśli trzeba, weźcie z policji stanowej, ale sprawdźcie to. Szukajcie śladów ludzkiej obecności. Tropów. Dymów z komina. Hałasów generatora, czegokolwiek! Tak, tak, wiem. I odezwiście się jak najszybciej.

Skończył rozmowę.

- Znosi się na przełom w sprawie. Odezwał się operator komórkowy Jillian Rivers. Odebrali sygnał z jej telefonu na wieży w Star Ridge.

- To trudny teren - zauważył Watershed.

- Dobra, dobra, to wszyscy wiemy. - Szeryf już szedł do samochodu. - Ludzie z laboratorium tu dokończą. Jedziemy.

Pescoli nie traciła ani chwili. Wreszcie mają jakiś ślad. Poczwała satysfakcję. Dopadniemy cię, draniu.

Popatrzcie na nich!

Policjanci uwijają się na miejscu zbrodni jak mrówki w mrowisku. Biegają to tu, to tam. Nie mają pojęcia, że siedzą tutaj, w ciepłym barze, popijam znakomitą whisky z Kentucky, wtopiony w tłum gości, którzy wpadli do baru na drinka i chwilę rozmowy po pracy. Chcą zapomnieć o lodowatym zimnie i rozgrzać się tu, w dolnej części miasta, w stuletnim budynku nad rzeką.

Wszyscy jak jeden mąż wpatrujemy się w telewizor zawieszony nad barem, nad szeregami kolorowych butelek.

Na kontuarze z polerowanego drewna odbija się blask lampy i opierają łokcie kilku osób, które wpadły tu po ciężkim dniu w pracy. Kobiety siedzą przy stolikach koło kominka z kamienia, zbudowanego przed stu laty, gdy po deskach tej podłogi stąpali w ciężkich butach górniczy i drwale. Z kuchni dobiega zapach smażonej cebuli i hamburgerów, co jakiś czas zaskwierczy tłuszcz.

Wraz z innymi klientami kręcę głową nad bezsensownym koszmarem widocznym na ekranie.

- Nie mieści mi się w głowie, że coś takiego dzieje się tu, tuż pod Grizzly Falls - stwierdza robotnik z tartaku. Wpatruje się w ekran telewizora, a przez głosy rozmów przebija się melodia kołedy. Co to jest? Aha, *God Rest Ye Merry Gentlemen*.

Jakby to dzisiaj było możliwe w Grizzly Falls.

Facet koło mnie nie należy do małych. Ba, ma tak wielki brzuch, że niemal kładzie go na stole, gdy wspina się na barowy stołek. Ma brud za paznokciami, trociny w niechlujnych włosach na karku, włosach, które powinno się już dawno obciąć.

- Świat się zmienia - mówię ze zmarszczonymi brwiami, jakby i mnie przerażało to, co widzę. Prostak myśli, że się z nim zgadzam.

- Kiedyś tu było bezpiecznie.

- Kiedyś.

- Ale już nie. Ej! - Zgina tłusty paluch i wzywa Nadine, barmankę.

- To samo co zwykle, Dell? - pyta. Podsuwa mu podkładkę i udaje, że nie drażni jej to, jak ją traktuje. Zerka na mnie ukradkiem. Oboje wiemy, że Dell Blight to świnią.

- Budweiser.

Już wyjęła schłodzoną szklanę, już trzyma ją pod kranem.

- To straszne. Co za potwór zostawia kobiety w środku lasu? - Patrzy na moją niemal pustą szklanę i pyta: - Jeszcze raz? - Na ułamek sekundy podnosi wzrok i przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

Kiwam głową, uśmiecham się i udaję, że nie wiem, co tak naprawdę ma na myśli.

- Szeryf powinien już złapać tego dupka. - Wielkobrzuchy Blight znacząco kiwa głową. Jest przekonany, że gdyby to on był szeryfem, już dawno miałby dupka za kratkami. - Niby po co go wybraliśmy?

- Grayson robi co może. I może złapią tego drania. - Najwyraźniej dzisiaj Nadine nie ma ochoty znosić fochów Della Blighta. - Ta kobieta - wskazuje głową ekran - nie umarła. Co? Czuję, jak zastygają wszystkie mięśnie w moim ciele.

- Naprawdę? - pytam, jakby mnie to obchodziło. Nadine na pewno się pomyliła. Ona nie żyje. Hannah nie żyje. Nie może żyć!

- Tak mówią. - Nadine patrzy to na mnie, to na Della. - Pogłodziłabym, ale wiecie, że Farley lubi słyszeć kołody. - Krzywi się. - W końcu mamy Gwiazdkę.

Kiwam głową z uśmiechem, jednak w sercu czuję nie tylko strach, ale i gniew. Nadine na pewno się myli. Na sto procent. Opanuj się. Odzyskaj kontrolę. Podnoszę szklanę do ust, jakbym chciał się napić, zamiast tego głęboko nabieram powietrza i tłumię strach.

- Słyszałam, jak mówili, że ostatnia ofiara przeżyła. Niedawno byłam na przerwie. Cały czas mówią o tym w radiu - tłumaczy Nadine, dumna, że zna najnowsze plotki. - Dzisiaj znaleźli dwie. Jedna nie żyje, ale druga tak. Jest w śpiączce, ale żyje.

- Przeżyje? - pytam, udając troskę o tę głupią sukę, która powinna była umrzeć. Coś było z nią nie tak czy co? Zostawiłem ją na pastwę żywiołów, ale najwyraźniej Hannah jest silniejsza, niż na to wygląda. Kretyn. Cholerny zadufany w sobie kretyn. Pozwoliłeś, by pycha przyćmiła zdrowy rozsądek.

- Kto to wie? - Nadine dotyka mojej dłoni. W pieszczotliwym geście muska swoim kciukiem mój.

- Dwie kobiety? Znaleźli dwie? Coś takiego! - Brzuchacz Dell kręci łysiejącą głową i otacza mnie zapach trocin. - Nie wiem, co tego gościa kręci. Podobno wcale ich nie gwałci. Nie ma śladów czynności seksualnych. To pewnie cholerny pedał.

Uśmiecham się, jakbym przyznawał mu rację, choć to idiota. Oczywiście, że taki kretyn jak Dell Blight nie zrozumie. Ma pewnie mózg wielkości orzecha włoskiego.

Ale i tak się niepokoję. Czy to możliwe? Czy Hannah naprawdę żyje? Jeśli tak, sprawy się skomplikują.

- E tam. - Do rozmowy włącza się Ole Olson, mały okrągły facecik w czapce baseballowej, siedzący koło Della. - Żaden tam pedał. Gdyby był pedałem, zaciągałby w góry facetów, rozbierał, wiązał i robił Bóg wie co. Raczej w ogóle nie ma jaj.

- Jak to, nie ma jaj? Jak baba?

- No, nie ma jaj. Wykastrowali go. Jest... no, jak to się nazywa... - Ole pstryka grubymi palcami. - Jest eunchem.

- Eee... czym? - Dell prychnął pogardliwie i sięga po szklanę.

- Chyba eunuchem - podsuwam i zaraz żałuję, że się w ogóle odezwałem. Co oni wiedzą?

- Ale co to, do cholery, jest? - Dell się krzywi, jakby poczuł zapach zgniłej ryby.

- Koleś bez jaj - wyjaśnia Ole.

- Dostyc tego! - Nadine kręci głową, zbiera puste szklanki i wstawia do zlewu. Ruchem szybkim jak grzechotnik zgarnia napiwki z baru i dłonią o długich paznokciach wsuwa do

kieszoni fartucha. Podnosi wzrok na telewizor. Na ekranie reporter opowiada coś na tle miejscowego szpitala.

- Mam nadzieję, że przeżyje - szepce Nadine. Ole jak zwykle przegapił część rozmowy.

- Kobieta, którą znaleźli w lesie, ta, która przeżyła. - Nadine traci cierpliwość.

- Widziała tego świra. - Ole szybko kojarzy.

Przeszywa mnie dreszcz. Zna moją twarz. Mój dotyk. Rozpozna mnie.

- Owszem. Załatwi go w sądzie. - Choć Nadine kiwa głową, w jej złoto-rudej czuprynie nie drgnie ani jeden kosmyk.

Dell prycha pogardliwie, osusza piwo do dna i macha szklanką na znak, że chce jeszcze.

- Najpierw trzeba go złapać. Założę się o każdą sumę, że szeryfowi to się nie uda.

Chowam się za szklanką, by ukryć uśmiech.

- A właśnie, że go złapie. - Nadine szuka u mnie wsparcia. Wzruszam obojętnie ramionami, jakbym mówił: może tak, może nie, choć myślę sobie: nie licz na to.

- A właśnie, że tak! - Nadine wyjmuję czystą ścierkę zza baru. - Sami zobaczycie! -

Energicznie ściera kontuar.

- Hm. Wątpię, jeśli liczy na świrów w rodzaju Ivora Hicksa. Kurde, ten wariat twierdzi, że UFO go wysłało, żeby znalazł ciało.

- Ten Crypton to bystrzak, jak na sierżanta - zauważa Dell.

- Crytor, durniu. I nie sierżant, tylko generał. Zapamiętaj to sobie: pomarańczowy gad generał.

Obaj śmieją się na całe gardło.

- Staruszek ma zwidy - mówi szybko Nadine i patrzy na mnie zakłopotana. Nie podoba jej się taki obrót rozmowy. Stary wariat jest stałym gościem, chyba że akurat ma okres abstynencji.

- Odczepcie się od niego, co? I, do cholery, więcej wiary w szeryfa Graysona. Odwała kawał dobrej roboty.

Dopijam pierwszego drinka i czekam, aż postawi przede mną nową podkładkę i pełną szklaneczkę.

- Kawał dobrej roboty, akurat. - Dell nie odpuszcza szeryfowi. - W takim razie, dlaczego jeszcze nie złapali tego dupka? No? Dlaczego tak trudno iść tropem mordercy po śniegu? A niby po co mają psy? Wiecie, ile taki jeden kosztuje? Majątek!

- Grayson go złapie - upiera się Nadine i zerka na mnie, jakby łączyła nas jakaś tajemnica. Jakbyśmy oboje wiedzieli, że Brzuchaty Dell to kretyn, a my, istoty o wiele większej inteligencji, mamy dość rozumu, by wierzyć w szeryfa Dana Graysona.

- Na co on czeka? - Dell gapi się w ekran, na którym akurat widać zbliżenie zmęczonej, zmartwionej twarzy szeryfa.

- To dupek - odzywa się ktoś po mojej prawej stronie. - Chodziłem z nim do szkoły. Nie odróżnia dupy od dud. Nadine, jeszcze raz to samo!

- Whisky z lodem, tak, Ed? - Nadine upewnia się i posyła mu promienny uśmiech, którym zarabia na solidny napiwek. Nadine wie, jak sobie radzić. Jest bezczelna i zalotna na tyle, by podtrzymywać zainteresowanie mężczyzn. Szczupła, otoczona zapachem papierosów, błyska w uśmiechu białymi zębami, usta musnęła brzoskwiniowym błyszczkiem. W dekolcie bluzki starzy klienci mogą dostrzec rowek między piersiami. Nosi dzinsy, biodrówki, ze srebrnym paskiem, które opadają na tyle nisko, że odsłaniają skrawek nagiej skóry i tatuażu na plecach. Turkusowo-różowe zwoje wznoszą się w górę kręgosłupa i nikną za paskiem spodni, a każdemu facetowi staje, gdy myśli o barwnych plamach pieszczących jej pośladki. Słyszałem, jak mężczyźni często zastanawiali się na głos:

- Moim zdaniem to motyl - stwierdził kiedyś młody brodac.

- E tam. Wygląda mi to na chiński znak - sprzeciwił się jego kumpel.

- Słyszałem z pewnego źródła, że to kolibry, całe stado, i niektóre wyfruwają spomiędzy pośladków.

Te słowa wywołały burzę śmiechu, ale ci prostacy nie mają pojęcia o tym, co kryje się pod jej ubraniem, o seksownych, szalonych falach, które opływają jej biodra, gdy się powoli rozbiera.

Tylko nieliczni dostąpili zaszczytu zobaczenia jej nago, na brzuchu, z pośladkami wypiętymi do góry na znak, że chce, by ją brać jak sukę w ciecierce, a różowe fale zapraszają mnie do ciepłego, mokrego morza.

Patrzę na nią, odnajduję jej wzrok.

Milczy.

Ale wie.

Upijam spory łyk whisky, bawię się kostką lodu, rozgryzam ją i patrzę na ekran telewizora. Szeryf z telefonem przy uchu wychodzi z kadru.

Coś jest nie tak.

Kolejny błąd. Popełniłeś kolejny błąd.

Nie chcę o tym myśleć, ale czuję, że cały się spinam, gdy patrzę na policjantów idących do samochodów. Koncentruję się na Regan Pescoli, prawdziwej suce. Piękna i twarda. Jak diament.

Tak jej się przynajmniej wydaje.

Mrużę oczy i oddaję się marzeniom... szykuj się, myślę, ale jej czas jeszcze nie nadszedł.

Mam inne... Jednej jeszcze nie znaleziono.

A może się mylę?

Czy to możliwe?

Dlaczego policjanci odjeżdżają z miejsca zbrodni, biegną do samochodów, włączają koguty i odjeżdżają sprzed starej bazy?

Dokąd jadą?

Serce na moment staje mi w piersi.

Zaciskam zęby na kostce lodu. Chrupie tak głośno, że Dell zerka na mnie ciekawie.

- A ty co, masz szczęki z żelaza czy jak?

- Jasne. - Śmieję się, udaję, że jestem spokojny, staram się nad sobą zapanować. Na ekranie konwój policyjny znika w oddali, a mnie paraliżuje strach. Niemożliwe, żebym się znowu pomylił. Niemożliwe.

- Widzicie? Dupek. - Dell patrzy na ekran. - Grayson jest do niczego.

To prawda.

Uspokajam się.

Tłumię atak paniki.

Gdy Burl Ives zaczyna śpiewać o wesołym Bożym Narodzeniu, odnajduję wzrok Nadine i wymieniamy sekretny uśmiech.

Uśmiech kochanków.

Wesołe Boże Narodzenie. Akurat.

## Rozdział 19

Jillian jeszcze nigdy w życiu nie było tak zimno.

Szczekając zębami, odrętwiała ze strachu, starała się uwolnić, wyswobodzić z więzów.

Myślała powoli, ospale, jednak zmuszała się do wysiłku. Jak uwolnić się z więzów, którymi przywiązano ją do drzewa?

Zapach eteru dławił ją, ale gdy kaszlała, poczuła, że rozjaśnia jej się w głowie. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że zaatakowano ją, gdy chciała ratować psa, pamiętała szmatę przy ustach, to, jak się broniła, walczyła o każdy oddech, a potem nogi się pod nią ugięły i otoczyła ją ciemność.



Potem wątek się urywał. Niczego nie pamiętała dokładnie, przypominała sobie zaledwie urywki, raczej doznania niż wspomnienia. Czuła, że ktoś ją ciągnie, że się męczy, oddycha ciężko, że nie spodziewał się, że będzie musiał ją nieść. I niewiele ponad to. Zmusiła się, by unieść powieki. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie były coraz dłuższe, a jej było tak strasznie zimno, miała gęsią skórkę i wrażenie, że lód pokrywa całe jej ciało. Pomocy!

Uczepiła się tej myśli, zmuszała usta do wysiłku.

- Ratunku! - krzyknęła, ale z jej ust wydobył się jedynie szept. Zamrugnęła, wpatrzona w las, w nadchodzący mrok.

Tak samo umarły pozostałe kobiety, tego była pewna, choć pamiętała niewiele szczegółów. W Seattle mało o tym pisano.

Boże drogi, Seattle.

Dom.

Jej domek o wąskich schodach, z balkonem i puszystym kotem. Coś ścisnęło ją za gardło, poczuła łzy pod powiekami.

Pomyślała o Zanie MacGregorze, mężczyźnie, który uratował ją od śmierci z wychłodzenia we wraku samochodu. Jego wysiłki poszły na marne. Coś ścisnęło ją za gardło, gdy o nim pomyślała. Dobry Boże, jak mogła mu nie ufać? Dlaczego nie zdała się na instynkt i do niego nie zbliżyła? Dlaczego go nie dotknęła? Nie pocałowała? Teraz to już przepadło. Teraz już nigdy nie zazna jego dotyku, poza tamtym muśnięciem wargami.

Idiotka! Chciało jej się płakać, ale łzy zamarzały na skórze.

Na miłość boską, Jillian, co ty wprawiasz? Mażesz się, jakbyś już się poddała! Na miłość boską, nie użalaj się nad sobą. Zrób coś! Uratuj się! Pokaż, jaka jesteś! W jej głowie odezwał się dziadek Jim. Choć nie żył od piętnastu lat i nie przypuszczała, by jego duch włóczył się po zaśniewionych górach.

- Ratunku! - krzyknęła głośniejszym głosem i spojrzała na krępujące ją liny. Najpierw przywiązano ją w talii, żeby nie osunęła się pod pień cedru. Dłonie miała skrępowane przed sobą. Potem przyszła kolej na barki i nogi, związane tak ciasno, że sznury wpijały się w ciało i sprawiały ból przy każdym ruchu.

Żebra nadal ją bolały, przekłeta kostka ciągle pulsowała bólem. Nie martw się, niedługo te problemy odpadną, bo całe twoje ciało zdrtwieje. Bosko.

Myślała coraz jaśniej, eter się ulatniał, nie musiała już co chwila kaszleć i prychać.

Dalej, Jillian, musisz jakoś rozwiązać te liny. Poruszaj nadgarstkami. Uwolnij ręce.

Ale jej palce nie wykonywały poleceń mózgu. Nie była w stanie złapać końca sznura. Nie mogła także dosięgnąć go zębami, bo napastnik mocno przywiązał jej ramiona do pnia.

Zastanawiała się, kto ją tu przytaszczył. Był silny i zdeterminowany, za wszelką cenę chciał ją zabić.

Dlaczego?

I dlaczego zabił psa?

Jej żołądek boleśnie się ścisnął na wspomnienie Harleya: biedny, niewinny psiak oddał za nią życie. Dlaczego, do cholery, ktoś chciałby krzywdzić psa MacGregora? Wściekłość dodała jej sił. Jeśli będzie miała ku temu okazję, spierze drania na kwaśne jabłko.

Pieprzony świr!

Wściekła, ale przytomna, Jillian szarpała się na wszystkie strony, licząc, że więzy zsuną się z ramion na tyle, że będzie w stanie pochylić głowę, lecz jedynym efektem jej wysiłków była otarta skóra.

Na nic.

Więc co, tak po prostu się poddasz? Zginiesz bez walki? Głos dziadka nie dawał jej spokoju. Pomyślała o staruszkach, twardym i zarazem troskliwym i kochającym. Boże, jak bardzo za

nim tęskniła. A teraz, w obliczu śmierci, tęskniła także za szaloną, wścibską matką, ba, brakowało jej nawet zarozumiałej siostry. Dusti bywała nieznośna, ale to jednak siostra. No i jeszcze Mason, jej były mąż. Czy to on zwabił ją do tego odludnego zakątka Montany, pobudził jej ciekawość zdjęciami Aarona, pierwszego męża? Zdjęciami, które obudziły wspomnienia? Mason jeszcze długo po ślubie zarzucał jej, że nadal kocha pierwszego męża. Określał to mianem niewierności psychicznej. Od początku stanowiło to poważną przeszkodę w ich związku, przeszkodę, której nigdy nie udało im się pokonać, choć bez przemy przekonywała go, że dawno zapomniała o Aaronie, że choć jego ciała nigdy nie odnaleziono, pochowała jego i wspomnienia o nim.

A może kłamała?

Drżąc z zimna, szukała i nie znajdowała odpowiedzi, jakie żywi uczucia do pierwszego męża, ale nie pojmowała, dlaczego akurat teraz Mason miałby do tego wracać. Ponownie się ożenił, twierdził, że jest szczęśliwy, żył dalej. Więc dlaczego teraz, tak długo po rozwodzie, miałby zwabić ją do Montany, strzelać w oponę jej samochodu i zostawiać na mrozie?

Bez sensu.

Jak wszystko. Znowu się rozpląkała i znowu opanowała szloch.

Zacisnęła zęby i ponownie spróbowała się uwolnić. I wtedy usłyszała kroki, szybkie kroki. Podniosła głowę, przekonana, że napastnik wrócił. Tymczasem między drzewami biegł do niej Zane MacGregor.

Jej serce wezbrało radością na jego widok. Miał na sobie tylko sweter i dżinsy. W garści trzymał strzelbę. Nie zwolnił, gdy wypadł na polanę z drzewem, do którego ją przywiązano.

- Jillian! Boże! - Błyskawicznie pokonał ośnieżoną przestrzeń. Łzy płynęły jej z oczu.

- Co się stało? - zapytał i jednocześnie sięgnął do kieszeni po scyzoryk, by przeciąć grubą linę. - Kto ci to zrobił?

- Nie wiem. Nie widziałam.

- Sukinsyn - syknął. Na jego szczęce drgał mięsień. - Pieprzony świr. - Więzy na barkach puściły. Opadła na niego, gdy mocował się ze sznurami na przegubach. - Dobrze się czujesz?

- Tak.

Spojrzał na nią z takim uczuciem, że zrobiło jej się słabo. A potem przeciął sznur, który utrzymywał jej biodra przy pniu, ściągnął z siebie sweter i owinał ją całą. Rękawy były za długie, skraj zakrywał pośladki.

- Zabieram cię stąd.

Pod powiekami nadal czuła łzy ulgi. Uparcie próbowały wypłynąć na policzki, choć za żadne skarby nie chciała się rozplakać.

- Jak?

- Zaniosę cię.

- Och, nie, nie możesz...

- Przekonasz się. - Jednym ruchem porwał ją na rękę. Jej zębra przeszył ból. Głośno wciągnęła powietrze.

- Przepraszam - spieszył się. - Nie chciałem... Pocałowała go. Bez namysłu. Bez wahania.

Przywarła zamarznięty

wargami do jego ust, oplótła jego szyję ramionami. Miał ciepłe, twarde usta. Objął ją mocniej i odwzajemnił pocałunek.

Gorliwie.

Żarłocznie.

Jakie to cudowne uczucie, odprężyć się i go całować. Mimo sińców na ciele i koszmaru, przez który przeszła, mimo tego, że otarła się o śmierć, rozkoszowała się jego dotykiem i świadomością, że żyje.

Miał silne, jędrne palce, ich ciepło przenikało sweter, i oczami wyobraźni widziała już, jak się z nim kocha. Wkrótce. Będzie leżała nago na jego łóżku, na palenisku wesoło trzaska

ogień, w jej żyłach pulsuje pożądanie, umysł zasnuwa rozkosz. Wyobrażała sobie, jak do niej podchodzi, silny, muskularny, z oczami rozszerzonymi namiętnością, i kocha ją nieustępliwymi dłońmi i ustami.

Nawet teraz to czuła - potrzebę bliskości, chęć, by się całkowicie zatracić, właśnie z nim, z mężczyzną, o którym prawie nic nie wie, z nieznanym, który już dwukrotnie ocalił jej życie.

Jęknęła, gdy wsunął język między jej zęby. Wplątała palce w jego włosy, przyciągnęła go do siebie, otworzyła się, drżąc z pożądania, nie z zimna.

Są sami w lesie, tylko wysokie sosny stoją na straży.

Boże, jak ona go pragnie. To szaleństwo, tak, jest jej zimno i jest śmiertelnie przerażona, ale go pragnie. Poruszył się, oderwał usta od jej ust.

- Muszę cię zabrać do szpitala - szepnął ochryple.

- MacGregor, ja...

- Cicho.

Przywarła do niego, ukryła twarz na jego szyi i po raz pierwszy, odkąd ocknęła się nago przywiązana do drzewa, uwierzyła, że przeżyje. I wtedy sobie przypomniała. Pies!

- O Boże - szepnęła. Serce jej pękało na wspomnienie spaniela na zakrwawionym śniegu. - Harley. On...

- Wiem - MacGregor jej przerwał. Zaciśnął usta w wąską kreskę. - Znalazłem go.

Miała łzy w oczach.

- Czy on...?

- Żyje. A przynajmniej żył pół godziny temu. - Ponownie spojrzął na drzewo. Jego uwagę zwrócił znak wryty na korze. Mniejszy niż dłoń, mniej więcej dwa metry nad ziemią, najwyraźniej został tam umieszczony zaraz po tym, jak Jillian przywiązano do drzewa.

- Co to jest, do cholery?

- Nie wiem.

- Gwiazda? - Ściągnął brwi, w jego oczach pojawił się niepokój. Gdzieś w pobliżu zahuczała sowa.

Jillian, nadal wtulona w MacGregora, poczuła na karku podmuch wiatru.

- Niby dlaczego ktoś miałby coś wycinać na tym drzewie?

- To wizytówka. Ten, kto cię tak załatwił, chciał, żeby cały świat wiedział, że to jego dzieło.

- Jezus Maria - szepnęła, gdy nagle dotarło do niej, że znajdowała się w rękach szalonego psychopaty.

- To świeży znak. Wyrył go dzisiaj. Po tym, jak cię przywiązał do drzewa.

- Nie wiem, nie pamiętam. - Patrzyła na prymitywny znak i choć słońce nadal odbijało się oślepiającym blaskiem od śniegu, wyczuła mrok, ciemność kryjącą się w lodowatym lesie.

- Masz kawałki drewna we włosach. - Wyjął jej z włosów drzazgi i Jillian zrobiło się niedobrze. Mdłości wywołała myśl, że półprzytomna, naga i związana tkwiła przywiązana do pnia, a psychopata spokojnie, bez pośpiechu wycinał swój znak. Ktoś, kto zadaje sobie tyle trudu, niełatwo rezygnuje.

MacGregor chyba także to poczuł - niebezpieczeństwo kryjące się w zaroślach. Spoważniał, błędził wzrokiem po lesie.

- Wynośmy się stąd - powiedział. Zaniósł ją do pieńka, postawił zdrową stopą na drewnie i stanął do niej tyłem. - Wskakuj mi na barana.

- Nie możesz mnie nieść przez...

Popatrzył na nią takim wzrokiem, że przestała w ogóle myśleć i umilkła.

- Jillian, byłem w wojsku. Na wojnie. Wynosiłem żołnierzy, a uwierz mi, byli o wiele ciężsi niż ty. Byliśmy na pustyni, w upale, a oprócz kolegi nosiłem jeszcze ciężki ekwipunek.

Uwierz mi, ty to nic w porównaniu z tamtym.

- Akurat - mruknęła, ale już się nie sprzeciwiała. Przemknęło jej przez myśl, że jest naga od pasa w dół i zarumieniała się ze wstydu. Jego wzrok tłumaczył, że nie mają innego wyjścia.

- Może pójdę sama.

- Może w końcu wskoczysz mi na barana, żebyśmy stąd poszli - zaproponował. - Zanim ten, kto cię zaatakował, wróci.

- Nie wróci - powiedziała pewnie.

- Moim zdaniem bardzo mu zależy, żeby cię załatwić.

Nie chciała w to uwierzyć, wołała nie myśleć, że potwór, który tak ją upokorzył i zostawił na pewną śmierć, nadal może na nią czyhać. Ale postrzegała teraz las inaczej, że strachem. A co, jeśli nawet w tej chwili morderca śledzi ich przez lornetkę? Albo przez celownik sztucera?

Ze strachu zaschło jej w gardle, serce ogarnęło przerażenie zimne jak otaczający ich krajobraz. Kto jej to robi? Kto próbuje ją zabić i to powoli? Jakby odprawiał jakiś makabryczny rytuał?

- Czy... czy tak to się odbywa? Czy ten seryjny morderca przywiązuje nagie kobiety do drzewa?

- Najpierw strzela w opony ich samochodów, tak, tak mi się wydaje, w każdym razie to spotkało kilka kobiet, o których czytałem, ale to wszystko działo się, zanim ostatnia zamieć uszkodziła wszystkie linie telefoniczne i przewody wysokiego napięcia.

- Myślisz, że mnie i te inne kobiety upatrzył sobie z jakiegoś powodu?

- Jestem o tym święcie przekonany.

Wpatrzona w horyzont, szukała wzrokiem ciemnej postaci czającej się wśród skał, błysku słońca odbitego w celowniku. Czyżby nawet teraz, w tej chwili, celował jej w głowę albo między łopatki?

- Lepiej będzie, jeśli nie wrócimy do chaty. - MacGregor myślał na głos, idąc do lasu.

- Dlaczego?

- Może już tam na nas czeka.

- Myśli, że nie żyję.

- Czyżby? - MacGregor nie dał się tak łatwo przekonać. - Skąd pewność, że nie obserwuje nas choćby w tej chwili?

- Stąd, że nadal żyję. Ma co najmniej dwie sztuki broni, tę, z której strzelał do Harleya, i strzelbę, którą mi zabrał. Gdyby tu był, zastrzeliłby cię, kiedy mnie rozwiązałeś.

- Ale kiedy zorientuje się, że żyjesz, wróci. - MacGregor oddychał coraz ciężiej. - Nie znalazł cię we wraku w samochodzie i odszukał cię u mnie.

- Jakim sposobem?

- Dobre pytanie, ale bez względu na to, kim jest, bardzo mu na tym zależy. - Odwrócił się przez ramię. - Nadal obstawiasz twojego byłego?

- Nie, jeśli to seryjny morderca.

Przesunął ją lekko i starała się nie myśleć o tym, że jej nagie uda otaczają jego talię, że co chwila się o niego ociera. To wszystko było jak dziwny sen - przenikliwe zimno, nagość, fakt, że MacGregor ją niesie i strach, że morderca śledzi każdy ich krok po tym, jak przywiązał ją do drzewa.

- To nie Mason - stwierdziła stanowczo. - Nie ma mowy.

- Nie jest typem zabójcy?

- Nie. - O Masonie Riversie można powiedzieć wiele rzeczy, nie tylko dobrych. Jest chciwy i nieuczciwy, jako prawnik bez skrupułów nagiął zasady, ale żeby mordował z zimną krwią? Nie ma mowy.

- Chwileczkę. - Podrzucił ją wyżej. Zagryzła usta, żeby nie krzyknąć. MacGregor szedł szybko, brodził w śniegu do kolan i wkrótce na jego karku pojawiła się strużka potu, mimo zimna.

- Wiesz co? Zostawię cię koło chaty, sprawdzę, czy jest bezpieczna, zaniosę cię tam i wrócę po Harleya.
- Serce jej pękało na myśl o psie.
- Strasznie mi przykro.
- Nie oplakuj go jeszcze. Jest silniejszy, niż ci się wydaje.
- Nie uwierzyła. Biedak nie mógł się ruszać i został sam na śniegu i mrozie, żeby się wykrwawił.
- Pieprzony sukinsyn - szepnęła, zaciskając pięści.
- Powiedz, co dokładnie się wydarzyło. - MacGregor dyszał ciężko. Pot zalewał mu oczy.
- Może spróbuję iść.
- Nic mi nie jest.
- Ale...
- Powiedz, co się wydarzyło - nalegał. - Jakim cudem przywiązał cię do drzewa, a na tobie nie widać śladów walki.
- Dobrze. - Znosił ją z niewielkiego wzgórza na dno zamarzniętego potoku, a Jillian opowiadała. Zaczęła od swoich obaw, o tym, jak na niego czekała, a on nie wracał, o tym, że się martwiła, że coś mu się stało, że wypuściła psa na dwór i zdała sobie sprawę, iż popełniła błąd. - Obserwowałam go. Oddalił się. Wyszłam za nim, ale oczywiście ze skrzyżowaną nogą, o kuli, nie mogłam dotrzymać mu kroku. Zniknął w zaroślach. Szłam za nim i wtedy... wtedy... O Boże, wtedy usłyszałam strzał i jego przeraźliwy skowyt. To było straszne. - Znowu miała całą scenę przed oczami. - Leżał na śniegu... Boże, to było straszne. - Ściszyła głos do szeptu. Szczekała zębami.
- I nie widziałas, kto strzelał? - MacGregor szedł równym krokiem przez polanę zalaną słońcem, w kierunku, jak sądziła, chaty.
- Pamiętam tylko, że podeszłam do psa, później już nic. Ja... nie wiem, co się stało z kulą czy ubraniami. Zaskoczył mnie od tyłu, zakrył mi usta i nos nasączoną czymś szmatą, może eterem, i następnie, co pamiętam, to że się ocknęłam naga, przywiązana do drzewa.
- Dokąd poszedł?
- Nie wiem. Jak powiedziałam, straciłam przytomność. - Wzdrygnęła się i przyciągnął ją bliżej. Jego ciepło docierało do niej nawet przez jego podkoszulek i jej gruby sweter.
- Byłabyś w stanie go rozpoznać?
- Nie widziałam go. - Mówiła prawdę. Zaskoczył ją od tyłu i... Jakiś hałas zwrócił jej uwagę.
- Co to? - Podniosła wzrok na niebo i rozpoznała miarowy warkot helikoptera.
- Może pomoc - powiedział, patrząc w niebo. Zacisnął usta w wąską kreskę, gdy helikopter służb ratunkowych pojawił się nad urwiskiem.
- O Boże, miałeś rację! - Była w siódmym niebie. Ratunek! Wreszcie! Podtrzymując ją jedną ręką, Zane machał jak szalony, żeby zwrócić na siebie uwagę pilota.
- Nie mówiłem? - zapytał z cieniem ironii w głosie. - Kawaleria podąża z odsieczą!

MacGregor siedział na niewygodnym krześle w pokoju przesłuchań i wpatrywał się w weneckie lustro, zza którego, jak się domyślał, obserwują go szeryf, prokurator i pewnie jeszcze kilku policjantów. Tymczasem dwie policjantki zadawały mu pytania. Mógł w każdej chwili zażądać prawnika, ba, policjanci się tego spodziewali, bo nagrywali przesłuchanie, ale przecież on nie ma nic do ukrycia.

Ostrożnie poruszał się po polu minowym, jakim okazały się pytania. Odpowiadał uczciwie, co wie, ale nie udzielał więcej informacji niż to niezbędne. W ciasnym pokoju kwaśny zapach amoniaku nie był w stanie do końca stłumić odoru wymiotów, moczu i rozpaczy. Fluorescencyjne żarówki zalewały go niebieskawym światłem. Pod sufitem, w rogu, czekała kamera, ustawiona tak, by rejestrować wszystko, co się dzieje dokoła małego stolika, na

którym stała popielniczka do połowy wypełniona niedopałkami i gruby tom akt, zdający się czekać jak grzechotnik, szybki i zabójczy, na odpowiednią chwilę do ataku.

- Więc oczekuje pan, że uwierzemy, że w środku jednej z najgorszych zamieci w ciągu ostatnich dziesięciu lat pan tak po prostu znalazł Jillian Rivers i wyciągnął ją z wraku samochodu? - zapytała wyższa policjantka, Pescoli. Uniosła w zdumieniu brwi, a z jej głosu przebijało niedowierzenie.

- Słyszałem odgłos strzału - powtórzył po raz kolejny. - I dlatego ją znalazłem. Pogoda się poprawiła, na krótko, ale się poprawiła.

Druga policjantka, drobniejsza, spokojniejsza niż brunetka, o włosach zebranych w węzeł na karku i nieprzeniknionym spojrzeniu, słuchała uważnie. Coś w jej zachowaniu mówiło mu, że mu wierzy, a przynajmniej na tyle daje wiarę jego wersji wydarzeń, że nie bierze go pod uwagę jako podejrzanego.

Powiedział im wszystko. Kiedy tylko helikopter zabrał Jillian, jego, w kajdankach, zabrano na posterunek. Jillian pojechała do szpitala. Tutaj, w tym ciasnym dusznym pokoju bez okien, o szarych ścianach i cementowej posadzce, rozkuli go, posadzili na składanym krześle i zaczęli pytać. Początkowo był wściekły, domagał się, by go wypuszczono, prosił, żeby poszukali jego psa, zły, że nikt nie wierzy, że uratował Jillian Rivers, a nie starał się jej zabić. Ale w końcu Alvarez, ta brunetka, powiedziała, że znaleźli jego psa i chyba zaczynała mu wierzyć. Minęło kilka godzin, odkąd wylądowali, a teraz znowu go przesłuchują.

W pomieszczeniu było zimno, ale dali mu koszulę, jego własną, przywiezioną z chaty, którą, jak się domyślał, wybebeszyli doszczętnie. Szukali dowodów, że maczał palce nie tylko w porwaniu Jillian Rivers, ale i w zabójstwach pozostałych kobiet.

Na stole rozłożono fotografie: zdjęcia umęczonych nagich ciał, kobiet, które przywiązano do drzewa i zostawiono na pastwę żywiołów.

- Znał je pan? - pytały go o to chyba dwudziesty raz.

- Nie.

- Nie rozpoznaje ich pan?

- Nie.

Odnalazł wzrok Pescoli.

- Nigdy w życiu żadnej z nich nie widziałem.

Wkurzona, odeszła na bok i masowała sobie kark, jakby i ją nużyła ta rozmowa, która do niczego nie prowadzi.

- Jest pan notowany - stwierdziła. Oparła się o ścianę, skrzyżowała ręce na piersi.

- Tak.

- I nie mówimy o mandacie za przekroczenie prędkości. Zabił pan człowieka w Denver. Siedział pan w więzieniu.

MacGregor nic nie mówił. Nie musiał. Mieli jego akta, znali zarzuty.

- Więc morderstwo nie jest panu obce.

To nie było pytanie. Nie połknął przynęty. Oskarżono go o nieumyślne spowodowanie śmierci, a to duża różnica i wszyscy w pomieszczeniu o tym wiedzieli. Zastanawiał się, która jest godzina, ale oparł się pokusie i nie spojrzął na zegarek. Przesłuchanie trwało na tyle długo, że opowiedział nie tylko o tym, jak odnalazł Jillian, ale też jak minęły następne dni.

Doszedł do wniosku, że prawdziwość jego słów potwierdzą dowody w chacie i sama Jillian. Pytał o nią, ale usłyszał jedynie, że jest w szpitalu, pod opieką lekarza. Więcej nie chcieli mu powiedzieć. To samo z Harleyem. Dowiedział się jedynie, że zajmuje się nim weterynarz.

- Ma pan podręczniki astronomii i astrologii - odezwała się Alvarez. Kolejne stwierdzenie faktu.

- I jest pan przewodnikiem, zna teren - dodała Pescoli. - Prowadził pan wycieczki do Cougar Pass?

- Tak.

- I łowił pan w September Creek?  
- Oczywiście.  
- I wie o Broken Pine Lodge? - dodała. Pochyliła się nad nim tak nisko, że wyczuł słaby zapach jej perfum zmieszany z dymem papierosowym.  
- Jestem przewodnikiem. Znam te tereny.  
- W tym także wszystkie miejsca, w których znaleziono zwłoki i samochody. - Z teczki na stole wyjęła mapę. Znajomy teren pstrzył się czerwonymi punktami. Były to, jak się domyślał, miejsca, gdzie znaleziono zwłoki i wraki samochodów. - Zna pan wszystkie te miejsca, prawda? - wskazała czerwone punkciki.  
- Byłem tam, tak. Ale nie ostatnio.  
Trzymały się tego, wypytywały, jak spędza zimę, interesował je zwłaszcza dwudziesty dzień każdego miesiąca. Pytały, co jego zdaniem znaczy gwiazda wryta na pniu, pokazały kserokopie listów z ciągami liter, które nic mu nie mówiły, widział jedynie, że po każdym morderstwie liter było więcej. I że to inicjały zamordowanej.  
- I pan chce nam wmówić, że nie jest mordercą.  
- Proszę zapytać Jillian Rivers - zaproponował.  
- Już to zrobiliśmy. I wie pan co? Nie do końca pana oczyszcza. Ani drgnął. Nie uwierzył policjantce o zmrużonych oczach.  
- Twierdzi, że czasami znikał pan na wiele godzin. Godzin. - Podeszła do stolika, uderzyła palcem w zdjęcia martwych kobiet. - A więc miał pan dość czasu, by dotrzeć do kryjówki i zamordować kolejną ofiarę.  
- Do kryjówki? - powtórzył. - Pani chyba żartuje. Do jakiej kryjówki?  
- Do jaskini, może do innej chaty, starej kopalni, tam, gdzie pan je trzyma. Strzelała w ciemno. Niczego nie miała i była tego świadoma, ale miała nadzieję, że straci panowanie nad sobą i powie coś, co potwierdzi jego związek z morderstwami.  
- Więc jak, aresztujecie mnie czy co? - zapytał, znużony tą zabawą. Był wyczerpany, psychicznie i fizycznie, i miał już tego zdecydowanie dosyć. Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.  
- Zatrzymujemy pana.  
Znał prawo, wiedział, że mogą to zrobić.  
- Dobra, ale już wam odpowiedziałem na wszystkie pytania. Złożyłem zeznania i jeśli chcecie pytać mnie jeszcze o coś, musicie to zrobić w obecności mojego adwokata. Garret Wilkes w Missouli. Skontaktujcie się z nim. - Wstał, podświadomie przekonany, że wyższa policjantka każe mu znowu usiąść, ale nie zrobiła tego. Wydawała się równie zmęczona, jak on, jeśli miała choć trochę zawodowego instynktu, wiedziała już, że nie stoi przed nią morderca.  
- Chciałbym zobaczyć mojego psa i porozmawiać z Jillian. Pescoli ani myślała się na to zgodzić.  
- Nie ma mowy.  
- Ależ owszem. Załatwi to pani, kiedy przestanie odgrywać złą policjantkę.  
Oczy Pescoli rozbłyły.  
- Zobaczymy, co się da zrobić. - Alvarez wkroczyła do akcji, zanim partnerka zrobiła coś, czego obie potem pożałują. Wyjęła kajdanki z kieszeni. - Ale tymczasem, panie MacGregor, przenocuje pan w areszcie okręgu Pinewood. Na koszt podatników.

## Rozdział 20

Mam w nosie, co mówi lekarz, chcę stąd wyjść i to natychmiast - złościła się Jillian, aż wreszcie pielęgniarka zamknęła jej buzię, wsuwając w nią termometr. Leżąc na szpitalnym łóżku, podłączona do kroplówki, z termometrem w roli knebla, planowała ucieczkę. Co z tego, że postąpi wbrew zaleceniom lekarza? Chce stąd wyjść i to już.

Nigdy nie lubiła bezczynności, a leżenie w szpitalu to dla niej koszmar. W telewizji leciał serial komediowy, który powinien być umrzeć śmiercią naturalną trzy sezony temu, z korytarza dochodził hałas. Tuż obok jej pokoju mieściła się dyżurka pielęgniarek i przez uchylone drzwi dobiegały strzępy rozmów, odgłosy kroków i inne szpitalne hałasy.

Leżała w małym jednoosobowym pokoju, okno wychodziło na niemal pusty parking, starannie odśnieżony. W świetle latarni widziała wirujące płatki śniegu i przypomniała sobie, jak marzła, jak mało brakowało, a umarłaby z wyziębienia, i jakie ma szczęście, że leży w ciepłym, czystym łóżku w jasnym pokoju.

Gdyby nie MacGregor, nie żyłaby już albo konała w tak zimną noc. Wzdrygnęła się na tę myśl i postanowiła okazać więcej wdzięczności, mniej humorów.

Cichy dźwięk poinformował, że termometr wykonał swoje zadanie. Pielęgniarka, potężna kobieta koło pięćdziesiątki, przyglądała mu się uważnie i puszczała mimo uszu narzekania Jillian. Zapisała temperaturę.

- Trzydzieści sześć i dziewięć - powiedziała z kwaśną miną. Była znużona, jakby pracowała na dwie zmiany. Zjadła całą szminkę, a spod resztek pudru wyglądał trądzik różowaty.

- Widzi pani? Nawet nie trzydzieści siedem - triumfowała Jillian. Pielęgniarka tymczasem mierzyła jej ciśnienie. - Nie możecie mnie tu trzymać.

- Zobaczymy, co powie lekarz, ale chciał, żeby na noc została pani na obserwacji. - Nie odrywała wzroku od wskaźnika ciśnieniomierza.

- Nie potrzebuję żadnej obserwacji. - Prześwietlono jej klatkę piersiową i nogę. Okazało się, że kostka jest tylko skręcona i lekarz nawet nie założył gipsu, wystarczył bandaż elastyczny. Żebra też nie były pęknięte. Miała wielkie szczęście, ale okazało się, że MacGregor miał rację i nie doznała żadnych złamań. Świetnie. Oczywiście żebra nadal bardzo bolały, ale jeśli dadzą jej leki przeciwbólowe, nie ma sensu, żeby marnowała czas w wiejskim szpitaliku.

- Ciśnienie sto dziesięć na siedemdziesiąt pięć. W normie. - Pielęgniarka skinęła głową i zapisała coś w karcie choroby. - Policjanci chcą z panią porozmawiać.

- Już to zrobili.

Pielęgniarka skończyła mierzyć jej puls i zadowolona z wyniku zapisała go w karcie.

Kiedy podniosła głowę, na jej twarzy widać było minę bardziej przyjazną niż przed chwilą.

- Wiem, ale znowu chcą panią przesłuchać.

Jakby Jillian kłamała. Dlaczego jej nie wierzą? Dlaczego traktują MacGregora jak przestępcę?

- Powiedziałam im wszystko, co wiem - mruknęła. Zdążyła już zapomnieć o postanowieniu, że nie pozwoli, by gniew mącił jasność osądu. Policjanci przesłuchiwali ją już w helikopterze i w drodze do szpitala, póki lekarz im nie przerwał.

- Na pewno. - Pielęgniarka spojrzała jej w oczy. - Porozmawiam z doktorem Haasem, zobaczymy, co da się zrobić w kwestii wcześniejszego wypisania, ale wątpię, czy się zgodzi. Bosko, pomyślała Jillian, odprowadzając wzrokiem pielęgniarkę do drzwi. Sięgnęła po pilota od telewizora, który leżał na tacy koło łóżka, i wyciszyła dźwięk, gdy rozbrzmiał slogan reklamowy pizzy jak w domu. W domu. Ile czasu upłynęło, odkąd ostatnio skuliła się na ulubionym fotelu, od niechcenia głaszcząc Marylin, zajadając prażoną kukurydzą i oglądając stare romansidło?

Zdążyła już zadzwonić do matki. Linnie się popłakała.

- Wiem, że cię znaleźli, już mnie zawiadomili. Ale... Och, Jillian, tak się bałam, że straciłam cię na zawsze, że porwał cię ten szaleniec i nigdy więcej cię nie zobaczę, nigdy więcej nie usłyszę twojego głosu. - Szloch matki sprawił, że i Jillian się rozplakała.



- Nic mi nie jest.

- Ale przez co przeszłaś! W rękach tego szaleńca!

- Nie, mam, nie rozumiesz. Przez większość czasu nic mi nie groziło. - Niemal pół godziny opowiadała o MacGregorze, tłumaczyła, że nie on jest mordercą. Kiedy matka zapytała, kto ją porwał i porzucił w lesie, powiedziała jej to samo, co policjantom - nie ma zielonego pojęcia, kto chciał ją zamordować.

Linnie nie dała się łatwo przekonać, ale nagle przestała płakać.

- Przylecę najbliższym lotem do Missouli, wynajmę samochód i...

- Nie! - Jillian przerwała jej w pół słowa. - Za dzień albo dwa wrócę do domu, zadzwonię do ciebie i podam nowy numer komórki.

- Ale po tym, co przeszłaś...

- Nic mi nie jest. Lekarze już się mną zajęli, okazało się, że nie mam żadnych złamań i kiedy tylko drogi będą przejezdne, wrócę do domu.

- Jesteś ranna! Powinnaś być przy mnie! - I wtedy Jillian zrozumiała. Matka nie tylko chciała jej pomóc, pragnęła także uszczknąć dla siebie choćby ułamek dziwacznej sławy, którą otoczona była córka. Dziennikarze już zaglądali do jej pokoju.

- Naprawdę, mam, nic mi nie jest. Nie musisz przyjeżdżać, tylko zadzwoń do Dusti i wszystkich, którzy o mnie pytali, i powiedz, że jestem cała i zdrowa.

- Ależ oczywiście! - W Linnie zawsze wstępowały nowe siły, gdy miała coś do zrobienia. - A co z prasą i telewizją? Dziennikarze już do mnie dzwonili.

- Już? - Jillian nie wierzyła własnym uszom. - Skąd się o mnie dowiedzieli?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Wiesz co, mam? Zajmij się tym, mogę cię o to prosić?

- Ależ oczywiście.

- Wspaniale. I jeszcze jedno.

- Wal - zachęciła matka energicznie.

- Czy możesz zadzwonić do Emily Hardy i wszystko jej wytłumaczyć, a potem odebrać od niej mojego kota?

- Oczywiście, skarbie. Masz to jak w banku! - Linnie nic nie sprawiało takiej przyjemności, jak zadanie do wykonania.

- Dzięki, mam. Niedługo zadzwonię, kiedy tylko będę miała komórkę. Wtedy dam ci znać, kiedy wracam

- Jeśli jesteś pewna, że nie będę ci potrzebna...

- Poradzę sobie, naprawdę, jeśli tylko załatwisz dla mnie te sprawy. - Podała matce telefon do szpitala. - Jestem w 323.

- Zapisalam.

- Świetnie. Dzięki. Niedługo się odezwę.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Nie martw się mediami. Już ja się wszystkim zajmę. Na pewno.

- Chciałam spędzić święta u twojej siostry - matka zmieniła temat. -Może do nas dołączysz? Zabiorę kotkę, przylecisz od razu do San Diego...

- Nie, chyba nie. - Do świąt zostały bodajże... trzy dni? Jillian nie wyobrażała sobie Bożego Narodzenia z rodziną siostry w południowej Kalifornii. Kochała siostrzenice - dwie cudowne istotki przyprowadzające Dusti o apopleksję - ale była święcie przekonana, że starsza siostra wyjdzie z siebie, by zorganizować święta doskonale i tym samym zepsuje całą ich magię. Nie wspominając o Drewnianym Drew. Boże, ależ z niego nudziarz. Wysoki, przystojny pracoholik, który spędza w pracy sześćdziesiąt godzin tygodniowo, w wolnym czasie gra w golfa z chłopakami, pali cygara i bez końca rozwodzi się o tajemnicach obrotu akcjami. Doprowadzał Jillian do szału. Ostatnio ciągle namawiał Dusti na kolejną ciążę, bo bardzo chciał mieć syna.

Tak, Boże Narodzenie u Bellamych to istna sielanka.

Nie miała na nią ochoty.

- Tak, wyjeżdżam dwudziestego czwartego. Ja... Coś zorganizuję dla Marylin.

- Może Emily zgodzi się ją przechować trochę dłużej.

- Zapytam. - Linnie odetchnęła z ulgą.

- Dobrze. Ucałuj ode mnie Reese i Carrie. Powiedz, że ciocia Jillie wkrótce je odwiedzi.

- Oczywiście. Jak już mówiłam, zajmę się dziennikarzami, niczym się nie przejmuję.

Oblejemy to, gdy obie wrócimy do domu po Nowym Roku. Ja... Może wydam przyjęcie?

- O nie, tylko nie to. - Wzdrygnęła się na myśl o napuszonych, przesadnie uroczystych przyjęciach matki. Tylko nie to.

- Jak chcesz. - Sądząc po głosie, Linnie poczuła się lekko dotknięta. Jillian nie da się wmanewrować w poczucie winy. Kocha matkę, tak, ale

nie ma co ukrywać, że czasami trudno z nią wytrzymać. Tymczasem skończyła rozmowę i snuła plany ucieczki ze szpitala. Nie ma czasu na bezczynne wylegiwanie się w łóżku.

Komuś bardzo zależy na tym, żeby zginęła, a MacGregor, jej wybawca, siedzi za kratkami.

Zakuli go w kajdanki, na miłość boską. Z jej samochodu nic nie zostało, jej komórkę skonfiskowano i ktoś za wszelką cenę usiłuje jej wmówić, że pierwszy mąż nadal żyje.

Machinalnie podrapała swędzące miejsce pod plastrem od kroplówki na rękę, pogrążona w myślach o tym, co robi, kiedy stąd wyjdzie. W ciągu minionych dziesięciu dni jej życie zmieniło się diametralnie. Nadal nie wiedziała, czy Aaron żyje, czy nie, nie miała pojęcia, kto chciał ją zabić... i do tego jeszcze Zane MacGregor, mężczyzna, w którym, to śmieszne, zaczynała się zakochiwać.

Zakochiwać? Prawie go nie znasz. Według policji może mieć coś wspólnego z porwaniami.

Dziesięć dni razem w górskiej chacie nie oznacza romansu. To szaleństwo. Gadają przez ciebie środki uspokajające.

Ale prawda jest taka, że odkąd została ocalona przez helikopter ratunkowy, bez przerwy myślała o MacGregorze i jego psie. Jeden siedział na posterunku, przesłuchiwany przez policję, drugim zajął się weterynarz. Dobrze przynajmniej, że Harley przeżył strzelaninę - jeden z nielicznych pozytywnych akcentów tego dnia.

Przysunęła się bliżej krawędzi łóżka, próbując wyrzeć na korytarz. Przez uchylone drzwi dobiegały ją odgłosy szpitala... i strzępy rozmów.

Wysoki kobiecy głos martwił się o pacjenta spod 314, że antybiotyk nie powstrzyma zapalenia płuc.

- Gdzie lekarz, do diabła?

Inny, męski głos, wydawał przez telefon zalecenia dotyczące dawki przyjmowanego lekarstwa.

Trzecia rozmowa dotyczyła miejscowych plotek. Jillian zacisnęła usta, gdy zdała sobie sprawę, że to ona jest ich tematem.

- Zupełnie jak inne, tak mi się wydaje. Naga, przywiązana do drzewa. Wyobrażasz to sobie? Nie słyszała cichej odpowiedzi.

- Wiem, nie mieści się w głowie, że seryjny morderca grasuje właśnie tutaj, w Grizzly Falls, prawda? Czemu akurat u nas? W kółko powtarzam Jasonowi, że to koniec świata, więc skąd miałby się tu wziąć psychopata? Co? Nie, nie sądzę. Ktoś znajomy? Boże, to byłoby najgorsze. No tak, mamy bandę wioskowych głupków. No dobra, to bardzo niepoprawne politycznie. Mamy miejscowy koloryt. Przecież Ivor Hicks jest przekonany, że porwali go kosmici.

- Nie dość, że go porwali, to jeszcze do dzisiaj mu rozkazują - dodał drugi głos i Jillian rozpoznała pielęgniarkę, która się nią zajmowała. - I nie zapominaj o Grace Perchant, która znalazła jeden z samochodów. To ta, która wiecznie widzi duchy.

- I się z nimi komunikuje. Jakby znała drogę do innego świata.

- Jasne. Moim zdaniem Grace już jest w innym świecie. Zachichotały. Dalszą rozmowę uniemożliwił im dzwonek telefonu. Po prostu świetnie, pomyślała Jillian i jeszcze bardziej zapragnęła jak najszybciej wydostać się ze szpitala. Była tu zaledwie od kilku godzin, a ściany ciasnego pokoju już zdawały się ją dusić.

Tłumaczyła sobie, że powinna zostać. Cichy głosik przypominał, że jeszcze nie całkiem doszła do siebie. Co w tym złego, że ktoś się tobą zaopiekuje? Dlaczego się nie odprężysz? Wyśpij się w ciepłym łóżku, pozwól, by lekarze i pielęgniarki zadbali o twoje rany. Potem weźmiesz się w garść, pomyślisz o wyjeździe rano albo jeszcze później, po tym jak się wypiszesz i coś zjesz, weźmiesz prysznic i spojrzysz na to wszystko z właściwej perspektywy. Potem się zastanowisz, co robić.

Na razie nie mogła narzekać na poziom usług w szpitalu okręgu Pinewood. Na kolację podano jej pieczonego kurczaka z fasolką, dynią, bułką i galaretką. Może nie był to posiłek z restauracji o światowej sławie, ale dał się zjeść. Salowa obmyła ją ciepłą myjką i to było cudowne, choć i tak marzyła o długim, gorącym prysznicu.

Więc skąd ten pośpiech? Chcesz znowu szukać Aarona? Czy od razu wracasz do Seattle? Zamknęła oczy, niezdolna zdecydować. No i jeszcze MacGregor. Nie może tak po prostu zostawić jego Harleya... Dobry Boże, zupełnie oszalała!

A co z policją? Jeszcze z tobą nie skończyli.

Jęknęła na myśl o kolejnym przesłuchaniu.

To ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę. Złożyła już zeznania, opowiedziała wszystko nie tylko dwóm miejscowym policjantkom, ale także agentom FBI. Wszyscy zdawali się być święcie przekonani, że jest ofiarą i że Zane MacGregor to psychopata, który terroryzuje ten zakątek stanu.

Jillian wiedziała, że to nieprawda.

Ufała mu, odkąd odciął ją od samotnej jodły i niósł, ogrzewając własnym ciałem. Zane MacGregor nie chciał jej skrzywdzić, a teraz, jak zrozumiała, siedzi w areszcie i musi się tłumaczyć.

Rozmowy z policją były bardzo męczące. Najpierw wypytywały ją dwie lokalne policjantki, Regan Pescoli i cicha, spokojna Selena Alvarez. Następnie padła seria pytań od agentów FBI. Wydawało się, że wszyscy chcą obciążyć MacGregora winą. Policjanci szukali odpowiedzi - winnego - i za wszelką cenę chcieli, by okazał się nim MacGregor.

Jillian od samego początku dała im jasno do zrozumienia, że nie wierzy w ich teorie dotyczące człowieka, który uratował jej życie. Policjantów chyba irytowało, że bardziej niż ich dochodzenie interesuje ją los Zane'a MacGregora i jego psa.

- To idiotyczne - wybuchła, niezdolna się opanować, gdy Alvarez zapisywała coś skrzętnie i nagrywała każde słowo. Drobna, o ostrych rysach i czarnych włosach mieniących się błękitnie w świetle jarzeniówek, wydawała się spokojniejsza i mniej wybuchowa niż jej partnerka.

Wyższa, Pescoli, stała przy drzwiach, jakby nie chcąc ingerować w osobistą przestrzeń Jillian. Opalona, lekko piegowata, nawet teraz, w środku zimy, pewnie spędza mnóstwo czasu na dworze. Jednak w bezlitosnym świetle szpitalnych jarzeniówek widać było sińce pod jej oczami. Rudozłote loki otaczały surową zaciętą twarz. Była wściekła.

- MacGregor nie chciał mnie skrzywdzić - tłumaczyła Jillian. - Na miłość boską on mnie uratował. Widzieliście przecież, że niósł mnie, oddalał się od drzewa, do którego... Do którego mnie przywiązano. Gdyby nie Zane MacGregor, zamarzałabym na śmierć!

Policjantek to nie wzruszało.

- Ale skoro nie widziała pani napastnika, skąd pewność, że to nie on? - Pescoli skrzyżowała ręce na piersi, jakby się spodziewała, że Jillian ją okłamie.

- Po prostu wiem - odparła. - Ten, kto zaatakował mnie od tyłu, był od niego niższy i lżejszy. Teraz do akcji wkroczyła Alvarez:

- I naprawdę nie widziała pani jego twarzy? Żadnych cech charakterystycznych?

- Nie.

- A jego ręce?

- Niczego nie wiedziałam, tylko... Czarne rękawiczki. Czułam na sobie jego ciężar, gdy pchnął mnie na ziemię. Zasłonił mi usta szmatą. Walczyłam, ale nie dałam rady go zepchnąć. Zemdlałam.

Pescoli kiwała głową.

- Ale nie neguje pani, że MacGregor zniknął na wiele godzin? I nie wiedziała pani, gdzie wtedy jest.

- Zostawił mi broń. Wątpię, by to robił, gdyby naprawdę chciał mnie zabić.

Nie odpowiedziały.

- I przecież nie postrzeliliby własnego psa! Pescoli odezwała się spokojnie:

- Siedział już za morderstwo.

- Za nieumyślne spowodowanie śmierci - automatycznie poprawiła ją Jillian. - Mówił mi o tym.

- Czyżby? - Pescoli nawet nie starała się ukryć niedowierzania. Podeszła bliżej i stanęła koło łóżka Jillian. - Zna pani tylko jego wersję.

- Fakt. I mu wierzę. - Patrzyła wysokiej policjantce prosto w oczy. - Chciałabym się z nim zobaczyć.

- Został aresztowany - poinformowała Pescoli.

- Za co? Na miłość boską ile razy mam wam powtarzać? Ten facet uratował mi życie! - Jillian zdawała sobie sprawę, dlaczego go podejrzewają ale gdy wypowiedziała te słowa, zabrzmiały o wiele gorzej niż w rzeczywistości.

- Może nam pani opowie wszystko po kolei, od początku? - zasugerowała łagodnie Alvarez. - Po pierwsze, dlaczego w ogóle przyjechała pani do Montany? Mieszka pani w Seattle, tak? Więc Jillian opowiedziała im wszystko, co pamiętała, poczynając od pierwszych anonimowych rozmów telefonicznych w Seattle, poprzez przesyłkę ze zdjęciami pierwszego męża. Opowiadała, co zapamiętała z wypadku i sytuacji tuż po nim, o tym, jak ocknęła się w chacie Zane'a MacGregora. Niczego nie ukrywała. Była przekonana, że MacGregor ocalił jej życie. Uważała, że w dniu wypadku wśród drzew czaił się ktoś inny, a później MacGregor znalazł ślady potwierdzające, że obserwowano chatę. MacGregor dał jej nabitą broń i zostawił z nią psa.

Pescoli i Alvarez przerywały jej kilka razy, ale głównie słuchały, gdy tłumaczyła, że MacGregor bardzo się starał znaleźć sposób, by odwieźć ją do miasta. Martwił się o nią uważał, że powinien zająć się nią lekarz.

Wierzyła święcie, że prawda oczyści go z zarzutów. Myliła się.

Po przesłuchaniu dotarło do niej, że im bardziej starała się oczyścić go z zarzutów, tym mniej Pescoli i Alvarez jej wierzyły. Co doprowadzało ją do pasji.

Jedyna dobra wiadomość, o ile o czymś takim w ogóle może być mowa, to fakt, iż przyniesiono jej rzeczy. Torbę z ubraniami, torebkę z portfelem i dokumentami. Nie oddali jej jedynie komórki, którą, jak wytłumaczyła Alvarez, zatrzymają jeszcze przez dzień lub dwa. Jillian była wściekła, że nie ma telefonu. W pamięci aparatu miała numery wszystkich krewnych, przyjaciół i pracodawców.

Policjantki zapewniły ją że zwrócą telefon najszybciej, jak to będzie możliwe, wyłączyły dyktafon i zbierały się do wyjścia, gdy Jillian zawołała:

- Chwileczkę!

Obie zatrzymały się w pół kroku.

- Chciałam tylko jeszcze raz zaznaczyć, że Zane MacGregor nigdy nie zrobił niczego, co sugerowałoby, że chce mnie zabić, a miał ku temu mnóstwo okazji. Byłam nieprzytomna i

bezradna, niezdolna chodzić o własnych siłach, niemal unieruchomiona ze względu na obolałe żebra. Uwierzcie mi, gdyby chciał, żebym nie żyła, nie byłoby mnie tu.

Policjantki milczały i musiała dodać:

- Wiem, że macie poważny problem z tym mordercą. Musicie go znaleźć. I szukajcie dalej. Macie nie tego, co trzeba.

Alvarez spojrzała jej w oczy.

- Sprawdzamy różne możliwości, pani Rivers. MacGregor to tylko jeden z podejrzanych.

- Ależ już wam mówiłam... - zaczęła i nagle zobaczyła coś we wzroku niższej policjantki, coś, co bardzo jej się nie spodobało. Choć Selena Alvarez starała się to ukryć, nie wierzyła w wersję Jillian, a przynajmniej nie we wszystko. Akurat ona, ta, której zaufała.

- Dobry Boże - szepnęła Jillian, wstrząśnięta. - Myślicie... Myślicie, że co? Że kłamię? Albo że... albo że wszystko mi się miesza? Albo że się zakochałam w porywaczu? - Serce zamarło jej w piersi. Policjantki stały w progu, zasłaniając służbówkę pielęgniarzek.

- W tej chwili, pani Rivers, niczego nie uważamy - zapewniła Pescoli.

- Mówię wam, to nie MacGregor.

- Już to słyszałyśmy. Dziękujemy. - Zirytowana Pescoli wyszła z pokoju.

- Być może będziemy miały jeszcze jakieś pytania. - Alvarez podeszła na chwilę do łóżka. -

Gdyby pani chciała o coś zapytać albo jeśli coś się pani przypomni, proszę o telefon. -

Położyła wizytówkę koło szklanki z wodą. - Tu jest bezpośredni numer do mnie na posterunek i numer komórki. - Wskazała palcem cyferki.

I wyszła szybkim krokiem, chcąc dogonić partnerkę. Jillian wsunęła wizytówkę do portfela. Myślała, że to już koniec przesłuchań, ale się myliła.

W ciągu niecałej godziny zjawili się Halden i Chandler z FBI. Jakby przypomniawszy sobie coś nowego.

Zadawali właściwie te same pytania, ale zachowali większy dystans i nie okazywali emocji tak jawnie, jak policjantki.

Nie żeby Jillian przez to darzyła ich większą sympatią.

Przesłuchanie prowadziła Stephanie Chandler, wysoka, dobrze zbudowana blondynka bez choćby cienia uśmiechu w niebieskich oczach. Jej partner, z beztroskim uśmiechem i lekkim południowym akcentem, dorzucił zaledwie parę pytań. Z tej dwójki właśnie Craig Halden wydawał się cieplejszy i bardziej ludzki, ale Jillian podejrzewała, że jego urok osobisty to tylko przykrywką i miała już serdecznie dosyć odpowiadania na pytania.

- Dobra - powiedziała w końcu, wpatrzona w Chandler. - Powiedziałam już wszystko policjantkom Pescoli i Alvarez. Możecie je zapytać, wszystko nagrały. - Poruszyła się, pociągnęła za przewód kroplówki, poprawiła koc.

Halden skinął głową jakby przyznawał jej rację. Uśmiechnął się współczująco, co zapewne miało ją rozluźnić, a tylko spotęgowało napięcie.

- Tak - mruknął - wiemy. To tylko rutynowe pytania.

- Nie wiedziałam, że w sprawie seryjnych morderstw mamy do czynienia z rutyną - zachnęła się Jillian i po raz pierwszy zobaczyła błysk w niebieskich oczach agentki. Mimo obojętnej fasady, Stephanie Chandler jest inteligentna i czujna.

Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Jakkolwiek by było, jest agentką FBI.

Jillian poczuła się nieco zbита z tropu. Nigdy dotąd nie uważała policji za wroga. Pewnie, czuła się nieswojo na myśl, że zaraz dostanie mandat, gdy w tylnym lusterku widziała wóz patrolowy, ale jej wujek pracował w policji stanu Oregon, a kuzyn - w Reno. Oprócz kilku drinków przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami, szczeniackich eksperymentów z marihuaną i rzadkich sytuacji, gdy przejechała na czerwonym świetle albo ze zbyt dużą prędkością nigdy nie złamała prawa.

Jeden, jedyny raz miała wrażenie, że dla organów ścigania jej dobro nie jest najwyższym celem - w Surinamie, gdy Aaron zaginał. Może to efekt bariery językowej, może skutek

wrodzonego strachu przed obcą policją który umiejętnie podsycają filmy sensacyjne i własne uprzedzenia. W każdym razie wątpiła wtedy, że zrobili wszystko, co w ich mocy.

- Rzecz w tym - powiedziała agentom - że przyjechałam do Montany tylko i wyłącznie z powodu zdjęć, które mi przesłano, i telefonów, które sugerowały, że mój pierwszy mąż, Aaron Caruso, żyje.

- Przez z?

- Przez s - poprawiła Chandler.

A więc już sprawdzili.

- Zajęliście się tym? - zgađła Jillian.

Chandler skinęła głową.

- Kiedy znaleziono pani samochód, zaczęliśmy poszukiwania.

- I grzebaliście w moim życiu osobistym. Chandler nie odwróciła wzroku.

- Chcieliśmy panią odnaleźć.

- Dzisiaj znaleźliśmy zdjęcia w chacie - wtrącił Halden. - Badamy je.

- Dostanę je z powrotem?

- Z czasem.

- Sami potrzebne. Chandler znów skinęła głową.

- Nam także. A teraz niech nam pani powie, kto pani zdaniem, do pani dzwonił?

- Nie mam pojęcia.

- Nie poznała pani głosu?

- Nie, to był szept, a na wyświetlaczu nie pojawił się numer dzwoniącego. - Wodziła wzrokiem od Chandler do Haldena. - I nie, nie wiem, kto mi przysłał te zdjęcia. Stempel pocztowy pochodził z Missouli, więc jechałam do byłego męża, który tam mieszka.

- Mason Rivers?

- Tak, prawnik, przepraszam, wspólnik w kancelarii prawnej Olson, Nye i Rivers - powiedziała, ale miała wrażenie, że to także już wiedzą. - Rozwiedliśmy się dwa lata temu.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni? - zainteresował się Halden.

- Kilka dni po orzeczeniu rozwodu. Oddaliśmy sobie ostatnie rzeczy. Rozstaliśmy się bardzo... uprzejmie.

- A od tego czasu?

- Nic. Nie zaprosił mnie na ślub. - Uśmiechnęła się lekko. - Sherice, jego nowa żona, nie byłaby zachwycona.

- Panią?

- Jakąkolwiek kobietą której Mason okazałby choćby cień zainteresowania. Byłych żon dotyczy to podwójnie.

Halden zachichotał. Chandler nie zareagowała.

Zadali jeszcze kilka pytań, a potem, chwilowo usatysfakcjonowani, zakończyli przesłuchanie i wyszli.

Jillian drażniło uczucie, które pojawiło się po ich odejściu. Miała wrażenie, że i policjantki, i agenci zastawiali na nią pułapki, tylko czekali, aż jej słowa obciążą MacGregora. I to niesłuszne.

Wtedy wróciła myślami do swojej sytuacji. Dlaczego ktoś zwabił ją do Montany i próbował zabić? Po drugiej próbie była przekonana, podobnie jak Policja, że upatrzył ją sobie seryjny morderca.

Ale dlaczego?

Kto jej tak bardzo nienawidzi?

Kto nienawidzi też pozostałe kobiety?

Podniosła wzrok na milczący telewizor i zobaczyła lokalne wiadomości. Oto z ekranu patrzyła na nią jej własna twarz, zdjęcie z prawa jazdy.

- O Boże - szepnęła i włączyła dźwięk. Reporterka w niebieskiej kurtce, na tle padającego śniegu, stała przed wejściem do izby przyjęć szpitala, w którym znajdowała się Jillian. Brunetka z rozwianymi włosami i bardzo poważną miną opowiadała o jej porwaniu. Obraz na ekranie się zmienił - teraz przedstawiał ujęcie z lotu ptaka zasnieżonych wzgórz. Na polanie uwagę przyciągała samotna jodła.

Jillian z drżeniem patrzyła na znajomy widok. Śnieg dokoła drzewa był podeptany, na białym podłożu sznury przypominały węże.

Zrobiło jej się niedobrze, gdy patrzyła na nylonową linkę, którą ją skrupowano.

Funkcjonariusze policji badali odgradzony fragment łąki. Kamerzysta filmował wszystko z bezpiecznej wysokości.

Jillian powtarzała sobie, żeby wyłączyć telewizor, nie patrzeć na miejsce, które, mało brakowało, okazałoby się miejscem jej kaźni, ale makabryczna fascynacja kazała jej patrzeć dalej.

Nawet tu, w ciepłym szpitalnym łóżku, odczuwała dreszcze. Wspomnienia były boleśnie żywe. Przypomniała sobie, jak się ocknęła, naga, przywiązana do drzewa. Było jej bardzo zimno, sznur wbijał się w skórę jak zęby.

Pamiętała ręce w ciemnych rękawiczkach, które przyłożyły jej do twarzy szmatę ze środkiem odurzającym. I bliznę na nadgarstku. A może to jej własna? Obejrzała swoje ręce, szukając blizny w kształcie półksiężyca. Nic. Czy to wspomnienie czy tylko ułamek makabrycznego snu?

Myśl, Jillian, myśl, powtarzała sobie, a na ekranie pojawił się nowy obraz - głos z offu, ku jej zgrozie, recytował nazwiska innych kobiet, które nie miały tyle szczęścia co ona i nie przetrwały ataku potwora. Nazwiskom towarzyszyły zdjęcia - fotografie pogodnych, uśmiechniętych twarzy. Już myślała, że zacznie wymiotować, gdy na ekranie pojawiła się kolejna wesoła twarz.

- Wiadomość z ostatniej chwili: druga ofiara psychopaty, która przeżyła, leży w stanie krytycznym w szpitalu w Missouli. Jak nam wiadomo, do tej chwili nie odzyskała przytomności...

Jeszcze ktoś przeżył?

Poruszona do głębi, Jillian obejrzała dziennik do końca. Niemal cały serwis poświęcony był mordercy i jego ofiarom. Dowiedziała się, że pozostałe kobiety cierpiały tak samo jak ona, że nagle umierały z zimna, przywiązane do drzewa, na którym morderca wyrzył gwiazdę. Wyłączyła telewizor i wpatrywała się w noc. Miliony płatków śniegu tańczyło w świetle latarni.

Morderca może być tuż obok, nawet w tej chwili. Czeka.

Z korytarza dobiegały ciche dźwięki muzyki - instrumentalna wersja kolędy Cicha noc.

Była wyczerpana i przerażona. Owszem, przeżyła, ale skąd pewność, że morderca nie zaatakuje ponownie. Pomyślała o Zanie MacGregorze za kratami i o Harleyu, żywym, ale rannym, i to wszystko z powodu świra, który chciał jej śmierci.

Kto?

I dlaczego?

Co to za nieznany wróg, który nienawidzi jej tak bardzo, że chce ją zabić? Wciąż te same pytania.

Pomyślała o małżeństwie z Aaronem, o tym, że czasami było im ciężko, że się od siebie oddalali. Chwilami miała wrażenie, że myślami jest daleko od niej.

Ziewnęła, znużona. Aaronowi nie odpowiadało życie w Seattle. W głębi serca był samotnikiem i wędrowcem, chciał zostawić za sobą światła wielkiego miasta, uciec tam, gdzie widać przemijanie pór roku. Zawsze marzył o przeprowadzce na wschód, za góry... Bolały ją wszystkie kości i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpana. Z trudem unosiła powieki i domyśliła się, że podano jej w kroplówce środek uspokajający.

No i dobrze.

Dzisiaj nie będzie zamartwiała się niebezpieczeństwem, które czai się za oknem. Może uda jej się zapomnieć, że ciemność skrywa śmiertcionośną grozę. Dzisiejszą noc spędzi w szpitalu, w cieple, bezpieczna.

Ale z samego rana się stąd wyniesie.

Zasypiała już, gdy dotarły do niej słowa kolędy.

„Cicha noc, święta noc”.

Zasnęła z niepokojem w sercu.

## Rozdział 21

To nie MacGregor - wyrzuciła z siebie Pescoli. Zaparkowała przed knajpą Shorty'ego, całonocną speluną niedaleko posterunku.

Shorty, kucharz w kopalnianej kantine z przełomu wieków, zbudował ten lokal i choć już od dawna nie żył, jego imię kusilo migoczącym neonem i na trwałe wpisało się w lokalny krajobraz. Jeszcze w XX wieku umieszczono wielką reklamę przy autostradzie.

- Wydawało mi się, że jesteś przekonana, że to on.

Pescoli wypluła mdłą nikotynową gumę do żucia do papierka i wyrzuciła go. Zamiast wysłuchiwać narzekań Alvarez na jej palenie, wolała co jakiś czas zadowolić się gumą. Teraz także pastwiła się nad paskiem gumy od ponad godziny.

- Miałam taką nadzieję. - Zgasiła silnik i otworzyła drzwi dżipa. Mało brakowało, a uderzyłaby przy tym o drzwiczki półciężarówki krzywo zaparkowanej tuż obok. - Chciałam, żeby to był on. - Zamknęła drzwi i ruszyła do restauracji w tumanach śniegu. Czy śnieżycę wreszcie skończą się na dobre?

- Ja też - przyznała Alvarez.

Lokal był niski, podłużny, z lekko spadzistym dachem, niewidocznym pod czapą śniegu. Z okapów zwieszały się sople lodu. Na cześć nadchodzących świąt na dachu, tuż obok komina, siedział zezowaty, złośliwie uśmiechnięty Mikołaj. To nie dobrotliwy święty, o nie. Zdaniem Pescoli wyglądał jak zboczeniec, który dla niepoznaki ubrał się w czerwony kubrak i przykleił fałszywą brodę.

Pchnęła szklane drzwi i znalazła się w sali restauracyjnej. Od razu uderzył ją zapach smażonego jedzenia. Lokal świecił pustkami. Większość gości przeniosła się już do baru, który od sali restauracyjnej dzielił wąski korytarz. Tam kusiła maszyna z papierosami, Anno Domini 1960, i psychodeliczne lampki z lat siedemdziesiątych.

Ponieważ był to jeden z ulubionych lokali Pescoli, bez wahania wzięła ze stolika karty dań oprawione w plastik i weszła głębiej. Wybrała stolik, zdjęła kurtkę, rękawiczki i czapkę i rzuciła je na ławkę. Alvarez także się rozebrała, ale powoli, starannie wsunęła rękawiczki do kieszeni kurtki i powiesiła ją na haczyku przy drzwiach. Usiadły naprzeciwko siebie. Alvarez oczywiście tak, żeby widzieć drzwi.

Obie były w kiepskim humorze, złe, że wróciły do punktu wyjścia, i Pescoli szukała pociechy w jedzeniu. Dzisiaj nie napije się alkoholu, bo choć oficjalnie nie jest na służbie, nadal pracowała nad sprawą jak wszyscy. Co nie znaczy, że nie może najeść się do syta.

W chacie MacGregora nie znalazły niczego, co potwierdzałoby, że przetrzymywał tam którąkolwiek z ofiar. Nie licząc faktu, że uratował Jillian Rivers i opiekował się nią podczas śnieżycy, jedyne, co na niego miały - a to żaden dowód - to jego kolekcja map i książek o astrologii.

Wydawało się, że naprawdę nie chciał skrzywdzić Jillian Rivers i uratował jej życie, i to dwa razy. Co tylko utrudniało im pracę.



Z burczącym brzuchem Pescoli studiowała kartę dań, którą знаła niemal na pamięć, bo bywała tu od lat. Liczyła, że jedzenie doda jej otuchy, więc do hamburgera, zamiast, jak zwykle, sałatki, wzięła frytki, a do picia nie dietetyczną colę, ale jeden ze specjałów Shorty'ego, staroświecki biało-czarny koktajl mleczny. Była to rozpasana mieszanina gorącego karmelu, syropu czekoladowego, lodów waniliowych i ciasteczek Oreo. Jak zwykła mawiać kelnerka Lillian, pyszne na śmierć.

I było w tym sporo prawdy, zważywszy ilość kalorii, cukru, tłuszczu i wszelkich innych grzechów spożywczych.

Chrzanić to.

Dzisiaj ma to w nosie.

Lillian podeszła do nich bez notesu. Stuknęła jej siedemdziesiątka, ale miała równie dobrą pamięć, jak przed pół wiekiem. Nigdy niczego nie zapisywała i nigdy się nie myliła.

- Późno przyszłyście - zauważyła. Regan się skrzywiła.

- Ciężka praca.

- No. Widziałam w telewizji. Byli u nas dziennikarze spoza miasta. Wielki wóz transmisyjny z anteną na dachu parkował tuż przed pensjonatem, po drugiej stronie ulicy.

- Wiem, gdzie to jest - mruknęła Pescoli. Dobrze znała Roda Larimera, właściciela pensjonatu. Rod, z brzuchem, który sugerował, że jest wielkim miłośnikiem własnej kuchni, uważał, że miastu przysłuży się każda reklama i zawsze optował za rozwojem Grizzly Falls.

- Rany boskie, co za dzień! - Lillian pokręciła głową. - I jak, macie już coś na tego drania?

- No, ba! - rzuciła Pescoli nonszalancko. Alvarez się uśmiechnęła.

- Trzy kobiety jednego dnia! Powiem szczerze, że okropnie mnie to przeraża. I nie tylko mnie. Słyszę, co mówią klienci, same wiecie, i wszyscy się boją. Wszyscy mamy nadzieję, że zamkniecie tego skurczybyka i obetniecie mu jaja.

Lillian zawsze miała zdecydowane poglądy.

- O ile mi wiadomo, kastracja już od kilku lat jest nielegalna - zauważyła Alvarez.

- I bardzo źle, jeśli chcecie znać moje zdanie. W tym rzecz, może nie? Nikt nas o nic nie pyta. Dobrze, co wam podać?

Alvarez zamówiła zupę z soczewicy, zieloną sałatę z dietetycznym sosem i mrożoną herbatę z dodatkową cytryną.

Oszalała?

Po takim dniu?

Pescoli tego nie pojmowała, ale Alvarez chyba nigdy nie bywała spięta. Nie pali, prawie nie pije, właściwie nie romansuje i trzyma się diety i ćwiczeń jak tonący brzytwy.

Nieważne. Pescoli wcale się nie speszyła. Zamówiła spożywczy atak serca i Lillian odeszła uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Nie chodzi tylko o to, że to nie MacGregor - zaczęła Alvarez, gdy Lillian przyniosła im napoje i zniknęła za wahadłowymi drzwiami do kuchni. Lokal był pusty, jeśli nie liczyć samotnego faceta czytającego w kącie gazetę i grupki nastolatków zjadających frytki, sączących colę i rzucających w siebie papierkami.

Z magnetofonu płynęły, dla odmiany i na szczęście, nie kolędy, ale znajome nuty piosenki *Hotel California*. Z kuchni dobiegał brzęk naczyń.

Alvarez zamieszała herbatę długą łyżeczką i patrzyła, jak kostki lodu tańczą wokół plasterków cytryny.

- Z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale obawiam się, że mamy naśladowcę.

Niech to wszystko szlag trafi. Pescoli doszła do tego samego okropnego wniosku, ale starała się wybić to sobie z głowy. Nie chciała w to uwierzyć.

- Niby dlaczego?

- Po pierwsze, przy Jillian Rivers nie było listu. Myślałam, że może MacGregor się rozmyślił i postanowił jej nie zabijać i zabrał kartkę, kiedy po nią wrócił, ale to się nie trzyma kupy. -

Alvarez upiła łyk mrożonej herbaty. - No i na drzewie wyryto inną gwiazdę. Sześcioramienne nie pięcio.

Pescoli odgrywała adwokata diabła. Zdjęła wisienkę z koktajlu.

- Może ktoś mu przeszkodził. Nie miał czasu przybić kartki.

- To nie tłumaczy gwiazdy. Nie. Coś tu jest nie tak.

- Może ewoluuje? To się zdarza. - Wsunęła czerwony owoc do ust. Alvarez wzruszyła ramionami.

- Nabiera rozpędu, to pewne. Ale ewoluuje? - Pokręciła głową.

- No to może spanikował. I dlatego tak szybko podrzuca kolejne ofiary. Boi się.

- Dlaczego?

- Może jesteśmy bliżej, niż nam się wydaje. - Pescoli upiła wielki łyk lodowatego smakołyku, aż ją zabolalo w gardle.

Alvarez się zachnęła.

- Nie mamy właściwie nic. Zero. Nul.

- Może on wcale o tym nie wie.

- Mimo wszystko... Trzy ofiary jednego dnia, po tym, jak była jedna na miesiąc? - Alvarez w namyśle sączyła mrożoną herbatę. - Nie, nie kupuję tego. Co wiemy, jego zdaniem? Co go przeraża? Niby co sprawia, że jesteśmy bliżej prawdy, niż nam się wydaje?

Pescoli się zachnęła.

- Czy on ma jakiś cholerny harem czy co? Trzy kobiety, dwie, jeśli nie liczyć Jillian Rivers, które, zakładamy, przetrzymywał przez jakiś czas, zanim porzucił je w lesie. Ile ich jeszcze może mieć?

Alvarez przerażona podniosła wzrok.

- O Boże... myślisz, że ma ich więcej?

- Mam nadzieję, że nie. Naprawdę mam nadzieję, że nie.

Lillian weszła do sali mniej więcej w tym samym momencie, gdy jeden z nastolatków zabierał się do demontażu solniczki.

- Hej! Zostaw to! - Pryszczaty nastolatek w czapce nasuniętej na czoło znieruchomiał. -

Mówię poważnie! - Lillian gniewnie zacisnęła usta w wąską kreskę, zza kocich okularów w tygrysie pręgi padały gromy. Chłopak zaczerwienił się tak bardzo, że jego pryszczce stały się jeszcze bardziej widoczne, i odstawił solniczkę - tak niefortunnie, że sól rozsypała się na stół.

- Przepraszam - mruknął i zerknął na kumpli. Wstali i pospiesznie wyszli.

- Cholerne dzieciaki. - Lillian postawiła talerze przed policjantkami. - **I** po co to komu?

Pewnie nawet nie zostawili napiwku.

Mężczyzna z gazetą uniósł filiżankę na znak, że prosi o dolewkę kawy.

- Już lecę! - zawołała Lillian, chcąc najpierw zająć się rozsypaną solą. Alvarez ostrożnie naląła odrobinę sosu na listki sałaty.

- Może dowiemy się czegoś więcej, kiedy poznamy tożsamość ofiar. Pescoli wbiła zęby w chrupiącą frytkę. Niebo w gębie.

- Wydział zaginionych już nad tym pracuje.

- Owszem, podobnie jak FBI i policja z innych stanów.

- Powinniśmy przynajmniej znaleźć ich samochody. - Pescoli sięgnęła po keczup i naląła sporo sosu na jedną stronę talerza.

- Może porwał je w inny sposób.

- Wątpię. - Pescoli upiła spory łyk koktajlu. - Teraz mamy przynajmniej dwóch świadków, choć Jillian Rivers niczego nie pamięta. Może EH albo HE będzie w stanie go zidentyfikować, kiedy odzyska przytomność.

- Jeśli odzyska.

- Jezus, oby. To nasz jedyny świadek. Na razie, ponieważ pani Rivers uważa MacGregora za swojego wybawcę...

- I niewykluczone, że ma rację. Pescoli, spójrzmy prawdzie w oczy, nie każdy facet to drań. - Alvarez dmuchała na gorącą zupę i stolik otoczyła aromatyczna chmura. Nie była to bezpośrednia aluzja do miłostnego życia Regan, a jednak... Alvarez nigdy nie ukrywała, że jej zdaniem Pescoli jest zbyt mało wybredna przy wyborze partnerów. No i pewnie ma rację, do cholery. Chociaż to i tak nie jej pieprzony interes.

- Może MacGregor naprawdę ją uratował? - zastanawiała się Alvarez.

- Ale przed kim?

- I to jest pytanie za milion.

- Tylko część. - Kiedy podnosiła kanapkę, wypadła z niej kiszona kapusta. Nie zwróciła na to uwagi. - Drugie pytanie to: kim jest zabójca, ten, który ma na sumieniu te wszystkie ofiary? - Odgryzła wielki kęs, ale prawie nie czuła smaku pieczonej wołowiny, szwajcarskiego sera, kiszonej kapusty i sosu, tajemnicy lokalu, którego kucharz nie poskąpił. Poczowała natomiast gniew, wściekłość, którą starała się opanować, żeby myśleć logicznie. Dzisiaj jednak nie była w stanie i nic dziwnego, zważywszy na ilość pokrzywdzonych. Myśli kłębiły się w jej głowie i zamartwiała się, że ostatnia ofiara umrze, zanim zidentyfikuje napastnika.

Pescoli zjadła pół kanapki i zabrała się do kiszonego ogórka. W tej sprawie jest zbyt dużo nieścisłości. Po pierwsze, inne sznury. Dotychczas wszystkie ofiary wiązano sznurem, natomiast przy Jillian Rivers znaleziono linkę.

- Zakładając, że naszemu sprawcy nie skończył się zapas nylonu i że nie chce zbić nas z tropu, zmieniając sposób postępowania, masz rację, do gry włączył się naśladowca. Ale kto?

- Przez chwilę wpatrywała się w aluminiową choinkę wirującą na kontuarze, w stronę przeciwną niż reklama ciasta. - I dlaczego akurat Jillian Rivers? Zwykły pech? Była w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i na nią trafiło?

- A może naśladowca wybrał ją z określonego powodu?

- Mnóstwo pytań, zero odpowiedzi. Alvarez westchnęła.

- Z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale zgadzam się z Chandler. Pierwszy morderca chce się nami bawić, udowodnić, że jest mądrzejszy. Robi wszystko tak samo, żebyśmy wiedzieli, że to on. Jillian Rivers to co innego. I nie chodzi tylko o rodzaj sznura. Żadnej innej ofiary nie pozbawiono przytomności, prawda? Ani nie zaniecono na miejsce zbrodni. - Zamieszała zupę łyżką. - Nie. Wszystkie inne kobiety szły same, nago, popędzane nożem albo innym ostrym narzędziem, które zostawiło nacięcia na ich ciałach. A do drzewa, przy którym znaleziono Rivers, prowadzi tylko jeden trop. Jej stóp nie było.

- Mówiła, że ją niesiono. No i były ślady MacGregora.

- Abstrahując od niego. Te inne odciski były mniejsze niż jego dwunastka i jedenastka pierwszego zabójcy, oceniam je na jakieś dziewięć, osiem. Drobniejszy facet.

- Który ma coś do Jillian Rivers.

- No właśnie. Jeszcze jedna, która nie ma żadnych wrogów.

- Tu się nie zgadzam. Ma, co najmniej jednego albo dwóch.

- Kogo? - Alvarez ciekawie uniosła brwi.

- Jest rozwódką, tak? Uwierz mi, ma wroga.

- Niektórzy rozwodzą się przyjacielsko. Pescoli prychnęła i wbiła zęby w kanapkę.

- I mówi to kobieta, która nawet nie wyszła za mąż. Nie. I wiesz co? Nie podoba mi się jej były. Rozmawiałam z nim. Zanadto oślizgły, jak na mój gust. - Odłożyła kanapkę, a Alvarez w milczeniu dokończyła zupę.

Myśli Pescoli pobiegły do nieprzytomnej kobiety w szpitalu w Missouli. Była tak ważna dla śledztwa, że przydzielono jej całodobową ochronę policyjną. Także nad Jillian Rivers czuwał policjant, choć Pescoli niechętnie zgadzała się z Alvarez, że pani Rivers padła ofiarą naśladowcy. Kolejnego świra? Kogoś, kto szuka chorej sławy? Czy może zaplanowanej zemsty?

Alvarez odsunęła talerz z niedojedzoną sałatką i podzieliła się z partnerką wątpliwościami:

- Lekarze nie dają zbyt wielu szans tej z Pine Lodge.
- Wiem. - Pescoli nie skończyła kanapki, ale dopiła ostatnie krople koktajlu. Do restauracji weszła para w średnim wieku. Usiedli przy stoliku na środku sali. Wyglądali, jakby byli razem od dwudziestu lat i nadal się kochali. Nie do wiary. Cisnęła serwetkę na stół i odsunęła od siebie pustą szklanę.
- Od trupa z Cougar Pass nie dowiemy się niczego nowego - stwierdziła. - Założę się o każde pieniądze, że kryminologia znajdzie to samo co u pozostałych ofiar: żadnych śladów mordercy, zero pod paznokciami, żadnych płynów ustrojowych.
- Twój optymizm mnie poraża.
- Pewnie kilka złamań, wskutek wypadku. - Pescoli sięgała po portfel. - Trochę siniaków i kontuzji, i ślady noża, i otarcia od sznura.

Podeszła do nich Lillian.

- Coś jeszcze? Mamy dzisiaj zabójcze ciasto kokosowe, zostało tylko kilka kawałków. O Jezuu, powiedziałam: zabójcze? Przepraszam, to nie miała być aluzja.
- Ja sobie odpuszczę - mruknęła Pescoli, a Alvarez, wierna swojej diecie, pokręciła głową. Pescoli oddałaby wiele, by raz zobaczyć, jak wychyla duszkiem margaritę, zjada pączka, wyłożonego przez Joelle w świetlicy na posterunku, albo, i to byłoby najlepsze, umawia się na randkę.

Zapłaciły rachunek, zostawiły Lillian spory napiwek, ubrały się i wyszły.

Na dworze było zimno i ciemno, śnieg przykrywał dżipa centymetrową warstwą. Pescoli miała ochotę zapalić, ale się powstrzymała. Zauważyła, że półciężarówka nadal stoi koło jej auta. Więc nie należała do nastolatków. Ani do pary w średnim wieku. Może do faceta z gazetą?

Właściwie co to za jeden?

Nie rozpoznała go. Wślizgnęła się za kierownicę i zerknęła w boczne lustro. No tak, facet z gazetą nadal siedział przy stoliku, ale zamiast w dziennik, wpatrywał się w okno i przez moment Pescoli wydawało się, że ich oczy się spotkały.

Bzdura!

- Co sądzisz o tym samotnym facecie w restauracji?
- A co? Szukasz kogoś? - Alvarez zapięła pas.
- Bardzo śmieszne. No, powiedz, co o nim sądzisz?
- Samotny. Może na kogoś czeka? Co chwila zerkał na drzwi.
- A na nas? - Pescoli włączyła wycieraczki i już po chwili toczyły walkę ze śniegiem na szybie.
- Czasami. To nic poważnego.
- Jesteś pewna? - Włączyła ogrzewanie.
- Tak, a co? - Alvarez odwróciła się przez ramię, by spojrzeć na restaurację, ale facet ukrył się za gazetą. Lillian przechodziła akurat z dzbankiem kawy i Pescoli nagle ogarnął niepokój, choć ich rozmowa, gdy Lillian dolewała mu kawy, wydawała się normalna, rutynowa.

Niewinna.

A jednak...

- Sama nie wiem. Ale mnie drażni. Sprawdź jego rejestrację, dobrze?
  - Nie ma sprawy. - To proste, bo w wozie był terminal policyjnego komputera. - Ale wydaje mi się, że dochodzenie rzuca ci się na mózg.
  - Jak nam wszystkim. - Pescoli wyjechała z parkingu. Było dość pusto, po ulicach jeździło niewiele samochodów, ciągle padał cholerny śnieg.
- Alvarez szukała przez chwilę i poinformowała:
- Buick zarejestrowany na Lillian Marsden, półciężarówka na Thomasa Cohena, toyota na Ernesto Fernandez, a taurus na...
  - Dobra, dobra, już chwytam. Odbija mi. Alvarez wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, zadzwonię do Chandler, chociaż już późno. Ona chyba nigdy nie sypia. Musimy wypuścić MacGregora. Rano zadzwonię do Gray-sona.
- Dobra. - Pescoli była wściekła, że zmarnowali tyle czasu. No, chyba że laboratorium znajdzie coś ciekawego w rzeczach z chaty MacGreogra, ale to mało prawdopodobne. Dojeżdżały do posterunku, gdzie czekał wóz Alvarez, gdy zadzwonił telefon Pescoli. Numer na wyświetlaczu należał do policji.
- Chyba jednak wracamy na służbę - mruknęła.
- Może mamy przełom w sprawie.
- Pescoli - rzuciła do słuchawki.
- Pescoli, tu Rule. Kyan Rule pracował w drogówce, był to wysoki ciemnoskóry policjant o posturze gracza NBA i uśmiechu, który niejedno kobiece serce przyprawiał o drżenie. Także Pescoli nie była nieczuła na jego urok.
- Co jest? - zapytała. Mijały pług śnieżny jadący w przeciwną stronę.
- Złe wieści. - Dopiero teraz zauważyła powagę w jego głosie.
- O nie, co znowu? Nie mów mi, że macie kolejną ofiarę. - Kątem oka widziała twarz Alvarez.
- Nie. Chodzi o twojego syna.

Szpital wznosił się wysoko w noc, górował nad okolicą, nad Grizzly Falls. Choć mały, w porównaniu z podobnymi obiektami w wielkich miastach, tu i tak należał do największych budowli. Stał na wzgórzu, więc górował nad zabytkową częścią miasta i rzeką. Do posterunku policji było stąd niecałe pięć kilometrów.

Dziś, w śnieżną noc, jego światła były mniej widoczne, ale dało się je zauważyć. Na parkingu stał wóz patrolowy, co oznaczało, jak to już podano w wiadomościach, że nadal tu jest. I że nadal żyje.

Dlaczego nie może umrzeć?

A czasu jest coraz mniej.

Leży na trzecim piętrze.

Strażnik, niezbyt bystry, czasami schodzi do bufetu po kawę i kanapkę. Co jakiś czas idzie do łazienki. Flirtuje z co młodszymi pielęgniarkami. Ale tu jest.

A więc dzisiaj nie dojdzie do kontaktu.

Ale rano, już za kilka godzin, gdy przyjdzie nowa zmiana personelu i nowy strażnik, nadarzy się okazja.

Jeśli nie żeby zabić, to by ponownie zwabić... Daleko stąd.

Do nowej, śmiertelnej pułapki.

## Rozdział 22

O mojego syna? - powtórzyła Pescoli. Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

Zacisnęła nagle drżące ręce na kierownicy, skręcając na parking przed posterunkiem.

- Jeremy'ego? - szepnęła. Przed oczami stanęły jej mrozące krew w żyłach wizje ciała zmiażdżonego we wraku samochodu albo w szpitalu, pod respiratorem. Boże, co zrobi, jeśli go straci?

- Nic mu nie jest - uspokoił ją Rule. Przerwa w rozmowie trwała zaledwie ułamek sekundy, ale w tym czasie Pescoli zdążyła wyobrazić sobie najgorsze -jak zawsze, gdy jechała na miejsce wypadku. W szarych twarzach ofiar widziała oblicza swoich dzieci. - Ale go zatrzymano.

- Zatrzymano? - powtórzyła i odetchnęła z ulgą. Żyje, dzięki Bogu. Cały i zdrowy. - Za co?

- Za picie, choć jest nieletni - wyjaśnił Rule. - Jest nieźle wstawiony. Zabraliśmy go do ośrodka dla nieletnich. Wrzeszczy, że masz wpłacić za niego kaucję.

W ułamku sekundy strach przeszedł w gniew.

- Pił?

- On i troje innych dzieciaków. W tym córka Brewstera.

Z trudem powstrzymywaną wściekłością wjechała na parking przed posterunkiem.

- Tylko mi nie mów, że Heidi. - Najmłodsza. Ulubienica tatusia. Jego księżniczka. Choć, gdy żona dwa razy była w ciąży, nie ukrywał, że chce mieć syna, najmłodsza Heidi stała się jego oczkiem w głowie.

- A jakże.

Regan zaklęła pod nosem.

- Ma dopiero piętnaście lat.

- To samo mówi Brewster.

Regan niemal słyszała, jak zastępca szeryfa wyrzeka na jej syna.

- I jak się domyślam, to nie wszystko, co mówi.

- No... nie.

Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Zgasła silnik.

- Zaraz przyjdę. Jestem już na parkingu.

- Dobrze.

Rozłączyła się, walnęła pięścią w kierownicę i puściła imponującą wiązkę przekleństw.

- Kłopoty? - zapytała ostrożnie Alvarez.

- To mało powiedziane. Ale przynajmniej mój syn żyje. Jeszcze. Chyba że sama osobiście zaduszę go gołymi rękami! - Wystarczyły zaledwie dwie sekundy, by śmiertelne przerażenie przerodziło się w ślełą furję. Starła się uspokoić, tłumacząc sobie, co by czuła, gdyby Rule zadzwonił z o wiele gorszą, tragiczniejszą informacją. Albo, co gorsza, gdyby zginęli nie tylko Jeremy, Heidi i kto tam jeszcze z nimi był, ale też Bogu ducha winny kierowca z przeciwnego pasa... - Jak, na miłość boską, może być aż tak głupi?

- Ma dopiero siedemnaście lat.

- Jest idiotą. Przecież wie, czym to grozi. Powtarzałam mu tysiące razy. Prawiłam kazania o picciu i prowadzeniu samochodu... Ale nieważne, co mówię, i tak wszystko wpada jednym uchem, a wypada drugim.

- Jeremy to dobry dzieciak.

- Który wpakował się w nie lada kłopoty. - Pokręciła głową. Przeszył ją dreszcz. Sama była zaskoczona gwałtownością swojej reakcji, przecież jest doświadczoną policjantką. Widziała koszarne zbrodnie, spalone, zmasakrowane ciała i zawsze udawało jej się zachować emocjonalny dystans wobec ofiar, kontrolować złość na tyle, by być w stanie znaleźć sprawcę. Ale jeśli chodzi o własne dzieci, staje się miękka, zmienia się w matkę niedźwiedzicę, która robi wszystko, byle obronić małe. - Jezu, Jeremy - mruknęła, jakby syn był z nią w samochodzie.

- Oddychaj głęboko - poradziła Alvarez. Pescoli szeroko otworzyła drzwi i do samochodu wpadło lodowate powietrze.

Pescoli jednak nie marnowała czasu na oddychanie. Nie zwracając uwagi na padający śnieg, ruszyła w stronę budynku. Jej oczy ciskały gromy.

Alvarez, ledwo żywa ze zmęczenia, ruszyła za partnerką. Zostawiła Pescoli samą i poszła do dyżurki. Młoda posterunkowa nazwiskiem Zoller odbierała telefony.

- Jak leci? - zapytała Alvarez.

Młoda policjantka wzruszyła ramionami.

- Po informacjach w dzienniku o ostatnich ofiarach telefon się urywał, ale nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. - Wstała z krzesła, przeciągnęła się, ciągle ze słuchawką w uchu. Drobna

i szczupła, Zoller dużo ćwiczyła, brała udział w maratonach, pracowała od rana do nocy i opiekowała się nastolatkami w trudnej sytuacji. - Godzinę temu zadzwonił zdenerwowany ojciec. Jego syn wymknął się z domu na sanki i zgadnij, co znalazł koło Timber Junction?

- Nie mów, że następne zwłoki. - Alvarez od razu pomyślała o najgorszym.

Zoller pokręciła głową tak energicznie, że sprężyste loki tańczyły wokół drobnej buzi.

- Nie, dzięki Bogu, nie. Znalazł samochód. Czy raczej wrak. Czteroletni ford explorer. Becky O'Day już tam pojechała i ogrodziła taśmami miejsce zbrodni. Czeka na kryminologów, przyjadą lada moment sprawdzić, czy znajdują jakiś materiał dowodowy. Nie mogą czekać do rana, śnieg pada bardzo intensywnie.

- Ciało?

- Nie.

- Ten sam sposób postępowania, co poprzednio?

- O'Day jeszcze się nie odezwała, miała sprawdzić, czy strzelano w opony. Ale wiem co innego: samochód jest zarejestrowany na niejakiego C. Randalla Jonesa z Billings w Montanie. C od Coolidge, jak prezydent.

Alvarez się zachnęła.

- Nic dziwnego, że używa inicjału. Zoller się uśmiechnęła.

- Ciekawe, dlaczego mam pewność, że to nie on siedział za kierownicą. - Pomyślała o dwóch niezidentyfikowanych kobietach, znalezionych tego samego dnia. Jedna nie żyje, druga walczy ze śmiercią. Dwie ofiary. - Jones... w żadnej notce nie było J. Jeśli nasza teoria jest prawdziwa, za kierownicą nie siedziała jego żona ani matka, ani córka.

- Nie jest żonaty i nie ma dzieci. Czekam na odzew. Ktoś z policji stanowej miał go odwiedzić.

- Dobrze. - Gdyby nie makabryczne zbrodnie, poczekaliby do rana i nie zawracali mu teraz głowy, ale czas odgrywał tu ważną rolę i C. Randall będzie musiał opuścić ciepłe łóżko. - Coś jeszcze?

- Lista zaginionych z pasującymi inicjałami. Białe kobiety z tej samej grupy wiekowej, które zaginęły w Stanach w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, w promieniu półtora tysiąca kilometrów.

- Komputery nie przestaną mnie zadziwiać - mruknęła Alvarez, gdy Zoller podała jej krótki wydruk. Zaledwie kilka nazwisk: Helena Estavez, Elle Holden, Hannah Estes pod literami EH albo HE, i Roberta Artez Ro-xanne Anderson, Rona Anders, Annabelle Rollins i Alicia Rhodes pod AR albo RA. Dwa nazwiska już skreślono, Heleny Estavez i Roxanne Anderson.

- Dlaczego je wyeliminowaliście? - zainteresowała się Alvarez.

- Osoba ze zdjęcia z prawa jazdy Anderson w niczym nie przypominała ofiary, a Estavez dzisiaj wróciła do domu. Rodzina zawiadomiła policję w Idaho, ale jej nazwisko jeszcze nie zniknęło z bazy danych.

- I potwierdzono, że wróciła?

- Tak, pół godziny temu dzwoniли chłopcy z Idaho.

- A pozostałe zdjęcia?

- Czekam na nie. Mają mi je przysłać pocztą elektroniczną, ale teraz, przed świętami, wszystko trwa trochę dłużej. Na razie nie dostałam ani jednego, ale mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Alvarez rozpięła kurtkę, nie odrywając wzroku od listy. Zoller wróciła do biurka, na którym czekały notes, laptop, telefon i puszka dietetycznej coli.

- Rona Anders - powiedziała Alvarez głośno. - Mieszka w Billings w Montanie?

- Tak jest.

- Ale pod innym adresem niż ten, na który zarejestrowano explorera? Więc nie mieszka z jego właścicielem.

- Co nie znaczy, że nie mogła pożyczyć od niego samochodu.

- Nie znaczy - zgodziła się Alvarez, wpatrzona w śnieżną noc. Gdyby wybierała się w podróż przez góry i nie miała własnego wozu terenowego, pożyczylaby go od przyjaciela.

- Wkrótce się dowiemy. - Zoller usiadła za biurkiem i sięgnęła po napój. Alvarez tymczasem podeszła do map na ścianie i analizowała teren. Zauważyła nowe szpilki na mapie.

Samochody ofiar dzieliła odległość szesnastu kilometrów, w tym także auto Jillian Rivers.

Co jest w środku owego tajemniczego kręgu?

Wpatrzona w mapę, znalazła ten punkt niedaleko Broken Pine Lodge, miejsca, w którym znaleźli żywą jeszcze ofiarę, zaledwie pięćset metrów od kanionu Star Fire, gdzie skończył prius Wendy Ito. Tylko że to teren w dużej mierze niezamieszany. Mesa Ridge, góra o płaskim wierzchołku, stanowiła w tej okolicy największą atrakcję dla turystów - w lecie dla miłośników wspinaczki, w zimie - narciarstwa biegowego i ski touringu.

Zmrużyła oczy, wpatrzona w płaski wierzchołek, zaintrygowana faktem, że coś w nim ją niepokoi.

Słyszała, jak Zoller pisze coś szybko na komputerze.

- Ej! - zawołała młoda policjantka. - Mamy pierwsze zdjęcie. Twoja N.N. ze szpitala nazywa się Hannah Estes i mieszka w Butte. Mam jej adres.

- Świetnie. Zadzwoń do szpitala, postaramy się dowiedzieć, co robiła w górach Bitterroot podczas zamieci, a ty skontaktuj się z rodziną i przyjaciółmi.

- Może to przełom, na który czekamy - mruknęła Zoller, już ze słuchawką przy uchu.

- Miejmy nadzieję - odparła Alvarez bez entuzjazmu. Na ścianie przed nią wabiła wzrok mapa bezdroży Montany. Gdzieś tam czai się inteligentny zabójca. - Miejmy nadzieję...

Pescoli weszła do komisariatu i pomachała do strażnika. W budynku panowała cisza, nieliczni pracowali na nocną zmianę. W dyżurce jeden człowiek odbierał telefony, przez ścianę przenikały strzępy rozmów. Mężczyzna ze skutymi rękami i nogami powoli człapał w stronę krzesła. Szary na twarzy,

O brudnych włosach, w zakrwawionych dżinsach, wydawał się mocno naćpany. Mało brakowało, a nie trafiłby w krzesło, gdy go mijała.

Wesołych świąt, pomyślała, rozpięła kurtkę i zobaczyła Kyana Rule'a. Rozgościł się już za jej biurkiem. Czekał na nią z nogą opartą o blat i z rękami splecionymi na kolanie.

- Nie wyciągnę Jeremy'ego - powiedziała na wstępie.

- Obawiałem się, że tak do tego podejdziesz.

- To nie podejście, to fakt.

- Hej! Nie możecie mnie aresztować! - Do naćpanego faceta wreszcie dotarło, że znalazł się w tarapatkach. Dziwne, że tego nie skojarzył, kiedy zakładano mu kajdanki.

Rule spojrział na niego z ukosa i przeniósł wzrok na Pescoli.

- Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce. - Wstał, wyszedł zza biurka i zaprowadził ją na zaplecze.

Kuchnia na szczęście była pusta. Rzuciła kurtkę i czapkę na stolik, odgarnęła włosy z oczu.

- I żeby było jasne: nie zadzwonię dzisiaj do niego.

- Jesteś pewna? - Rule chyba nie dał się nabrać na jej nową koncepcję twardej miłości.

- Żebyś wiedział. Nie może uważać, że ma specjalne przywileje tylko dlatego, że jest synem policjantki. Jeśli już, musi pracować ciężiej i bardziej niż inni przestrzegać prawa.

- Sama nigdy nie nabroilaś w jego wieku?

- Nigdy.

- Bzdura.

- No dobra. Masz rację - przyznała ze wzruszeniem ramion. Przechadzała się po ciasnej kuchni. Z kosza na śmieci wysypywały się papiery, krzesła stały w nieładzie. - Ale teraz nie czas pokładać zaufanie w synu i zwierzać się z moich pomyłek. Może później. - Przeszła do sąsiedniego pomieszczenia z jednym oknem. Przez oblodzone szyby widziała budynek



zakładu dla nieletnich. Nie licząc gmachu sądu, wszystkie instytucje okręgu mieściły się tu, na Boxer Bluff, i pogotowie opiekuńcze nie było wyjątkiem. Był to niski, podłużny budynek w kolorze piasku. Szeroki trawnik nikł pod śniegiem. Z okien padał ciepły blask.

Jej serce wyrwało się do syna, na drugą stronę podwórza, i oddałaby wszystko, żeby go stamtąd zabrać i sprawić, by całej tej sytuacji nigdy nie było. Szczęśliwa, że żyje i, o ile jej wiadomo, jest cały i zdrowy, najchętniej przymknęłaby oczy i udawała, że nic się nie stało.

Och, Joe, pomyślała i wyobraziła sobie swojego pierwszego męża, ojca Jeremy'ego.

Dlaczego cię tu nie ma...

Przywołała się do porządku. Zaciśnęła dłonie na kontuarze tak mocno, że kłykcie zdawały się przebijać skórę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Rule. Jego niski głos wyrwał ją z zadumy. To porządny człowiek. Łagodny i twardy zarazem. O gołęmbim sercu i woli ze stali. Jego ciemne oczy odnalazły jej wzrok i na chwilę zwątpiła w słuszność swojej decyzji. Instynkt kazał jej zabrać Jeremy'ego z pogotowia, porozmawiać z oficerem, który go zatrzymał, wykorzystać swoją pozycję, by zignorować fakt, że złamał prawo.

Zaciśnęła zęby.

Niech pognije w areszcie. Musi się zastanowić, przemyśleć swój błąd, znaleźć rozwiązanie problemów. Jest za duży, by automatycznie traktować matkę jak koło ratunkowe, ilekroć wpakuje się w tarapaty. Zwłaszcza jeśli chodzi o łamanie prawa. A biorąc pod uwagę dane statystyczne dotyczące nastolatków i alkoholu...

Nie, Jeremy musi się nauczyć odróżniać dobro od zła i wreszcie stanąć na własnych nogach. Jednak gdy tak stała przy oknie, dostrzegła dwie osoby wychodzące z pogotowia. Wysoki mężczyzna szedł szybkim krokiem. Koło niego, ale na tyle daleko, że nie mógł jej dosięgnąć, biegła drobna kobieca postać. W rozpuszczonych jasnych włosach odbijało się światło latarni, szalik smętnie zwisał z szyi, otulała się szczelnie połami ciemnej kurtki. To nie kobieta. To dziewczyna.

Heidi Brewster.

Żołądek Pescoli fiknął salto, gdy patrzyła, jak zastępca szeryfa szuka kluczyków do dżipa.

Brewster najwyraźniej nie miał oporów, jeśli chodzi o wykorzystanie swojej pozycji.

- Jesteś pewna, że nie chcesz tam iść, zabrać go i palnąć mu kazania? - zapytał Rule z sąsiedniego pomieszczenia. Odwróciła się i zobaczyła, jak podnosi dzbanek z kawą. Na dnie zostało niewiele napoju. - Mogłabyś ukarać go szlabanem na... bo ja wiem... sto lat?

Starał się ją rozweselić, ale Pescoli nie było do śmiechu.

- Chyba mu nie zaszkodzi, jak trochę ochłonie i przemyśli to, co zrobił. Rule zaniósł brudny dzbanek do zlewu i nalał do niego płyn do mycia naczyń i wody.

- A ty jesteś innego zdania? - Pescoli stanęła w drzwiach oddzielających oba pomieszczenia.

Rule wzruszył potężnymi ramionami.

- Jeremy nie ma lekko. Ojciec nie żyje. Matka pracuje od rana do nocy w wydziale zabójstwo. Ojczym się zwinął i związał z inną kobietą. - Z dzbanka wylewały się mydliny.

Zakręcił kran, postawił naczynie w zlewie, żeby od-mokło. - To ciężkie chwile dla nastolatka, Regan - zauważył. Zwrócił się do niej po imieniu, jakby byli bliskimi przyjaciółmi. - Mówię to z własnego doświadczenia. Mój stary był gliniarzem. Mama umarła, kiedy się urodziłem. Miałem trzy macochy i wszystkie miały w nosie mnie i moją starszą siostrę. Chcę tylko powiedzieć, że twojemu chłopakowi nie jest łatwo.

Z westchnieniem pokręciła głową. Kilka kosmyków opadło jej na czoło. Zegar nad zlewem odmierzał kolejne sekundy życia.

- Nic nie jest łatwe, Rule. - Boże, oddałaby wszystko za gorący prysznic i dwadzieścia cztery godziny snu. Albo czterdzieści osiem. Albo siedemdziesiąt dwie. Była wyczerpana do granic

wytrzymałości. - Wracam do domu. Niech to odeśpi. Zresztą, mam jeszcze psa, który już się pewnie zsiakł w domu, i córkę, która chyba zdążyła usłyszeć o bracie.

- Jest u Lucky'ego?

- Tak.

- Może dobrze ci zrobi chwila dla ciebie - stwierdził i zdała sobie sprawę, że pewnie ma na myśli Nate'a.

Wygląda na to, że cały posterunek wie, że romansuje z Nate'em Santaną. Dlaczego ludzie tak się go czepiają? Ktoś nazwał go włóczęgą tylko dlatego, że nie mieszka w okręgu Pinewood od dziecka. Podejrzewała także, że mają mu za złe fakt, iż pracuje u Brady'ego Longa, najbogatszego człowieka w okręgu. Brady to miejscowa legenda, choć w rodzinie Longów, która wzbogaciła się na kopalniach miedzi, uchodzi za czarną owcę.

Tak, randka z Nate'em byłaby doskonałym lekarstwem. Ale nie dziś.

Nie teraz, gdy seryjny morderca atakuje coraz częściej, jej syn siedzi, a ona musi odzyskać zdrowy rozsądek.

Rule podszedł bliżej, objął ją i lekko uściskał.

- Wiesz, Pescoli, nie zawsze musisz być taka twarda - powiedział ciepło.

- Nie? - Starła się, by w jej głosie była beztroska, której nie czuła. - A kto się wtedy wami zajmie, co? Musicie się za siebie wziąć, mięczaki.

Roześmiał się, uściskał ją jeszcze raz i opuścił rękę. Wiekowa lodówka w rogu obudziła się do życia i zamruczała głośno.

- No dobra, powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Wracam do pracy.

- Dzięki, Rule.

- Wyluzuj, Pescoli.

Odwrócił się i wyszedł, a jej wzrok od razu pobiegł do okna.

W korytarzu ucichły kroki Rule'a.

Pescoli przywarła twarzą do zimnej szyby. Widziała, jak pikap Cole'a Brewstera wyjeżdża z parkingu. W środku siedziała Heidi i starała się trzymać jak najdalej od ojca.

I dobrze.

Brewster może sobie obwiniać Jeremy'ego ile chce, i ma rację. Jeremy jest starszy, powinien okazać się mądrzejszy. Można mu zarzucić, że sprowadził młodszą, mniej doświadczoną dziewczynę na złą drogę. Ale Heidi Brewster, oczko w głowie tatusia, nie jest aniołkiem, nieważne, że ma dopiero piętnaście lat.

Alvarez zbierała się do wyjścia. Zegar na ścianie wskazywał, że minęła już pierwsza w nocy. Padała ze zmęczenia.

Od godziny czytała anagramy, kazała komputerowi szukać sensu w literach z notatek.

WAR        T   HE                SC            I   N

Uzupełniała luki, ale nic nie miało sensu. „War of the screaming”? „War to the school in”... Ale może to nie „War”? Może to tylko bełkot? Co za koszmar.

Zoller podniosła słuchawkę przed drugim dzwonkiem. Alvarez obserwowała, jak jednocześnie coś notuje i stuka w klawisze laptopa. Jej oczy rozbiły się, podniosła głowę, dała znak Alvarez.

- Tak, mam. Tak, podam adres jeszcze raz. Dobra, dzięki. - Rozłączyła się. - Rona Anders to ta nieznana dziewczyna z kostnicy. Ten C. Randall to adwokat z Bozeman, a Rona była jego narzeczoną. Studentka. Podobno facet się załamał, kiedy przekazano mu wiadomość, ludzi się, że nie była jedną z porwanych. Wybierała się na święta do rodziców, do Bend w Oregonie.

Kiedy się nie zjawiała, zgłosili jej zaginięcie, podobnie jak C. Randall tutaj, w Bozeman. Początkowo rodzice się nie denerwowali, bo pokłóciła się z narzeczonymi mówiła im, że może pojedzie okreśną drogą, przez Idaho, żeby wszystko przemyśleć.

- Dawno zaginęła?

- Narzeczony widział ją ostatnio we wtorek. Nie wiem nic więcej. - Pogodna zazwyczaj Zoller posmutniała. Alvarez poczuła tę samą rozpacz, co zawsze na wieść o śmierci młodej osoby i na myśl o rozpaczycy najbliższych. - Policja jedzie do jej rodziców w Bend.

- Powiem Graysonowi i Pescoli - zdecydowała Alvarez. - A ty zawiadom FBI.

- Dobrze.

Alvarez wyszła, ale nie szukała partnerki. Już późno, te nowiny mogą poczekać do rana.

## Rozdział 23

MacGregor nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Cela i kraty w drzwiach przypominały mu miesiące spędzone w więzieniu po awanturze w Denver. Otaczał go smród, specyficzna mieszanka moczu, zapachu niemytego ciała i rozpaczycy, której nienawidził. Przysięgał sobie, że już nigdy w życiu nie znajdzie się za kratami.

Ale się mylił. Oto siedzi w areszcie okręgu Pinewood i czeka, aż go oskarżą... o co? Próbę zabójstwa? Porwanie? Stawianie oporu przy zatrzymaniu? Kto to wie, do cholery?

Ważniejsze: dlaczego?

Dlaczego, do licha, tu siedzi, gapi się przez pręty na rząd cel zamieszkałych przez pijaków, handlarzy narkotyków i drobnych złodziejasków? Dlatego, że po raz drugi zrobił to samo: starał się ratować kobietę. I to odbiło mu się czkawką. I to jak. Policja uważa go za seryjnego mordercę, który wywołał panikę w tym zakątku gór Bitterroot.

- Żądam rozmowy z adwokatem - powiedział do strażnika, który otworzył drzwi na końcu korytarza. Podłoga lśniła, jakby dopiero co ją umyto, ale nic nie zdołało usunąć brudu wżartego w szczeliny. Niegdyś białe ściany teraz pokryte były szarym nalotem. - I to już.

- Jest wpół do szóstej rano. - Strażnik, olbrzym nazwiskiem A. Schwartz, jeśli wierzyć tabliczce na piersi, nie był chyba w najlepszym nastroju. Ostrzyżony najeża, o odstających uszach i karku futbolisty, Schwartz nie lubił kłopotów.

Pozostali więźniowie, do tej pory spokojni, zaczęli szemrać, podchodzili do krat, przyciskali twarze do prętów. Jak psy w schronisku. MacGregor nie zamierzał się poddać.

- Nie obchodzi mnie, która godzina. Spędziłem tu całą noc i chcę rozmawiać z prawnikiem. Inaczej mnie popamiętasz.

- Akurat.

- Garrett Wilkes. Missoula. Prowadzi własną kancelarię.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić? - zdziwił się strażnik. - A, zapomniałem, bo inaczej sprawisz, że mnie wyleją.

- Wilkes to przyjaciel szeryfa.

- Teraz to dopiero umieram ze strachu.

- Sprowadź go. Jego numer jest w mojej komórce, którą mi zabraliście. Dzięki temu nie będziesz się musiał męczyć, szukając go w książce telefonicznej.

- Nie znamy godzin pracy prawników, wiesz? Więc na razie wyluzuj. I wy też. - Machnął ręką do MacGregora i pozostałych.

- Albo sprowadź mi mojego adwokata, do cholery, albo daj mi telefon, żebym sam to zrobił, albo przeczytaj mi zarzuty, i to już, teraz, w tej chwili.

- Bla, bla, bla. - Olbrzym się uśmiechnął, dobrotliwie, ale i wyczekująco, jakby lubił się znęcać nad słabszymi. Jakby tylko czekał na okazję.

MacGregor zrobił, co do niego należało, odpowiedział na wszystkie pytania, jednak już dosyć. Postępował zgodnie z zasadami, ba, udało mu się nawet trochę przespać i jednocześnie miał przed oczami Jillian przywiązaną do drzewa i Harleya w kałuży krwi na śniegu. Jakiś drań krzywdzi tych, których kocha, i to mu się nie podoba. Kocha? Cholera, przecież nie kocha Jillian Rivers. Przecież jest tak strasznie upierdliwa. Ale nie podoba mu się, że ktoś jest na tyle zdeterminowany, by porzucić ją nago na mrozie i robić z niego kozła ofiarnego. Co gorsza, drań postrzelił jego psa.

Zacisnął zęby.

Był już wystarczająco cierpliwy i dosyć długo czekał, aż go zwolnią. Koniec z tym. Chce wiedzieć, co z Jillian i Harleym, i żaden kretyn z wielkimi uszami i duszą sadysty mu w tym nie przeszkodzi.

- Na twoim miejscu bym spasował - poradził Schwartz. - No, ale zacznijmy od tego, że gdybym był na twoim miejscu nie skończyłbym w celi. To nas różni, MacGregor. Ja jestem wolny, a ty siedzisz.

- Ja też chcę wyjść! - zawołał piskliwy głos z celi w końcu korytarza.

- Rano, Ivor.

- Już jest rano.

- Słońce jeszcze nie wzeszło. Rano, ale później. - Schwartz spojrział na MacGregora, jakby byli starymi kumplami.

- Wtedy będzie za późno.

Schwartz zachichotał i pokręcił głową, aż jego łysina zalśniła w świetle lamp.

- A niby dlaczego, Ivor? Krypton nas zaatakuję czy co? MacGregor dostrzegł kątem oka drobnego siwego staruszka w celi po

przeciwnej stronie korytarza. Był chudy, na długiej szyi kiwała się mała główka z wielkimi okularami na nosie, przez co jego oczy wydawały się wielkie i wylupiające.

- Tak? O to chodzi? - Schwartz go prowokował, doskonale się bawił. Przejechał pałką po prętach, aż echo poniosło się po wszystkich celach. - Król jaszczur zstąpi z niebios i pożre wszystkich Ziemiaków?

- Nie król jaszczur, kretynie - oburzył się Ivor. - To był Jim Morrison, sam tak o sobie mówił. Czy ty już o niczym nie masz pojęcia?

- Ten od Light My Fire? To dla mnie prehistoria, dziadku. Ivor Hicks nie dał się ułagodzić.

- Nie nazywa się Krypton! Uważaj! - Pogroził mu przez kraty kościstym palcem. - Strasznie go wkurza, kiedy ludzie się myślą. To generał Crytor z gadziej armii.

- Masz świra, Hicks, wiesz o tym?

- Crytor wszystko słyszy! - Na czole Ivora pulsowała żyłka.

Znowu rozległ się szczeł klucza w zamku i w korytarzu pojawiła się detektyw Alvarez.

Schwartz od razu spoważniał.

- Cześć. - Wrogość w jego głosie zastąpiło zainteresowanie, gdy drobna policjantka wkroczyła do jego królestwa.

- Zwalniamy MacGregora - oznajmiła bez wstępów.

- Co? - Najwyraźniej A. Schwartz był rozczarowany rozwojem wydarzeń. - Kiedy?

- W tej chwili. - Podeszła do celi MacGregora. Nie dała po sobie poznać, czy czuje spojrzenia Schwartza i innych więźniów, towarzyszące jej na każdym kroku. - Wypuść go.

- Szeryf o tym wie? Spojrzała na strażnika z pogardą.

- Szeryf i prokurator też. I wszyscy inni, którzy powinni. - Kiedy spojrzała na MacGregora przez kraty, widział wyraźnie, że jest równie niezadowolona z obrotu sprawy, co Schwartz. - Skontaktowaliśmy się z pańskim adwokatem. Przy wejściu może pan odebrać swoje rzeczy.

- A Pescoli? - Schwartz nie dawał za wygraną. - Nie spodoba jej się to, mówię ci. - Bawił się pękiem kluczy. - No tak, ma teraz własne problemy, co? Jej durny bachor dał się złapać.

Alvarez posłała głupekowatemu strażnikowi mordercze spojrzenie.

Nie zrozumiał ostrzeżenia.

- Ten bachor to prawdziwa menda, jakby mnie kto pytał.
- Nikt nie pytał - wycodziła. Mówił dalej:
- Jeśli zastępca szeryfa nie zamknie córki na klucz, może się okazać, że będzie dziadkiem.
- Zamknij się, Schwartz, i otwórz celę.
- Dobra. Jak sobie chcesz.

Zaciskała usta w wąską kreskę, ciemne włosy lśniły w blasku lamp, oczy rzucały groźne błyski. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, A. Schwartz zginąłby już kilka razy. Olbrzym jednak nie wyczuł jej nastroju. Mocował się chwilę z kluczem, w końcu otworzył celę i oznajmił z promiennym uśmiechem:

- Jesteś wolny, MacGregor.

MacGregor nie odpowiedział, tylko od razu ruszył do drzwi.

- A ja? - zawołał ktoś z innej celi.
- Żona zapłaci za ciebie kaucję, Dobbs?
- Zostawiła mnie, wyobrażasz to sobie? - wybełkotał facet, w którym MacGregor rozpoznał lokalnego artystę. Gordon Dobbs wyczarowywał cuda z pni drzew, gałęzi, pustych puszek i sprzedawał je przy autostradzie. - Tuż po Święcie Dziękczynienia! - Wydawało się, że potężny mężczyzna nie jest w stanie ustać przy kracie. - Dwanaście lat po ślubie, a tu Wilma tak po prostu wstaje i odchodzi...
- Coś takiego - mruknął Schwartz i szepnął do Alvarez: - To chyba już naprawdę święta, bo obrodziło świrami! Do kolekcji brakuje nam jeszcze tylko Grace Perchant od duchów i Almy Shepherd, która widzi przyszłość, i będzie cacy.
- Podwieźć pana? - zapytała Alvarez, idąc z MacGregorem do biura.
- Nie.

Odebrał nieliczne drobiazgi, które miał przy sobie podczas zatrzymania, i ruszył do drzwi. Do szpitala, w którym leży Jillian, są ponad trzy kilometry, ale da radę. A tam zadzwoni do przyjaciela, który jest mu winien przysługę. Postawił kołnierz kurtki i uznał, że czas odebrać dług.

- Więc taka jest umowa, Jeremy - powiedziała Pescoli. Syn, blady i zmęczony, wytrwale ją ignorował. - Masz szlaban, póki nie zmienię zdania, a na razie możesz wychodzić tylko do szkoły i do pracy, jeśli ją w końcu znajdziesz. Sezon piłkarski się skończył, innych sportów nie uprawiasz, a takie wałęsanie się bez celu nie przyniesie nic dobrego.

Gapił się przez okno pasażera w jej dziupie i mazał palcem po szybie. Ignorował ją, wydawał się całkowicie pochłonięty rysowaniem ósemek.

Nad ranem śnieg przestał padać, na wschodzie niebo różowiło się świtem.

Ponieważ jej syn uparcie trwał przy postawie agresywno-pasywnej, włączyła radio.

Dziennikarz opowiadał akurat o seryjnym zabójcy grasującym po okolicy.

Jeremy prychnął. Pescoli wyłączyła radio.

- Wiesz, moglibyśmy o tym porozmawiać - zaczęła. Z całej siły zaciskała dłonie na kierownicy. Zbliżali się do wzgórz, pośród których stał ich domek.

Jeremy wzruszył ramionami.

- Nie mogę tego tak po prostu zignorować. Picie, choć nie jesteś pełnoletni? Prowadzenie po pijanemu? Co ty sobie myślałeś?

Cisza. Był wściekły, że zostawiła go na pogotowiu opiekuńczym, bo po pozostałych przyjechali rodzice.

- Uznałam, że musisz trochę ochłonać - tłumaczyła. Nie dodała, że i ona miała za sobą parszywą noc, że właściwie nie zmrużyła oka. Nakarmiła Cisco, wypuściła go na dwór, a potem pozwoliła mu spać w swoim łóżku. O szóstej rano wstała, wzięła prysznic i pojechała po syna. Koniec końców Jeremy siedział w pogotowiu opiekuńczym jakieś sześć godzin. Na

tyle długo, by zrozumiał, co chce mu przekazać, lecz na tyle krótko, że nie stała mu się żadna krzywda.

- Po wszystkich innych przyszli rodzice - rzucił w końcu, gdy zjechała z głównej drogi i zwolniła przed mostkiem, który oddzielał jej posiadłość od reszty okolicy.

- Ja też przyszłam. Zachnął się.

- Ale tamci przyszli jeszcze w nocy.

- Pracowałam.

- Ojciec Heidi jest zastępcą szeryfa. To ważne stanowisko. Ważniejsze niż twoje. Zjawił się od razu. - Jeremy patrzył na nią oczami swojego ojca. Serce jej pękało, gdy widziała w jego wzroku urazę, złość i odrobinę nienawiści.

- Nie będę się wypowiadała na temat tego, jak wychowuje córkę, ale domyślam się, że pewnie o wszystko obwini ciebie. Nawet jeśli Heidi przyzna, że miała z tym coś wspólnego, ty jesteś starszy. I jesteś chłopcem, więc Cole Brewster ciebie obciąży całą winą.

- Może to naprawdę była moja wina.

- Może i tak. Skąd mieliście alkohol?

Jeremy zacisnął usta i zamilkł. Wjechała na podjazd i spojrzała na niego z ukosa.

- Później o tym porozmawiamy. Kiedy wrócę. Ale mówię poważnie: poszukasz sobie pracy, po szkole wracasz prosto do domu i opiekujesz się psem, poprawiasz oceny i wtedy się zastanowimy, ile ma potrwać szlaban.

- Skończę osiemnaście lat za...

- Chcesz się wyprowadzić? - Wpadła mu w słowo. - Poszukać sobie mieszkania? Może z kumplami? Myślisz, że stać cię na czynsz, prąd i kablówkę? - Starła się utrzymać gniew na wodzy. Nie zawracała sobie głowy drzwiami do garażu, zaparkowała przed domem, tym samym, w którym uczyła synka wiązać buty, przysięgi harcerskiej... to tutaj łowił ryby, tutaj nadepnął na osę, gdy miał sześć lat. Bródka mu drżała, ale dzielnie starał się nie płakać. Pod tym względem miał rację, nie jest już małym chłopcem. I to od dawna. - Przygotujesz kolację - zdecydowała. - Coś z zamrażalnika. Jest kurczak, chyba piersi i udka.

Patrzył na nią, jakby przyleciała z innej planety.

- No, skoro wkrótce zamierzasz się wyprowadzić, powinieneś nauczyć się gotować. Jedzenie poza domem jest za drogie.

- Nie będę gotował.

- Ależ owszem. Przepisy babci są w pudełku w szafce nad kuchenką. Wiesz, gdzie. Wybierz jakiś. O ile pamiętam, bardzo lubisz ten z ryżem i zupą. W domu są chyba wszystkie składniki, znajdzie się też coś na sałatkę. Ugotuj na trzy osoby, Bianca wróci na kolację.

- Czyś ty oszalała? Nie będę gotował...

- A kiedy skończysz, posprzątaj w kuchni.

- Nie jestem twoim niewolnikiem!

- W pierwszej chwili myślałam, że powiesz: żonę.

- Jezu, mamó, odbiło ci! - Wyskoczył z wozu i zatrzasnął drzwiczki.

- Pewnie tak - mruknęła, wyjeżdżając z podjazdu. Obserwowała, jak Jeremy otwiera drzwi wejściowe i wbiega do domu. Zmieniła biegi i odepchnęła od siebie wyrzuty sumienia i myśl, że porzuca, że powinna teraz zostać w domu i z nim pogadać. W rzeczywistości oboje potrzebowali czasu, żeby ochłonać. Gdyby naprawdę została w domu, gdyby nie musiała wracać do pracy, Jeremy zaszyłby się w swoim pokoju, a ona, urażona i zła, gotowałaby i sprzątała z pasją godną lepszej sprawy, tłukąc naczyniami, by dać mu do zrozumienia, że i ona jest zdenerwowana. - Szczyt dojrzałości - mruknęła i sięgnęła po papierosa. Zapaliła za zakrętem i obiecała sobie, że znowu rzuci. Kiedy tylko rozwiążą tę sprawę, zapali ostatniego i już nigdy nie wróci do nałogu.

Nigdy.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

MacGregor wytłumaczył, o co mu chodzi. Trochę to trwało, ale Chilcoate słuchał cierpliwie, palił i zerkał w okno swojej chaty. Było uchylone, odrobinę, na tyle, by wpadła smuga zimnego powietrza, które walczyło o lepsze z ciepłem z kominka po przeciwnej stronie. W pokoju stało jeszcze kilka krzeseł kupionych na targu staroci i kanapa ustawiona naprzeciwko wielkiego plazmowego telewizora, wiszącego na przeciwległej ścianie.

W drugim, większym pokoju mieścił się jego gabinet. Stał tam nowoczesny komputer, radio i sprzęt telewizyjny. W mniejszym urządził sobie sypialnię - z wielkim łóżem nakrytym narzutą we wzór moro, wiekową toaletką ozdobioną nalepkami, które wybrał jeszcze w dzieciństwie.

Na dole, za regałami, na których gromadził wszystko, od starego wina poprzez stare ciuchy po akta zamkniętych spraw, było jeszcze jedno pomieszczenie, o którym mało kto wiedział. Za ścianką czekała wąska przestrzeń wypełniona najnowocześniejszą elektroniką znaną człowiekowi.

Chilcoate był hakerem.

I to doskonałym.

Uczył się od najlepszych - od rządu.

MacGregora w ogóle to nie zaskoczyło. Od samego początku był geniuszem komputerowym i ten fakt nie uszedł uwagi komisjom rekrutacyjnym na MIT i w paru innych miejscach.

Problem w tym, że w tamtych czasach Chilcoate interesował się zupełnie innymi sprawami, stracił stypendium w Stanford i wyleciał ze studiów.

Dlatego trafił do wojska. A reszta to już historia.

MacGregor i Chilcoate przyjaźnili się od dziecka. Znali swoje tajemnice. MacGregor regularnie wyciągał kumpla z opresji - poczynając od tego, że załatwił mu terapię alkoholową po tym, jak spowodował wypadek po pijaku, a kończąc na tym, że przyjął go pod swój dach po złym małżeństwie i jeszcze gorszym rozwodzie.

Więc Chilcoate był jego dłużnikiem.

MacGregor oczekiwał spłaty długu w naturze - Chilcoate zrewanżuje mu się swoją wiedzą, zdobytą podczas dwunastu lat w wojsku, w informacji. Potem jeszcze kilka lat dla FBI, zanim zdecydował się na karierę wolnego strzelca. W biurze deprimowała go biurokracja. Za dużo spotkań. Za dużo ograniczeń dla chłopaka z Montany z wrodzonym poczuciem niezależności, którego nie był w stanie opanować, choćby nie wiadomo jak się starał.

Teraz mieszkał u podnóża gór Bitterroot, niedaleko miejsca, gdzie spędził z MacGregorem idylliczne dzieciństwo, łowiąc ryby, polując, włócząc się po górach, nieświadomi, co niesie los.

Naprawdę nazywał się Tydeus MeMille Chilcoate. Jego matka, samotna członkini Mensy, uwielbiała kulturę antycznej Grecji i dzieła Hermanna Melville'a, stąd dziwaczny dobór imion. Chilcoate się tym nie przejmował i przedstawiał jedynie nazwiskiem. Tak było po prostu łatwiej.

- Tylko o to ci chodzi? - zapytał. Wszedł do kuchni, odkręcił kran i zalał niedopałek. Żar zasyczał i po chwili resztką papierosa wylądowała w koszu na śmieci. - Samochód, komórka i sprawdzenie czyjejś skrzynki pocztowej w sieci?

- Na początek. Musisz też zająć się Harleyem. Chilcoate skinął głową.

- Chodźmy na dół - zaproponował i pierwszy ruszył wąskimi schodami.

MacGregor wykonał trzy telefony z pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Najpierw do szpitala, gdzie usłyszał, że stan Jillian Rivers jest stabilny, ale nie mogą mu udzielić dalszych informacji. Następnie do Jordan Eagle, lekarki weterynarii w lecznicy przy Czwartej ulicy.

Jordan, jego stara znajoma, rozmawiała z nim osobiście i zapewniła, że Harley przeżyje, choć niewykluczone, że trzeba mu będzie amputować tylną prawą łapę.

- Stracił mnóstwo krwi, doszło do poważnych uszkodzeń tkanki mięśniowej, ale i tak ma szczęście, że kula nie trafiła w kręgosłup i nie dosięgła drugiej łapy.

MacGregor słuchał uważnie. Z całej siły zaciskał dłoń na słuchawce, nie zwracał uwagi na lodowate podmuchy wiatru, z takim przejęciem słuchał Jordan:

- W najgorszym razie będę musiała amputować. W najlepszym, częściowa utrata władzy w tej łapie. Nie będę cię oszukiwała, Zane, on już nigdy nie będzie taki sam, ale myślę, że czeka go dobre życie. Mnóstwo psów świetnie sobie radzi na trzech łapach.

MacGregorowi zrobiło się niedobrze, żółć podeszła mu do gardła na myśl o draniu, który wycelował w psa i z zimną krwią pociągnął za spust. To nie był wypadek.

- Rób, co w twojej mocy. Już do was jadę - powiedział.

- On przeżyje, ale nie spiesz się. Nadal jest nieprzytomny.

- Dzięki. - Rozłączył się, zaklął siarczyście na myśl o Iotrze, który chciał zabić jego psa i zostawił Jillian na śmierć. Dobrze chociaż, że Harley zna Jordan, bo to stara znajoma MacGregora. Kiedyś nawet, przez krótki czas, dzieliła z nim łóżko. Czy ją kochał? Nie. Ani ona jego. Oboje zdali sobie sprawę z pomyłki i w przyjaźni zakończyli romans. Seks zawsze coś zmienia, w ich przypadku pogłębił przyjaźń. Coś takiego zdarzyło się w jego życiu tylko raz. Pomyślał o Jillian i w głębi serca wiedział, że jeśli kiedyś pójdzie z nią do łóżka, jego życie zmieni się nieodwracalnie. Drażniło go to, jak na niego działa, sugerowała komplikacje, których wolałby uniknąć.

O wiele bardziej niż Callie, kobieta, którą kiedyś pokochał i poślubił. Poczł ukłucie żalu na myśl o żonie i synku. Odeszli już tak dawno... ale nie może myśleć o przeszłości. To nic nie daje.

Ale przypomina, że z miłością przychodzi cierpienie.

Nie żeby zakochał się w Jillian Rivers.

Skądże znowu.

Ale na niego działa.

To pewne.

Nie mógł przestać o niej myśleć.

Trzecią osobą, do której zadzwonił, był Chilcoate. Umówili się w knajpce na rogu. Zane przeszedł trzy przecznice dzielące go od lokalu, zamówił dwie kawy na wynos i wyszedł z parującymi kubkami na parking, gdzie zjawili się już pierwsi goście.

Chilcoate przyjechał po kilku minutach starym wojskowym dżipem i zawiózł MacGregora do swojej chaty z ledwo ociosanych bali, która oprócz gabinetu i sypialni miała też piwnicę, o której mało kto wiedział, bieżącą wodę i elektryczność.

Podczas jazdy MacGregor opowiedział mu tyle, ile uważał za stosowne. Nie pominął tego, że znalazł Jillian na dnie wąwozu i tego, że gdy jej stan już się poprawił, została porwana i porzucona w lesie, a do Harleya ktoś strzelał.

Chilcoate słuchał i co jakiś czas zadawał pytania.

Pierwszy ruszył do chaty. MacGregor zbiegł za nim do zakurzonej piwnicy, minął jakieś skrzynki, przeszedł obok starych mebli i zardzewiałego grilla, pod okiem kamery ukrytej wśród pajęczyn pod sufitem. Chilcoate tymczasem podszedł do wnęki, przeznaczonej pierwotnie na drwa na opał, i znalazł ukryty przycisk. Tylna ściana odsunęła się, ukazując ich oczom kolekcję komputerów, ekranów, skanerów i kamer.

- No dobra. - Chilcoate z uśmiechem usiadł na obrotowym krześle przy długim stole. - Do roboty.

Jillian czuła ciepło bijące z kominka.

Na dworze szalała zima, śnieg zasypywał okna, sople lodu złowieszczo zwisały z dachów, ale w chacie było ciepło. Gorąco. Krew dudniła jej w uszach, gdy patrzyła w oczy kochanka.



- MacGregor - szepnęła. Jego dłonie błędziły po jej ciele, palce muskały nagą skórę, przemykały po żebrach i talii.

Leżeli twarzami do siebie na szerokiej kanapie.

Boże, jak bardzo go pragnie. Domaga się go. A zarazem wie, że to błąd. Wielki błąd.

Gdzieś tutaj czai się niebezpieczeństwo. Zło.

Niewidzialne oczy obserwują z ciemnych zakątków z taką samą pasją, która płonie w jej żyłach. Zobaczyła coś, odbicie w szybie, ale obraz był niewyraźny, ziarnisty, zdjęcie autobusu i mężczyzny... nie, nie pierwszego lepszego mężczyzny. Aarona. Jej męża. Więc czemu jest tutaj, z nieznajomym?

Aaron biegnie do autobusu, jego nogi się poruszają...

Ucieka od ciebie, Jillian. On... on....

Gonił autobus, biegł coraz szybciej, nagle jego ubranie pękło, odsłoniło ciało, nagle gnijące, pomarszczone.

Wstrzymała oddech, gdy odwracał się przez ramię. Uśmiechał się szeroko, jakby nie wiedział, że jego twarz staje się trupa czaszką. W lusterku autobusu odbijały się cyfry, litery, których nie widziała.

On nie żyje. Aaron nie żyje. Twój mąż zginął w Ameryce Południowej.

Nie, nie Aaron. Mason. Moim mężem jest Mason. Jest czy był?

Kościotrup uśmiechnął się radośnie i stanął przed autobusem.

Skrzywiła się, odwróciła wzrok, krzycząc w niemym przerażeniu.

I nagle znowu była w chacie, leżała nago u boku mężczyzny, czuła ciepło jego ciała.

Obejmował ją mocno i całował w kark. Jej ciało płonęło i strach przerodził się w pożądanie, gorące, bezwstydne pożądanie.

Spojrzała w oczy mężczyzny, który ją obejmował, który ją pieścił, tulił, napierał biodrami na jej ciało. Czuła jego erekcję, jego bliskość budziła pragnienie. Tak, chciała poczuć go w sobie, doświadczyć rozkoszy, gdy rozsunie jej nogi i wejdzie w nią głęboko.

Ale tak nie można. Nie zna go. Nie może tak po prostu się z nim kochać. A jednak drżała z podniecenia, pociła się, płonęła.

- MacGregor, ja... ja...

- Cśś... - Musnął jej usta swoimi i jęknęła. - Nie myśl o niczym - mówił tak cicho, tak uwodzicielsko, a jego dłonie, o Boże, jego dłonie... Muskały jej sutki, szeptały czule na jej brzuchu, dotykały, badały, pieściły. Wstrzymała oddech, gdy jej dotykał, rozpalał.

- Tak nie można - wydusiła ledwie słyszalnym szeptem. Wtedy ją pocałował. Mocno. Namiętnie.

Poczuła, jak napinają się jego mięśnie, gdy ją podnosi, i nie miała wyjścia, musiała go objąć i odwzajemnić pocałunek. Zamknęła oczy, czuła jego twardą pierś, rozkoszne drapanie włosów na skórze, ciepło jego ciała.

Jej serce biło jak szalone, krew pulsowała w uszach, skóra płonęła.

Nie rób tego, ostrzegał cichy głos w jej głowie. Nawet go nie znasz.

To szaleństwo. Oczywiście, że go zna. Rozumie go. Ma wrażenie, że szukali się od lat.

Nie rób tego, Jillian.

Zamknij się, pomyślała, i oddała się doznaniom, zagubiła się w zapachu jego skóry, dotyku jego zarostu na twarzy, smaku jego ust. Poruszył się, nakrył ją sobą. Oddychał szybko, ciężko. Rozsunął jej usta językiem, dotknął zębów.

Uległa mu z jękiem. Jego dłonie odnalazły jej piersi, sprawiły, że sutki nabrzmiały, a krew stała się płynnym ogniem. Między nogami narastało pożądanie, prymitywne, niemal bolesne, i nie myślała już o niczym, tylko o nim.

Przecież jeden raz nie zaszkodzi.

Kocha go, prawda? Wiedziała to, odkąd odzyskała przytomność właśnie tu, w tej chacie. Jego dotyk... O Boże, co on z nią wyprawia, co za obrazy podsuwa jej umysł. Pragnęła połączenia ich ciał. I dusz.

Wstrzymała oddech, gdy poczuła go w sobie, gdy jego spocone ciało znalazło się tak blisko. Zaciśniętą dłoń na jej pośladku, przyciągnął ją bliżej. Drżała.

Płoneła z pożądania.

- Jillian. - Patrzył na nią czule. - Jillian...

Chciała odpowiedzieć.

Nie mogła.

Straciła głos i oddech w dziwnej mieszance pożądania, strachu i miłości. Oddychał coraz szybciej, głośniejszy... A może to ona tak dyszy?

Przełknęła ślinę i nagle wydało jej się, że oddech pochodzi z innego źródła.

Przeszył ją dreszcz na myśl, że może dobiega z mroku, z ukrycia.

Coś złego i podekscytowanego.

Coś albo ktoś oblizuje usta z przejęcia...

O Boże...

- Jillian!

Co?

Głos... Czy to MacGregor? A może to echo z ciemnych zakątków? Na moment serce przestało jej bić.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Harley?

Nagle była na dworze, w zaspach po kolana. Wydawało jej się, że dostrzegła psa, jak wesoło bryka wśród śniegu, idzie jakimś tropem. Chciała go zawołać, pobiec za nim, ale nogi miała jak z ołowiu, a Harley biegnie tak szybko, że stał się plamą czerni i bieli. Nastawił uszu, przeskoczył ostatnią zaspę i zniknął w kępie sosen.

Nie!

Poczuła niebezpieczeństwo.

Chciała zawołać.

Huknął strzał.

Pies zawył z bólu.

- Harley! - jęknęła i głos znowu ją zawiódł. MacGregor nagle zniknął, choć przecież tu był.

Drżała z zimna. Spojrzała w stronę kominka. Pies leżał przy palenisku. Szczerzył zęby, oczy lśniły czerwono od ognia, na sierści zaschła krew.

- Jillian!

Ktoś szarpie ją za rękę. Demon z mroku? Potwór, który widział, jak się kochała z MacGregorem? Psychopata, który zastrzelił psa?

Przeszył ją strach.

Chciała krzyknąć.

Gdzie MacGregor, do cholery?

- Jillian! Obudź się, na miłość boską!

Uniosła powieki, gwałtownie nabrała powietrza. Od razu zdała sobie sprawę, że śniła, i wizja chaty się rozplynęła. Nadal jest w szpitalu, leży pod skotłowaną pościelą, przerażona. Gdzieś na dworze pies szczeka, a nie wyje z bólu, a tu w jej pokoju, koło łóżka, stoi, trzymając ją za rękę, z troską malującą się na twarzy, Zane MacGregor.

Mężczyzna, z którym przed chwilą kochała się we śnie.

## Rozdział 24

Nic ci nie jest? - zapytał Zane, gdy Jillian starała się oprzytomnieć, spychając na dno pamięci i koszmar, i przyjemną część snu. Pomyślała o tym, jak śniła, że się z nim kocha, i poczuła, że się rumieni.

To na pewno przez lekarstwa. Podano jej mnóstwo środków przeciwbólowych, uspokajających, antybiotyków i na pewno przez to straciła kontakt z rzeczywistością.

- Wszystko w porządku... Mniej więcej. - Podparła się na łokciach, próbowała nie myśleć o stalowoszarym odcieniu jego oczu czy o tym, jak we śnie czuła jego dłonie na swoim ciele. Na miłość boską, właściwie nawet się nie całowali, jeśli nie liczyć niewinnego cmoknięcia w policzek, a ona sobie wyobraża, że nago kochają się przy kominku. - Co z Harleyem? - zapytała.

- Żyje. Dojdzie do siebie. Byłem u niego kilka minut temu. Niewykluczone, że straci łapę, ale przeżyje.

- Dzięki Bogu. Strasznie mi przykro.

- To nie twoja wina.

- Niepotrzebnie go wypuściłam.

- I co? Zasikałby cały dom? Jillian, nic się nie stało. Oboje żyjecie. To najważniejsze. -

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały czas trzyma ją za rękę, że jej dłoń niknie w jego wielkiej ręce o palcach pokrytych odciskami.

On chyba także zdał sobie sprawę, że cały czas jej dotyka, bo powoli puścił jej rękę i się cofnął.

- Strasznie wyglądasz - zauważyła.

- Takie są skutki nocy w areszcie Pinewood.

- Uciekłeś?

Mało brakowało, a roześmiałby się. Dostrzegła to w jego oczach.

- Nie. Wypuścili mnie. Z braku dowodów. Strasznie ich to wkurzyło. Ja też wkurzyłem strażnika przy twoich drzwiach. Nie chciał mnie wpuścić, ale oczarowałem pielęgniarkę i kazała mu się odczepić.

- I zrobił to?

- Mniej więcej.

Spojrzała na drzwi. W progu stał niski policjant, naburmuszony, ale nie zrobił kroku dalej. Widząc jej wzrok, chciał wejść, ale Jillian pokręciła głową i łypnęła groźnie, dając do zrozumienia, że ma się trzymać z daleka.

- Muszę się stąd wydostać - powiedziała cicho do MacGreogra.

- Chatofobia? - uśmiechnął się lekko.

- Szpitalofobia.

- I co? Wrócisz do domu? - Odrobinię zmrużył oczy. Pokręciła głową.

- Mam tu sprawy do załatwienia. - Sięgnęła po pilota od łóżka i uniosła oparcie na tyle, że znalazła się w pozycji siedzącej.

- Co chcesz zrobić?

- Odnaleźć Aarona, jeśli żyje.

- Nadal myślisz, że żyje?

- Sama już nie wiem, co myśleć. Może to podstęp, żeby mnie tu zwabić. Wmawiałam sobie, że atak na mnie to pomyłka, że psychopata, który poluje na kobiety, pomylił samochód. Ale wszystko sobie przemyślałam. Ten, kto mnie zaatakował, chce widzieć mnie martwą.

- Więc niech zajmie się tym policja. Patrzyła mu w oczy. Długo, twardo.

- A ty na moim miejscu zdałbyś się na policję? Nie odpowiedział.

Uśmiechnęła się.

- No, to już odpowiedź. Zresztą policja będzie pewnie chciała, żebym ukryła się w bezpiecznym miejscu.

- Pewnie tak. Pokręciła głową.

- Jak byś się czuł, gdyby dwa razy próbowano cię zabić? Gdyby przywiązano cię nagiego, nieprzytomnego, do drzewa? - Płoneła w niej krew, gniew i adrenalina dodawały sił. - Umiem strzelać. Chodziłam na kursy samoobrony. Nie jestem mięczakiem...
  - A teraz jesteś urażona, zła i niemądra - wpadł jej w słowo. - Ale masz rację, na twoim miejscu czułbym to samo, jednak nawet biorąc pod uwagę twoje zalety i dobre przygotowanie, facet ma nad tobą przewagę, coś, czego nie przeskoczysz.
  - Co takiego?
  - On ma świra, Jillian. To szurnięty psychol. Nie masz pojęcia o ogromie zła w jego duszy, więc lepiej zostaw dochodzenie glinom. Niech zarabiają na pensje.
  - Bo do tej pory świetnie im idzie, co? Ile już kobiet zginęło? Cztery? Pięć?
  - Cztery nie żyją, dwie w szpitalu, razem z tobą.
  - Sześć ofiar. - Dotknęła plastra przytrzymującego wenflon. - I wiesz co? Mam przecucie, że to jeszcze nie koniec. Nie będę siedziała w szpitalu, jasne? Nie mam zamiaru ryzykować życia, jeśli pierwszą linią obrony stanowi pielęgniarka i gliniarz przy drzwiach. Wszyscy wiedzą, że tu jestem, sama widziałam to w wiadomościach. I idę o zakład, że nie dzwoniли do mnie zadni dziennikarze tylko dlatego, że szpital blokuje połączenia, a policja sprawdza dzwoniących. Wydaje mi się, że rozsądniej będzie zniknąć. Niech policja twierdzi, że nadal leżę w szpitalu, nie mam nic przeciwko temu, ale nie mogę tu siedzieć i czekać, łudząc się, że strażnik mnie obroni.
  - Ja mógłbym...
  - No proszę, i ty twierdzisz, że nie zamierzasz go odszukać? MacGregor ściągnął brwi.
  - Nie będę cię okłamywał, Jillian. Ten drań musi zapłacić za to, co zrobił. Ale póki go nie złapią, najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.
- Jillian skrzywiła się i opuściła nogi na ziemię. Na kostce miała opatrunek. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu prawdę o Aaronie, o tym, jak drań ukradł pieniądze klientów, ludzi, którzy mu zaufali, i zostawił ją z całym bałaganem na głowie. Nieważne, czy w Surinamie zginął naprawdę, czy tylko upozorował własną śmierć, zostawił ją w koszarnej sytuacji. Miała na głowie policję, prasę, ofiary piramidy finansowej, o której nie miała pojęcia, i do tego musiała uporać się ze śmiercią męża. Minęło kilka lat, zanim odzyskała dobrą reputację i nie sposób zaprzeczyć, że ponowne małżeństwo i zmiana nazwiska kusiły także z tego powodu. Mason często jej to zarzucał. Jeśli Aaron Caruso żyje, chce go zobaczyć. Stanąć z nim twarzą w twarz.
- Ale oczywiście nie powie tego MacGregorowi, w każdym razie jeszcze nie teraz. Niełatwo przyznać, że dała się wykorzystać jak idiotka. Zakochana idiotka.
- Nie zliczy, ile razy myślała o tym, co zrobił, i myślała o sobie jak o naiwnej kretynce, ilekroć spoglądała w lustro - myjąc zęby, malując się, czesząc. Wiele lat minęło, zanim uporała się z gniewem i bólem. Ale na myśl, że Aaron być może żyje, otworzyły się stare rany, jakby je rozcięto i polano kwasem.
- Nie możesz wyjść ze szpitala, Jillian - upierał się MacGregor. - To niebezpieczne.
  - Nie zgadzam się. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Zresztą, ty mnie obronisz.
  - Oszalałaś. - Ale się rozpromienił i ten uśmiech trafił ją w samo serce.
  - Jeszcze nie. Jednak zwariuję do reszty, jeśli zostanę tu jeszcze chwil dłużej, więc się ze mną nie kłóć, MacGregor, dobrze? I tak niczego nie wskórasz.

W drodze do biura Pescoli weszła do supermarketu. Najpierw kubek gorącej kawy, a potem, skoro już tam była, wzięła ze stojaka lokalny dziennik, torebkę na prezenty i kupony zniżkowe do restauracji, sklepów, a nawet na linie lotnicze. Znalazła kupon z ulubionego domu towarowego Bianki i do dyskontu elektronicznego dla Jeremy'ego. Do tego talony do sieci fast foodów dla Jeremy'ego i talony na benzynę. W świątecznym nastroju, dorzuciła jeszcze ozdobnie pakowane słodycze i kilka powieści. W ciągu dwudziestu minut załatwiła

sprawę świątecznych zakupów. Niezbyt oryginalne, ale dzieciakom wystarczy. Zresztą i tak na nic więcej jej nie stać.

Łakomie patrzyła na papierosy, rozważała, czy nie pozostać w szponach nałogu, dopóki nie rozwiąże sprawy seryjnego zabójcy, ale doszła do wniosku, że zanim do tego dojdzie, w podeszłym wieku może wylądować na onkologii.

Poradzi sobie z wychowaniem nastolatków bez wsparcia nikotyny. Tak przynajmniej starała się sobie mówić.

Przy kasie wręczyła kasjerce kartę kredytową. Odmowa.

- Co, do cholery? - mruknęła i spróbowała ponownie. Na nic.

Tymczasem za nią ustawiali się kolejni klienci. Trzecia próba także skończyła się niepowodzeniem. Kasjerka, dziewiętnastolatka z fioletowymi włosami, na których tkwiła czapeczka Świętego Mikołaja, podniosła głowę.

- Dzwonimy do banku?

- Nie... chwileczkę. - Pescoli, zła i zawstydzona, szukała gorączkowo w portfelu, a facet za nią, nieogolony, w okularach z grubymi szklami, na próżno starał się ukryć złość. Znalazła kartę debetową i jednym ruchem przepuściła część pieniędzy na życie do końca miesiąca. Po chwili transakcja dobiegła końca. Pescoli straciła dwieście dolarów, a w zamian zyskała kilka marnych prezentów.

- W święta i tak najważniejsza jest atmosfera - mruknęła pod nosem. Wsiadła do samochodu, odpaliła silnik i wyjechała z parkingu. Było jeszcze wcześniej, ruch dopiero się rozkręcał i dojeżdżała już do posterunku, gdy zadzwonił jej telefon.

Skręciła na odśnieżony parking i odebrała.

- Pescoli - rzuciła, nie patrząc na numer dzwoniącego.

- Cześć, Regan. - Lucky miał niski, ochrypły głos, zapewne z powodu braku snu i nadmiaru papierosów. - Przed chwilą dzwonił do mnie Jeremy.

Pescoli zaciągnęła ręczny hamulec.

- Tak? I co ci opowiedział?

- Że z kolegami wypił kilka piw i został zatrzymany. - Ziewnął. Wyobrazila go sobie, jak stoi w bokserkach i obcisłej koszulce, czyli tym, co Lucky Pescoli nazywał piżamą. Ma potargane włosy, zarost na twarzy, sen w piwnych oczach.

Kiedyś ten widok ją podniecał.

- Powiedział ci także, że zostawiłam go na noc na pogotowiu?

- Owszem.

- Więc po co właściwie zadzwonił? Chwila ciszy i od razu cios:

- Chce zamieszkać ze mną i z Michelle.

- Żartujesz.

- Tak powiedział.

- A ty mu uwierzyłeś? - Była wściekła, obawiała się, że połamie ten cholerny telefon. -

Przecież nie chciał nawet przyjechać do was na weekend, a teraz chce zamieszkać na stałe? -

A ta cała gadanina, że Lucky nie jest jego prawdziwym ojcem? I to zaledwie kilka dni temu?

- Tak twierdzi.

- Bo jest wkurzony. Przejdzie mu. - Kolejna chwila ciszy i nagle serce stanęło jej w piersi. -

Chwileczkę, Lucky. Ty tego chcesz? - Świat najwyraźniej stanął na głowie.

- Rozmawialiśmy o tym z Michelle.

- Twoja żona nie ma z tym nic wspólnego. Nie jest matką dzieci.

- Ale ja jestem ich ojcem. Bianca to moja córka, a w życiu Jeremy'go nie było ważniejszego mężczyzny niż ja.

- Co doskonale tłumaczy jego nagłe szaleństwo - syknęła, zła jak osa.

- Regan, spójrzmy prawdzie w oczy: ty ciągle pracujesz.

- Kiedy ty pracujesz, jesteś w trasie.

- Ale w domu jest Michelle.

- Michelle sama jest jeszcze dzieckiem! Na miłość boską, Lucky, chyba nie mówisz poważnie! - Kątem oka dostrzegła ruch w bocznym lusterku i zrobiło jej się niedobrze, gdy zobaczyła, jak pikap Corta Brewstera zatrzymuje się na wyznaczonym miejscu.

- Wiesz, Regan, może już czas na zmiany. - Lucky mówił tak spokojnie, że najchętniej złapałaby go za ramię i potrzęsnęła mocno, żeby wrócił na ziemię. - Jestem żonaty, bardziej ustabilizowany. Jeremy wie o mężczyznach....

- Mężczyznach? - powtórzyła zaskoczona. Owszem, miała kilka przygód, ale żaden z nich nigdy nie był w domu. Nie, nie jest zakonnica, ale abstynencja stanowiła treść jej życia o wiele dłużej, niż by tego sobie życzyła.

Oczami wyobraźni zobaczyła Nate'a, jego zabójczy, olśniewająco biały uśmiech i muskularne ciało. To człowiek natury, umie się obchodzić ze zwierzętami i z nią, o Boże, i z nią. Tak, kręci ją. Tak, seks z nim jest boski. Nie, nie ma wpływu na jej relacje z dziećmi. Nigdy nie stawiała Nate'a na pierwszym miejscu. Zawsze były tam dzieci.

Ale praca... tak, praca ją pochłania.

- Jeremy wie, że spotykasz się z jakimś włóczęgą.

- Posłuchaj, moje życie osobiste, tudzież jego brak, nie są głównym tematem tej rozmowy. Potrafię zadbać o dzieci i dobrze o tym wiesz.

- Ciągłe pracujesz.

- A kiedy nie pracuję, pieprzę się z włóczęgą, tak? Posłuchaj mnie uważnie, Lucky. Byłam ci wierna od pierwszej randki. Ty natomiast chyba nie rozumiałeś znaczenia słowa „cudzołóstwo”, więc błagam cię, nie praw mi teraz morałów i zostaw moje życie osobiste w spokoju. Zależy mi na dobrych stosunkach między nami, bo jesteś ojcem Bianki, ale jeśli przyjdzie co do czego, odbiorę ci dzieci.

- Ja i Michelle jesteśmy bardziej ustawieni, mamy lepsze zabezpieczenie finansowe.

- Ciekawe dlaczego? Dlatego, że jesteś mi winien siedem tysięcy zaległych alimentów i składek ubezpieczeniowych! Przydałyby mi się te pieniądze. Wiesz, dlaczego jeszcze cię nie pozwałam do sądu? Bo nie chcę, żeby dzieci były świadkami naszych kłótni. Pomyślałam, że kiedyś im to wynagrodzisz, że kiedy przyjdzie płacić chesne za studia, staniesz na wysokości zadania. Ale teraz już nie jestem tego taka pewna, więc wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić bzdury o finansowym zabezpieczeniu i usatkwaniu. Powiedz Jeremy'emu, i Bianca, skoro już o tym mowa, że się nie zgadzam. Teraz muszę iść do pracy...

- Jak zawsze. Zawsze musisz iść do pracy.

- Ktoś musi płacić rachunki - syknęła. - A na pewno nie będzie to stabilny finansowo, stateczny ojciec, prawda? - Obserwowała w tylnym lusterku, jak Cort Brewster idzie do budynku. Nawet nie zerknął w jej stronę. Zły znak, bo zawsze się witali. Znowu zrobiło jej się niedobrze.

Lucky nie dawał za wygraną.

- Wiesz, Bianca ma rację. Naprawdę potrafisz być suką.

- To akurat nic nowego, prawda? - Ale zabolalo, że wciągnął do kłótni córkę, że uderzył w najczulsze miejsce. Mimo wszystko nie podda się. - Dopilnuj, żeby oboje wrócili dzisiaj do domu. Jeremy ma zadania do wykonania i akurat w tej sprawie, tak między nami, mógłbyś mnie poprzeć. Wczoraj go aresztowano. Popełnił błąd. Kiedy podrzucisz Biankę, podrzuć też czek. Co najmniej na tysiąc... albo jeszcze lepiej dwa. I zacznij łaskawie płacić zaległe alimenty, bo pójdziemy do sądu, słowo honoru. Wesółtych świąt! - Rozłączyła się i poczuła, że drży. Nikt na świecie nie wkurzał jej tak bardzo, jak Lucky Pescoli. Nawet jego młoda żonka tak jej nie irytowała. Gdyby miała do wyboru, wieczór z Michelle czy Lucky'm, wybrałaby pewnie blondynkę.

- Cholera, cholera, cholera. - Wysiadła z samochodu i nadal wściekła, weszła na posterunek tylnymi drzwiami.

Alvarez odrobiła pracę domową.

I coś jest nie tak.

I to bardzo nie tak, rozmyślała, jadąc na posterunek. Przy drzwiach wejściowych kłębił się tłum dziennikarzy, na parkingu stały wozy transmisyjne.

Sprawa się rozwijała i media szalały. Reporterzy wiedzieli już, że MacGregora zatrzymano jako podejrzanego i zwolniono wczesnym rankiem.

Zaparkowała na swoim miejscu i weszła na posterunek od tyłu, chcąc uniknąć pytań. Bolała ją głowa i miała katar, ale prędzej szlag ją trafi, niż ulegnie grypie teraz, kilka dni przed świętami, gdy sprawa nie jest rozwiązana.

Poczeka do Bożego Narodzenia.

Mimo Gwiazdki, zawsze zdarzały się rodzinne kłótnie, niesnaski, samobójstwa i koledzy, którzy biorą wolne, by spędzić święta z rodziną.

Nie może sobie pozwolić na mniej niż sto procent zaangażowania. Nie teraz, kiedy ma tyle do roboty.

Na posterunku rozpętało się istne piekło.

Po spokoju nie został nawet ślad.

W pracy byli wszyscy.

Dzwoniły telefony, zewsząd dobiegał odgłos kroków. Gdzieś w oddali monotonnie szumiała kserokopiarka, a w tle rozbrzmiewały ledwo słyszalne dźwięki kolęd.

Selena zdjęła kurtkę i czapkę, podeszła do swojego biurka, sprawdziła pocztę elektroniczną i automatyczną sekretarkę, a potem, pociągając nosem, poszła do kuchni zaparzyć sobie herbaty. Jej babka zawsze powtarzała, że gorąca herbata z miodem i cytryną działa cuda.

Dziadek uzupełniał to domowe lekarstwo kropelką whisky, tequili czy innego alkoholu, który udało mu się zdobyć, mimo czujnego wzroku babki Rosarity.

Zaląła torebkę z herbatą wrzątkiem i podeszła do biurka Pescoli.

Partnerka przeglądała raporty laboratoryjne, notatki i protokół z przesłuchania MacGregora.

- Nie chce mi się wierzyć, że to nie MacGregor - syknęła. - Teraz wszystko musimy zaczynać od początku.

- Tak bywa. - Alvarez podzielała rozczarowanie partnerki. Pescoli przysunęła się do biurka i przewróciła oczami.

- Wkurza mnie, że ciągle nas wyprzedza. - Potarła zdrętwiały kark.

- Jak poszło z Jeremym? - Alvarez wyrzuciła torebkę z herbatą do kosza na śmieci pod biurkiem Pescoli.

Regan wzruszyła ramionami.

- Nie odzywa się do mnie, ale chyba przeżyje. - Wskazała głową gabinet zastępcy szeryfa. -

Nie rozmawiałam jeszcze z Cortem. Pewnie będzie się domagał, żeby Jeremy'ego wykastrować i wypędzić z miasta.

- To jeszcze dzieciak.

- Głupi dzieciak. - Podniosła rękę. - Jak na kogoś tak zdolnego, jest głupi jak but.

- Tak to bywa. W młodości wszyscy popełniamy błędy.

Pescoli spojrzała na partnerkę, jakby nagle zaintrygowało ją, co tak naprawdę motywuje Alvarez do działania.

- Ukradłam ojcu samochód i miałam wypadek. Z trzema pasażerkami. Miałyśmy szczęście, że żadnej nic się nie stało. Ale nie było mowy o alkoholu czy narkotykach. A ty?

Alvarez nie spodobał się przebieg rozmowy. Stała się za bardzo osobista.

- To co większość dzieciaków. Węgry, popalanie za węglem, nocne wypadki -

odpowiedziała. - Chyba nic poważnego, bo zależało mi na nauce. Ale to normalne. - Nie dodała, że zaufała niewłaściwym ludziom, że szczególnie jedna osoba nadużyła tego zaufania i jej życie już nigdy nie było takie samo.

- Kiedy ma się dzieci, jest inaczej, wiesz? W jednej chwili chcesz oddać za nie życie, w następnej masz ochotę udusić je gołymi rękami. Będę musiała pogadać z Brewsterem, ale jeszcze nie teraz. - Wzięła do ręki plik papierów i spojrzała na jego gabinet. Alvarez upiła łyk herbaty.
- Dostałaś od Zoller informacje o ofiarach?
- Mhm.
- Miałam wczoraj do ciebie zadzwonić - zaczęła Alvarez, ale Pescoli zbyła ją machnięciem ręki.
- To była szalona noc - rzuciła pojednawczo. - Ale popatrz na to. Sprawdziłam Jillian Rivers, ofiarę inną od pozostałych. Sprawdziłam dane o byłym mężu i zdjęciach. - Wskazała plik zdjęć, kopii fotografii, które znaleźli wśród rzeczy Jillian Rivers w chacie MacGregora. Alvarez wzięła do ręki zdjęcie mężczyzny przechodzącego przez jezdnię. Zdjęcie było ziarniste, ale mężczyzna rzeczywiście przypominał pierwszego męża Jillian Rivers, pomyślała, gdy porównała je z fotografią Aarona Caruso z prawa jazdy sprzed dziesięciu lat. Owszem, dostrzegła pewne podobieństwo, ale nie było żadnych znaków charakterystycznych, żadnych blizn czy tatuaży.
- Sprawdziłam w wyszukiwarce Jillian Rivers, primo voto Caruso, i jej pierwszego męża, i trafiłam na archiwa dzienników z ich miejsca zamieszkania.
- Jesteś bardzo pracowita.
- Przyszłam wcześniej - mruknęła Pescoli i znowu zerknęła na gabinet Corta Brewstera. - W każdym razie okazało się, że ten pierwszy mąż, ten Aaron Caruso, nie zniknął tak po prostu. Razem z nim przepadły cudze pieniądze. Alvarez niemal wypuściła zdjęcia.
- Oszust? Wyłudzacz?
- Tak jest. Popatrz tylko. - Podała Alvarez wydruki i wyniki śledztwa sprzed lat. Selena przeglądała artykuły. Odstawiła kubek na biurko Pescoli.
- Więc zostawił żonę z całym bałaganem na głowie.
- Sam zgarnął pół miliona, a ją zostawił bez grosza przy duszy. Alvarez ponownie wbiła wzrok w fotografię. Ten facet zgarnął pół miliona?
- W przeszłości żadnej z ofiar nie ma czegoś takiego.
- Kolejna anomalia. - Pescoli odchyliła się i w zadumie kręciła młynka palcami. - Spośród wszystkich ofiar właśnie przypadek Jillian Rivers różni się od innych. Po pierwsze, miejsce zbrodni. Zgadza się polana w lesie, samotne drzewo i ofiara, naga i związana. I na tym koniec. Na miejscu podrzucono niewłaściwy liścik, gwiazda miała inny kształt, związano ją innym sznurem. Ślady sprawcy są mniejsze. Dalej, niósł ją, a nie gnał boso, i to kolejna ważna różnica. To nie jest nowy sposób działania. To coś innego. - Spojrzała Alvarez w oczy. - Idę o zakład, że ten, kto zaatakował Jillian Rivers, chciał zbić nas z tropu. To naśladowca.
- Więc szukamy motywu. - Alvarez myślała na głos.
- Właśnie. Sprawdzimy, kto dziedziczy w przypadku śmierci pani Rivers. Pewnie ma jakiś majątek. Ubezpieczenie na życie. Konto w banku. Fundusz emerytalny. Dom... cokolwiek. Przekonajmy się, czy spisała testament. Nie ma dzieci?
- Tylko matkę i siostrę z dziećmi.
- Byłego męża, prawnika, który mieszka akurat w tym stanie. Może to on spisał jej testament? Jeśli go nie zmieniła, możliwe, że po niej dziedziczy. Może skądś się dowiedział, że chce go zmienić?
- To bardzo naciągane - stwierdziła Alvarez. - To, że jest jej byłym...
- No dobra, masz rację, ale jestem zdania, że dobry eks to martwy eks.
- A pozostałe ofiary? Pescoli ścisnęła brwi.



- W tym rzecz. Nina Salvadore miała skromną polisę ubezpieczeniową na rzecz dziecka. Ani Theresa Charleton, ani Wendy Ito nie miały nic - ani polisy, ani wartościowego majątku. Nie kupowały nieruchomości, ich samochody nie były wiele warte. Wóz Charleton nadaje się do kasacji, a Ito ciągle spłacała raty za priusa, więc bank przejmie pieniądze z ubezpieczenia. Nie sporządziły testamentu, więc wszystko, co miała Charleton, przejdzie na własność jej męża, a rzeczy Ito trafią do jej rodziców.
- Nadal brakuje samochodu.
- Pescoli skinęła głową.
- Ale kiedy go znajdziemy, będzie pusty, jak pozostałe. Idę o zakład.
- Wszyscy potencjalni beneficjenci są załamani?
- Tak. Jeśli Lyle Wilson zadzwoni do mnie jeszcze raz, zwariuję.
- Wilson? Brat Theresy Charleton?
- Chyba uważa, że im częściej dzwoni, tym większe są szanse, że złapiemy mordercę. Jakbyśmy sobie odpuszczali, kiedy nam o sobie nie przypomina.
- Jest bezradny i nie wie, co robić.
- Może dać nam spokój, do cholery.
- Powiedziałaś mu to? - Alvarez upiła łyk herbaty. Gorący płyn łagodził ból gardła.
- Nie dosłownie, ale chyba zrozumiał.
- Na pewno. - Alvarez zaniósła się kaszlem.
- Ej, co ty, jesteś chora?
- Nie, to tylko przeziębienie.
- Musisz je zdusić w zarodku. - Pescoli otworzyła szufladę pełną leków dostępnych bez recepty. - Mam tu wszystko, czego ci potrzeba... Weź to, nie powoduje senności. - Znalazła odpowiednie opakowanie i dorzuciła paczkę ibuprofenu.
- To istna apteka - zauważyła Alvarez.
- Wiem, wiem, ale nie mogę sobie pozwolić na chorobę. - Rzuciła lekarstwa Alvarez, która złapała je, nawet nie rozlewając herbaty. - Ty też nie. - Zerknęła na zegarek. - Szykuj się, za pół godziny mamy spotkanie. Telefony się urywają, federalni robią swoje, a Grayson wysmażył oświadczenie dla prasy.
- Super - mruknęła Alvarez, wyjęła tabletkę z listka i wsunęła do ust. Zazwyczaj nie ufała lekarstwom bez recepty, ale dzisiaj była gotowa na wszystko.
- Super. - Pescoli zerknęła na partnerkę. - Ty naprawdę musisz więcej wychodzić.

## Rozdział 25

Minęły niemal dwie godziny, zanim Jillian udało się wyjść ze szpitala.

Doktor Haas, wysoki, chudy jak patyk, o siwych włosach, z kurzymi łapkami wokół oczu, próbował ją przekonać, że powinna jeszcze odpocząć, dać organizmowi czas na regenerację, ale nie chciała nawet o tym słyszeć.

- No dobrze - zgodził się w końcu, z dezaprobatą zaciskając usta. MacGregor czekał, nonszalancko oparty o umywalkę. - Nie mogę zatrzymać pani siłą. - Haas wręczył jej receptę i podpisał wypis. Posłał jej jeszcze jedno, pożegnalne, gniewne spojrzenie i wyszedł. Jillian podreptała do łazienki i przebrała się w swoje ubranie, dostarczone z biura szeryfa. Miała problem z butami, bo żaden nie chciał wejść na obandażowaną kostkę, ale dzinsy dzwony okazały się zrzędzeniem losu.

- Nie wyobrażam sobie, jakim cudem chcesz wyśledzić zmarłego męża i złapać mordercę, chodząc o kulach - zauważył MacGregor.

- Po pierwsze o jednej kuli - sprostowała. - Po drugie, zapomniałeś już, że mam ciebie? Przechylił głowę.

- Chyba zależy mi na tym tak samo jak tobie. Wypuścili mnie, ale to nie znaczy, że spuścili mnie z oka.

- Więc ty także nie chcesz beczynnie czekać, aż złapią mordercę.

- Nie. - Spochmurniał. - Chciał mnie zrobić. Postrzelił mojego psa. Zostawił cię w lesie, żebyś umarła. Sprawił, że zainteresowała się mną policja. Nie, Jillian, nie będę czekał na policję. Równie dobrze mogą mnie w to zrobić. Nie byłbym pierwszym niewinnym, który trafia za kratki.

Wiedziała, że ma na myśli swoją odsiadkę w Kolorado.

- No dobra, chodźmy stąd. Pomyślałam, że zaczniemy od Missouli. Tam nadano kopertę ze zdjęciami. Tam właśnie jechałam.

- Jakież konkretne miejsce?

- No cóż, chciałam zacząć od Masona, mojego byłego. Tylko jego tam znam, tylko on może mieć do mnie pretensje. - Urwała. Coś się nie zgadza. Za wiele dróg prowadzi do Missouli. Nie potrafiła tego sprecyzować, ale czuła, że Missoula w Montanie to pomyłka. Może nawet pułapka. Ale to uczucie znikło równie szybko, jak się pojawiło, myśl rozwiała się jak dym. MacGregor chyba coś wyczuł.

- Co?

- Nic, tylko... sama nie wiem. Missoula jakoś mnie nie przekonuje. Jakby ten, kto przysłał mi te zdjęcia, chciał, żebym tam przyjechała. Wiedziała to, jeszcze zanim wyruszyłam z Seattle, ale nie mogłam się opanować. - Usiłowała przypomnieć sobie to, co wymykało się jej pamięci. - Mam wrażenie, że jadąc do Missouli, robimy dokładnie to, czego chce.

MacGregor zmarszczył brwi i podszedł do okna. Śnieg powoli topniał w słońcu.

- Masz inny pomysł? Pokręciła głową.

- Właściwie nie.

- Więc na razie wyjdźmy stąd. Znajdziemy bezpieczną kryjówkę i zaplanujemy, co dalej, bez obawy, że ktoś nas podsłucha. Pojedziemy za miasto.

- A co z Harleyem?

- Zatrzymamy się u weterynarza. Już dzwoniłem do Jordan. Czeka na nas.

- Jordan?

- Lekarka. - Wziął jej torbę podróżną. - Stara przyjaciółka.

- Dobra? - zapytała, kierowana czymś więcej niż ciekawością. Coś w jego głosie sprawiło, że poczuła zazdrość.

Zerknął na nią przez ramię i otworzył drzwi.

- Bardzo dobra - odparł. Jillian kuśtykała do drzwi.

- Powinnam być zazdrosna?

Uśmiechał się i jego zęby załśniły bielą na tle zarostu.

- I to bardzo.

Po raz pierwszy, odkąd poznała dwójkę agentów FBI, Alvarez zrozumiała, na czym polega rola Craiga Haldena we współpracy ze Stephanie Chandler. Zazwyczaj pozwalał partnerce mówić, zadowolony się miejscem w drugim rzędzie, rzadko się odzywał, najczęściej obserwował wszystko z boku. Prostak, który prześlizguje się przez życie zawodowe.

O nie.

Dzisiaj scena należała do Haldena, a jego dobroduszość rozwiała się bez śladu. Zastąpił ją bezwzględny, bystry agent. Nie żeby Stephanie Chandler odsunęła się na bok, to nie w jej stylu. Ale dzisiaj, kiedy rozpętało się piekło - szalała opinia publiczna i media - i okazało się, że nie mają nic przeciwko MacGregorowi, jedynemu podejrzanemu, Halden wkroczył do akcji.

Stał u szczytu stołu w pokoju zebrań i wszystkich ponaglał. Także w FBI uważano, że to nie MacGregor, iż porwanie Jillian Rivers to zamach konkretnie na nią, że ktoś wykorzystał

zbrodnie seryjnego zabójcy jako kamuflaż. Psychopata, którego szukają, jest metodyczny i doskonale zorganizowany. Nie popełniłby błędów, do jakich doszło na miejscu niedoszłej śmierci Jillian Rivers.

Tak więc teraz mają dwie sprawy dwóch zabójców. Chwilowo skoncentrowali się na ataku na Rivers.

Agenci federalni przeanalizowali teorię, jakoby Aaron Caruso, oszust, który pozbawił inwestorów oszczędności, nadal żył, ale nie mieli na to żadnych dowodów. Zdjęcia i wiadomości mogły być tylko przynętą, by zwabić Jillian Rivers do Montany.

Najgorsze, że oprócz byłego męża, Masona Riversa, który podczas jej wypadku był na spotkaniu w Spokane, pani Rivers nie miała żadnych wrogów.

- Może to ktoś wkurzony, że stracił tyle kasy - podsunął Watershed. Chandler zmarszczyła brwi.

- Dziesięć lat to sporo czasu na czekanie z zemstą.

- Nie, jeśli akurat teraz potrzeba mu kasy - zauważyła Pescoli. Siedziała za stołem, wciśnięta między Alvarez i Watersheda, a agenci przechadzali się pod ścianą obwieszoną mapami i zdjęciami ofiar. - Nie, jeśli nagle świat wali ci się na głowę i na gwałt szukasz kozła ofiarnego.

- Ale morderstwo? - powątpiewała Chandler. - I to tak wymyślne?

- Może sprawca czekał na okazję, a tu pojawił się nasz seryjniak i uznał, że to jego szansa. - Watershed spojrzął na szeryfa w poszukiwaniu wsparcia.

Grayson skrzywił się i podrapał w brodę.

- Sprawdzimy ofiary Caruso, zobaczymy, czy ktoś nie mieszka w promieniu, powiedzmy, stu sześćdziesięciu kilometrów.

- Ja się tym zajmę - zaoferowała się Zoller. Nareszcie nie odbierała telefonów i siedziała przy końcu długiego stołu.

- Dobrze.

- Ale to tylko jedna strona równania. - Halden stuknął palcem w punkt na mapie, niedaleko chaty MacGregora, tam, gdzie znaleziono Jillian Rivers. - Jeśli naśladowca poluje właśnie na nią, nie zaatakuje nikogo innego.

- Nie, znowu zaczai się na nią - przytaknęła Alvarez. - Dwa razy mu się nie udało. Nie zrezygnuje.

Halden skinął głową.

- A nasz drugi morderca także nie zamierza przestać i albo już szuka nowych ofiar, albo ma je w swojej kryjówce. Sprawdziliśmy listy osób zaginionych?

Alvarez podniosła wzrok.

- W promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów. Ponieważ nie ogranicza się do kobiet jednej rasy, zawęziłam poszukiwania na podstawie granicy wiekowej, sprawdziłam zaginione kobiety w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat. - Podeszła do mapy na ścianie. - Wypadki miały miejsce w promieniu szesnastu kilometrów, więc starałam się ograniczyć listę jeszcze bardziej, do kobiet, o których wiadomo, że miały tędy przejeżdżać. Tym sposobem lista zawiera tylko pięć nazwisk. - Położyła na stole pięć wydruków. Każdemu towarzyszyło zdjęcie. - Być może jest wśród nich jedna albo więcej kolejnych ofiar.

- Boże, to straszne. - Pescoli patrzyła na zdjęcia. Alvarez przyznała jej rację. Myśl, że jedna z tych kobiet być może już się znajduje w rękach szaleńca, który ją torturuje, dręczy, nie dawała jej spokoju.

- Musimy go zidentyfikować. - Chandler mijając kolejne fotografie. Zaciśnięta usta w wąską kreskę. Wydawało się, że schudła, choć od początku pobytu w Grizzly Falls była bardzo szczupła. - Czy ktoś rozmawiał z tą nierozpoznaną kobietą w szpitalu?

- Nie - odezwała się Zoller. - Nadal nie odzyskała przytomności, ale zidentyfikowaliśmy ją jako Hannah Estes, lat dwadzieścia dziewięć, sekretarka w firmie ubezpieczeniowej,

rozwódka, bezdzietna. Mieszka w Butte z koleżanką. Jest właścicielką chevroleta implorera, którego do tej pory nie znaleźliśmy.

- To jedyna ofiara, która przeżyła, i może zidentyfikować tego drania - dorzucił Cort Brewster.

Szeryf skinął głową.

- Ktoś musi jechać do Missouli, być tam, kiedy się ocknie.

- Jeśli się ocknie - poprawił go Brewster. Stał z rękami w kieszeniach, starannie unikając wzroku Pescoli, która zresztą robiła to samo. Alvarez wcale jej się nie dziwiła; mają teraz ważniejsze sprawy na głowie. Zdjęcia potencjalnych ofiar ciągle przykuwały jej uwagę. Czy teraz, w tej chwili, tkwią uwięzione w norze bez światła, wykorzystywane jako niewolnice albo...

- Ale nie wykorzystywane seksualnie. Żadne zwłoki nie nosiły śladów gwałtu czy współżycia. O co mu chodzi?

- Oto, co mamy - ciągnął Halden. - Zauważyłem coś. - Układał na stole cieniutkie bibułki. Na każdej narysował gwiazdę z miejsca zbrodni. - Przyjrzyjcie się uważnie, a zobaczycie, że wszystkie pasują do tego... - Na stole znalazła się inna, grubsza kartka. Wszystkie gwiazdy pasowały do rysunku na niej, poza jedną. - To gwiazda znaleziona na drzewie Jillian Rivers. Nie dość, że ma inny kształt, to jeszcze nie pasuje do konstelacji.

- Jakiej? - zainteresowała się Pescoli.

- Oriona. - Alvarez rozpoznała znajomy kształt. - Myśliwego. Zauważyła, jak Pescoli sztywnieje.

- Uważa się za myśliwego? Strzela im w opony, przetrzymuje je, a potem porzuca, by umarły?

- Może. - Alvarez spojrzała pytająco na Haldena.

- Tego jeszcze nie wiemy - przyznał. - Jeśli chodziło tylko o polowanie, dlaczego ich nie zastrzeli, gdy ma ku temu okazję?

- A czy litery mówią coś o polowaniu? Albo o Orionie? - zainteresowała się Alvarez. Halden położył na stole ksero ostatniej notatki. Wszyscy widzieli powiększone litery:

WAR            T    HE                    SC                    I    N

- Jeszcze nie - mruknął.

- R, I, N - Alvarez zmarszczyła brwi. - S, C, E... może to część słowa „constellation”, konstelacja.

- A może H, N, T, E, R to „hunter”, myśliwy, brakuje tylko „u”. - Watershed z zadumą pocierał zarośniętą brodę.

- To wszystko spekulacje - wtrąciła się Chandler. - Biuro nad tym pracuje.

Halden rozwodził się jeszcze przez chwilę nad literami i rysunkiem, a potem agenci postanowili, że pojedą do Missouli i porozmawiają z lekarzem i krewnymi Hannah Estes. Wszyscy liczyli, że odzyska przytomność i zidentyfikuje napastnika, na razie jednak nie mieli szczęścia. Alvarez opuszczała zebranie z nieprzyjemnym przekonaniem, że do aresztowania mordercy jest tak daleko, jak kilka miesięcy temu, gdy znaleziono pierwsze zwłoki.

Mało brakowało, a zderzyłaby się w drzwiach z Joelle, która niosła półmisek świątecznych ciasteczek: Mikołaje z brodą z lukru, bałwanki z oczami z rodzynek, choinki z zielonego lukru.

- Pomyślałam sobie, że odrobina słodczy dobrze wam robi - oznajmiła.

- Dzięki. - Alvarez wzięła renifera z nosem z czerwonego serduszka, zdecydowanie za dużym w stosunku do jego główki. Biedny Rudolf kwalifikował się do operacji plastycznej. Co gorsza, ciasteczko rozpadło jej się w palcach.

Joelle niczego nie zauważyła i częstowała wszystkich wychodzących z zebrania, a potem, dumnie stukając obcasami, poszła do kuchni. Zaparzyła kawę i odstawiła ciastka na stół.

- Wesołych świąt! - zawołała, kołyszac kolczykami, wyszła frontowymi drzwiami i jakimś cudem przedarła się przez tłum dziennikarzy na schodach. Ponieważ Joelle nie należała do zespołu dochodzeniowego, nie musiała przychodzić do pracy w wolne dni.
- Co za wariatka. - Pescoli pokręciła głową i wróciła do swojego biurka.
- Ona tylko tworzy świąteczną atmosferę.
- Podczas poszukiwań seryjnego mordercy? - Pescoli energicznie odgryzła głowę Mikołaja.
- Ma dobre chęci.
- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego ludzie tak mówią? Ma dobre chęci. Chce jak najlepiej. To oznacza, że dana osoba jest bezczelna, zarozumiała albo po prostu ślepa na to, co się dokoła dzieje. W przypadku Joelle wątpię, by kiedykolwiek chciała jak najlepiej. Moim zdaniem tylko udaje, w głębi serca jest wredną suką.

Alvarez uniosła brew.

- Chyba wstałaś dzisiaj lewą... o rany, przepraszam. - Nic dziwnego, że Pescoli jest uszczypliwa. Miała koszmarną noc.
- Chyba muszę spojrzeć w oczy przeznaczeniu - mruknęła Pescoli i pod czujnym okiem partnerki dojadła ciastko, dumnie wyprostowała plecy i ruszyła prosto do gabinetu Corta Brewstera.

Śnieżyca straciła na sile. MacGregor siedział za kierownicą samochodu pożyczonego od przyjaciela, Jillian zajęła fotel pasażera. Szybko pokonywali odśnieżone ulice. Słońce wreszcie przebiło się przez chmury i Jillian poczuła się o wiele lepiej. Już ponad tydzień upłynął, odkąd ocknęła się w chacie MacGregora, i przez cały ten czas była zdana na czyjąś opiekę.

Dzisiaj jednak poczuła, że odzyskuje kontrolę nad własnym życiem.

Do pewnego stopnia. Nadal nie zapomniwała o poobijanych zebrach i skręconej nodze, a środki przeciwbólowe co prawda przynosiły ulgę, ale i przytępiały umysł.

Nic nie szkodzi.

W końcu jest wolna.

Spod drzwi szpitala, gdzie czatowało na nią kilku dziennikarzy, MacGregor pojechał prosto do kliniki weterynaryjnej. W samochodzie panowało przyjemne ciepło, ciszę przerywały jedynie zapomniane kolędy, nadawane przez stację z muzyką country. Zaparkował w tylnej alejce, koło kontenera na śmieci, który, sądząc po wgniecionych bokach, przeżył już niejedno bliskie spotkanie z samochodem.

Na szczęście nie była na tyle sławna, by dziennikarze ruszyli jej śladem... Przy pomocy MacGregora i pojedynczej kuli pokonała zasypaną śniegiem ścieżkę, prowadzącą do tylnych drzwi. MacGregor głośno zapukał.

- Wyświadcza mi przysługę - wyjaśnił. - Oficjalnie przychodnia jest zamknięta.

- Przysługę?

- Hm.

Drzwi się otworzyły i drobniutka kobieta, ważąca najwyżej pięćdziesiąt kilo, wpuściła ich do środka. Zapach moczu zwierząt był ledwo wyczuwalny, maskował go aromat sosnowego płynu do czyszczenia i środków dezynfekujących. Jarzeniówki oświetlały korytarz wyłożony białą glazurą i białe linoleum na podłodze. MacGregor przedstawił je sobie. Jordan Eagle podała Jillian dłoń silną jak stal.

- To ty przeżyłaś atak - powiedziała bez wstępów. Przyglądała się jej badawczo. Była piękna, mimo braku makijażu, miała gładką cerę, fantastyczną ciemną oprawę oczu, wysokie kości policzkowe, cienki, prosty nos. Pełne usta rozchyliły się, ukazując białe zęby, odrobinę krzywe, na tyle, by przydać jej twarzy charakteru. - Masz szczęście - dodała.

- Dzięki MacGregorowi.

Jordan przeniosła wzrok na Zane'a.

- Słyszałam. Więc teraz jesteś bohaterem?

- Powiedzmy. - Prychnął pogardliwie i posłał Jillian spojrzenie mówiące, że ma się zamknąć. Udała, że nie łapie aluzji.

- Uratował mi życie - powiedziała Jillian. - I to dwa razy. - Chciała, żeby całe Pinewood i okoliczne okręgi poznały prawdę, a nie wypaczoną wersję lokalnych plotkarzy. Lub przeinaczoną interpretację policji.

Jordan uniosła brew.

- Coś takiego, MacGregor. Zawsze wiedziałam, że cię na to stać. Poruszył się niespokojnie, przestąpił z nogi na nogę.

- Jak Harley?

- Półprzytomny, ale w dobrej formie. Udało mi się ocalić łapę, chociaż nie sędzę, żeby miał z niej wiele pożytku, chyba że dla utrzymania równowagi. Ale kiedy puści się biegiem, będzie pewnie podciągał ją pod siebie i gnał na trzech. - Podniosła wzrok na MacGregora. - Nic mu nie będzie, nie martw się. Jak dawniej będzie załaził królikom za skórę.

- Czyli nie bardzo - mruknął MacGregor. - Owszem, gania je, ale nie wiedziałby, co z takim zrobić, gdyby go upolował.

Jordan się roześmiała, a w kącikach jej oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki. Była opalona, zwinna, ciemne włosy związała w kucyk sięgający do pasa. Jillian nie mieściło się w głowie, w jaki sposób radzi sobie ze zdenerwowanym czterdziestokilowym owczarkiem czy przerażoną kłaczą w połogu. A jednak doktor nauk weterynaryjnych Jordan Eagle wręcz emanowała profesjonalizmem.

- Tu jest. - Poprowadziła ich jasno oświetlonym korytarzem do gabinetu zabiegowego i dalej, do pomieszczenia, w którym w wielkiej klatce leżał Harley. Spojrzał zza prętów nieprzytomnym wzrokiem. Jillian usłyszała, jak uderzył ogonem o podłogę.

- Cześć, bracie. - MacGregor otworzył drzwiczki, żeby go pogłaskać. Harley wystawił język. Ogon uderzał coraz szybciej. - Pani doktor dobrze cię traktuje?

Jillian krajało się serce. Co prawda początki jej znajomości ze spanielem nie były najłatwiejsze, ale polubiła go, do cholery, i miała wyrzuty sumienia, że zaatakowano go z jej powodu.

- Jak już ci mówiłam, wyjdzie z tego. To psi twardziel. - Jordan poczekała, aż MacGregor się wyprostuje. Jego miejsce zajęła Jillian. Harley i do niej zamachał ogonem, co tylko spotęgowało jej wyrzuty sumienia.

- Zaopiekujesz się nim? - upewnił się MacGregor.

- Jak lwica - zapewniła Jordan.

- Raczej jak kocia mama - sprostował.

- Kiepski dowcip, MacGregor, naprawdę kiepski. Jillian przyznawała jej rację, ale jednocześnie nie potrafiła opanować ukłucia zazdrości, słysząc, jak swobodnie rozmawiają. To idiotyczne, ale nie panowała nad sobą.

- Zadzwoń i sprawdzę.

- Dokąd jedziecie? - zainteresowała się Jordan i spojrzała na Jillian, jakby nagle wyczuła, że tę kobietę o kuli i MacGregora łączy coś więcej niż tylko przyjaźń.

- Jeszcze nie wiem, ale zadzwonię.

- Już to słyszałam.

- Naprawdę.

Jordan zatrzymała się w progu.

- Dotrzymaj słowa, bo inaczej zażądam okupu za Harleya. MacGregor uśmiechnął się i pomógł Jillian wsiąść do pikapa.

- Jasne, akurat byś go chciała. - Obszedł samochód i zatrzymał się przy drzwiczkach kierowcy. - Dzięki, Jordan.
- Nie ma sprawy. - Uśmiechnęła się smutno.
- Ona cię kocha - stwierdziła Jillian, ledwie wyjechali z wąskiej uliczki.
- Nie sędzę.
- Bzdura. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.
- Ma męża.
- Nie to powiedziałam. Masz z nią romans?
- Nie. - Jechali w promieniach słońca tańczących na mokrej jezdni.
- Ale miałeś.
- Dawno temu. - Mrużył oczy od słońca. - Zajrzyj do schowka, może są tam okulary słoneczne.
- Co się stało? - Szukała, ale znalazła jedynie luźne kartki papieru, schemat wozu i szmaty. - Nie ma.

MacGregor zajrzał za osłonę przeciwsłoneczną i je znalazł.

- Wyczyścisz je?
- Jasne. - Polerowała zakurzone szkła skrajem swetra. - Co się stało? Z panią doktor?
- „Z panią doktor”. Spodobałoby się jej to określenie. Skończyło się. Chciała więcej, niż mogłem jej dać, i znalazła kogoś innego.
- Tak po prostu?

W jego policzku pojawił się dołeczek, oznaka uśmiechu pełnego ironii i smutku.

- Nic nie dzieje się tak po prostu, ale chyba sama coś wiesz na ten temat, skoro miałaś dwóch mężów.

Chciała pytać dalej, dowiedzieć się więcej, ale umiejętnie zamknął jej buzię. Żartował z niej i zarazem dawał znak, by dała spokój. Jego życie to jego sprawa. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Ajednak... Poruszyła się na niewygodnym siedzeniu i spojrzała w okno, niemyte chyba od przełomu tysiącleci. Zakurzone, poplamione, pęknięte.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.
- Myślałem o Spruce Creek.
- Co? - Wyjeżdżali już z miasteczka, mijali miniaturowe centrum handlowe.
- Zatrzymałaś się tam na kawę. W kawiarni Pod Czekoladowym Łosiem, tak?

Skinęła głową.

- Prawie tego nie pamiętam, ale chyba tak. Skąd wiesz?
- Bo policjanci pytali mnie, czy tam byłem i czy znam ten lokal. I czy piłem tam kawę. Czy często tam bywam. Nie mówili, dlaczego, ale to musiało mieć jakiś związek z tobą a ponieważ Spruce Creek jest na trasie z Seattle do September Creek, gdzie cię znalazłem, uznałem, że tam byłaś.
- I myślisz, że morderca także? - Mijali ciężarówkę wiozącą wraki samochodów.
- To równie dobre miejsce na początek, jak każde inne, nie sądzisz?
- Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co myśleć. Nie znam się na prowadzeniu śledztwa, ale nie ma sensu tutaj siedzieć.
- Fakt.

- No dobrze - westchnęła. Samochód jechał coraz szybciej, miejska ulica ustąpiła miejsca krętej górskiej szosie, ocienionej drzewami uginającymi się pod czapami śniegu. Nigdy nie bała się przygody, zawsze szukała wyzwań, ale podróż w nieznaną z mężczyzną którego prawie nie zna i który czasami ją przeraża, a czasami podnieca, wydawała się wariactwem. No dobra, zupełnym wariactwem.

Nie chciała się przyznać, że ją pociąga. Ale pociągał ją i to bardzo. I nie chodziło tu o przelotny flirt.

Niestety, zaczynała go kochać.  
A to, jak wiedziała, okaże się problemem.  
I to dużym.

## Rozdział 26

Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Cort Brewster siedział przy biurku zawalonym stertami dokumentów, z długopisem w dłoni. Podniósł wzrok, gdy Pescoli stanęła w progu i gdyby wzrok mógł zabijać, padłaby trupem.

- Uważam, że musimy porozmawiać o tym, co się wczoraj stało. O dzieciach. Odchylił się na krześle tak bardzo, że zatrzęszczało.

- Zanim cokolwiek powiesz - powiedział z ponurą miną - zanim zaczniesz się tłumaczyć i przeproszać, czy co tam chcesz mi powiedzieć, ustalmy jedno. Musimy razem pracować, bez względu na to, co zaszło między moją córką a twoim synem.

Ulżyło jej, póki nie zaczął pstrykać długopisem.

- Co i tak nie tłumaczy tego, co się wczoraj stało, i chcę, żebyś wiedziała, iż uważam, że to wina twojego syna.

Zaczęło się.

- Jest starszy, powinien okazać się mądrzejszy i nie ma prawa zabierać mojej córeczki na pijackie przejażdżki. - Spokój Brewstera rozwiął się bez śladu. Poczzerwieniał. - Ona ma dopiero piętnaście lat, na miłość boską a twój chłopak, jeśli chcesz znać moje zdanie, to nieźle ziółko, stacza się po równi pochyłej.

- Obwiniasz Jeremy'ego - stwierdziła lodowato.

- Tak, do cholery, obwiniam go. Przecież mogli zginąć albo zostać kalekami do końca życia. Codziennie widzimy skutki połączenia alkoholu, szybkości i dzieciaków za kierownicą. Nie tylko dzieciaków, dorosłych także! Mają szczęście, że żyją że nic im się nie stało. - Wstał energicznie i górował nad nią wysoki i potężny. Dzielił ich zaledwie metr biurka. - Powiedz twojemu chłopakowi, że nie będę tego tolerował. Jasne? Jeśli coś się stanie mojej córce, uznam, że to jego wina. Powiedziałem to jej i powtarzam tobie: niech się trzyma od niej z daleka.

Pescoli milczała przez dłuższą chwilę. Oczywiście wiedziała, że rozzłoszczony Brewster będzie obwinił Jeremy'go, ale nienawiść w jego oczach oznaczała, że nie ma sensu z nim dyskutować. W końcu powiedziała tylko:

- Nie uważasz, że powinniśmy o tym pogadać z dziećmi?

- Oszalałaś? Nie. Wprowadziłem pewne zasady i oczekuję, że ty zrobisz to samo. - Zaciśnął i tak wąskie usta i oparł się o biurko. - Bardzo się różnimy, ty i ja. Inaczej wychowujemy nasze dzieci. Ja jestem podporą naszego Kościoła i od dwudziestu dwóch lat jestem mężem tej samej kobiety. Przestrzegam praw bożych i stanowych.

- Ja też. - Obruszył się, ale błysk w jego oczach zdradzał, że jej nie uwierzył. - Posłuchaj, Brewster, może nie ma mnie na każdym treningu i nie piekę domowych ciasteczek, ale uczę dzieci, jak żyć.

- Jak ty? - Wpadł jej w słowo.

Znieruchomiła, świadoma, że ma na myśli jej życie erotyczne.

- To nie twoja sprawa, Cort, a jeśli tego nie rozumiesz, złożę skargę. Przyszłam tu w nadziei, że uda nam się porozmawiać jak cywilizowani ludzie o wspólnym problemie. Owszem, Jeremy nie jest bez winy, ale tak między nami, nikt nie przyłożył Heidi pistoletu do głowy i nie kazał jej wsiadać do tego wozu. I nikt nie wlewał jej piwa do gardła.

- Na miłość boską! Chyba zupełnie oszalałaś, jeśli uważasz...



- Że co? Że twoja malutka córeczka także nie jest bez winy? Ile masz dzieci, Cort? Cztery córki, tak? Chcesz mi wmówić, że to cztery niewiniątka?

Wyglądał, jakby miał zaraz dostać ataku apopleksji. Na jego skroni pulsowała żyłka, Pescoli oczekiwała, że lada moment dostanie wylewu, tu i teraz, w gabinecie, za biurkiem.

- Pescoli, twój chłopak to złe nasienie. Oboje to wiemy. Nie ma ojca, nie ma wzorca, a to, jak ty się...

- Jak ja co, Brewster? - zamknął się. Pescoli zacisnęła pięści. - Myślałam, że porozmawiamy o tym, co się stało. No wiesz, ustalimy jakiś plan, jak to naprawić, jak skierować dzieci na właściwą drogę, ale najwyraźniej nic z tego nie będzie. A ty i ja mamy problem, co nam bynajmniej nie pomoże w pracy.

- Przesadzasz.

- Przesadzam - powtórzyła wolno i poczuła, jak fala gorąca wypełza jej na kark. Łypali na siebie groźnie przez dłuższą chwilę, aż w końcu Pescoli wycedziła: - Mamy tu w Pinewood świra i oboje wiemy, że nie przestanie mordować, póki go nie złapiemy. Zostawmy więc na boku osobiste urazy i bierzmy się do pracy. Ja się zajmę moim synem, a ty swoją córką.

- Amen.

Pescoli odwróciła się na pięcie, urażona do głębi jego insynuacjami. Dupek, pomyślała, świętobliwy dupek. Bóg jeden wie, jakie szkielety kryją się w szafie Corta Brewstera.

Ona musi umrzeć. Myślałem, że zrobi to sama, że nie ma cienia szansy, że przeżyje, a jednak trzyma się, czepia się życia. I to mnie niepokoi.

Policja i FBI nie rezygnują oczywiście wcale tego nie oczekiwałem, ale nie mogę dopuścić, by jeden błąd wszystko zepsuł... Przede mną jeszcze tyle pracy!

Tak więc ryzykuję, adrenalina buzuje mi w żyłach, gdy jadę do restauracji, delikatnie opieram dłonie na kierownicy. Plan jest prosty. Wejdę tam, włożę szpitalny strój, kolorowe szkła kontaktowe i perukę. Wypcham sobie policzki watą włożę specjalne poduszki pod ubranie. Do tego sztuczne zęby. Mam je od dawna. Kupiłem je przed laty w Kalifornii od faceta, który robił kostiumy do filmów, zanim nie uległ kokainie. Od dawna nie żyje, ale do dzisiaj mam w szafie niektóre jego przebrania, na przykład za duże buty, które noszę. Plan jest naprawdę prosty: wślizgnąć się do szpitala, wywołać zamieszanie w drugim końcu korytarza niż leży Estes, a kiedy wszyscy wybiegną wejść do niej i wyłączyć aparaturę podtrzymującą życie. Jest za słaba, resuscytacja nie pomoże. Tyle wywnioskowałem z artykułów w prasie. Umieję czytać między wierszami.

Ale nie mogę ryzykować, że przeżyje.

Muszę tylko dopilnować, żeby coś odwróciło uwagę gliniarza pod jej drzwiami.

Jeśli sam nie odejdzie, będę musiał go zlikwidować, a tego wolałbym uniknąć. Nie musi umierać, nie jest jednym z wybranych.

Ale jeśli przyjdzie co do czego i nie będę miał wyjścia...

Jadę do restauracji i przebieram się w ubikacji. W Denny's nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Zostawiłem duży napiwek za kawę i świąteczny placek z wiśniami. Kiedy wychodzę, widzę, że mój stolik już uprzątnięto, a na moje miejsce siada dwóch starszuchów po siedemdziesiątce. Bardzo dobrze.

Parkuję dwie przecznice od szpitala i energicznym krokiem wchodzę do środka. Koło drzwi wejściowych kręcą się dziennikarze, pod schodami pali kamerzysta, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi, a strażnicy, biorąc pod uwagę całe zamieszanie, nie wydają się zbyt czujni. To zapewne decyzja administracji szpitala, by zachować pozory normalności, nie denerwować pozostałych pacjentów i ich krewnych i przyjaciół. Już wiem, na którym piętrze leży. Dowiedziałem się tego, podsłuchując w kafejce podczas lunchu. Za każdym razem udawałem zafrasowanego męża albo narzeczonego. Oczywiście na pewno zarejestrowały

mnie kamery, ale mój stary druh kokainista zadbał o zmianę mojego wyglądu, a poza tym wiem, gdzie są kamery i ustawiam się zawsze tyłem do wścibskich obiektywów. Dzisiaj idę do zachodniego skrzydła, na drugie piętro. Sytuacja staje się coraz ciekawsza. Tak, pod jej drzwiami czuwa policjant, a pokój znajduje się tuż obok dyżurki pielęgniarek. Będzie trudniej, niż myślałem.

Ale i tak łatwo.

Wchodzę do sali na końcu korytarza i widzę staruszkę oddychającą z trudem, podłączoną do monitora. Patrzy na mnie ciekawym, smutnym wzrokiem - oszołomiona i półprzytomna - i odłączam ją od monitora.

Zanim sprzęt zdąży zareagować, wychodzę, idę w drugą stronę, niemal wpadam na sanitariusza. Pcha wózek z pacjentem.

- Przepraszam - mruczę pod nosem.

- Ej! - woła za mną ale znikam za rogiem, a tam, na końcu korytarza, widzę mój ratunek. Bez sekundy wahania uruchamiam alarm przeciwpożarowy.

W ułamku sekundy syreny zaczynają wyc.

- Pożar!

- Zapaść! Pani Bancroft! Dwieście dwanaście!

Słyszę panikę w ich głosach i uśmiecham się, patrząc, jak biegną. Chowam się w brudowniku, ściągam perukę i fartuch, wracam na korytarz. Panuje chaos. Bez problemu zakradam się do niepilnowanego pokoju i patrzę na kobietę, którą więziłem przez niemal tydzień. Nie ta część misji stała się sensem mojego życia. Samo odbieranie życia ma niewielkie znaczenie. Nie, najważniejsze jest zdobywanie ich zaufania, miłości, świadomość, że mi się oddadzą, a ja nie przyjmę tego, co mi ofiarowują. Najcudowniejsza jest chwila, gdy w ich oczach maluje się rozpacz i strach, gdy już wiedzą że je oszukałem, że nie jestem przyszyłym kochankiem, ale ich nemezis.

Tak więc pociągnięcie za kabel do mnie nie przemawia. Bardziej upaja mnie chaos, fakt, że wywołałem panikę, to jest jak narkotyk i upajam się nim z rozkoszą.

Ale muszę się spieszyć.

Patrzę na słabą nieprzytomną kobietę i przez sekundę liczę, że otworzy oczy i zobaczy, z jaką łatwością odbieram jej życie. Chciałbym zobaczyć ten błysk zrozumienia, cień koszmarnego, prymitywnego strachu.

Ale tak nie będzie.

A czas się kończy.

- Przykro mi, Hannah - mówię bez przekonania. Respirator miarowo tłoczy powietrze do jej płuc. - Słodkich snów.

Wyrwam kabel jednym szybkim ruchem. I już jest po wszystkim.

Alvarez wywnioskowała z miny Pescoli, że jej rozmowa z zastępcą szeryfa nie przebiegła najlepiej. Pescoli niemal cały ranek spędziła za biurkiem i dopiero kilka godzin później, wracając z łazienki, podeszła do Alvarez.

- Wierzysz w te bzdury o Orionie i myśliwym? - zapytała bez wstępów.

- Nie mamy nic lepszego.

- Więc po co te litery? Dlaczego nie napisał po prostu Orion albo hunter? Po co te zagadki?

- Bo to go kręci. - Alvarez od kilku godzin odbierała telefony, przejrzała notatki ze wszystkich miejsc zbrodni, przeanalizowała raporty medyczne, rozmawiała z rodzinami ofiar, które dzwoniły, domagając się, by natychmiast aresztowano potwora, który zamordował ich córkę, siostrę czy kuzynkę.

- Zjedźmy coś. - Pescoli łypnęła w stronę gabinetu Brewstera. Posterunek opustoszał, ludzie z drogówki byli w terenie, a detektywi woleli wracać do domu niż wyrabiać nadgodziny.

Agenci Chandler i Halden wyszli godzinę temu, ale szeryf i jego pies czuwali w gabinecie.

Także Brewster porzucił obowiązki rodzinne i kościelne, by trzymać rękę na pulsie dochodzenia.

- Dobrze.

Alvarez wzięła kurtkę i czapkę i wyszła za partnerką na dwór. Bez słowa zajęła miejsce pasażera w samochodzie Pescoli, która ruszyła, jeszcze zanim Alvarez zatrzasnęła drzwiczki.

- Spieszmy się? - mruknęła Selena.

- Tam trudno wytrzymać. - Pescoli zerknęła w lusterko na znikający posterunek.

- Jak zawsze.

- Chyba tak.

- Zakładam, że z Brewsterem nie poszło najlepiej.

- To zależy, czy masz na myśli źle, czy bardzo źle. Dziki Will? Alvarez skinęła głową.

Pescoli podjechała pod restaurację, zaparkowała i weszły do środka. Minęły Grizza, wypchanego niedźwiedzia, nadal w pełnej świątecznej krasie. Szczyrzył kły, widoczne mimo aureoli i skrzydeł.

- Wyobrazasz to sobie? - Pescoli pokręciła głową i weszła do głównej sali, pełnej gości, którzy przyszli tu po porannej mszy. Znalazły stolik w kącie. Alvarez jak zawsze usiadła przodem do drzwi wejściowych. Kobięcy głos zawodził Sifoer Bells.

- To Dolly Parton? - zainteresowała się Pescoli.

- Nie.

- Whitney Houston?

- Nie. - Alvarez wsłuchiwała się uważnie, by usłyszeć głos przez szczęk sztucców. - Nie mam pojęcia, kto to, ale na pewno nie Dolly i nie Whitney.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- To nieważne. Mam po uszy życzeń, aniołków, reniferów i Mikołajów.

- Akurat - mruknęła Alvarez. Otaczały je smakowite zapachy: kawa, cynamon, chrupiący boczek. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

- Wiesz, piwo dobrze mi robi. Albo szklaneczka whisky. - Pescoli wyglądała na zmęczoną miała przekrwione oczy i sińce pod nimi - oznaka wielu nieprzespanych nocy.

Alvarez wzruszyła ramionami, ale zanim podeszła do nich Sandi, kelnerka, Pescoli zmieniła zdanie i zamówiła dietetyczną colę i hamburgera z zakreconymi frytkami.

- Pożyj trochę - poradziła Alvarez.

- Ja wyznaję zasadę: pożyj trochę dłużej - odcięła się Alvarez i zamówiła sałatkę ze szpinaku, orzechów i jabłek, z pieczonym kurczakiem zamiast bekonu, i herbatę z cytryną zamiast alkoholu.

- Nadal męczy cię przeziębienie? - domyśliła się Pescoli.

- Nic mi nie będzie.

- Może whisky pomoże.

- Na pewno nie zaszkodzi. - Ale i tak pozostała przy herbacie, do której po odejściu Sandi dołożyła kolejny plasterki cytryny.

Pescoli westchnęła.

- To jest tak: zachodzisz w ciążę, wracasz do domu z dzieckiem, z bezcennym młodym życiem, które leży w twoich rękach, i myślisz sobie: zrobię dla niego wszystko. Będę najlepszą matką na świecie i jego życie będzie cudowne. Usłane różami. Zadbam o to. Jest słodki, ciekawski, zabawny i...

- Ze smutkiem pokręciła głową. - A potem pochłania go życie. Drobiazgi, jak podrapane kolana, drzazgi pod skórą nieodrobione prace domowe. Potem coraz poważniejsze: przemoc na palcu zabaw i przewiska, bo jego mama jest gliną a potem naprawdę poważne ciosy, jak śmierć ojca i ojczym, sierota, rozwód i... O, cholera. Nagle, i to naprawdę, ot tak. - Pstryknęła palcami.

- I ma siedemnaście lat i kłopoty. Duże kłopoty. - Odchyliła się na krzesło, upiła łyk coli.

- Ale nie żałujesz, że masz dzieci.

- Ani przez sekundę.

- I zrobiłabyś to znowu?

- Od razu. - Pescoli pokiwała głową. - A ty? Dlaczego nie masz dzieci?

- Po prostu tak wyszło - skłamała Alvarez i dodała szczerze: - Nigdy nie poznałam właściwego faceta. - To akurat bolesna prawda. Chłopcy z liceum jej nie imponowali, a potem wydarzył się „incydent”, jak to określała jej matka, choć obie wiedziały, jak było naprawdę. Alvarez nie chciała teraz myśleć

O tym, co się wydarzyło, gdy miała siedemnaście lat, tyle samo, co teraz Jeremy, ale wspomnienia nigdy nie dawały jej spokoju, jak duch muskały ją lodowatym palcem, szeptały do ucha.

Masz syna. Gdzieś tam. Syna, którego nie widziałas, odkąd się urodził...

- Nadal szukasz?

- Czego?

- Męża. Masz tylko trzydzieści dwa lata.

- Trzy. Trzydzieści trzy.

- Nie jesteś stara.

- No nie, ale mam tę pracę. - Alvarez starała się polepszyć atmosferę, zmienić temat na lżejszy. - A to istny pożeracz czasu.

- Fakt. I wiesz co? Czasami mężowie to przereklamowane produkty. Sandi podała ich dania. Umilkły, zadowolone, że rozmowy innych gości i dźwięki kolęd wypełniają ciszę.

Alvarez była mniej więcej w połowie sałatki, choć rozmowa o dzieciach odebrała jej apetyt. Powrócił także ból głowy, a katar atakował nieprzerwanie. Nagły powiew wiatru kazał im unieść wzrok. Grace Perchant, w średniowiecznej tunice i długim aksamitnym płaszczu, wkroczyła powoli do sali. Sandi już prowadziła ją do stolika przy oknie, gdy starsza pani zatrzymała się gwałtownie.

- Ojoj - szepnęła Alvarez. Grace, kobieta, która widzi duchy, komunikuje się z zaświatami i znalazła samochód Jillian Rivers podczas spaceru z psem, zatrzymała się w pół kroku.

Pescoli odwróciła się przez ramię.

- O Boże.

W tym momencie Grace odwróciła głowę i wyblakłe zielone oczy zatrzymały się na Pescoli.

- Super - szepnęła policjantka. - Jeszcze tego nam brakowało. - Grace szła prosto do ich stolika.

Z jej twarzy zniknęła spokojna zazwyczaj mina. Położyła kościstą dłoń na ramieniu Pescoli, zanim ta zdążyła się odsunąć.

Pescoli szarpnęła się do tyłu, poza zasięg Grace, i odruchowo sięgnęła po broń.

Para z dwójką dzieci przy sąsiednim stoliku przestała jeść i przyglądała im się ciekawie.

- On wie o tobie - szepnęła Grace. Jej dziwne oczy wpatrywały się w coś w oddali, patrzyły na punkt widoczny tylko dla niej.

- Kto? - zdziwiła się Pescoli.

- Drapieżnik. Wie o tobie. - Grace mówiła cicho, ale jednak na tyle głośno, że Pescoli poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku.

- Jaki drapieżnik? - A przecież wiedziała. Alvarez widziała to w jej wzroku. Obie wiedziały.

- Ten, którego szukasz.

- Szukamy wielu drapieżników.

- Ten jest inny. W nim jest zło...

- W nich wszystkich jest zło, Grace, ale domyślam się, że mówisz o tym świrze, który porzuca kobiety na mrozie, tak? - Pescoli mówiła gniewnie, ale była błada jak ściana. - I bardzo dobrze, że o mnie wie, bo złapię skurczybyka.

- Nie słuchaj tego, skarbie - szepnęła matka przy sąsiednim stoliku do mniej więcej dziesięcioletniego synka.

Grace nie zbiło to z tropu.

- On się nie boi.

Pescoli posłała jej przeciągłe spojrzenie.

- O ile pamiętam, podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałaś Alvarez, że go znajdzie. No i co?

Wzrok Grace, niesamowita wyblakła zieleń, przesunął się na Alvarez, by zaraz wrócić do Pescoli.

- Teraz mówię do ciebie. - Dotknęła jej ramienia i Pescoli znowu się odsunęła. - Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Taka praca, Grace. - Pescoli zbyła jej ostrzeżenie wzruszeniem ramion. Nie była już taka błada.

- Uważaj.

- Dobrze.

- Bardzo uważaj. On nie spocznie. To myśliwy.

Alvarez nastawiła uszu. Myśliwy? Błyskawicznie zerwała się z krzesła.

- Grace, chodźmy na dwór, porozmawiamy. - Objęła starszą panią ramieniem i zaprowadziła do przedsiionka. Pozostałym gościom oczy o mało nie wyszły z orbit, gdy odprowadzali je wzrokiem. Minęły płonące ślepie niedźwiedzia w świątecznym stroju, weszły do pustej sali, w której urządzano bankiety. Pescoli szła krok za nimi.

Kiedy tylko zostały same, Selena puściła starszą panią i zaatakowała:

- Skoro tak dobrze go znasz, daruj nam wszystkim mnóstwo zachodu i powiedz po prostu, kto to jest.

Grace zmarszczyła brwi. Rozcierała ramię, jakby ją bolało.

- Po co ta przemoc? Ja was tylko ostrzegam. Ją - Spojrzała na Pescoli.

- A to, że on jest myśliwym? - Alvarez nie dawała za wygraną.

- Poluje na ofiary. - Grace rozcierała bolące ramię z urażoną miną jakby nie pojmowała, czemu policjantka złości się na nią tylko dlatego, że podzieliła się z nią swoją mądrością. Alvarez nie poddawała się, nie dawała się nabrać na spojrzenie zranionej sarny.

- Więc dlaczego ostrzegasz akurat Pescoli?

- Kiedy kilka minut temu weszłam do restauracji, wyczułam zakłócenia w atmosferze i usłyszałam głos.

- I co powiedział? - Alvarez wydobywała z siebie nieznanne dotychczas pokłady cierpliwości.

- Regan Elizabeth Pescoli.

Alvarez spojrzała na partnerkę. Pescoli z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Wiesz, jak mam na drugie. - Spojrzała na starszą panią.

- Nie wiedziałam.

- Ale to nietrudno sprawdzić - zauważyła Alvarez, jednak Pescoli zaprzeczyła ruchem głowy.

- W inicjałach używam nazwiska panińskiego. Regan C. Pescoli. C jak Connors, nie E jak Elizabeth. Z Elizabeth rozstałam się w szkole średniej.

Alvarez przeszył dreszcz. Coś tu jest nie tak. I to bardzo. Pescoli powoli zbliżyła się do dziwacznej wiedźmy.

- Grace, skąd wiedziałaś, jak mam na drugie? Widziałaś mój akt urodzenia?

- Imię do mnie przyszło. Nie umiem tego inaczej wyjaśnić. Po prostu wiem, że grozi ci niebezpieczeństwo, i myślałam, że zamiast mnie szturchać i popychać, okażecie mi wdzięczność.

- Mamy jakiś problem? - Do sali bankietowej weszła Sandi. Jej zaciśnięte usta mówiły wszystko. - Mam pełną salę ludzi, którzy, jak porządni obywatele, przyszli do restauracji na niedzielny obiad po kościele, a tu taka scena! - Łypała znad oprawki okularów. - Może ta

knajpa nazywa się Dziki Will, ale to porządny lokal i nie życzę tu sobie żadnych aresztowań czy policyjnych awantur.

- Wszystko w porządku, Sandi - zapewniła Grace, spokojnie jak zwykle. - Chciałam je tylko ostrzec.

- Ostrzec?

- Wszystko jest pod kontrolą. - Alvarez wkroczyła do akcji. Pociągnęła Sandi za sobą do głównej sali. - Prosimy o rachunek.

- Chwileczkę. Zaraz wracam - rzeczywiście Sandi wróciła błyskawicznie z rachunkiem.

- Mogę już iść? - Grace spojrzała na Pescoli.

- W każdej chwili - mruknęła policjantka. Grace spojrzała na nią dziwnie i wróciła do sali jadalnej. Nawet jeśli poczuła ciekawski wzrok innych gości, nie dała tego po sobie poznać. Spokojnie wróciła do stolika.

Alvarez zabrała ich kurtki i podeszła do Pescoli.

- Wisisz mi dychę - powiedziała, zakładając puchówkę.

- Następnym razem ja stawiam.

- Koniecznie.

Wyszły na zewnątrz. Wiatr hulał po ulicy, niósł zapach rzeki. Alvarez spojrzała w niebo i zobaczyła ścianę chmur.

Poczuła dreszcz, taki sam jak podczas zajścia z Grace Merchant. Przeszły przez jezdnię na czerwonym świetle. Temperatura znowu spadała.

- Dobrze, że nie wcisnęłaś twarzy Grace w moje frytki - zauważyła Pescoli, jakby chciała rozładować atmosferę. - To dopiero byłaby scena. - Otworzyła drzwiczki i wsiadła do wozu.

- Sandi dostałaby ataku serca. - Alvarez zajęła fotel pasażera i rozcierała dłonie, chcąc się rozgrzać. - Co sądzisz o tym, co powiedziała?

Pescoli zerknęła w boczne lustro i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- O myśliwym? Kto to wie?

- Nie, o tobie. - Alvarez zapięła pas bezpieczeństwa. - O tym, że cię ostrzegła.

- Grace to wariatka.

- No tak, wiem, ale...

- Nie ma żadnego ale i nie waż się narzekać, że palę, jasne? To już ostatni. - Wyjęła ostatniego papierosa z paczki marlboro lights i Alvarez milczała, gdy uchyliła okno i wysunęła rękę z papierosem na zewnątrz. Nieważne, czy to przyznaje, czy nie, Regan Elizabeth Pescoli była poruszona do głębi. Przepowiednie Grace nie zawsze sprawdzały się co do joty, jednak na tyle często, że mogły wywołać niepokój.

- Jeśli świr po mnie przyjdzie, będę gotowa - syknęła. - Byłby idiotą żeby wybrać policjantkę.

- Może chce nam coś powiedzieć. Udowodnić, jaki jest bystry. Regan mocno zaciągnęła się papierosem i wydmuchała kłąb dymu kącikiem ust.

- Wiesz co? Jeśli ktoś coś do mnie ma, to tylko mój były. Lucky czepia się dzieci.

- Tak? Żachnęła się.

- Powinam mu je dać. Nie wytrzymałby nawet miesiąca. - Zmieniła pas i jechała teraz prosto na Boxer Bluff. Alvarez martwiło zajście w restauracji. Patrzyła w okno. Śnieg znowu padał. Poniżej huczał wodospad, spienione masy wody, nad którymi dwieście lat temu zatrzymali się pierwsi osadnicy. - Teraz Lucky jest fajny - ciągnęła Pescoli. - A ja jestem suką. - Zerknęła na Alvarez. - Mogę wygrać i przegrać jednocześnie.

Zadzwoił telefon komórkowy.

- Mój - mruknęła Alvarez.

- Grayson - szeryf mówił cichym, znużonym głosem. - Jillian Rivers wyszła ze szpitala na własne żądanie. W towarzystwie MacGregora.

Alvarez jęknęła.

- Czy ona oszalała?

- Nic na to nie poradzimy. Nie chce ochrony. Uważamy, że seryjniak na nią nie poluje i podejrzewam, że wyjedzie z okręgu. Federalnych ta sprawa nie interesuje, bo to nie porwanie ani nie element dochodzenia w sprawie se-ryjniaka.

- Świetnie.

- A będzie jeszcze lepiej - sapnął Grayson. - Przed chwilą zadzwoniła Chandler z Missouli. Hannah Estes zmarła dziś po południu. Ktoś wyłączył jej respirator, zanim federalni tam dotarli.

## Rozdział 27

Jedyny problem związany z powrotem do Spruce Creek był taki, że miasteczko leżało w przeciwną stronę niż Missoula, na północny zachód od Grizzly Falls. A Jillian była przekonana, że właśnie w Missouri kryją się odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale czy na pewno?

Nadal miała wrażenie, że czegoś jej brakuje, bardzo ważnego elementu, który jest tuż-tuż, w zasięgu ręki albo ukryty tuż pod powierzchnią świadomości. Ale zgodziła się na plan MacGregora, w nadziei, że w Spruce Creek się czegoś dowiedzą. W Spruce Creek, ostatnim miejscu, w którym się zatrzymała, zanim ktoś postanowił poćwiczyć strzelanie, obierając sobie jej subaru za cel.

Wjechali do miasteczka i bez trudu znaleźli kafejkę, w której się zatrzymała. MacGregor zaparkował. Jillian wyjęła kulę i razem z nim weszła przez wiekowe drzwi.

Kawiarenka Pod Czekoladowym Łosiem niczym się nie wyróżniała. Kiedyś był tu urząd pocztowy, potem sklep, następnie kafejka i restauracja zarazem, która teraz była w remoncie. Część ścian pokrywała farba niebieska, część musztardowożółta, a część - ceglasta czerwień, Jillian nie była pewna, czy to świadomy zamysł artystyczny, czy też właścicielowi po prostu skończyła się farba i znalazł w garażu jakieś resztki.

O ile wystrój wnętrza pozostawiał wiele do życzenia, nie można tego było powiedzieć o wierności nazwie. Miniaturowe łosie były wszędzie, a królował wielki łosiowy łeb wiszący nad nieczynnym już piecem. Na stolikach stały solniczki w kształcie łosi, łosie były na serwetkach, podkładkach pod talerze, obrusach i ścianach. Łeb łosia zdobił oparcie każdego krzesła. Kolekcjoner „łosionalistów” oszalałby ze szczęścia.

Pierwsze słowo, jakie przychodziło na myśl, to przesada.

Zamówili kanapki i kawę, usiedli przy stoliku wbitym między schody i okno, wychodzące na staroświecką werandę. Doniczki na parapecie, na razie puste i smutne, czekały na ocieplenie i świeże kwiaty.

- Pamiętam to miejsce. - Jillian przyglądała się sali, patrzyła na wysokie barowe stolki, oddzielające część kawiarnianą od restauracyjnej.

Dzisiaj w lokalu była zaledwie garstka gości: przeglądali gazety, sącząc kawę albo pracowali na laptopach.

- Poznajesz kogoś? Pokręciła głową.

- Bardzo się spieszyłam. Weszłam do środka, skorzystałam z łazienki i wzięłam kawę na wynos. Było kilku gości, mniej więcej tylu, co teraz, stałam za kobietą z małą córeczką mniej więcej pięcioletnią. Były okutane po uszy. Mała nie mogła się zdecydować, jaką chce babeczkę. Piły gorącą czekoladę. I tyle. Zamówiłam kawę, zapłaciłam i wyszłam, nie przejmując się pogodą.

- Nikt cię nie śledził?

- Nie zauważyłam.

Rozmawiali, pili, jedli, pogadali nawet z tą samą kelnerką która feralnego dnia obsługiwała Jillian. Przyznała, że policja pytała ją dokładnie o to samo i że tamtego dnia nie wydarzyło się nic szczególnego, zapewniała, wycierając bar.

Minus jeden. MacGregor pomógł Jillian wsiąść do wozu. Zawrócili. Tym razem jechali na południe, tam, dokąd zmierzała od początku - do Missouli.

Jillian zadzwoniła z komórki do matki. Zostawiła jej wiadomość, że wypisała się ze szpitala. Następnie wyjęła wizytówkę detektywa Alvarez i zadzwoniła pod numer widoczny na kartoniku.

Alvarez odebrała po drugim dzwonku i kiedy Jillian powiedziała, gdzie jest i co robi, tamta słuchała spokojnie i łaskawie przedstawiła najnowsze efekty dochodzenia. Darowała też sobie wszelkie uwagi na temat tego, co jej zdaniem Jillian powinna zrobić, a czego nie, których ta w głębi duszy się spodziewała. Zane prowadził z ponurą miną. Nie ufał policji z zasady i kto by mu się dziwił? Ale Jillian była zadowolona, że zadzwoniła. Jechali na południowy wschód, do Missouli.

Rozłączyła się i powiedziała po chwili namysłu:

- Uważają że nie padłam ofiarą seryjniaka. Zane zerknął na nią z ukosa.

- Jak to?

- Ich zdaniem ten, kto na mnie napadł, to naśladowca. Zwabił mnie tu i naśladował seryjniaka, żeby zbić wszystkich z tropu.

- Skąd ten wniosek?

- Nie wiem. - Przekazała mu wszystko, czego się dowiedziała, i dodała: - Oczywiście nie mówią mi wszystkiego, ale przynajmniej nie upatrył mnie sobie psychopata.

- Nie? Ktoś w każdym razie sobie ciebie upatrył. Chociaż może to lepiej, że to twój osobisty świr. Może istnieje jakiś logiczny motyw, który nas do niego doprowadzi. Lepsze to niż wariat, który wybiera kobiety na chybił trafił.

- No, nie wiem. Zane, ja go naprawdę muszę znaleźć. Powrót do domu niczego nie zmieni. Odnajdzie mnie i tam.

MacGregor zacisnął zęby.

- Właśnie dlatego jedziemy na wycieczkę. Tropimy myśliwego.

- Więc jesteś moim obrońcą? - Uśmiechnęła się pod nosem. Zwolnił na zakręcie.

- Mniej więcej. Zaczęło się od telefonów i zdjęć twojego pierwszego męża. Więc tu chodzi o niego, o kogoś, kto go zna.

- To wydaje się logiczne.

- Ale twoim zdaniem to nie twój były? Nie Rivers?

- Pomyślałam o nim tylko dlatego, że zdjęcia wysłano z Missouli, ale nie, nie sądzę, żeby się za tym krył. Chociaż na początku bardzo chciałam to wszystko wyjaśnić i dlatego jechałam do Missouli, do Masona.

- A teraz?

- Teraz nie pojmuję, dlaczego miałby robić coś takiego. Przemyślałam wszystko dokładnie i nie widzę powodu, dla którego miałby pragnąć mojej śmierci.

- A jego żona?

- Nienawidzi mnie, to fakt. Ale nie sądzę, żeby zrobiła cokolwiek, co mogłoby mnie tu zatrzymać. Sherice byłaby najszczęśliwsza, gdybym wyjechała na Alaskę, do Tokio czy do Istambułu. Im dalej, tym lepiej.

- Obawia się, że Mason nadal coś do ciebie czuje?

- Nie wiem, czego się obawia. Ona ma... kompleksy. Ale czemu miałaby mnie zabijać akurat teraz? Dlaczego miałaby mnie ściągać na swój teren tą sprawą z Aaronem? To bez sensu.

- Kto jeszcze z Missouli?

- Nikt nie przychodzi mi na myśl.



Jej słowa zawisły w powietrzu i następne kilometry pokonali w milczeniu. W Grizzly Falls, po tym, jak zatankowali do pełna i MacGregor oczyścił przednią szybę, zatrzymali się przy sklepiku na stacji benzynowej.

- Może twój prześladowca zastawił pułapkę i chce cię zwabić do Missouli? Dopadł cię w drodze, więc spodziewał się, że będziesz tamtędy jechała. Teraz wyszłaś ze szpitala. Są dwa wyjścia: albo wracasz do Seattle, albo jedziesz do Missouli. Znając cię, a zakładam, że cię zna, wie, co wybierzesz. Mam rację?

Poruszyła się i doświadczyła tego samego uczucia co w szpitalu, jakaś myśl dobijała się do jej świadomości, by po chwili zniknąć bez śladu.

- Mam rację?

- Tak... tak, coś tu jest nie tak. To znaczy, mnóstwo rzeczy. Ale jeszcze nie do końca doszłam do siebie i cały czas mam wrażenie, że umyka mi coś bardzo ważnego. - Zamyślona, wpatrywała się w deskę rozdzielczą. - Coś, co cały czas miałam pod nosem.

Począł jeszcze kilka sekund. Jillian nasłuchiwała odgłosów ruchu ulicznego, szumu silników, cichego syku powietrza, gdy ktoś pompował opony. Co to jest?

Dlaczego od Missouli, jedyne miejsce, do którego podróż wydawała się sensowna, wieje grozą?

Bo ten, kto chce cię zamordować, nieważne, jak się nazywa, nie jest idiotą. Missoula to przynęta. Wabik. A co potem? Jeśli nie pójdziesz tym tropem, co ci zostaje? Nie wrócisz do domu, nie schowasz głowy w piasek. Zrobiło jej się niedobrze na myśl, że porzucił ją na mrozie, nagą... naśladowca? Ktoś posłużył się pomysłem innego psychopaty, by się jej pozbyć. I dlatego to wszystko dzieje się właśnie teraz - jej osobisty świr wykorzystuje działania innego, by zatrzeć swoje ślady.

Teraz już nic go nie powstrzyma, za wszelką cenę będzie chciał dokończyć to, co zaczął. Wiedziała to, czuła. Na samą myśl o tym przeszył ją dreszcz.

MacGregor dotknął jej ramienia. Mało brakowało, a wyskoczyłaby z samochodu.

- On nie przestanie - powiedziała, przerażona i wściekła zarazem. - Ten, który chciał mnie zabić, nie przestanie.

- Masz rację. Czeka na okazję - przyznał MacGregor. Jillian skinęła głową, wpatrzona w boczne lustro, obserwując, jak do dystrybutora podjeżdża furgonetka. Facet przed trzydziestką zarośnięty, w czapce baseballowej na głowie, tankował, a jego żona, w bardzo zaawansowanej ciąży, robiła zakupy w sklepie. Mężczyzna spojrzął na nich. Jillian znieruchomiała.

Naprawdę musiał zatankować? A może ich śledzi? W furgonetce nie ma bocznych okien? Chwileczkę, a co z tą przyczepą za półciężarówką? Kierowca, potężny facet z kwaśną miną też na nich zerknął.

Wzdrygnęła się.

- Zimno ci?

- Nie. Jestem przerażona. Czy raczej... wpadam w paranoję. - Wpatrywała się w lustro, patrzyła, jak dwudziestokilkulatek kończy tankowanie.

- Niepotrzebnie.

Facet wszedł do sklepu i po chwili wyszedł w towarzystwie ciężarnej żony, z torebką chipsów, a kilka sekund później odjechali. Nagle przestali wydawać się podejrzani.

Jillian pokręciła głową.

- Ja... wszędzie widzę podejrzane cienie i to mnie wkurza. Wiesz, ten świr mnie załatwił.

Nigdy nie byłam tchórzem, nie chodziłam z ręką na gazie i nie instalowałam sobie poczwórnych zamków w drzwiach, nie inwestowałam w wyszukane systemy alarmowe, nie sprawiłam sobie wielkiego psa. Ja po prostu nigdy tak naprawdę się nie bałam. - Zerknęła na niego. - Do teraz.

- Przecież nie zaszyłaś się w bunkrze, nie chcesz ochrony policyjnej, nie bierzesz pod uwagę zmiany nazwiska.

- No nie, ale i tak mnie to niepokoi.

- Delikatnie mówiąc. Może zabraliśmy się do całej tej sprawy od niewłaściwego końca? Wygląda na to, że to wszystko zaczęło się dawno temu. Z pierwszym mężem.

- Myślisz, że naprawdę chodzi o niego?

- To z jego powodu wszystko rzuciłaś i tu przyjechałaś. - Choć nie dodał niczego więcej, niewypowiedziane pytanie zawisło między nimi: nadal go kochasz? Mimo że cię porzucił? Mimo tego, że upozorował własną śmierć?

Odpowiedź była jasna: nie. Aaron Caruso to naciągacz i drań, przed laty myślała, że go kocha, ale tak naprawdę w ogóle go nie знаła.

Ale jeśli żyje, jeśli zostawił ją samą z całym tym bałaganem, oddałaby wiele za pięć minut sam na sam.

Nawet jeśli próbował cię zabić?

Zrobiło jej się niedobrze. Niby po co miałby to robić? Ze względu na starą polisę ubezpieczeniową? Niemożliwe. Wtedy musiałby się przyznać, że żyje. Anie ma ku temu najmniejszego powodu.

- Opowiedz mi o Aaronie. - Mac Gregor przekręcił kluczyk w stacyjce. Stary silnik zakrzuszył się i ożył. - Już co nieco wiem, ale musimy rozłożyć jego życie na czynniki pierwsze.

Postawię ci piwo, a ty powiesz wszystko, co o nim wiesz. - Wskazał głową knajpę po przeciwnej stronie ulicy. Niski, podłużny budynek powstał w XX wieku. Miał werandę w stylu Dzikiego Zachodu. Okna zdobiły sztuczne witraże przedstawiające szczęśliwe bałwanki z wieńcami z ostrokrzewu. Za nimi widać było reklamy piwa.

- Ty to wiesz, jak poderwać dziewczynę - mruknęła, gdy wyjechał ze stacji benzynowej i zaparkował pod knajpą.

- Dla ciebie wszystko, co najlepsze.

- Ależ z ciebie czaruś. - Ogarnęło ją przyjemne ciepło. Co z nią jest nie tak? Zawsze pociągali ją niewłaściwi mężczyźni, czego najlepszymi przykładami są Aaron Caruso i Mason Rivers.

Postanowiła zostawić kulę w samochodzie.

Wsparta na ramieniu MacGregora, poruszała się swobodniej, niż przypuszczała. Weszli do knajpy. Na podłodze poniewierały się łupiny orzeszków ziemnych, w kącie trwała w najlepsze partia strzałek, telewizor nad barem pokazywał transmisję z meczu. Ponieważ w lokalu było tylko kilku gości, kelnerka zjawiała się przy ich stoliku, zanim Jillian na dobre usiadła.

Przypomniała sobie, że cały czas jest na środkach przeciwbólowych, więc choć miała wielką ochotę na piwo, postanowiła wykazać się zdrowym rozsądkiem.

- Dla mnie dietetyczna cola - oznajmiła.

- Co tak cienko? - zażartował MacGregor.

- Rzeczywiście, za cienko. Poproszę z cytryną.

- Odrobina szaleństwa, co?

Kelnerka, kobieta w średnim wieku z przepaloną trwałą i miną która świadczyła, że nic nie jest w stanie jej zaskoczyć, przewróciła oczami, ale po dwóch minutach postawiła przed nimi napoje i chipsy.

- Opowiedz o pierwszym, pani Jillian - poprosił MacGregor.

- Boże, zabiłby cię za to określenie. - Roześmiała się, bawiła się czarną słomką. - Straciłam dla niego głowę - przyznała. - Zakochałam się za bardzo, za szybko. Miałam wrażenie, że nasz romans rozwija się z prędkością światła, przynajmniej na początku.

Opowiedziała wszystko, co zdołała sobie przypomnieć na temat pierwszego męża. Jak wydawało jej się, że jest zakochana, i to do szaleństwa. Jak wyruszali na wyprawę w dalekie

egzotyczne miejsca. Jak wędrowali, zakochani w dzikiej przyrodzie. Aaron się wspinał, jeździł na nartach, żeglował.

Uważał cały świat za swój dom, chciał być wszędzie. I dlatego zawędrował do Ameryki Południowej

Mieli jechać razem, zapisali się na zorganizowaną wycieczkę, ale Jillian rozchorowała się tuż przed wyjazdem i Aaron niechętnie wyruszył sam, jednak miał opóźnienie i nie dogonił grupy. W Surinamie samotnie wyruszył w góry i przepadł.

Jillian, załamana, przez ponad rok liczyła, że wróci i to nawet po tym, jak się dowiedziała, że zdefraudował pół miliona dolarów. Zniosła gniew inwestorów i drobiazgowe dochodzenie policji i firmy ubezpieczeniowej, prasy i ofiar. Wszyscy podejrzewali ją o współudział i wzbogacenie się dzięki polisie na życie, ale to nieprawda. Niechętnie przyjęła do wiadomości, że jej ukochany okazał się oszustem, a jego zdrada tylko pogłębiała jej rozpacz.

- Wiesz, co to za uczucie, gdy wszyscy podejrzewają cię o coś tak straszego? - zapytała i od razu tego pożałowała, bo zobaczyła błysk w jego oczach i przypomniała sobie jego historię. - Przepraszam. Oczywiście, że wiesz.

- Mów dalej - zachęcił ją. Zacisnął usta.

- Niewiele zostało do powiedzenia. Pojechałam po niego do Surinamu, nawet zadarłam z lokalną władzą a to idiotyzm. Teraz uważam, że miałam szczęście, że mnie nie zamknęli.

Nieważne. Po trzech miesiącach dreptania w miejscu wróciłam do Stanów. Mniej więcej dwa lata później pogodziłam się z tym, że jestem wdową. Wtedy para niemieckich turystów znalazła jego plecak, wysoko w górach. Podejrzewano, że spadł, wylądował na dnie kanionu, a jego zwłoki były niewidoczne wśród gęstej roślinności. Wyślano tam ekipę poszukiwawczą ale wróciła z niczym. - Dopięła colę, w szklance zostały jedynie kostki lodu i plaster cytryny. -

Z czasem pogodziłam się z jego śmiercią że zginął tam, w górach, i wiesz co? Miałam wyrzuty sumienia, że mnie przy nim nie było. - Odetchnęła głęboko. - Nawet firma ubezpieczeniowa w końcu wypłaciła mi jego ubezpieczenie na życie. Dzięki tym pieniądzom spłaciłam inwestorów, tylko częściowo, ale zawsze coś. No i prawnicy... - Uśmiechnęła się gorzko. - Powiedzmy, że się na tym nie wzbogaciłam.

- A kilka lat później wyszłaś za Masona Riversa. Komicznie przewróciła oczami.

- Kolejny świetny pomysł.

- Który mieszka w Missouli.

- Tak jest.

MacGregor pochylił się i wyjął komórkę z jej kieszeni.

- Może do niego zadzwonimy? Co ty na to?

Alvarez siedziała za biurkiem, wpatrzona w monitor, że szklanką wody w rękę. Czuła nieprzyjemną suchość w gardle, miała katar, ale objawy grypy czy przeziębienia zeszły na dalszy plan, gdy czytała:

„Beware the scorpion”.

„Strzeż się skorpiona”. Cokolwiek to znaczy. Powtarzała sobie, że pewnie się myli, ale mrowienie na karku podpowiadało, że trafiła na coś ważnego. Kątem oka dostrzegła Pescoli, która włożyła kamizelkę i szła do drzwi.

- Spójrz na to! - zawołała ją i wyjęła chusteczkę z pudełka na biurku. Wytarła nos i cisnęła zużyłą chusteczkę do przepełnionego kosza na śmieci.

- Co? - Pescoli podeszła do biurka i rzuciła okiem na monitor. - „Strzeż się skorpiona”? - przeczytała na głos. - Co to ma znaczyć, do cholery? O Jezu...

A więc i ona to widziała.

- W tym zdaniu są wszystkie litery z listów - Alvarez pokazała ostatni. Leżał na jej biurku:

WAR        T    HE                    SC                    I    N

Regan poruszyła ramionami, żeby kurtka dobrze leżała. Zmarszczyła brwi.

- Zauważyłam, że między literami są odstępy, jakby na kolejne litery. Więc uzupełniłam luki: „beWArE THE SCOrpIoN”.

- Myślisz, że to wiadomość? - Pescoli zastanawiała się na głos. - Wszystkie litery w tej samej kolejności i kilka nowych. Bardzo sprytnie to wymyśliłaś, ale co z tego? Skorpion to on?

- Odkąd Halden powiedział o Pasiu Oriona, ciągle zbieram informacje o tej konstelacji i mitach z nią związanych. - Alvarez wskazała wykresy Craiga Haldena. Leżały na stercie papierów.

- W mitologii greckiej, według jednej z wersji, Orion zginął od ukąszenia skorpiona i wtedy trafił na firmament.

- Ci Grecy niezłe kombinowali. - Pescoli wpatrywała się w monitor, jakby był kryształową kulą która zdradza tajemnice przyszłości. - Ale co to znaczy? Strzeż się go? To chyba zrozumieliśmy.

- Chce nam powiedzieć - Alvarez podniosła głowę - że skoro gwiazdy na drzewie i kartkach to elementy konstelacji Oriona, a litery to inicjały ofiar, to...

- To jeszcze wielu ofiar nie znaleźliśmy, a inne zostaną porwane - W głosie Pescoli Alvarez słyszała własne zmęczenie.

- A Jillian Rivers nie jest jedną z nich, jak podejrzewaliśmy. Co tylko potwierdza wersję: na nią poluje jej własny świr.

- Który nadal jest na wolności. Wołałabym, żeby Rivers została w szpitalu.

- To fakt. - Alvarez również nie podobało się, że Jillian się wypisała. Co prawda zadzwoniła i dowiedziała się, że seryjniak na nianie poluje, ale nadal grozi jej niebezpieczeństwo. Alvarez jej to powiedziała, nie mogła jednak siłą zatrzymać jej w okręgu Pinewood.

Pescoli pokręciła głową.

- Może źle interpretujesz przekaz z listów? Może to pomyłka? Za dużo środków przeciwbólowych i maligna.

- To nie grypa.

- No dobra, cokolwiek.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie jest nic konkretnego. I wiem, że można wstawić inne litery, odczytać to inaczej. Ale mam przeczucie, że chodzi właśnie o to.

- Niech będzie. - Pescoli założyła ręce na piersi. - To oznaczałoby, że już wybrał przyszłe ofiary, tak? Potrzebne mu określone kobiety, takie, których inicjały uzupełnią luki w listach.

- Ale nie możemy przecież ostrzegać wszystkich kobiet na przestrzeni szesnastu kilometrów kwadratowych. Nie możemy im powiedzieć: jeśli pani imię zaczyna się na B albo E, proszę wyjechać.

- Ale możemy przejrzeć zgłoszenia osób zaginionych i sprawdzić, czy są wśród nich osoby o inicjałach... - Pescoli przyglądała się kartce Alvarez - na litery: B, E, E, O, R, P, O. - Zapisała je na marginesie i uśmiechnęła się pod nosem: - Beeorpo. Brzmi jak jeden z kosmitów, którzy porwali Ivora Hicksa.

- To niezły pomysł, żeby przejrzeć listy zaginionych - przyznała Alva-rez. Może dzięki temu potwierdzi się jej wersja napisu z kartek od mordercy.

- Chwileczkę. - Regan, jeszcze przed chwilą uśmiechnięta, nagle spoważniała. - Zauważyłaś, że jest tu R i P?

- Nie.

Pescoli się zachnęła.

- Nie ma S ani A, więc tobie nic nie grozi.

- To tylko teoria - zauważyła Alvarez.

- Którą wymyśliłaś po tym, jak stuknięta Grace Perchant zobaczyła duchy dokoła mnie. -

Pescoli odgarnęła niesforny kosmyk i westchnęła. - Gorzej już chyba być nie może. Spadam stąd.

Alvarez, znużona, sięgnęła po wodę, tylko po to, by się przekonać, że szklanka jest pusta. Odstawiła ją na biurko i starała się odzyskać entuzjazm.

- Może to nic wielkiego - mruknęła pod nosem. - Ale zawsze coś. - Wytarła nos.

- Ale i tak niczego nie wiemy. - Regan zapięła kurtkę. - Nawet jeśli rozwiązałaś krzyżówkę, nadal nie znamy odpowiedzi na główne pytanie: kim jest skorpion?

- Wódkę z tonikiem - mówię do kelnerki. Uśmiecha się szeroko w nadziei na duży napiwek. - Z lodem. - Jestem zdenerwowany, czekam na drinka, gapię się w ekran cholernego telewizora i widzę, jak Jillian Rivers, ta oszustka, trafia do szpitala. To informacja sprzed kilku dni, ale w wiadomościach znowu mowa o morderstwach - pokazano wszystkie miejsca zbrodni, wymieniono nazwiska wszystkich ofiar: Theresa Charleton, Nina Salvadore, Wendy Ito, Rona Anders, Hannah Estes i Jillian Rivers.

Niczego nie rozumieją.

Jak zawsze.

Durnie!

Kim jest naśladowca? Niemożliwe, żeby wiedział, co robię, niemożliwe, żeby ściągnął mój genialny plan. Policjanci chyba zdają sobie sprawę z różnicy. A może nie? Ukrywają to przed opinią publiczną czy tacy z nich idioci?

Kelnerka stawia przede mną drinka, piję, czuję, jak wódka spływa mi do gardła, rozpala przyjemnie żołądek... Już wkrótce przeniknie do krwiobiegu. I dobrze.

Jestem zły na naśladowcę. Odbiera mi moje dzieło, ba, niszczy je. Co za kretyn ingeruje w mój plan? Kim jest? I dlaczego policja dała się nabrać?

Czekałem tyle czasu, planowałem każdy szczegół, a teraz jakiś kretyn wszystko psuje. Czuję narastający ból głowy. Zamawiam następnego drinka. Kostka lodu wpada mi do ust. Miażdżę ją zębami.

- Jeszcze raz to samo? - pyta kelnerka Taffy, zaskoczona, że już wypilem drinka, którego zazwyczaj powoli sączę. Jest tu nowa, pracuje dopiero od kilku miesięcy, ale już mnie rozpoznaje.

Kiwam głową. Nie odrywam oczu od ekranu.

Jillian Rivers wyszła ze szpitala, ale nie wygłasza żadnego oświadczenia. Na ekranie jest za to inna, starsza kobieta... jej matka! Wygląda, jakby przed chwilą wyszła z salonu piękności, papple coś, jak się cieszy, że córce nic nie grozi, że się o nią martwiła, bla, bla, bla.

Czy oni nie rozumieją?

Jillian Rivers to pomyłka.

Ten, kto porzucił ją w lesie, jest oszustem.

To nie tak!

Zaciskam pięści. Kelnerka, drobna dziewczyna o oczach sarny i małych. .. za małych piersiach przygląda mi się czujnie. Spokojnie. Niech nikt nie zacznie cię podejrzewać.

- Coś nie tak? - pyta Taffy, ale widzi, że pochłania mnie program telewizyjny.

- Wszystko w porządku. Świetnie. - Odprężam się i z trudem uśmiecham.

- No tak, wszystko jasne.

Na pewno nie, idiotko. Niczego nie rozumiesz, nie wiesz nawet, czym się różnią poszczególne drinki.

- Denerwujesz się mordercą?

- Nic dziwnego.

- Fakt. Tony i ja, mój chłopak, nie ryzykujemy. Umocowaliśmy strzelbę tak, że wypala, gdy ktoś otwiera drzwi.

Tony i Taffy. Jakie to słodkie.

- A drzwi kuchenne?

- Pilnuje ich Ferdinand, nasz pies, mieszaniec dobermana i owczarka niemieckiego.

- Nie obawiacie się, że postrzelicie kogoś z rodziny albo przyjaciół? Taffy, bardzo dorosła w wieku dwudziestu jeden lat, kiwa głową tak energicznie, że kołysze się niezdarnie upięty kok.

- Wszyscy wiedzą, że muszą do nas dzwonić, zanim przyjdą. Jeśli nie, ryzykują.

- Mam nadzieję, że babcia nie zapomni i nie przyjdzie z prezentami

- mówię bez namysłu. To wpływ wódki. Kelnerka patrzy na mnie dziwnie.

- Żartuję. - Śmieje się. - Wszyscy jesteśmy spięci. Ja ostatnio zainstalowałem sobie judasza w drzwiach i zabiłem okna deskami!

- Nie!

- Jak Boga kocham! - Podnoszę prawą rękę z uśmiechem, choć najchętniej walnąbym sukę z całej siły. - I śpię z magnum pod poduszką. Czter-dziesiątką.

- Naładowanym?

- Pewnie. Po co mi pusty? - Upijam kolejny łyk. - Nie żartuję.

- O kurde. Chwytam.

Nieprawda. Niczego nie chwytasz, kretynko. Nigdy nie chwycisz.

Zbiera puste szklanki z baru, a ja powoli piję drugiego drinka. Muszę uważać. Nie chcę wzbudzać podejrzeń. Wszyscy patrzą na siebie z ukosa, przyjaciele, kochankowie, rodzice i dzieci.

Nie rozumieją.

I nigdy tego nie pojmą.

Są głupi jak Taffy.

Ale to nie problem. Właściwie to działa na moją korzyść. Czas dać o sobie znać i to głośno.

Zwrócić uwagę gliniarzy. Znowu patrzę na ekran - szeryf na miejscu zbrodni. Rozpoznaję ich

- Grayson, Watershed... i dwie kobiety.

Znowu rozgryzam lód i rozkoszuję się jego zimnem w połączeniu z ciepłem wódki.

Na ekranie spokojna, ciemnowłosa kobieta - Alvarez - analizuje miejsce zbrodni przed starym zajazdem. Ma w sobie latynoską krew - zdradzają to nie tylko ciemne włosy, oliwkowa cera i nazwisko, ale też błysk w ciemnych oczach. To złożona osobowość, chowa karty przed innymi graczami, i nikt nie wie, co się kryje za spokojną fasadą. A zapewne sporo. Jest drobna, ognista i jak się domyślam, ma swoje powody, by trzymać wszystkich na dystans.

Jest mądra, jej stopnie naukowe są tego dowodem. I sprytna, i gdzieś w głębi duszy okrutna.

Widzę to w zarysie jej szczęki, w ostrych kościach policzkowych.

Godna przeciwniczka.

Jeszcze ta druga, Regan Pescoli. Przyglądam się jej. Kolejna interesująca kobieta, właściwie przeciwieństwo partnerki. Pescoli niczego nie ukrywa. Od razu kładzie karty na stół i od razu wiesz, na czym stoisz. Silna osobowość. Jej rodzina się rozpada.

Biedactwo.

Pewnie, że się rozpada, cholerna pracoholiczko. Co z ciebie za matka, co z ciebie za żona?

Pescoli, zawsze byłaś i zawsze będziesz nieudacznicą.

Ale jaką piękną.

Silna, bystra i och, jakże przewidywalna.

Regan Pescoli niełatwo da się złamać... Ale każdy w końcu ulega.

Rozgryzam lód i patrzę na nią, póki nie zniknie z ekranu.

Detektyw Pescoli...

Szykuj się. Szczęście wkrótce cię opuści.

## **Rozdział 28**

Mason Rivers wołał nie wychylać nosa z ukrycia.

Nie było go w biurze, ale tego można się spodziewać. W końcu to niedziela.

Nie odbierał telefonu komórkowego.

Nie było go w domu. Podobnie jak Sherice. A jeśli nawet tam byli, nie odbierali telefonu stacjonarnego.

Była jeszcze jedna ewentualność: sprawdzał, kto do niego dzwoni i nie przyjmował rozmów z zastrzeżonych numerów.

- Mam już dosyć - przyznała Jillian, chowając komórkę do kieszeni. - W kółko ta sama wiadomość na jego sekretarce.

MacGregor z uwagą przyglądał się resztkom w szklance; zdaniem Jillian bardziej przypominały spienioną kawę niż piwo.

- A jednak mam wrażenie, że jest w to wplątany, pytanie tylko, świadomie czy nie. Ten, kto cię zaatakował, wiedział, że od razu uznasz, iż to jego sprawka i wyruszysz właśnie tutaj.

Spod ściągniętych brwi patrzyła, jak kelnerka przynosi kolejne napoje, krzywi się na widok nietkniętych chipsów i znika za barem.

- Naprawdę świetnie, że reaguję jak pies Pawłowa. - Poruszyła się niespokojnie. Jej zębra nadal dawały się we znaki. Dobrze chociaż, że znowu może się śmiać. I oddychać. Ale o kaszlu nadal nie ma mowy.

- Co nagrał?

- „Przykro mi, nie ma mnie w domu, zostaw wiadomość, oddzwonię”. - Zawahała się. - Ale na telefonie w biurze zostawił inną. „Na kilka dni wyjeżdżam z miasta, w razie konieczności proszę się kontaktować z moją sekretarką...” - Wróciła myślami do czasów ich małżeństwa. Ile razy słuchała głosu Masona na sekretarce. Nie zmieniły się słowa ani intonacja. I wtedy coś sobie przypominała. Przeszył ją lodowaty dreszcz.

- Co?

- Mieliśmy z Masonem mieszkanie w Spokane. Po rozwodzie on je zatrzymał. Sama nie wiem... Zostawiał taką zapowiedź, ilekroć wyjeżdżał z miasta i przypominało mi się, jak uciekał do Spokane.

- Co przez to rozumiesz?

- Mason miał licencję prawniczą stanu Waszyngton. Może zatrzymał to mieszkanie.

- I?

Strzępy pomysłów, ułamki wspomnień, które nie dawały jej spokoju, nagle złożyły się w jedną całość.

- To pewnie nic takiego, ale Aarona zawsze fascynowało Spokane. Co prawda jego fascynowało wiele miejsc, ale pamiętam, jak mówił, że jeśli kiedykolwiek chciałby gdzieś zamieszkać na stałe, to właśnie tam. Spokane, Bend w Oregonie albo Colorado Springs... W pobliżu jeziora Tahoe. Ale Spokane przede wszystkim. Może właśnie to miejsce łączy go z Masonem?

MacGregor przyglądał się jej uważnie i intensywnie myślał.

- Myślisz, że Spokane to klucz do zagadki? Jillian nagle podniosła głowę.

- Masz przy sobie te zdjęcia Aarona, które dostałam w Seattle? Te, od których wszystko się zaczęło?

- Kopie - zaznaczył. - Oryginały nadal ma policja. Są w samochodzie, zaraz przyniosę. - Nie zdążyła dodać ani słowa więcej, bo już wstał i wyszedł. Minął okna spryskane sztucznym śniegiem i reklamy piwa.

Pochopnie doszła do wniosku, że powinni jechać do Spokane, a nie do Missouli, i nagle poczuła się nieswojo. Niespokojna, z trudem wytrzymała dwie minuty do powrotu MacGregora. Położył zdjęcia na stole.

Wpatrywała się w ziarniste fotografie, ale po chwili pokręciła głową.

- Sama nie wiem. Za ciemno tu.

- Zaraz to załatwimy. Już. - Skinął na kelnerkę, rzucił na stół kilka banknotów i wyszli na zewnątrz. Dwójka gości odprowadziła ich wzrokiem - kobieta przy drzwiach i facet przy barze, który gapił się albo w swoją szklankę, albo w ekran telewizora. Jillian poczuła na sobie jego wzrok. Obejrzała się przez ramię. Szybko odwrócił wzrok, jakby się zawstydził, że go przyłapała.

A może chodzi o coś więcej?

Nie czekała, co będzie dalej, tylko najszybciej jak mogła pokuśtykała do samochodu. MacGregor wyjął ze schowka lupę i latarkę.

- Kto wozi lupę w aucie? - zdziwiła się. MacGregor oczyścił soczewkę rękawem bluzy.

- Mój kumpel, który pożyczył nam wóz. Jest trochę...

- Szurnięty? Ma manię prześladowczą?

- Dziwny. - Podał jej lupę. Oglądała zdjęcie, szukając jakiegoś drobiazgu, elementu, który zdradzi, gdzie w tamtej chwili znajdował się Aaron albo jego sobowtór. Nie dostrzegła jednak żadnego szyldu z nazwą ulicy, wystawy sklepowe były zwykłe i anonimowe, takie same, jak w tysiącach miasteczek w całych Stanach.

- To może być gdziekolwiek - stwierdziła w końcu. - Zresztą policjanci też pewnie wpadli na ten sam pomysł.

- Pewnie tak. I może wiedzą coś, czego nie chcą nam powiedzieć. Ale jeśli nie prześwietlili Masona na wylot, mogli nie natrafić na Spokane.

- Był tam chyba tylko konsultantem, nie związał się z żadną kancelarią. Ale nie wiem na pewno.

- Wiem, że pewnie nie możesz w to uwierzyć, ale od twojego porwania nie minęło jeszcze dużo czasu, a do tego mają na głowie inne ofiary, więc myślę, że dotrą i do Spokane, wkrótce, jeśli jeszcze nie teraz.

- Jak myślisz, powinniśmy im to powiedzieć? MacGregor zacisnął usta w wąską kreskę.

- Pewnie tak. Ale wiesz, jaki jest mój stosunek do policji. Przekonajmy się najpierw, czy twój był tam jest. Musimy mieć coś więcej, jakieś dowody.

Znów spojrzała na zdjęcia, analizowała je milimetr po milimetrze, ale nawet szkło powiększające nie pomogło.

- To bez sensu - stwierdziła. - Nic nie widzę. Fotograf był bardzo ostrożny.

- Każdy w końcu popełnia błąd.

- Oby - mruknęła i wtedy coś zauważyła, coś, co zapewne uszło uwagi fotografa. - Coś tu jest... w lusterku autobusu. To tylko smuga, ale może to litery, odbity szyld albo... Może uda się to odczytać...

MacGregor skierował światło latarki i lupę we wskazane miejsce. Litery nie stały się przez to bardziej widoczne.

- To pewnie nic takiego - powiedział, ale sięgnął po komórkę, wybrał numer i zaczął mówić: - Patrzyłeś na zdjęcie numer dwa? Na którym obiekt przechodzi przez jezdnię? Tak... tak. Nie, nam też się nie udało, ale Jillian uważa, że może coś się da odczytać z lusterka autobusu. Powiększ to, zobacz, co się da z tym zrobić i oddzwon. Tak? No dobra... To chyba jasne. Tak jest.

- Rozłączył się i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Chilcoate? - domyśliła się. MacGregor opowiedział jej o starym kumplu, który miał wobec niego dług wdzięczności i spłacał go teraz z ochotą.

- Owszem. - MacGregor wycofał samochód z parkingu i skręcił w stronę autostrady między stanowej. Od Spokane dzieliło ich niecałe dwieście czterdzieści kilometrów, ale warunki atmosferyczne znacznie wydłużają podróż. - W schowku jest kluczyk. Poszukaj go. Posłusznie otworzyła schowek i po chwili trzymała kluczyk w dłoni.

- Otwórz skrytkę na drzwiach pasażera - polecił.

- Co?



- Tu, koło twoich stóp.  
- Jeszcze czego - mruknęła, ale po chwili skrytka stała otworem. Leżał w niej mały arsenał, dwa pistolety i nóż myśliwski. - To chyba nielegalne.  
MacGregor tylko się uśmiechnął.  
- Myślisz, że będą nam potrzebne?  
- W środku jest też amunicja. Załaduj pistolet, schowaj nóż, załaduj drugi i daj mi.  
- Nie musimy mieć pozwoleń ani... Dobra, zapomnij, że oto pytałam  
- poddała się. Wyjęła pistolety.  
- Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu?  
Żachnęła się i załadowała pierwszy pistolet, glocka, cięższego, niż się wydawał na pierwszy rzut oka.  
- Jeśli w Spokane coś jest, znajdziemy to.  
- Moja dziewczyna - nacisnął pedał gazu, a Jillian sięgnęła po drugi pistolet. Jego dziewczyna?  
O, cholera.  
Pewnie nawet sobie nie zdawał sprawy, jak bardzo.

Pescoli zjadła późny lunch i krążyła wśród sklepów w starym centrum handlowym Flagstone, wiedząc, że tylko tu znajdzie coś, co spodoba się dzieciom. Znowu padał śnieg. Spokojnie, nie było śnieżycy, ale w tym roku zima oszałała i zamieć mogła nadejść w każdej chwili, i choć z Missouli wcale nie jest daleko do domu, wołałaby wracać jak najszybciej.

Do domu. I do pracy.

Odkąd Hannah Estes wydała ostatnie tchnienie, z małą pomocą kogoś z zewnątrz, jeśli wierzyć sprawozdaniom FBI, stali w miejscu, czekali, aż coś się wydarzy, aż pojawi się nowy trop. Na razie, mieli jedynie teorie.

Weszła do drogerii, w której można było kupić dosłownie wszystko, od rajstop po środki przeciwbólowe, od płynu do czyszczenia po kaptcie. Buszowała w tłumie innych klientów, szukających idealnych prezentów przy akompaniamencie świątecznej muzyki. W akcie rozpaczy wzięła dla Cisco zabawkę w formie wesołego elfa - z przyjemnością porwie ją na strzępy - kuferek na przybory do makijażu i kilka produktów do pielęgnacji włosów dla Bianki, dorzuciła kilka koszmarnych lakierów do paznokci, bardzo modnych, według szesnastoletniej sprzedawczyni. Dla Jeremy'ego wzięła kilka płyt CD i DVD i pudełko na czyste płyty. Jeremy'emu nie spodoba się pewnie ani jedno, ani drugie. Do kufereka na kosmetyki i pudełka na płyty wsunęła po dwadzieścia dolarów. Na koniec dorzuciła jeszcze grę planszową dla całej rodziny. Niedużo, ale musi wystarczyć.

Zadowolona, że Boże Narodzenie nie będzie klęską na całej linii, włożyła do wózka jeszcze kilka produktów i wyruszyła do domu, chcąc porozmawiać z Jeremym. O ile będzie w odpowiednim nastroju. A nawet jeśli nie będzie. Ponieważ formalnie nie skończyła jeszcze pracy, za kilka godzin będzie musiała wrócić do miasta. Może zdąży na siódmą na kolację. Do tego czasu Bianca powinna już wrócić i może uda im się posiedzieć trochę razem. Zerknęła na zegarek. Już po trzeciej, dochodzi czwarta. A więc kolacja przesunie się na ósmą. Trudno.

Dzisiaj zjedzą wszyscy razem, bez telewizora, iPod'a, komórek, komputerów i Bóg wie czego jeszcze. Usiądą razem do stołu po raz pierwszy od... o Boże... nie pamiętała, od kiedy. Na pewno nie od zeszłej Gwiazdki.

Poruszyła zdrętwiałym karkiem i wyjechała z Missouli. Mijała ośnieżone wzgórza w drodze do Grizzly Falls. Pogoda znowu się zmieniała, na szosie wyrastały śnieżne zaspas, jej wycieraczki dzielnie walczyły z białym puchem. W takie dni rozumiała ludzi, którzy zamieniali trawnik przed domem na piaszczystą plażę, a choinkę na palmę.

Samochód Jeremy'ego stał tam, gdzie zawsze, i od razu poczuła się odrobinę lepiej. W głębi duszy obawiała się, że wyszedł, pojechał nie wiadomo dokąd, oburzony, że coś mu narzuca. Ulżyło jej, gdy zobaczyła śnieg na jego wiekowym samochodzie. Wjechała do garażu, zamknęła drzwi i wtedy poczuła, że coś jest nie tak. W domu było cicho. Za cicho.

Dlaczego po drugiej stronie drzwi nie szczeka pies?

Głęboko zaczerpnęła tchu.

Wyjęła broń z kabury pod pachą, odbezpieczyła. Nie jest idiotką, nie zastrzeli własnych dzieci, nawet jeśli nagle na nią skoczą, ale miała przeczucie... Otworzyła drzwi powoli, ostrożnie, powitała ją chłodna ciemność. Na choince nie paliły się lampki, nikt nie zapalił świeczek, z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk.

Przeszył ją dreszcz. Oczami wyobraźni zobaczyła ofiary seryjniaka, przywiązane do drzew, nagie, sine, wpatrzone niewidzącym wzrokiem we własne cierpienie.

Pomyślała o Bianca, kątem oka dostrzegła jej zdjęcie na półce. Miała wtedy siedem lat, pierwsze stałe zęby wydawały się za duże w małej buźce, dominowały w szerokim, szczerbatym uśmiechu.

Boże, błagam, niech będą cali i zdrowi.

Jeremy. Co morderca zrobił jej synowi?

Przełknęła strach. Nie może tak myśleć. Lada moment dzieci rzucają się jej na szyję i przerażają śmiertelnie. Powoli przechodziła od pokoju do pokoju... Ale nawet jeśli dzieciaki potrafią zachować milczenie w tej makabrycznej zabawie, co z psem? Cisco nie potrafi się zamknąć.

O Boże.

Usłyszała rytmiczny stukot i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to bicie jej serca. Zajrzała do pokoju Bianki. Wyglądał, jakby córki nie było w domu. Potem łazienka. To samo. Ale pies? I Jeremy? Wyjechał z kumplem? Wybrała numer syna i czekała, mając nadzieję, że zaraz usłyszy jego dzwonek, refren z rockowego przeboju, który uwielbiał. Nic.

Wykręciła numer Bianki.

To samo. Nikt nie odbiera, w domu nie słychać dzwonka.

Zrobiło jej się słabo. Coś im się stało. Kochanym dzieciaczkom.

Nie, tylko nie to. Nawet o tym nie myśl. Nie pozwól, żeby praca rzucała ci się na mózg. Skoro ich tu nie ma, są ze znajomymi albo z cholernym ojcem...

Zbiegła ze schodów, skrzypiących pod jej ciężarem. Teraz nie ma powodu, by zachowywać się cicho.

- Jeremy?! Bianca?! - wołała. Nic.

Tylko skrzypienie starych desek, szum pieca, pohukiwanie wiatru za oknami.

- Cisco! Chodź do mnie, piesku!

Drzwi do pokoju Jeremy'ego były uchylone, na ścianach tańczyły dziwaczne turkusowe cienie. Pchnęła drzwi i zajrzała do środka. Dziwaczne cienie rzucała lampa - pływające krople oleju czy co tam to jest sprawiały, że atmosfera w pokoju była niespokojna.

Nikogo.

Nawet psa. Zobaczyła zdjęcie ojca Jeremy'ego tam gdzie zwykle i pomyślała: Tak mi przykro, Joe. Przykro mi, tak, ale czemu, do cholery, zginąłeś?

Wyszła z pokoju, wróciła na górę i stała w kuchni, gdy rozdzwoniła się jej komórka.

Dzieci!

Na wyświetlaczu pojawił się numer Lucky'ego.

Zrobiło jej się słabo i jeszcze zanim się przywitani, wiedziała, że usłyszy coś, co nie przypadnie jej do gustu.

- Cześć, Lucky. Tylko mi nie mów, że dzieci są u ciebie.

- Owszem.

- Zabrałeś je?

- Nie było cię w domu.

- Byłam w pracy. Rozmawialiśmy o tym.

- Zadzwoił Jeremy. Przyjechałem po niego. - Zapadła długa, znacząca cisza. Pescoli ciężko oparła się o ścianę, bo w głębi serca wiedziała, że usłyszy przykre nowiny. Nie myliła się. - Rozmawialiśmy długo, dzieci, Michelle i ja...

Ty cholerny sukinsynu.

- I razem doszliśmy do wniosku, że Jeremy i Bianca powinni zamieszkać z nami. Kolana ugięły się pod nią, gdy spełniały się jej najgorsze obawy. Wcisnęła się w kąt.

- Nie wszyscy doszliśmy do takiego wniosku. Ja też mam tu coś do powiedzenia. Jestem ich matką. ,

- Ale...

- A stan Montana, o ile zapomniałeś, to mnie przyznał nad nimi opiekę.

- Wszystko się zmienia. Wtedy, przyznaję, nie byłem ideałem, ale teraz, kiedy pobraliśmy się z Michelle....

- Słuchaj! - Gniew ją rozpałał, tłumiał rozpacz. - Nie wyjeżdżaj mi tu tylko z rolą szczęśliwego małżonka lalki Barbie, bo ja się na to nie nabiorę! Jest za młoda na matkę.

- Myślałem, że się ucieszysz, wiedząc, że nic im nie jest - oznajmił chłodno, z wyrzutem, ale i satysfakcją, jakby bawiło go doprowadzanie jej do takiego stanu. Jeśli tak, to mu się udało. Nie po raz pierwszy, robił to także, gdy byli razem. W jednej chwili czarujący, w następnej pluł jadem.

- Nie stać cię na regularne płacenie alimentów, a teraz chcesz sam wychowywać dzieci? Wracaj na ziemię.

- No właśnie, skoro o tym mowa. Sytuacja się zmieni. Teraz to ty będziesz mi płaciła. W tym momencie straciła wszelką nadzieję na dobre stosunki z Luckym. Więc o to mu chodziło. O pieniądze. Och, oczywiście, kocha dzieciaki na swój specyficzny sposób, ale naprawdę interesują go pieniądze. Zawsze narzekał, że go oskubała podczas rozwodu i strasznie się o to złościł, choć nie miał racji. Wzięła dom, bo go spłaciła, i dzieci, bo miała stałą pracę, on jednak nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. A teraz wykorzystuje jej stałą, ale i absorbującą pracę jako broń przeciwko niej. Co za drań.

- Dzieci mają dzisiaj wrócić do domu.

- Nie ma szans.

- A Cisco? Mojego psa też zabrałeś?

- Wyjaśnijmy sobie jedno: nie zabrałem ci dzieci. Pojechały ze mną z własnej woli, bo matka nie ma dla nich czasu, a potrzebują w życiu stabilizacji.

- Z tobą? - Nie wierzyła własnym uszom.

- A jeśli chodzi o Cisco, to pies Jeremy'ego, więc tak, on także tu jest. Spojrzała na puste psie miski i ogarnął ją dziwny smutek, inny niż świadomość, że dzieci wybrały ojca i macochę. Poczwała łyż pod powiekami, ale nie, nie rozpłaczę się.

- Spakuj dzieciaki, Lucky - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Jadę po nie. Cisco też. Chcę mieć mojego syna, córkę i psa. Jadę po nich, jasne?

- To samochód Masona? - zapytał MacGregor. Podjechali pod mieszkanie Masona w Spokane. Mieściło się w czteropiętrowym budynku. Na każdym piętrze było tylko kilka apartamentów. Do holu prowadziły drzwi zamykane na zamek elektroniczny. Miejsca parkingowe urządzono pod budynkiem. Jillian i Zane zaglądali przez kratę do garażu, który mieścił się na parterze, tam, gdzie nie było sklepów i punktów usługowych. Jillian wyteęzała wzrok, szukając starego miejsca parkingowego Masona. Dostrzegła tam nowego białego mercedesa.

- To jego miejsce, nie wiem, czy to jego samochód, ale zakładam, że tak.
- Więc złóżmy mu wizytę.
- Trzeba mieć klucz, inaczej...
- Wiem. Musimy tylko chwilę poczekać.

Miał rację. Kupili kawę w sklepiku na rogu i czekali. Po kilkunastu minutach brama się otworzyła, wyjeżdżał długi cadillac. Zane pomógł Jillian wślizgnąć się do garażu, zanim drzwi się zamknęły. Drzwi do windy były otwarte. Wcisnęła guzik czwartego piętra, tak samo jak przed laty, gdy była żoną Masona.

Winda jechała powoli. W końcu zatrzymała się na czwartym piętrze. Hol powitał ich przytulnymi kanapami, kwiatami w doniczkach i chodnikami. Wsparta na ramieniu MacGregora, Jillian kroczyła korytarzem w stronę drzwi ukrytych w małej wnęce. Czuła się dziwnie, jakby wkroczyła na cudzy teren, choć przed laty chodziła tym korytarzem z siatkami pełnymi zakupów.

Dziwne.

- Teraz albo nigdy.
- Niech będzie teraz - zdecydowała i zadzwoniła do drzwi.

W pierwszej chwili nie słyszała nic. Żadnych ruchów. Już myślała, że nikogo nie ma w domu. Spróbowała ponownie i usłyszała znajomy dźwięk dzwonka.

- Chwileczkę! - Głos Masona uprzedził jego kroki.

Jillian zebrała się w sobie i czekała, aż drzwi się otworzą i stanie twarzą w twarz z byłym mężem.

- Jillian! - wykrzyknął zdumiony. - Dobry Boże, co ty tu robisz? Zastanawiałem się, jak się czujesz. Miałem zadzwonić, ale uznałem, że najbardziej potrzebny ci spokój. - Urwał nagle, bo zobaczył MacGregora. - Co... o co tu chodzi? - W ułamku sekundy zmienił się z przesadnie troskliwego byłego męża w spokojnego, podejrzliwego prawnika.
- Mason?! Kto tam?! - zawołał z wnętrza kobiecy głos i w progu stała Sherice w czerwonym bikini i przezroczystym szlafrocuku. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, gdy temperatura na dworze oscylowała wokół minus pięciu. - Och. - Jej ładna buzia nachmurzyła się na moment, gdy rozpoznała Jillian, ale zatuszowała to zaraz promiennym uśmiechem, rodem z konkursu piękności.
- Cześć, Sherice - przywitała ją Jillian. Wskazała MacGregora. - To Zane MacGregor. Uratował mnie, gdy psychopata usiłował mnie zabić.
- Ale nic ci nie jest? - upewnił się Mason.
- Powiedzmy. - Twardym wzrokiem przyglądała się mężczyźnie, którego kiedyś poślubiła. - Naszym zdaniem sprawca może pochodzić ze Spokane, a ponieważ tu jesteś, chciałabym z tobą porozmawiać.
- Dlaczego? - zapytał. Sherice poblądła nagle.
- Ponieważ często tu przebywasz.
- A ty uważasz, że co... Że ja... Że miałem z tym coś wspólnego? - Podniósł rękę. - Jillian, to szaleństwo. Nie mam powodu, by robić ci krzywdę. Nie myślisz chyba, że ja... Na miłość boską!
- Nie, Masonie, nie ty, ale może ktoś, kogo znasz. Pokręcił głową.
- Nie wiem, co chciałaś osiągnąć, przychodząc tutaj, ale to szaleństwo.
- Proszę dać nam chwilę - poprosił MacGregor. W tej chwili zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. - Momencik. - Odebrał. - Halo?
- Jillian - Mason zniżył głos. - O co tu chodzi?
- Musisz mi pomóc.

Za plecami Masona Sherice przewróciła oczami.

- Przecież ten świr poluje na ciebie - stwierdziła i spojrzała na męża. - Nie chcemy mieć nic wspólnego z tym mordercą. Czytałam o nim. To prawdziwy szaleniec. Posłuchaj, Jillian, bardzo mi przykro, że zostawił cię w lesie i w ogóle, ale... Mason ci nie pomoże.

MacGregor mówił do słuchawki:

- Tak, super. Tak, mam. Oddzwonię. - Rozłączył się i Jillian wiedziała, że rozmawiał z Chilcoate'em. Tylko on miał numer telefonu MacGregora. Spojrzała na niego. Skinął głową.

- Mamy pewność, że informacje, które przesłano Jillian, zdjęcia, które ją tu ściągnęły, zrobiono w Spokane. Tak więc, Rivers, chciałbym na najbliższą godzinę zatrudnić cię jako prawnika mojego i Jillian. Tym sposobem wszystko, co powiemy, będzie objęte tajemnicą.

- Chwileczkę! - wtrąciła się Sherice. - Nie możecie... Ale Mason skinął głową.

- Dobrze. Sherice, idź sama do wanny i na mnie poczekaj... Albo ubierz się i zajrzyj do tego sklepu z butami na dole, który tak lubisz.

- Żartujesz sobie? Chcesz się mnie pozbyć?

- To sprawa służbowa. - Spojrzał Jillian prosto w oczy.

- O nie. Nie zgadzam się, żeby była żona ustalała warunki...

- Sherice! - krzyknął. - Nie rób sceny. Muszę porozmawiać z klientami. Skuliła się, jakby ją uderzył, zacisnęła usta, analizując możliwe rozwiązania.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Ubiorę się i wezmę torebkę. - Słowa: jeszcze mi za to zapłacisz, nie padły, ale wszyscy je słyszeli. Mason zaprosił ich do środka, poczęstował winem i posadził za wielkim okrągłym stołem. Na środku królował bukiet.

Sherice stanęła w drzwiach w butach na płaskim obcasie, džinsach i kurteczce ze sztucznego królika.

- Idę do sklepu z butami. Zadzwoń, gdy skończysz.

- Dobrze - obiecał. Wyszła naburmuszona. Trzasnęły drzwi.

- A teraz powiedzcie mi, co chcecie, i zróbcie to jak najszybciej - zaczął Mason. - Moje stawki za godzinę nawet częściowo nie pokryją szkód, jakie ona wyrządzi na moim koncie w ciągu kwadransa.

Taka przewidywalna.

Regan Pescoli, twarda jak skała pani detektyw z biura szeryfa okręgu Pinewood, ma piętę achillesową: dzieci.

Mam szczęście, że dowiedziałem się o ich porwaniu... czy raczej przeprowadzce.

Oczywiście nie przyjmie tego z uszami po sobie. A najkrótsza droga do domu jej byłego wiedzie przez góry... idealnie się składa.

Jakby Bóg chciał mi wynagrodzić kłopoty z tą Rivers. Więc czekam. Ciepło ubrany czekam na dzipa. Wiem, kiedy strzelić. Regan wjedzie na wzgórze i będzie chciała pokonać zakręt.

Zna tę trasę, jeździła nią setki razy, ale dzisiaj jest roztargniona, nie pomyśli o oblodzonej nawierzchni. Może będzie słuchała policyjnego radia. A najpewniej będzie po prostu wściekła.

Odrobiłem pracę domową.

Droga jest śliska.

Kryję się na urwisku.

Mam idealny cel.

Słyszę warkot silnika.

To nie zwykły samochód osobowy, tylko pikap albo suv.

Mam lekkie zawroty głowy.

To... to ważny moment.

Oczywiście wszystkie są ważne, ale Regan Pescoli, o, przepraszam, detektyw Regan Pescoli, jest kluczową uczestniczką. Fakt, że jest częścią planu, daje mi słodką satysfakcję. Może to ona. Może pozwolę sobie na rozkosz. Oczywiście kiedy już będzie w mojej władzy. Kiedy

złamię ją na tyle, że zobaczy we mnie zbawcę. I może wtedy, gdy naga będzie leżała na materacu i zacznie mnie błagać...

Ale uprzedzam przebieg wydarzeń.

Widzę światła reflektorów. Dżip wspina się na wzgórze.

Oczekiwanie muska mnie wzdłuż kręgosłupa. Zwilżam wargi, czuję na nich lodowate powietrze. Nie czuję chłodu w ciepłej odzieży, ale rozkoszuję się pieszczotą zimy na odkrytych częściach ciała.

Dzięki temu pełniej przeżywam chwilę... tę chwilę.

Już tak blisko, już czuję ten smak.

Chodź. Chodź.

Mam pewną rękę. Palec w rękawiczce dotyka spustu, oko przywiera do celownika.

Chodź do tatusia.

## Rozdział 29

Jak to było w tym starym filmie? To nieodpowiedni tydzień na rzucanie palenia? Albo picia. Albo wążania kleju, co tam się chce. W oczach Pescoli nie był to odpowiedni tydzień na rzucanie palenia. Sięgnęła po paczkę ostatniej szansy. Pusta. Zgniotła ją i rzuciła na podłogę. Była wściekła. I tak, owszem, dotknęła. Dzieci, cudowne, ukochane dzieci, dla których tyle zrobiła, dla których tyle poświęciła, których szczęście i bezpieczeństwo były dla niej najważniejsze, gdy ojciec jednego zginął, a drugiej odszedł w siną dal, te ukochane dzieci ją zdradziły.

Rozumiała to nawet do pewnego stopnia. Dżip wspinał się na wzgórze oddzielające je od domu Lucky'ego. Ileż to razy marzyła, by właśnie te wzgórza stały się niepokonaną barierą, która na zawsze oddzieli go od jej dzieci.

W przeszłości wielokrotnie o tym rozmyślała: kiedy zapomniał o urodzinach Bianki i mała czekała na wypad na zakupy, do którego nigdy nie doszło, albo kiedy obiecywał Jeremy'emu bilety na mecz czy wyprawę do Denver, do której oczywiście też nigdy nie doszło, albo kiedy podarował Biance kolczyki „kupione specjalnie dla mojej córeczki”, a Bianca dowiedziała się później przez przypadek, że najpierw dał je Michelle, ale jej się nie spodobały.

Tak, nasz Lucky to istny książę z bajki, pomyślała. Zaciśnęła zęby, gdy dżip wpadł w poślizg większy, niż się spodziewała. Owszem, na nieodśnieżanej szosie gromadził się śnieg, ale przecież jej wóz ma napęd na cztery koła i coś takiego nigdy nie było problemem.

Zaciśnęła dłonie na kierownicy. Ilekroć koła się ślizgały, nie panikowała, tylko zwalniała. Od lat jeździ po tej okolicy. Kiedy wyjechała na prostą, zadzwoniła do Alvarez, ale partnerka nie odbierała.

- To ja. Słuchaj, mam sprawę do załatwienia, chodzi o Lucky'ego i dzieci. Może mi to trochę zająć, więc mnie nie sypnij, dobrze? - Rozłączyła się, przekonana, że Selena Alvarez, wolna od obciążeń w postaci byłych mężów i nastoletnich dzieci, robi, o co ją prosi. Zresztą Pescoli odwdzięczy się przy najbliższej okazji.

Zamiast włączać radio - po pierwsze, w kanionach zawsze jest kiepski odbiór, po drugie ma już serdecznie dosyć kiczowatych, ckliwych piosenek świątecznych - wsunęła do odtwarzacza pierwszą z brzegu płytę CD. Kiedy ciszę wypełnił głos Tima MacGraw, poczuła się oszukana. Znowu. To płyta Lukcy'ego, zapomniał ją zabrać, odchodząc. Wyjęła ją i cisnęła na ziemię, obok pogniecionego pudełka po papierosach.

Nie ma nic innego?

Cholera, koła znowu się ślizgają. Co się dzieje, do cholery? Lód? Jest już niemal na szczycie wzgórza, jeszcze tylko kilka metrów, potem zakręt i droga w dół. Ale dlaczego wóz co chwila się ślizga?

- Tracisz panowanie - mruknęła do siebie. Bum!

Ledwie padł strzał, Pescoli schyliła się, automatycznie sięgnęła po broń. Czuła, jak kula trafia opone, słyszała nawet, jak uderza w metal. Wyprostowała się i nagle zdała sobie sprawę, co się dzieje. Morderca... zaatakował... mnie?

Samochód zawirował, kręcił się coraz szybciej, krawędź była już tuż-tuż. O nie. Szybciej, szybciej, dzip pędził w stronę urwiska. Szukała telefonu, zacisnęła na nim dłoń, gdy pierwsze koło minęło krawędź.

Sekundę później świat zawirował. Dzip runął w dół. Pescoli upuściła komórkę, ale nadal ścisnęła broń.

Prerażona, wiedząc, że zapewne umrze, że już nigdy nie zobaczy dzieci, zaciskała dłoń na pistolecie. Jeśli jakimś cudem przeżyje upadek, myślała z sercem bijącym jak szalone, zastrzeli sukinsyna.

Wypali mu prosto w serce.

- Mogę wam powiedzieć tylko to, co wiem, czyli nic - stwierdził Mason Rivers i MacGregor mu uwierzył. Nie wątpił, że prawnik potrafi kłamać jak z nut, że jest śliski jak węgorz, ale teraz Mason Rivers patrzył Jillian prosto w oczy i mówił prawdę.

A najgorsze, że były mąż Jillian nadal ją kochał. Oczywiście starał się to ukryć, ale było to równie oczywiste jak to, że jest zima. Miłość biła z jego oczu, z jego spojrzenia, z tego, jak przechylał głowę, gdy mówiła, z tego, jak delikatnie dotykał jej dłoni, z tego, jak się hamował. A kiedy myślał, że na niego nie patrzy, wpatrywał się w nią i wzdychał.

Nie wiadomo, jakie problemy mieli podczas krótkiego związku, ale gołym okiem widać, że to nic w porównaniu z tym, co ma na co dzień w wykonaniu humorzastej, młodej i zazdrosnej Sherice. MacGregorowi na myśl przyszło stare przysłowie: uważaj, czego pragniesz.

Nie miał nic przeciwko młodym kobietom. Ba, jego dwóch kumpli ożeniło się z dziewczętami młodszymi od nich o piętnaście lat, ale w obu przypadkach dorównywały partnerom intelektualnie i oba związki były bardzo udane. Nigdy jednak nie widział, by dobrze układało się małżeństwo, w którym kobieta nie jest w stanie wyjść poza nastoletnią fazę: ja, ja i tylko ja.

- Rozejrzę się - obiecał Mason. Właściwie nie zwracał uwagi na MacGregora. Włączył komputer i szukał Aarona Caruso w Spokane, Missoula, w stanach Waszyngton i Idaho. Oczywiście MacGregor i Chilcoate zrobili to samo, ale MacGregor chciał zobaczyć wszystkie karty Riversa. Nadal do końca nie skreślił go z listy podejrzanych, a broń w jego kieszeni dobitnie świadczyła o tym, jak ograniczonym zaufaniem obdarza każdego, kto może mieć coś wspólnego z tą sprawą.

Jednak spotkanie z Riversem i smutek w jego oczach przekonały go, że nie jego szukają. Zwłaszcza że Chilcoate przekazał ciekawe informacje.

Kilka minut później pożegnali się z Masonem i wstali. Były mąż Jillian odprowadził ich na dół, zostawił na zaśnieżonym chodniku i wszedł do sklepu reklamującego buty z najlepszej włoskiej skóry. W oknach wisiały złote i srebrne bombki, na torebkach osiadło anielskie włosie.

- Nie ma to jak Boże Narodzenie - mruknęła Jillian. Chyba jej ulżyło, że rozmowę z byłym mężem ma już za sobą. - Co teraz?

- Hotel.

- Hotel?

- Tak. Gorąca woda, długi prysznic, obsługa hotelowa i dostęp do Internetu.

- Po co ?

- Żebyśmy mogli dowiedzieć się czegoś o twoim pierwszym mężu.

- Tak po prostu? - Pstryknęła palcami i uniosła brwi.

- No... może nie tak od razu. - Jeśli napastnik domyślił się, że ruszyli jego tropem do Spokane, na pewno obserwował mieszkanie Masona. A MacGregor chciał podzielić się z Jillian wieściami od Chilcoate'a.

Tu, w Spokane, rzeczy mają się inaczej, niż to widać na pierwszy rzut oka.

Zane postawił kołnierz kurtki i pomógł Jillian wsiąść do samochodu. Chodziła już coraz lepiej, mogła opierać ciężar ciała na skręconej kostce, on jednak nadal pragnął ją chronić, nadal czuł się za nią odpowiedzialny. I choć sam nie chciał się do tego przyznać, niejedną raz snuł o niej fantazje. Chciał ją pocałować, tak naprawdę, i zobaczyć, co będzie dalej.

Wyobrażał sobie jej palce na swojej skórze, jej oddech na karku, jej sutki nabrzmiałe od jego pieszczot. Posunął się nawet do tego, że wyobrażał sobie, co to za uczucie, znaleźć się w niej, ale zmuszał się do innych, bardziej ponurych myśli, które mu uświadamiały, że cały czas grozi im niebezpieczeństwo. I będzie lepiej, o wiele lepiej, jeśli fantazje pozostaną tam, gdzie są, i nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Jasne, akurat, przecież wiesz, że to się może stać właśnie dzisiaj. Kogo chcesz nabrać, MacGregor? Chcesz iść z nią do łóżka i robić to raz po raz. Pragniesz tego, odkąd się ocknęła w twojej chacie i poczułeś na sobie jej wzrok.

I wiesz, że ona też tego chce.

Ale wiesz też, że gdy już to zrobisz, nie będzie odwrotu.

- Chodźmy - rzucił. Odwrócił się przez ramię, chcąc się upewnić, że nikt ich nie śledzi.

Miasto spowijał zmierzch, dokoła latarni wirowały płatki śniegu. Martwiło go, że tu, w mieście, czuje się bardziej podatny na ciosy niż w górach.

Jasne, bo góry są bardzo bezpieczne. Przecież Jillian napadnięto przed chatą. A Harleya postrzelono kilkadziesiąt metrów od drzwi.

Jednak z natury był samotnikiem i wystarczyło wspomnienie wydarzeń z Denver, by tracił zaufanie do każdego miasta, nawet tego, spokojnego i sielskiego o zmroku. W parku kusily kolorowe lampki. Gdyby sobie na to pozwolił, uległby magii świateł.

Ale to byłoby szaleństwo.

Jasne lampki to tylko fasada. Dotknął pistoletu w kieszeni i poczuł się lepiej, czując jego ciężar.

Kto wie, co kryje się w mroku tego miasta?

- Pescoli znowu nie przyszła? - Szeryf szedł do drzwi. Sturgis dreptał tuż za nim. Czarny labrador spojrzął na Alvarez. Poklepała go po łbie i pomyślała, że powinna sprawić sobie zwierzaka. Psa, kota, może nawet ptaszka. Jakieś żywe stworzenie, którym się zaopiekuje.

- Nie - odparła. - Dzwoniła, że coś jej wypadło. Sprawy rodzinne.

Grayson był zmęczony. Skinął głową.

- No tak. Ostatnio ciągle pracowała po godzinach. - Włożył kapelusz.

- Czasami każdemu przyda się chwila odpoczynku.

- Ale po sprawie - mruknęła.

- Kiepska sprawa z tą Estes - stwierdził i potarł zarośnięty podbródek.

- Tylko ona mogła zidentyfikować drania.

- Wiem.

- Federalni się odzywali? Alvarez skinęła głową.

- Dzwoniła Chandler. Wróci rano.

- Jak my wszyscy. - Grayson delikatnie dotknął jej ramienia. - Seleno, idź do domu. -

Uśmiechnął się ze znużeniem. - Jutro go złapiemy.

Odwzajemniła uśmiech.

- Zaraz pójdę.

- Mówię poważnie.

- Ja też.



Sądząc po jego minie, nie uwierzył jej, ale tylko zagwizdał na psa i ruszył do wyjścia. Myślała o nim przez chwilę. Niedawno się rozwiódł i został szeryfem. Dowcipny i serdeczny, był zarazem samotnikiem, nie lubił imprez, czy to prywatnych, czy służbowych. Oficjalne spotkania zostawiał zastępcy. Cort Brewster uwielbiał światła reflektorów, które dla Graysona były przykrym dodatkiem, a nie przywilejem.

Dokoła budynku nadal czatowali dziennikarze, w nadziei że wyczują nowy trop, zdobędą smakowity kąsek. Palili, sączyli kawę i zajadali ciastka Joelle, ilekroć starsza pani zjawiała się w pracy. Alvarez miała wrażenie, że sytuacja staje się absurdalna i że jeśli sekretarka nie przestanie dokarmiać dziennikarzy, nigdy sobie nie pójda. Oczywiście nie wszyscy są źli. Przecież stacja telewizyjna pomogła odnaleźć jedną z ofiar, a szeryf posłużył się mediami, prosząc opinię publiczną o pomoc w ujęciu mordercy. Na razie jednak niczego to nie dało. Grayson będzie musiał minąć kilku wścibskich dziennikarzy w drodze do samochodu, ale poradzi sobie, uznała, patrząc, jak znika z psem za drzwiami.

Tak, to ciekawy facet, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Nie wolno, nie, nie, nie.

Oparła się wygodnie i masowała zmęczony kark. Potrzebny im przełom w sprawie. Jeśli nie złapią tego drania, zginą kolejne kobiety. Zdawała sobie z tego sprawę. Gula w żołądku nie pozwalała o tym zapomnieć.

Nie zwracając uwagi na pulsujący ból głowy i katar, po raz ostatni zabrała się do notatek i wszystkich znanych im tropów: konstelacja Oriona, myśliwy, „Strzeż się skorpiona”. Wszystkie te słowa wirowały jej w głowie, gdy po raz setny oglądała zdjęcia z miejsc zbrodni. Piękne kobiety, które najpierw mają wypadek, a potem żyją w rękach porywacza. Po co? Nie dla seksu.

Potwór chce mieć nad nimi władzę, zmusić je, by mu uległy, a potem, w odpowiednim momencie, koło dwudziestego każdego miesiąca, zostawia je w lesie, by umarły.

Gardło rozboleło ją nie na żarty. Ani herbata z cytryną, ani pastylki do ssania nie pomogą, mimo obietnic w reklamach. Czas iść spać. Budzik zadzwoni już niepokojąco szybko. Chociaż nie ćwiczyła, bolały ją mięśnie. Była zła, że nie może porządnie się wypocić, najpierw na siłowni, potem w saunie, i tym sposobem pozbyć się ciężaru z płuc.

Dzisiaj musi jej wystarczyć gorący prysznic, herbata z cytryną i lekarstwo na gripę, po którym zaśnie jak zabita. Byle do rana.

W pokoju panowała cisza, zostało już niewiele osób, w tym Zoller, która dzielnie odbierała telefony. Kolega zmieni ją dopiero za kilka godzin. Boże, muszą złapać mordercę, zanim znowu zabije.

Wzięła torebkę, otuliła szyję szalikiem, włożyła kurtkę. Martwiła się trochę o Pescoli, liczyła, że jeszcze zadzwoni. Ale z drugiej strony, ma teraz mnóstwo kłopotów z tym nieudacznikiem Luckym i dziećmi.

Trudno jej się dziwić.

Alvarez zastanawiała się, czy nie zostawić jej wiadomości, ale dała sobie spokój. I tak rano się wszystkiego dowie.

Wyszła na korytarz. Jej uwagę przykuła świąteczna dekoracja Joelle.

„Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku”.

Może ktoś będzie miał wesołe święta, pomyślała. Zaniósł się kaszlem. Wyszła na parking zasypany śniegiem. W białej powłoce widniały ślady dużych stóp i psich łap. Pomyślała o Graysonie i Sturgisie - szli tędy po rozmowie z dziennikarzami.

Nie mogła się powstrzymać od pytania, czy Grayson wraca do domu, w którym do niedawna mieszkał z żoną. A może pojechał gdzieś na kolację? Nie. Nie zostawi psa w samochodzie, nie w taką pogodę. Jedzie do wiekowej chaty u podnóża gór.

Otworzyła samochód i pomyślała o swoim mieszkaniu. W tym roku nie kupiła nawet małej choinki. Powita ją zimno i pustka.

Usiadła za kierownicą. Tak, zdecydowanie musi sobie sprawić zwierzaka.

- Cztery gwiazdki? Chcesz mi zaimponować? - zażartowała Jillian, patrząc na imponujący budynek.

- Żyje się raz - mruknął MacGregor i wręczył kluczyki półciężarówce parkingowemu. Hol powitał ich wiekowymi kandelabrami i marmurami. MacGregor nie miał bagażu, nie licząc laptopa pożyczonego od Chilcoate'a, geniusza komputerowego do potęgi entej. Jillian natomiast miała małą torbę podróżną. Do tego ich kieszenie obciążały dwa pistolety. Dziwnie się czuła z bronią - i to nielegalną - w tym starym eleganckim hotelu. Nikt jednak nie zwracał uwagi na wypukłość w kieszeni jej kurtki i nieliczne siniaki na twarzy. Ich pokój mieścił się na piątym piętrze. Okazał się eleganckim apartamentem z łózkami z baldachimem, gazowym kominkiem, wysokim sufitem i widokiem na powolną, mroczną rzekę Spokane.

Gruba wykładzina pokrywała całą podłogę, od kominka do biurka i małego stolika z dwoma krzesłami. Łóżka stały naprzeciwko szafy, która wyglądała, jakby zrobiono ją w XIX wieku, choć kryła w sobie telewizor i wieżę stereo. W łazience stała wanna ze lśniącego marmuru, jacuzzi i prysznic.

- Uznałem, że należy nam się odrobina luksusu - stwierdził MacGregor, gdy Jillian rozglądała się po apartamencie. - No i tu jest bezpiecznie. Mają ochronę i kamery.

- Myślisz, że ktoś nas śledzi? - zaniepokoiła się.

- Myślę, że musimy zachować ostrożność. Chilcoate się ze mną zgadza. Spokane to dla ciebie niebezpieczne miejsce. - Podszedł do niej, objął ramieniem, przywarł czołem do jej czoła, niemal stykali się nosami.

Tak blisko. Tak czule. Tak męsko.

- Mam się bać? - spytała.

- Po prostu jestem ostrożny.

- I rozrzutny.

Jego usta, tak blisko, że mogłaby je pocałować, rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie mogłem cię przecież zabrać do jakiejś zapchlonej nory, prawda?

- Ależ nie, nie po tym ekskluzywnym lokalu, do którego mnie dzisiaj zaprosiłeś. Jak on się nazywał?

- Elbow Room. Tak się akurat składa, że to jeden z moich ulubionych.

- Przez chwilę patrzył jej w oczy i już myślała, że ją pocałuje, że chociaż przez moment poczuje na wargach jego usta. Zawahał się, odsunął i podszedł do drzwi. - Zamówimy coś do jedzenia. Ja biorę największy stek, jaki mają, i nadziewane ziemniaki.

- Idę o zakład, że mają też bardziej wyszukane dania: bażanta, cielęcinę albo...

- Stek, średnio wysmażony. Idę pod prysznic. - Znacząco uniósł brew.

- Mogłabyś mi towarzyszyć...

- Ja... ja zamówię jedzenie.

- Twoja strata.

Jej żołądek fiknął salto, gdy pomyślała, co mogłoby się wydarzyć.

- I jeszcze jedno! - zawołał przez otwarte drzwi. - Mogłabyś wysłać to do pralni? - Rzucił jej dzinsy, sweter i bokserki. Wiedziała, że może go zobaczyć, tam, za szybą.

Odchrząknęła, zwilżyła językiem nagle suche wargi.

- Zakładam, że pieniądze nie będą problemem.

- Nie dzisiaj, skarbie! Dzisiaj idziemy na całość.

- Jak to?

- Mój ojciec tak mawiał. Zadzwońisz po pokojówkę, żeby zabrała te ciuchy?

- Twoje słowo jest dla mnie rozkazem - zażartowała.

Roześmiał się, a Jillian z uśmiechem sięgnęła po słuchawkę. Nie zajrzała do łazienki, nawet kiedy zaczął śpiewać, odrobinę fałszując.

Tracisz dla niego głowę, szeptał rozum, nie po raz pierwszy. Tej nocy nie zwracała jednak uwagi na ostrzeżenia. Spojrzała na dwa łóżka, osobne, ukłon w stronę faktu, że nie są kochankami.

Jeszcze nie.

- O Boże - szepnęła, wybierając numer drżącymi palcami. Noc jest jeszcze młoda.

Padał śnieg.

Wielkie płatki wirowały w błękitnym świetle ulicznych latarni. Gdzieś w oddali kolędnicy śpiewali coś wesoło. Ulicami płynął sznur samochodów.

Hotel, sześć pięter dziewiętnastowiecznej chwały, chluba Spokane, wznosił się ku ciemnym niebiosom. W nagich gałęziach drzew skrzyły się tysiące małych żarówek, spowijały ściany w ciepłym blasku.

Rzeka Spokane, nabrzmiała, ciemna, płynęła powoli. Nad wodą hulał lodowaty wiatr.

Zachmurzonego nieba nie rozjaśniała żadna gwiazda, księżyc się schował.

A w hotelu jest ona.

Jillian Rivers. A dokładnie: Jillian Colleen White Caruso Rivers. Od jak dawna to nazwisko stało się hymnem, truczną niszczącą powietrze, zabijającą wszystko, czego dotknie, wieczną drwiną i torturą? Och, Jillian, powinnaś była umrzeć dawno, dawno temu. I teraz to się wreszcie stanie.

Patrzę na historyczny budynek. Choć to z pozoru kamienna forteca, są sposoby, by się dostać do środka, są klucze do wszystkich drzwi. Klucze z przeszłości, które znam jak własną kieszeń, które rozsądek kazał mi skopiować, klucze, które brzęczą mi w kieszeni jak święte dzwonki.

Dzięki Bogu, że hotel zachował stary urok, co oznacza tradycyjne klucze dla gości i wytrychy dla personelu. Tu nie ma nowoczesnych kart elektronicznych.

A zatem Jillian grozi niebezpieczeństwo.

Widzę jej twarz, raz po raz, i znowu do niej mówię: „Czeka cię spokojna śmierć, Jillian. Intymna. Nie zginiesz od głośnego wystrzału. Nie, to zwróciłyby uwagę i wszystko popsuło. Od noża. Tak, od noża!”

Od ostrza.

Szybki ruch od ucha do ucha, nóż otworzy żyły, popłynie krew, gorąca, czerwona.

Na tę myśl przeszył mnie dreszcz rozkoszy. Tyle czekania, tyle planów, by uwolnić świat od niej, i wreszcie okazja, którą dał mi seryjniak. Ale umysł przypomina, że już mi umknęła.

Trzeba ją było zabić wtedy, w lesie. Upewnić się, że umrze. Nie popełnij tego samego błędu. Tym razem musi umrzeć. Dopiero wtedy odzyskasz spokój.

- Uda mi się - powtarzam i drzę z oczekiwania. Czuję płatki śniegu na policzkach.

Już wkrótce moja udreka dobiegnie końca. Zagryzam usta, dotykam broni i uśmiecham się w ciemności. Przemawiam do Jillian: „Cięcie będzie głębokie. Twoja krew szybko wypłynie”.

Popłami świeżutkie prześcieradła, rozprysnie się na wiekowych ścianach, zbierze się na świeżo odkurzonej wykładzinie.

Wtedy umilknie. I przestaniesz mnie dręczyć.

## Rozdział 30

Jillian zapomniała już, jak cudowna bywa cywilizacja.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Seattle jadła kolację nie ugotowaną na ogniu, nie mdłe szpitalne danie, nie kanapkę kupioną w biegu. Zjadali steki, przegryzali ziemniakami i sałatą pili nawet wino, mimo ostrzeżeń na opakowaniu środków przeciwbólowych.

I cały czas patrzyła na MacGregora.

Widziała jego ciemne włosy, wilgotne, kręcące się na kołnierzu miękkiego hotelowego szlafroka, jedynej sztuki odzieży, którą miał na sobie. Rozchyłał się lekko na jego piersi, odsłaniał czarne włosy na oliwkowej skórze.

I tak pięknie pachniał.

Mydłem, woda kolońską i czystym mężczyzną.

Jedli i pili cabernet sauvignon. Wzięła kieliszek do łazienki, napełniła wody do wanny, dołała płynu do kąpieli. Zdjęła bandaż z nogi, o wiele mniej opuchniętej niż wczoraj, i weszła do pachnącej ciepłej kąpieli.

Osunęła się głębiej w pachnącą wodę, zmoczyła włosy, umyła je, wyplukała pod kranem. Przez moment wydawało jej się, że kątem oka dostrzega za staroświeckimi drzwiami sylwetkę Zane'a, że widzi jego odbicie przy biurku. Czy on ją także widzi, czy widzi niewyraźną postać?

A jeśli tak, czy to ważne?

Skłamałaby, twierdząc, że nie biegła wzrokiem do jego muskularnych nóg i bosych stóp.

Po kąpieli otuliła się miękkim szlafrokiem, zostawiła rozpuszczone włosy, by schły w niesfornych lokach, i wypila z MacGregorem resztkę wina. Poprosił, żeby usiadła.

- Spójrz tylko - poprosił. Otaczał ją jego zapach. Na monitorze laptopa pojawiło się zdjęcie, które dostała, wyretuszowane przez Chilcoate'a, MacGregor dostał je pocztą elektroniczną.

- Sama próbowałam je obrobić w PhotoShopie - odrzekła Jillian. - Ale niczego nie znalazłam.

- Bo nie jesteś Chilcoate'em - zauważył. - I dzięki Bogu. Nie będę cię zanudzał szczegółami, w każdym razie Chilcoate powiększył i odczytał napis na parkometrze: „Ratusz miasta Spokane”. A zatem zdjęcie zrobiono tutaj. No i mamy odbicie napisu w oknie wystawowym: SEAU.

Skinęła głową.

- Reszty nie ma, ale to chyba nazwa sklepu.

- No właśnie. Co oznacza, że facet ze zdjęcia jest w Spokane, a przynajmniej był, kiedy je zrobiono.

Poczuła promyk nadziei. Czy to możliwe? Czy naprawdę w końcu poznają tożsamość potwora, który ją oszołomił i porzucił w lesie?

Patrzyła na fotografię, na zdjęcie mężczyzny w czapce. Czy to Aaron, czy ktoś obcy? Czy naprawdę zbliża się do człowieka, który okradł inwestorów? Upozorował własną śmierć i zniknął z jej życia, na wiele lat pozostawiając ją w niepewności? A może tylko wchodzi coraz dalej w pułapkę, zastawioną specjalnie po to, żeby ją zabić?

Poczuła, jak przeszywa ją mroczny gniew. Była zła nie tylko na tego, który ją porzucił, ale także na osobę, która próbowała ją zniszczyć, zabić i obciążyć winą innego psychopaty.

MacGregor zdawał się rozumieć, co czuje. Położył na jej ramieniu wielką dłoń. Jego ciepło przenikało miękki materiał, docierało aż do jej skóry. Starła się o tym nie myśleć, nie teraz, kiedy siedzą tak blisko siebie.

- Tylko mi nie mów - zaczęła - że Chilcoate już znalazł sklep i ma jego adres w Spokane.

- Nawet on ma pewne ograniczenia.

- Chyba żartujesz.

- Obiecał, że dostarczy nam to na jutro rano. Poda nam adres i pojedziemy tam.

- I znajdziemy się w miejscu, w którym Aaron lub jego sobowtór przechodził przez jezdnię, ale niekoniecznie go tam spotkamy.

- Wiem, ale to przynajmniej jakiś początek. - Odwrócił jej krzesło tak, żeby go widziała, i na moment zatraciła się w jego spojrzeniu, wyobraziła sobie, że mówi o czymś więcej niż poszukiwania rzekomo zmarłego męża. - A to już coś, prawda?

- Tak.

- Jesteśmy coraz bliżej? - Upewnił się.

- Prawdy? - zapytała lekko ochryplym głosem, bo domyślała się, że nie mówią już o sprawie.

- Tak. - Skinęła głową, widząc w jego oczach niezadane pytania.

Lekko uniośł brew w niemym zaproszeniu. Uśmiechnęła się blado.

- Tak myślisz? - zapytał, jakby chciał się upewnić.

- Nie, MacGregor, ja nie myślę, ja wiem.

- To mi się podoba: skromna, pokorna kobieta.

- Tak samo, jak ja lubię słabych facetów.

Uśmiechnął się szerzej. Drażniła się z nim i dostrzegła w jego wzroku iskrę pożądania.

Zapuszcza się na niebezpieczne terytorium, ale przecież zawsze to robiła.

Przy nim czuła się bezpieczna, ufała mu, a zarazem bardzo go pragnęła. Pociągał ją od pierwszej chwili, gdy patrzyła, jak rozpala ogień na kominku, gdy skrawek jego koszuli odłonił nagą skórę. Ale wtedy była ostrożna. I dobrze

Teraz już nie.

Nie, ponieważ wie, że jest po jej stronie, że traktuje ją bardziej partnersko niż obaj mężczyźni, których tak niemądrze poślubiła.

- Prosiłem o pokój z dwoma łózkami - przypomniał.

- Zastanawiałam się nad tym.

Czytała zmysłowe zaproszenie w jego oczach.

- Nie chciałem, żebyś sobie pomyślała, że chcę cię wykorzystać. - Pokój nagle się skurczył, stał się bardziej przytulny.

- A myślisz, że to możliwe? Trenuję sztuki walki - ostrzegła.

- I masz poobijane żebra, i skręconą kostkę. I jestem od ciebie dwa razy cięższy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Albo i więcej.

- Twierdzisz, że możesz mnie położyć na łopatki? - zaryzykowała. Roześmiał się tak cicho, że ledwie to słyszała przez trzask ognia na kominku.

- Uważaj, kobieto.

- Dlaczego?

- Bo może się okazać, że tak będzie najrozsądniej.

Wtedy wstała, zachwiała się, ale stanęła naprzeciwko niego. Lekko uniosła głowę, żeby widzieć jego oczy.

- Zastanówmy się chwilę. Nie tak dawno temu myślałam, że umrę - zaczęła poważnie. -

Uratowałeś mnie i od tego czasu próbuję dojść do ładu ze swoimi uczuciami. Ale wiem jedno: życie jest krótkie.

Jego uśmiech trochę zbladł. Zauważyła kolor jego oczu i ciemny cień zarostu na brodzie.

- Bardzo mi to utrudniasz...

- Litości! - Roześmiała się, odrzuciła do tyłu mokre włosy, aż opadły na ramiona. - Na miłość boską, MacGregor, chyba po prostu muszę się na ciebie rzucić!

I to zrobiła.

Objęła go za szyję i pocałowała, wkładając w pieśczętę wszystkie emocje, które tłumiała od wielu dni. Pokój zawirował. MacGregor przytrzymał ją, otoczył silnymi ramionami, gdy szlafrok zsuwał się na ziemię.

Pragnęła go ciałem i duszą. I miała w nosie jutro i wszelkie konsekwencje.

Może to wino.

Może tabletki.

Ale nie pozwoli, by ta chwila, ten cudowny moment przemknął jej między palcami.

Usłyszała jego jęk, gdy ją obejmował, poczuła na sobie jego silne dłonie.

- Zawsze dostajesz to, czego chcesz? - zapytał prosto w jej rozchylone usta.

- Mam taką nadzieję.

Roześmiał się. Zaniósł ją na łóżko i położył. Po chwili leżał obok niej i całował ją mocno, nie ustępował, póki nie rozchyliła ust.

Od razu stanęła w ogniu, pożądanie płonęło w całym ciele, pulsowało we krwi, dudniło w uszach. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio ktoś jej dotykał, ale nigdy nie była tak zniecierpliwiona, nigdy czyjś dotyk tak jej nie rozpałał.

- Powoli - szepnął, gdy zsunęła dłonie do paska jego szlafroka. - Mamy całą noc. - I pokazał, co ma na myśli. Jego dłonie błędziły po jej ciele, powoli rozwiązały pasek, delikatnie muskały obolałe zębra. Ściągnął z niej szlafrok, nie przerywając pocałunku. Jego usta przesuwają się coraz niżej i nagle leżała naga u jego boku. Dotykał jej piersi, zamykał je w dłoniach, by po chwili pieścić ustami. Ssał mocno, a jego dłonie znaczyły gorący ślad na jej ciele, zamknęły się na pośladkach. Przyciągnął ją do siebie.

Tylko raz przestał na chwilę i spojrzał na jej obandażowaną kostkę, ale przyciągnęła go do siebie i zapewniła, że czuje tylko rozkosz, nie ból. A wtedy jego twarde dłonie pomknęły niżej, minęły pośladki, jego palce znaczyły ścieżkę dla jego ust, o Boże, dla jego cudownych, gorących ust.

Jęknęła i zamknęła oczy, wydawało jej się, że traci kontakt z rzeczywistością. Ona także go dotykała, wbiła zęby w jego ramię, głaskała jego pierś, bawiła się sutkami, aż wstrzymała oddech.

Czuła jego męskość, gotową nabrzmiałą. Przyciągała go do siebie, ale nagle znieruchomiał i spojrzał na nią. Zakrył jej dłoń swoją odgarnął jej włosy z twarzy.

- Uważasz, że to dobry pomysł?

- Nie.

- Ja też.

Po chwili szepnął:

- A niech to.

A potem przyciągnął ją do siebie i pocałował tak, jak jeszcze nikt nigdy jej nie całował. Ich ciała idealnie do siebie pasowały.

Nie mogła myśleć, z trudem oddychała. Myślała jedynie o nim, o jego bliskości. Przewrócił się na plecy i pociągnął ją na siebie. Cały czas uważał na jej zębra. Patrząc jej w oczy, posadził ją na sobie, by poczuła jego pożądanie.

- MacGregor - szepnęła i rozchyliła uda, by go przyjąć. Przyciągnął ją do siebie i wszedł w nią.

Jęknęła.

I jeszcze raz, gdy się wycofał, gdy kołysał jej biodrami i narzucił rytm, który doprowadzał ją do szaleństwa. W jej żyłach płynął ogień. W jej ciele zamieszkało pożądanie. Zane MacGregor kochał się z nią jakby nigdy nie chciał przestać.

Nie wiedziała, kiedy przestała oddychać, a jej ciało pokryło się potem. Jęczała i dyszała, poruszała się szybciej i szybciej. On także dyszał, był mokry od potu, miał rozpalony wzrok.

- Jillian - wyszeptał ochryple. - Jillian... Wypchnął biodra ku górze i krzyknął. Przeszył ją dreszcz.

Pokój nagle zniknął, rozpadł się na milion kawałków. Puścił ją i osunęła się na niego, spragniona powietrza.

Wiedziała już, że jej świat nigdy nie będzie taki sam.

Chciała mu powiedzieć, że go kocha, ale uznała, że na to za wcześnie, chociaż miała uczucie, że znała go całe życie, że całe życie na niego czekała.

Milczeli. MacGregor tulił ją przez resztę nocy. Drugie łóżko stało puste. Westchnął z ustami w jej włosach. Przywarła do niego. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpieczna.

Uniosła powiekę i przekonała się, że jest sama w łóżku. Gdzie, do cholery, podział się MacGregor? Przypomniała sobie, jak się z nim kochała.

Przeciągnęła się leniwie i lekko zarumieniła. Zerknęła na zegarek. Ósma rano, a jego nie ma. Nie słyszała żadnych odgłosów w łazience.

Puk, puk, puk!

- Obsługa hotelowa! - zawołał kobiecy głos. Lekko zniecierpliwiony.

- Niczego nie... - Och, tak! Z uśmiechem przewróciła się na bok. Obolałe zebra, kostka i pulsowanie między nogami nie pozwalały zapomnieć, dlaczego jest taka zmęczona.

MacGregor pewnie wyszedł tylko na chwilę. Może poszedł sprawdzić, co z jego ubraniami, domyśliła się, ale w tym momencie zobaczyła jego szlafrok na ziemi, koło kominka, w którym tliły się jeszcze ostatnie polana.

Dziwne.

- Jest tam kto? Obsługa hotelowa.

- Tak, tak, już idę, chwileczkę! - zawołała. Włożyła szlafrok. Burczało jej w brzuchu na myśl o francuskich tostach, kawie, naleśnikach czy jajecznicy. Nieważne. Zje wszystko, co MacGregor zamówił. Nagle poczuła głód. Zawięzała pasek szlafroka i lekko kulejąc, podeszła do drzwi. Już kładła rękę na klamce, gdy się zawahała.

Niedawno ktoś usiłował ją zabić.

Spojrzała przez judasza i zobaczyła wysoką kobietę z rękami splecionymi na piersi.

Wydawała się bardzo zła. Miała na sobie białą bluzkę, czarną spódniczkę i kamizelkę i pchała przed sobą wózek, którego skraj Jillian widziała przez judasza. Na jej piersi widniał identyfikator, chyba taki sam, jaki widziała u innych osób z obsługi. Kelnerka tymczasem zerknęła na zegarek i uniosła rękę, by zapukać jeszcze raz.

Jillian przypomniała sobie o pistolecie w kieszeni kurtki, ale uznała, że to już przesada i lekko uchyliła drzwi.

- Kto to zamówił?

- Pani.

- Nie, ja nie. - Jillian oparła się o framugę i wyjrzała przez szparę.

- Nie? - Kelnerka zmarszczyła brwi. - Zaraz się przekonamy. - Ze zdumioną miną otworzyła skórzany folder z logo hotelu. - Nie, nie pani. Pani nie jest Zane, prawda?

- Nie, ale... - Kelnerka wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. - Zaraz to wyjaśnimy - obiecała. Zerknęła na numer na drzwiach. - Czasami kuchnia coś popłacze. Ale tu jest napisane Zane MacGregor, numer pokoju się zgadza... - Błysnęła zębami w uśmiechu. Była wysoka i dobrze zbudowana, miała ciemne włosy i kilka piegów na nosie. Na jej czole widniały zmarszczki, jakby często się martwiła.

Na wózku, przykrytym lnianym obrusem, stały nakrycia dla dwóch osób, srebrne półmiski, duży dzbanek kawy i mały wazonik z czerwoną różą. Chociaż kelnerka używała słodkich, duszących perfum, Jillian wyczuła zapach kawy i bekonu i uległa.

- Proszę wejść - otworzyła drzwi i wpuściła kelnerkę. Falda, jak głosił identyfikator, wjechała z wózkiem do pokoju. - Przepraszam - zaczęła Jillian. - Pan MacGregor mi nie powiedział, że zamówił śniadanie...

Ledwo to powiedziała, ledwo padło jego nazwisko, wiedziała, że popełniła błąd. MacGregor nie zamówiłby niczego, posługując się imieniem. Odwróciła się gwałtownie.

- Chwileczkę - powiedziała, ale było już za późno.

Falda sięgała po coś na wózku i uwagę Jillian przykuła blizna na jej nadgarstku. Nieduży czerwony półksiężyc.

- O Boże.

Poczuła ukłucie strachu.

A więc to ta kobieta porzuciła ją w lesie.

Porwała nóż z wózka i zaczęła wołać o pomoc.

Ale Falda rzuciła się na nią zakryła jej usta szmatą i zapach pozbawił Jillian tchu, sprawił, że umilkła.

Wózek się przewrócił. Gorąca kawa rozlała się i poparzyła Jillian. Chciała się cofnąć, ale kostka ją zawiodła. Krzyknęła z bólu.

Falda działała szybko. Przyciskała mokrą szmatę do twarzy Jillian i stanęła okrakiem nad ofiarą aż pękła wąska spódnica, odsłaniając silne, umięśnione nogi.

Nie, nie, nie!

Jillian szaleńczo wymachiwała nożem. Skaleczyła kobietę w ramię. Próbowwała wyrwać się z uścisku wariatki. Cały czas wdychała słodki, mdlący eter. Dusił się, oczy jej łzawiły, hotel zawirował.

O Boże, błagam, tylko nie to!

Falda o czerwonych policzkach i z obłędem w oczach naciskała coraz mocniej.

- Ty suko! Dlaczego nie mógł o tobie zapomnieć? Dlaczego ciągle go nękaasz? Jego i mnie?

O czym ta wariatka mówi?

Jillian próbowała krzyżeć, ale niewiele było słychać. Zamachnęła się nożem, potem pięścią. Trafiła ją ale ciosy były słabe. Nie wyrządziła jej krzywdy.

Boże, dodaj mi sił!

Pokój wirował. Widziała coraz mniej. Wszystko stawało się nierzeczywiste.

Amazonka całym ciężarem przyciskała ją do podłogi.

- Już nigdy o tobie nie pomyśli, już nigdy cię nie zapragnie - syknęła. W jej oczach płonął gniew, którego Jillian nie rozumiała.

O czym ona opowiada, do cholery? Łóżko się chwiało, z trudem dostrzegała kulę. Pomyślała o MacGregorze. Ciekawe, czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Kocham cię, pomyślała i już niemal uległa pokusie, by zamknąć oczy i się poddać.

Ale nadal walczyła i odczuwała satysfakcję, ilekroć Falda jęknęła albo syknęła z bólu.

- Nigdy nie przestał cię kochać, ciągle chciał ci wszystko wytłumaczyć - cedziła przez zęby, ale Jillian nie rozumiała, o czym kobieta mówi. - Ale teraz to już koniec. Carl nigdy już o tobie nie pomyśli.

Carl? Jaki Carl, do cholery?

Falda zdawała się czytać w jej myślach.

- Carl to mój mąż. Słyszysz? Mój! Nie wróci do ciebie! Nigdy, jasne?

Carl? Boże drogi, ta kobieta zupełnie oszalała! Jedyne Carl, jakiego Jillian zna, roznosi gazety w Seattle... ma koło czterdziestki i jeździ wiekowym pikapem, którego boi się jej kotka. Boże, jak jej się chce spać...

- No tak, nie znasz go jako Carla, prawda? - Koszmarna kobieta uśmiechnęła się pod nosem, bardzo z siebie zadowolona. - Gdybyś miała okazję, zwracałabyś się do niego Aaron.

Aaron?

W przebiegu świadomości Jillian straciła wszelką nadzieję. Przed oczami stało jej tysiąc wizji pierwszego męża: Aaron na schodach kapliczki w wypożyczonym smokingu, ślubujący jej miłość, póki śmierć ich nie rozłączy. Aaron na tratwie na rzece Kolorado. Aaron, spocony i uśmiechnięty na Mount Hood. Aaron kochający się z nią ale tak skupiony na sobie, że wydawało się jej, że mógłby to zrobić z każdą Aaron wyruszający na ostatnią fatalną wyprawę do Surinamu.

Spojrzała na napastniczkę.

- Aaron żyje.

Falda uśmiechała się groźnie.

- Więc wreszcie rozumiesz.



O tak, rozumiała. Walczyła, coraz słabsza, coraz bardziej powolna, ale świadoma, że walczy z psychopatką która zwabiła ją do Montany, która kocha Aarona, który żyje, naprawdę żyje.

- Jestem jego żoną - oznajmiła Falda triumfalnie, jakby zdobyła główną nagrodę.

A więc sukinsyn nie dość, że żyje, to jeszcze się ożenił.

- I to się nigdy nie zmieni.

Jakby Jillian chciała, żeby ten kłamliwy sukinsyn do niej wrócił. O Boże... Walcz, Jillian, walcz!

Zamachnęła się, ale Falda zasłoniła się przed ciosem. Nóż upadł na dywan.

Falda mocniej przycisnęła jej szmatę do ust i oparła kolano na jej szyi, dusiła ją miażdżyła krtań, odcinała dopływ powietrza, i tak skażonego narkotykiem.

Choć Jillian walczyła z całych sił, silniejsza napastniczka mocno ją trzymała.

Jillian słabła, jej ciosy nie trafiały celu, jej ruchy były coraz wolniejsze. Świat wirował.

Patrzyła w oczy kobiety, o której istnieniu nie miała pojęcia.

- To już koniec, Jillian - zapewniła Falda. - Tym razem umrzesz. Naprawdę.

## Rozdział 31

MacGregor od razu wiedział, że to on.

Mężczyzna, który zjawił się przed sklepem sportowym kilka minut przed ósmą, to na pewno Carl Rousseau. Chilcoate podał mu dokładny opis, zresztą facet miał na głowie tę samą czapkę baseballową i kurtkę, co na feralnym zdjęciu, na zdjęciu, które ktoś przesłał Jillian z Missouli. Idiota.

Było już jasno, prószył śnieg. Rousseau szedł ulicą z kubkiem kawy w rękę. W drodze do sklepu minął kobietę z chartem na smyczy. Patrzył w ziemię, starannie omijał zamarznięte kałuże.

Z półcieżarówki, w której czekał, aż sklep zostanie otwarty, MacGregor obserwował go uważnie. Na wszelki wypadek opuścił daszek, żeby drań go nie zauważył.

Rousseau sięgał do kieszeni, pewnie po klucze. MacGregor miał ochotę zabić go gołymi rękami za to, że zostawił Jillian przekonaną, że zginął. Facet pozbawił inwestorów oszczędności całego życia, upozorował własną śmierć, zostawił Jillian z całym bałaganem na głowie i się zmył. A teraz, jak gdyby nigdy nic, wiezie normalne życie w Spokane.

Najgorszy śmieć.

MacGregor zazgrzytał zębami. Najchętniej rozszarpałby skurczybyka gołymi rękami.

Zasłużył sobie na to.

Ale ciągle mieli tyle pytań. Kto wysłał fotografie? Sam Rousseau? Ten człowiek, który idzie do pracy beztrzęsco, jakby nie miał żadnych zmartwień? Jeśli to on, dlaczego to zrobił? I kto pstryknął te fotki? Samowyzwalacz?

O nie. Coś tu nie gra i MacGregor poczuł ukłucie lęku.

Począł, aż minie go sportowy wóz. Z głośników huczał heavy metal. Otworzył drzwiczki i wysiadł. Przeszył go zimny wiatr.

Caruso/Rousseau nie przejmował się, gdy MacGregor biegł w jego stronę, zaciskając w kieszeni dłoń na kolbie pistoletu.

- Carl?! - krzyknął MacGregor i uśmiechnął się tak sztucznie, że zabołały go policzki.

- Tak? - Rousseau podniósł głowę i spojrzał na niego pytająco.

- Carl Rousseau?

- Tak. - Zirytował się trochę, ale nie był agresywny. Usiłował jedną ręką włożyć klucz do zamka. - W czym mogę pomóc?

Minął ich samochód dostawczy, opluł ich sinym dymem, na zakręcie wjechał na chodnik i o milimetry minął znak drogowy.

- Owszem, możesz - mruknął MacGregor. Skinął głową. - Chciałbym ci kogoś przedstawić.  
- Kogo? Chwileczkę. - Klucz trafił do zamka. Rousseau pchnął drzwi, nareszcie stanęły otworem. - Czy my się znamy?

- Jeszcze nie.

Caruso się zdenerwował.

- Kim pan jest?

MacGregor poczuł, że usta wykrzywia mu cyniczny uśmiech.

- Wiesz, Caruso, tak naprawdę chyba wcale nie chcesz wiedzieć.

- Caruso? - Kawa się rozlała, spływała z kubka na chodnik pod markizą nad wejściem do sklepu. Caruso obniżył głos. - O czym pan mówi?

- Tak się przecież nazywałeś. Tak cię nazwali rodzice. Aaron Caruso. Zapomniałeś już?

- Co? Nie, nazywam się Carl Rousseau - zaczął, ale pobladł, rozglądał się na boki, jakby już był w pułapce i szukał drogi ucieczki.

- Teraz nazywałeś się Rousseau - poprawił go MacGregor. Denerwował się coraz bardziej. - Ale obaj wiemy, że nie jest to twoje prawdziwe nazwisko, więc oszczędź nam obu durnych tłumaczeń. Prawda jest taka, że nazywałeś się Aaron Caruso. Masz czterdzieści lat. Byłeś mężem Jillian White, a potem wyruszyłeś na wyprawę do Surinamu i nigdy nie wróciłeś. Upozorowałeś własną śmierć i zmyśliłeś się z pieniędzmi klientów. Zostawiłeś Jillian z długami. - Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. - Ależ z ciebie tchórz.

- Nie jestem...

- Akurat. - MacGregor pchnął Caruso do sklepu, z dała od jasnej ulicy. Wnętrze lokalu pachniało suchą skórą i impregnowanym drewnem.

Dzwonek nad drzwiami rozdzwonił się nagle i zaskoczony właściciel wpadł na manekina ubranego w najnowsze rybackie ciuchy. Wystawę urządzono tak, że przypominała obozowisko nad jeziorem. Wędkarskie pudełko manekina z brzękiem upadło na ziemię, u stóp MacGregora rozsypały się barwne spławiki i haczyki, słoiczek kawioru potoczył się pod kasę. Caruso przebiegał się i błyskawicznie odwrócił w stronę MacGregora. W jego oczach płonęła nienawiść i strach. Zacisnął pięści.

Bardzo dobrze!

MacGregor z największą przyjemnością rozkwaśiłby mu nos. Zacisnął pięść, druga dłoń oplatała rękojeść pistoletu w kieszeni. I nagle, w ułamku sekundy, przypomniał sobie bójkę w Denver, zakrwawioną twarz Neda Tom-kinsa i co było potem. Nadal jednak miał ochotę sprać drania na kwaśne jabłko, niech szlag trafi konsekwencje!

- Tu chodzi o Jillian - szepnął Caruso. W końcu prawda do niego dotarła.

- Coś takiego! Tak, tu chodzi o Jillian.

Nagle wydawało się, że Caruso stracił wszystkie siły. Stał pośrodku sklepu, w otoczeniu plecaków, namiotów i butów do wspinaczki. Z sufitu na nylonowych linkach zwieszały się kajaki, ściany zdobiły wędki i sztucery, umiejętnie podświetlone punktowymi reflektorami. MacGregor już przymierzał się do ciosu, już miał rozkwaśić draniowi nos, gdy Caruso, ten tchórz, skulił się i opuścił ręce.

- O Jezu - szepnął. Ukrył twarz w dłoniach. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Przyznaj się, że ją prześladowałeś.

- Co? Ktoś ją prześladował? - Podniósł głowę, zupełnie zbity z tropu. Drżącymi palcami dotknął czoła. - Niby dlaczego miałbym...?

- Wypierasz się?

- Nie widziałem Jillian od... o Boże. - W ciągu sekundy postarzał się o piętnaście lat. Nie kłócił się, nie dyskutował, tylko kiwał głową. Zwiesił ramiona, jakby poczuł na nich ciężar całego świata, jak przytłoczony, znużony Atlas. Osunął się na stołek koło sztucznego ogniska. - Ja nie...

- Akurat. - MacGregor mu nie wierzył, ale wyczuwał, że coś jest nie w porządku. Nie takiej reakcji oczekiwał. W końcu ten facet próbował zabić Jillian i MacGregor spodziewał się, że będzie stawiał opór. Czekał na to. Więc skąd ta poza zbitego psa? W tej chwili przynajmniej ma nad nim przewagę. Na wszelki wypadek, żeby Caruso nagle się nie wymigał, żeby wiedział, że nie żartuje, wyjął pistolet z kieszeni i szarpnął żalony strzep człowieka, przytykając lufę do jego żeber:

- Pomyślałem sobie, że pewnie chętnie znowu spotkasz się z żoną. Idziemy. - Pchnął go lufą.  
- A zanim tam dotrzemy, powiesz mi, kim, do cholery, jesteś.

Jillian kopnęła. Z całej siły. Choć nie mogła logicznie myśleć i ogarniać ją mrok, z całej siły wyrzuciła nogę w górę. Jednocześnie zamachnęła się i podrapała Fałdzie policzek, wplatała palce w jej długie włosy. Szarpnęła z całej siły. Falda stłumiła okrzyk bólu, ale chwilowo straciła koncentrację i szmata na ustach Jillian przesunęła się w bok, na tyle, że ta zdążyła zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jillian nie puszczała włosów napastniczki i usiłowała się podnieść na tyle, by wykorzystać jeden z chwytów, które poznała na zajęciach samoobrony. Falda nie wiedziała, co się dzieje. Jillian przewróciła się na bok, ciągle niezdarna. Jeśli uda jej się przyjąć odpowiednią pozycję, odzyska jasność myślenia, jeśli zacznie kontrolować sytuację, pokona tę wariatkę.

- Ty cholerna suko! - syknęła Falda. Próbowała poluzować uścisk dłoni Jillian, zaciśniętej na jej włosach. - Wiedziałam, że będą przez ciebie kłopoty.

Jillian z całej siły szarpnęła głową i szmata z eterem zsunęła się z jej ust. Chciała wołać o pomoc, ale z gardła wydobywał się jedynie bolesny pisk. Nikt jej nie usłyszy, ale może zaalarmują kogoś odgłosy walki albo wrzaski Fałdy, jeśli Jillian ją zrani.

Musi wyswobodzić nogi!

Bolało ją całe ciało, kostka pulsowała żywym ogniem. Starła się narobić jak najwięcej hałasu. Oby ktoś ją usłyszał. Pomyślała o MacGregorze. Gdzie on jest?

Przez przerażającą chwilę myślała, że Falda, kimkolwiek jest, dopadła go pierwsza i zabiła. Jej serce przestało bić. Nie, nie, nie mogła w to uwierzyć. To niemożliwe. Na pewno nic mu nie jest. Błagam cię, Boże.

Odwrociła się gwałtownie, nie puszczać kręconych włosów Fałdy, i uderzyła na oślep.

Adrenalina buzowała jej w żyłach, gdy jej pięść trafiła w nos kobiety.

Ta wrzasnęła z bólu.

Na Jillian trysnęła krew.

Odsunęła się, pociągnęła głowę Fałdy do tyłu, odsłoniła gardło. Jeden cios i...

Falda wyswobodziła głowę, tracąc przy tym garść włosów. Wrzeszczała na całe gardło.

Oto szansa Jillian.

Kopnęła, nie zwracając uwagi na ból, zmusiła Fałdę, by przesunęła się do przodu i złapała ją za ramiona, chcąc wykonać manewr, którego nauczyła się na dżiu-dżitsu.

Pociągnęła i oto Falda leżała na ziemi, a Jillian była górą. Teraz musi tylko...

Kobieta poruszyła się gwałtownie. Jillian reagowała za wolno, eter nadal działał.

Falda odsunęła się na bok i błyskawicznie zerwała na równe nogi.

- Dlaczego nie zdechniesz, ty suko? - Wyjęła z kieszeni podartej spódnicy nóż. Była rozczochrana, krew z nosa spływała na usta i ubranie.

Wyszczrzyła zęby i z nożem w garści i obłędem w lodowatych oczach zastąpiła Jillian drogę do drzwi.

Jillian pomyślała o pistolecie w kurtce, ale był zbyt daleko, nie zdąży. Telefon także znajdował się po drugiej stronie pokoju, koło łóżka. Zresztą nawet gdyby miała dość czasu, by zadzwonić po pomoc, i tak nie wykrztusiłaby ani słowa.

A Falda, dysząc żądzą mordy, zagradzała jej drogę do wolności.

Jillian przeszył zimny dreszcz.

Bolało ją całe ciało, ale nie podda się. Będzie walczyła do końca.

Falda uśmiechnęła się okrutnie i podeszła bliżej. W jej oczach płonęło szaleństwo, na twarzy malowało się oczekiwanie. Zaciskała palce na nożu myśliwskim o ząbkowanym ostrzu.

- To już koniec, Jillian - syknęła. - Najwyższy czas, by to zakończyć.

MacGregor wcisnął pedał gazu. Samochód warknął groźnie. Gnali przez miasto. Prowadził lewą ręką, w prawej trzymał pistolet wycelowany w byłego męża Jillian.

- To niepotrzebne - powiedział Caruso, wpatrzony w broń. Wydawał się pokonany, znużony, jego cera miała żółty odcień.

MacGregor nie dał się nabrać. Może ten oszust tylko udaje pokonanego, a cały czas czeka na okazję, by odebrać mu broń i odwrócić sytuację na swoją korzyść. O nie. MacGregor celował mu w serce i mknął przez zimne ulice pełne ludzi spieszących do pracy. Na ulicach tłoczyły się samochody, reflektory odbijały się w mokrej jezdni, śnieg zamarzał na szosie.

Jeden ruch Caruso, a obaj mogą zginąć, ale MacGregor wiedział, że ma przewagę. Jeśli facet zechce wyskoczyć w czasie jazdy, rzuci się za nim bez wahania. Aaron Caruso mu nie ucieknie. Nie tym razem.

Dzięki Bogu, do hotelu nie było daleko.

Zadzwoił już na policję, ale nie czekał, aż przyjadą powiedział, że spotka się z nimi w hotelu. Drażniło go, że wciąga władze do gry, ale najważniejsze jest bezpieczeństwo Jillian, nawet jeśli go później aresztują za to, co teraz robi. A nieprzestrzeżenie ograniczenia szybkości to jego najmniejsze zmartwienie.

Obchodziło go jedno - skończyć z tym.

I to już.

Samochód pokonał zakręt. Zane nie zdejmował ręki z klaksonu. Przejechał skrzyżowanie na żółtym świetle. Minął autobus, uważał na pieszych, rowerzystów i inne samochody.

Wycieraczki walczyły ze śniegiem.

- Ty jesteś MacGregor, tak? - Caruso wreszcie wszystko sobie poukładał. - Czytałem o tobie. To ty uratowałeś Jillian z rąk tego seryjniaka? Tego, który zostawia ofiary na mrozie. Co za świr.

Więc nadal usiłuje się wykręcić, wypiera się, że to on przywiązał Jillian do drzewa i zostawił ją wśród zamieci. Caruso usiłuje go zmylić. Co za kretyn.

A jednak...

- Nie wciskaj mi kitu, że porwał ją seryjniak. Obaj wiemy, że to tylko zmyłka. Zaprowadziłeś ją do lasu. Ty ją tam zwabiłeś, a potem podszyłeś się pod seryjniaka. Próbowałeś zmylić wszystkich, sprawić, by uznali to za jego sprawkę, ale ci się nie udało.

- Co? Skądże! - Wydawał się załamany.

- Daruj sobie. Obaj wiemy, że to byłeś ty. W hotelu wszystko wyjaśnisz policji, zobaczymy, czy kupią te bzdury. Ale z pewnością czeka cię sporo wyjaśnień i chodzi tu nie tylko o porwanie i usiłowanie zabójstwa, ale też upozorowanie własnej śmierci i zamęt, jaki wprowadziłeś w życiu tych, których okradłeś. Rzucą się na ciebie inwestorzy i firmy ubezpieczeniowe i już do końca życia nie wy leziesz z długów!

Kątem oka MacGregor widział, jak Caruso blednie. Zrobił taką minę, jakby miał zaraz zsiusiać się w spodnie.

- Nie.

- Akurat.

- Naprawdę. Musisz mi uwierzyć. Byłem tutaj, w sklepie. Możesz sprawdzić. Nie mam nic wspólnego z... - Nagle, jakby dopiero teraz zrozumiał skalę swoich przestępstw, urwał, wpatrzony w okno, ale nie widział samochodów przed nimi. Nie, szukał czegoś w duszy i to, co znalazł, śmiertelnie go przerażało. - O nie... nie, nie, nie - jego szept niemal nił w huku silnika i hałasie z ulicy.

- Zaprzeczaj sobie ile chcesz, gnoju.

- Nie... posłuchaj. Tak, masz rację. Rzeczywiście ukradłem mnóstwo pieniędzy. Rzeczywiście upozorowałem własną śmierć - mówił szybko, nerwowo, jakby po raz pierwszy otwierał serce przed wiejskim księdzem. - Ale nigdy nie skrzywdziłem Jillian. Nie mógłbym....

- Akurat! - MacGregor miał ochotę go uderzyć. Jechał i tak za szybko, a tu zmieniły się światła i utkwiał za powolną ciężarówką. - Nic jej nie zrobiłeś? A to, że ją porzuciłeś? Że musiała sama stawić czoło ludziom, których okradłeś? Że musiała udowodniać policji, że nie brała udziału w twoim przekręcie? Że myślała, że nie żyjesz?

- Ale...

- A teraz, dziesięć lat później, coś kazało ci przypuszczać, że może cię odnaleźć, więc zwabiłeś ją do Montany, żeby ją zabić. To proste, nie? - Jednak nawet kiedy wypowiadał te słowa, MacGregor widział luki w takim rozumowaniu. Zrobiło mu się niedobrze. Jeśli Caruso chciał pozostać w ukryciu i żyć dalej jako Carl Rousseau, po co wysłał zdjęcia? Po co ściągał Jillian z Seattle? Zacisnął dłonie na kierownicy. Widział przerażenie na twarzy Caruso i wiedział, że ten coś ukrywa.

- Chwileczkę. - W jego sercu zagościł strach. - Nie ty wysłałeś te zdjęcia, prawda? Caruso zamknął oczy i przygryzł dolną wargę. MacGregor niemal widział, jak obracają się trybiki jego mózgu.

- O Boże - szepnął Caruso. Powoli kręcił głową, jakby sam nie wierzył w to, co właśnie zrozumiał. - Nie myślałem, że posunie się tak daleko.

- Kto? Do cholery, kto? - Światło w końcu się zmieniło. MacGregor wcisnął pedał gazu. - O czym ty mówisz?

- To Falda - szepnął Caruso.

- Kto?

- Falda. Moja żona. Moja druga żona. Ona... ostatnio wyjeżdżała, ale już wróciła do Spokane.

- Na jego brodzie zadrgał mięsień. - Dodaj gazu, MacGregor - poradził. - Jeśli Falda czegoś chce, nic jej nie powstrzyma, a damę sobie rękę uciąć, że teraz pragnie śmierci Jillian. MacGregor zacisnął ręce na kierownicy. Z bijącym sercem wyminął ciężarówkę, o mało nie wjeżdżając przy tym w zaparkowany samochód. Kierowca ciężarówki zatrzął gniewnie, on jednak już jechał do hotelu. Caruso ma zazdrosną żonę? Tak bardzo zazdrosną, że jest gotowa zabić pierwszą żonę?

Co za koszmar.

- Gdzie jest Falda?

- Nie wiem. - Caruso pokręcił głową, wpatrzony w okno. Nagle MacGregor nabrał pewności, że ten człowiek, Aaron Caruso czy Carl Rousseau, mówi prawdę i to go przeraziło.

- Umie się posługiwać bronią palną?

- Owszem.

- Zadzwoń do niej. Ma komórkę?

- Tak, ale nie odbierze.

- Spróbuj.

Rousseau wyjął telefon z kieszeni. MacGregor cały czas celował mu w serce. Do hotelu jeszcze niecałe dwa kilometry, pod górę. Jednym okiem patrząc na pasażera, drugim na drogę, mijał kolejne samochody. Na zakręcie zahamował gwałtownie. Caruso omal nie upuścił telefonu.

- No, dawaj, odbierz - mamrotał, ale obaj wiedzieli, że tego nie zrobi. - Dokąd my jedziemy? Do jakiego hotelu? - zapytał nagle.

- Courtland, a co?

- No tak - powiedział, jakby inny hotel nie wchodził w grę. Przecież to najlepszy hotel w mieście. - Ona tam jest.

- Co?

- Falda jest w hotelu.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Mam przecucie. Jeśli jest tam Jillian, Falda ją odnajdzie.

MacGregora przeszył zimny dreszcz. Powtarzał sobie, że Caruso blefuje, że chce odwrócić jego uwagę, ale powaga i przerażenie w jego twarzy kazały mu uwierzyć temu oszustowi.

- To nawet logiczne - Caruso myślał na głos. - Poznałem Fałdę wiele lat temu, kiedy jeszcze byłem z Jillian. Mieliśmy romans i razem zdecydowaliśmy, że ucieknę z pieniędzmi. Z których już nic nie zostało. Kiepsko zainwestowałem, musiałem sobie kupić nową tożsamość, a Falda... o Jezu, od początku była zazdrosna o moją pierwszą żonę. Chociaż razem z nią zaplanowałem zniknięcie, chociaż rzuciłem Jillian, uważała, że wciąż ją kocham. - Zawahał się, zanim dodał: -1 może ma rację.

MacGregora ogarnęła wściekłość. Zęby bolały go od zaciskania. Wyminął powolny wóz dostawczy i w końcu zobaczył dwie przecznice dalej masywną fasadę hotelu.

- Nie mam na to czasu - warknął. - Życie Jillian jest w niebezpieczeństwie.

Ale Caruso pokręcił głową. Teraz już wiedział wszystko.

- Pół roku temu Falda sprzątała w sklepie. Znalazła na moim biurku zdjęcia Jillian. Zdjęcia, których nie mogłem wyrzucić. Miałem je od początku.

MacGregor tępiał na niego groźnie, zły, że nie może zabić go gołymi rękami. Oto powód, dla którego życie Jillian jest w niebezpieczeństwie. Przez cholerne zdjęcia?

- I co się stało?

- Falda wpadła w szal. Oszalała. Przysięgałem, że myślałem, że je wyrzuciłem, ale na moich oczach pocięła je na strzępy i cisnęła mi w twarz. Ona... nie była sobą.

- Kretyn.

- Zachowałem je jako pamiątkę z lepszych czasów. Prawda jest taka, że umieram. Mam raka. Końcowe stadium. I ostatnio pomyślałem, że czas naprawić stare błędy.

MacGregor nadal mu nie ufał. Może to wszystko prawda, facet rzeczywiście jest żółty na twarzy.

- Naprawić? Jak? Wyznając prawdę?

Caruso nie odpowiadał, ale MacGregor i tak się domyślił.

- Chciałeś się skontaktować z Jillian, tak?

I znowu cisza, tylko warkot silnika i monotony szum wycieraczek. Grdyka Carusa zadrżała.

- Po co? Chciałeś ją prosić o przebaczenie, by położyć się do grobu z czystym sumieniem?

- Mniej więcej.

- Powiedziałeś o tym Fałdzie? Caruso wtulił się w fotel i skinął głową.

- Tak.

Równie dobrze mógłby podpisać nakaz egzekucji i dobrze o tym wiedział.

- To był błąd. - Wskazał głową hotel. - Falda kiedyś tu pracowała. Nadal ma uniform i tabliczkę z imieniem. I klucze.

MacGregor miał serce w gardle, gdy wpadł przez bramę hotelu, mijając dwie kolumny spowite girlandami światełek. Pikap zachwiał się, gdy za ostro skręcił, mało brakowało, a zawadziłby o taksówkę stojącą przed wejściem. Kierowca wyskoczył i krzyczał coś groźnie, wymachując pięścią.

MacGregor prawie go nie zauważył. Serce waliło mu jak młotem, tracił rozum ze strachu.

- Na pewno nie zna numeru pokoju, nie może - szepnął.

- Nie łudź się. Ma tu koleżanki. Jej kuzynka jest w recepcji. Nie znasz Fałdy, MacGregor. Jeśli zechce wejść do pokoju, wejdzie, choćby musiała wyważyć drzwi.

- I to będzie twoja wina, Caruso. - Gnali do wejścia. MacGregor dosłownie stanął na hamulcach przed samymi drzwiami. - Jeśli coś się stanie Jillian, to będzie twoja wina.

- Nigdy go nie dostaniesz - zaklinała się Falda. Podchodziła coraz bliżej. Uniosła rękę z nożem.

- Coś ci powiem. - Mimo jej wysiłków, krzyk przypomina zaledwie ciche jęki. Oddałyby wszystko, byle dopaść broni. - Nie chcę tego drania.

- Akurat. - Falda jej nie wierzyła i nadal zagrażała drogę do drzwi. Jillian nie mogła ruszyć do wyjścia, bo natknie się na nóż, nie mogła też rzucić się do okna.

Ale coś musi zrobić.

- Widziałam zdjęcia - ciągnęła Falda. - Twoje. Na dwóch byłaś półnaga. Co? Skup się, Jillian. Broń. Zdobądź broń!

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Może dopadnie krzesła i walnie nim w ścianę. Albo przewróci wózek i ktoś przyjdzie, zaalarmowany hałasem.

- Zrobił je, kiedy jeszcze byliście razem. Ale wiesz co? Może i cię fotografował, ale już wtedy cię zdradzał. Ze mną.

Ale Jillian niczego nie pamiętała. Minęło zbyt wiele lat, by przypomniawszy sobie migawki z małżeństwa z człowiekiem, o którym chciała zapomnieć.

- A on i tak je zachował. Patrzył na nie, kiedy mnie nie było w pobliżu. Pewnie się przy nich onanizował.

Jillian się skrzywiła, ale Falda jeszcze nie skończyła.

- Nigdy do końca nie pogodził się z tym, że od ciebie odszedł. Miał wyrzuty sumienia.

Dlaczego, do cholery? A kiedy skończyła się kasa, naprawdę mu odbiło. W kółko powtarzał: jak ja mogłem jej to zrobić, dlaczego, po co. Nie zasłużyła na to. I ja muszę z tym żyć. A kiedy zachorował, kiedy się okazało, że umiera, uznał, że musi cię jeszcze raz zobaczyć.

Aaron umiera?

Jillian nie poczuła niczego.

Dla niej nie żył już od lat.

- A gdyby to zrobił - Falda była coraz bliżej - a gdyby, jak to mówił, spróbował naprawić stare grzechy, spocząłby w grobie z czystym sumieniem. A ja? Policja obwiniałaby mnie o wszystkie jego grzechy, o kradzież pieniędzy. Trafiałabym do więzienia. Carl tymczasem zaleca się do ciebie. Chce ci wszystko wyznać, chce, żebyś mu wybaczyła.

- Nigdy - szepnęła Jillian, ale myślami była gdzie indziej, zastanawiała się, jak zmylić tę wariatkę.

Usta Faldy rozchyliły się w uśmiechu, w jej oczach rozbłysła nienawiść.

- Co do tego masz rację. Jeśli cię nie będzie, nie będzie go kusiło, by wszystko wyznać.

Umrze w spokoju.

- Jesteś chora.

- No cóż. Ty jesteś martwa. - Falda zaatakowała, szybka jak pantera. Jillian się uchyliła, ale kostka nie utrzymała jej ciężaru i runęła na ziemię.

Falda rzuciła się na nią. Turlały się po podłodze. Jillian walczyła dzielnie, ale silniejsza napastniczka wbiła jej nóż w ramię. Jillian przeszył ból i krzyknęła, ale z jej gardła wydobył się tylko żałosny jęk. Ponad wszystkim słyszała zawodzenie policyjnej syreny. Nie podawaj się!

Gdzieś na korytarzu dudniły kroki. Krzyki. Głosy. Słyszała wykrzykiwany numer pokoju.

Rzuciła się w stronę łóżka. Z rany płynęła krew. Falda zaatakowała ponownie. Tym razem Jillian zdołała się odsunąć na tyle, że nóż nie przeciął skóry, tylko drasnął rękaw szlafroka. Złapała Faldę za rękę, ale była osłabiona i obolała.

- To koniec - syknęła Falda. Wykrzywiła twarz w triumfalnym grymasie. Po raz kolejny uniosła nóż. Jillian zauważyła gumowy koniec kuli tam, gdzie ją zostawiła, koło łóżka. Nie myślała, sięgnęła zdrową ręką i zacisnęła dłoń na metalowej podpórce. Falda już miała zadać kolejny cios... ostrze załśniło w świetle ognia z kominka.

Jillian się nie zawahała.

Z całej siły zamachnęła się kulą.

Buch!

Metalowy drąg trafił Fałdę w skroń. Nadal z nożem w dłoni, zachwiała się i runęła na Jillian. Jillian wzdrygnęła się z obrzydzeniem i wyczołgała spod nieprzytomnej kobiety. Nie zwracała uwagi na coraz głośniejsze krzyki na korytarzu.

Spojrzała na napastniczkę. Szklisty wzrok Fałdy był najlepszym dowodem, że to już koniec.

Dopiero po chwili zobaczyła nóż w jej piersi.

Z trudem dźwignęła się na nogi i pokuśtykała do drzwi. W tym momencie w zamku zazgrzytał klucz i stanęły otworem.

MacGregor, blady jak ściana, z pistoletem w dłoni, wpadł do pokoju.

- Jillian! - Głos mu się załamał, gdy brał ją w ramiona.

Wtuliła się w niego, zapadła w jego ciepły uścisk. Krwawiła, była obolała i półprzytomna, ale w ramionach MacGregora czuła się bezpieczna. Dobry Boże, wreszcie jest bezpieczna.

Ostatkiem sił powstrzymywała łzy. Przywarła do niego z ulgą.

- MacGregor.

- Krwawisz. Pokaż się.

- Falda! - zawołał męski głos. Słabo, smutno.

Jillian zeszywniała w objęciach MacGregora. Wyjrzała zza jego ramienia i zobaczyła, jak Aaron Caruso osuwa się na kolana. Przytulił Fałdę, ubrudził się krwią.

- Och, Fałdo! Dlaczego? - Kołysał się z trupem w objęciach. Gdzieś w oddali wyły policyjne syreny.

W korytarzu gromadzili się ludzie. Goście i personel zaglądali przez otwarte drzwi.

Uzbrojony ochroniarz przepychał się przez tłum, wszedł do pokoju i trzymał gapiów z daleka.

- Proszę się cofnąć! - Ocenił sytuację wzrokiem. - Policja już jedzie - zapewnił MacGregora.

- To dobrze.

Aaron podniósł wzrok. Nadal siedział na podłodze, tuląc martwą żonę. Po raz pierwszy od lat Jillian spojrzała w oczy pierwszemu mężczyźnie, którego pokochała.

- Przykro mi - powiedział, chyba szczerze. Miał łzy w oczach. Zamrugał szybko. - Naprawdę mi przykro, Jilly.

Nie odpowiedziała. Nie mogła skłamać. Nie żałowała wspólnej przeszłości... ani tego, że Falda nie żyje.

Poczuła, jak MacGregor oplatają ją ciasniej ramionami.

- Nie chciałem, żeby tak się stało - powiedział Aaron. Zaciśnęła usta.

- Umieram. Falda nie żyje. Już więcej cię nie skrzywdzi. - Był tak słaby, że zrobiło jej się go żal, tak samo, jak żałowałyby każdego, kto wie, że wkrótce umrze. Tak, będzie aresztowany i sądzony, o ile jego przestępstwa nie uległy przedawnieniu, ale zanim proces się skończy, zapewne umrze. Był żaloszny i takiego losu nie życzyła nawet najgorszemu wrogowi. - Mam wyrzuty sumienia - ciągnął pokornie. - Wybaczysz mi kiedyś?

- Wybaczysz ci? - Pomyślała o cierpieniu, które zadał, o tym, jak zostawił ją, by toczyła za niego jego walkę, by sama zmierzyła się z prasą i oszukanymi inwestorami. On tymczasem poślubił kobietę, z którą ją zdradzał. Był pasożytem, żył z cudzych pieniędzy, i bigamistą. Związał się z psychopatką, która porzuciła Jillian na mrozie, a gdy to nie poskutkowało, chciała ją zabić i prawie jej się to udało. - Wybaczysz ci? - powtórzyła, kręcąc głową. - Nie dziś i nie jutro. Może kiedyś. Kiedy piekło zamarznie.

## Epilog

A zatem znaleźli naśladowcę. Dobrze.



Na dworze wiatr się wzmaga, wieje wśród drzew. Siedzę nago w chacie, pot błyszczy na mojej skórze - niedawno ćwiczyłem. Patrzę na ekran telewizora i sącę drinka. Kostki lodu stukają cicho. Obserwuję, jak policjanci wyprowadzają mężczyznę nazwiskiem Carl Rousseau z wielkiego budynku - hotelu Courtland w Spokane w stanie Waszyngton. Wsiada z nimi do wozu patrolowego, uważa, żeby nie uderzyć się w głowę.

Policjanci są z siebie bardzo dumni.

Złapali przestępcę.

Kamera się odsuwa, pokazuje furgonetkę koronera. Widać pół tuzina wozów patrolowych, koguty zalewają ośnieżony trawnik kolorowym światłem. Zginęła kobieta i prawdopodobnie to ona śmiała mnie naśladować.

Kobieta!

Nabrała policję.

No, ale to nie takie znowu trudne, prawda? To w końcu imbecyle.

Robi mi się niedobrze na myśl, że ktoś chciałby sobie przypisać moje dzieło. Że policjanci mogli w ogóle pomyśleć, że można skopiować pracę, którą planowałem od lat. Zaciskam palce na szklance, zmuszam się, by się uspokoić. Jakkolwiek by było, zdemaskowano ją. Gniewnie wyłączam telewizor i podchodzę do stolika, na którym leżą wzory nowych notek. Starannie zaplanowane, wyczelowane, czekają, aż przybiję je do drzewa. I dam gliniarzom do zrozumienia, że nadal działam, nadal im uciekam, nadal im zagrażam.

Obok leżą zdjęcia kobiet, którym dałem moje błogosławieństwo, wybierając właśnie je, zdjęcia zrobione, gdy zdały sobie sprawę, co je czeka. Patrzą na mnie i pamiętam je wszystkie. Myślały, że będę je chronił, że je uratuję... oddawały mi siebie i błagały jak dziwki, którymi są.

To dopiero początek.

Jeszcze tyle trzeba poświęcić. A policja musi zrozumieć, że to nie koniec.

Zrozumieją, że nadal działam. Wiem, jak przykuć ich uwagę. A nawet, jak zdobyć ich szacunek.

Naśladowca już nie zaatakuję. Słyszę hałasy w holu.

Porusza się... Może płacze.

Dopijam drinka i już wiem, że czas, bym odegrał moją rolę. Włożył ubranie, przywołał ciepły uśmiech i zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze, gdy minie śnieżyca.

Że jestem jej zbawcą.

Nie wie, że została wybrana, by umrzeć.